

DROGA DO DAMASZKU

TRZECI TOM SERII ROZPOCZĘTEJ PRZEZ ŚLEDZTWO SETNIKA,
POWIEŚCI ZNANEJ ZE SŁUCHOWISKA TEATRU POLSKIEGO RADIA



JANETTE OKE & DAVIS BUNN

KROKI WIARY

SERIA KROKI WIARY, TOM 3



Droga do Damaszku

DAVIS BUNN
&
JANETTE OKE

Psalm18.pl
twoje źródło inspirujących książek

www.wydawnictwo.psalms18.pl

Tytuł oryginału: *The Damascus Way*

Copyright © 2011 by Davis Bunn and Janette Oke

Originally published in English under the title *The Damascus Way*

by Bethany House Publishers, a division of Baker Publishing Group, Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A.

All rights reserved.

Copyright © 2020 for Polish translation

and edition © Psalm18.pl Daniel Wołochowicz

Przekład: Małgorzata Wołochowicz

Redakcja: Beata i Tomasz Strużanowscy

Korekta: Daniel Wołochowicz

Skład: Grażyna Kołbasa

Projekt okładki: Ireneusz Wołochowicz

Zdjęcia na okładce: unsplash.com by Lucas Newton, Madeha AlAjroush, Elijah Hiatt, Ben Ostrower oraz stock.adobe.com

Druk: Wydawnictwo Arka, www.arkadruk.pl

ISBN: 978-83-955619-5-5

Wydawnictwo

Psalm18.pl
twoje źródło inspirujących książek

Psalm18.pl Daniel Wołochowicz

Świeradowska 47, 02-662 Warszawa

NIP: 9512138491

wydawnictwo@psalm18.pl | www.wydawnictwo.psalm18.pl

facebook.com/psalm18.pl | instagram.com/psalm18.pl

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

www.psalm18.pl | 579 058 810



SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

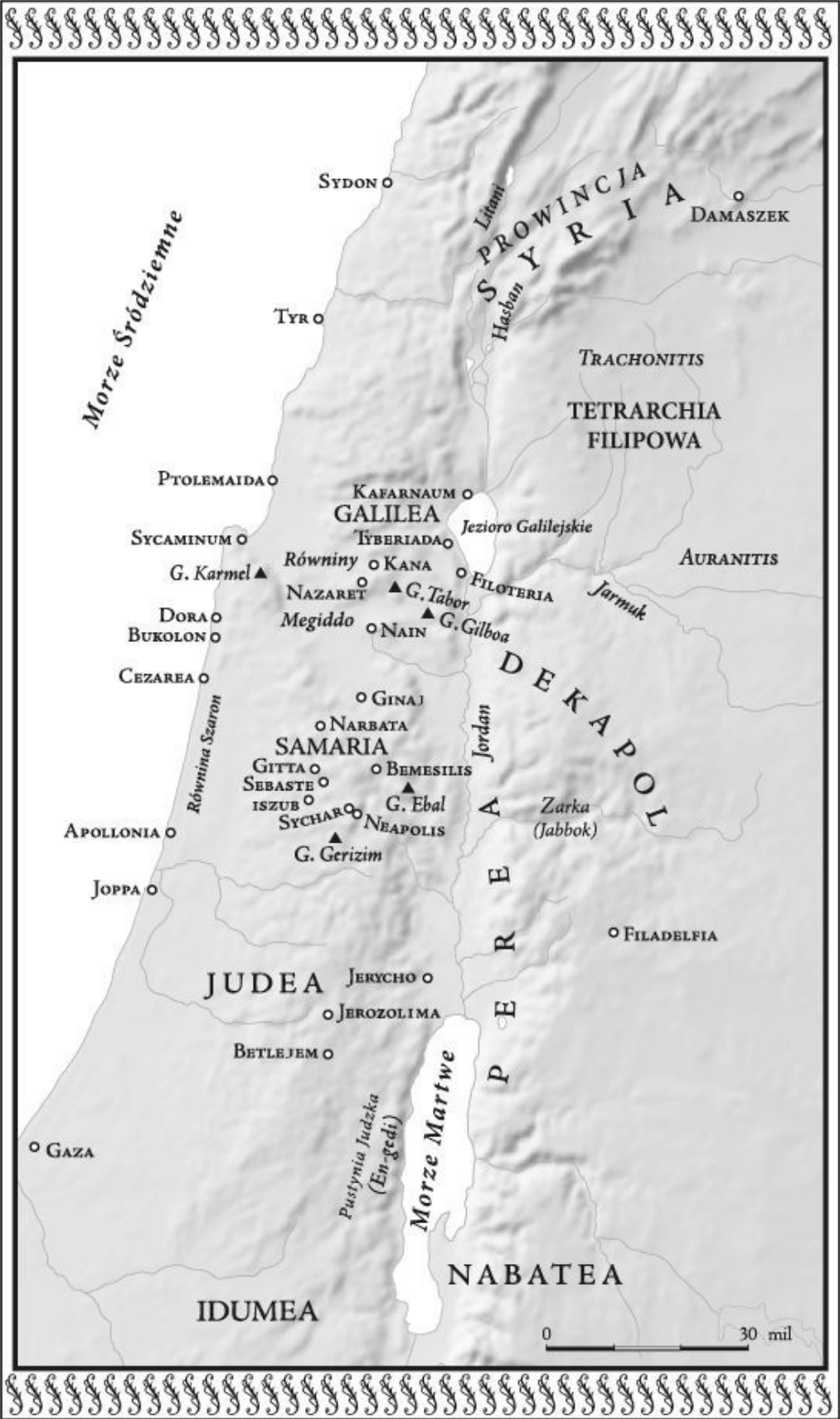
Dedykacja

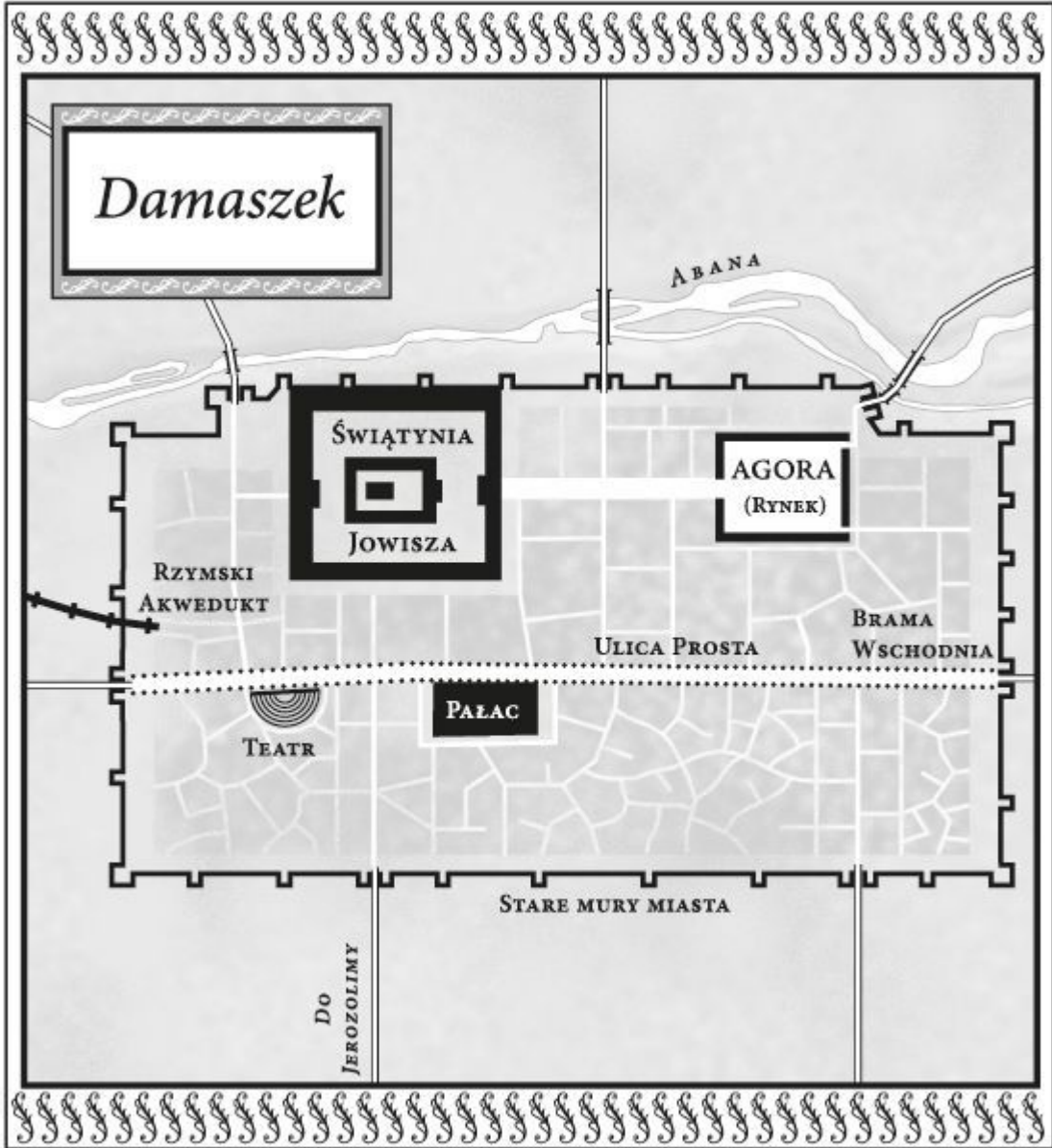
Łącząc się z apostołem Piotrem, dedykujemy tę książkę *tym, którzy dzięki sprawiedliwości Boga naszego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, otrzymali wiarę równie godną czci jak i nasza.*

Święty Paweł napisał: *A tu już nie ma Greka ani Żyda, (...) lecz wszystkim we wszystkich [jest] Chrystus.*

Jakiż to przywilej, być częścią Kościoła, który rozprzestrzenił się na cały świat, oczekującego na ten cudowny dzień, gdy On przyjdzie ponownie.

On sam powiedział: *Zaiste, przyjdę niebawem. Amen. Przyjdź, Panie Jezu!*







ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tyberiada, około 40 r. n.e.

Tego późnego popołudnia słońce prażyło z taką intensywnością, że tuż nad powierzchnią brązowej ziemi widać było, jak powietrze wręcz drży od upału. Na błękitnym niebie nie było ani śladu chmur, a drzewkami oliwnymi nie poruszał nawet najcichszy szmer wiatru. Julia szła bez pośpiechu ścieżką wiodącą do zewnętrznej bramy podwórza, a jej myśli krążyły wokół jutrzejszego dnia. Jej ojciec dopiero co wrócił, a już jutro o świcie będą musieli się pożegnać. Znowu.

Z jej ust wyrwało się pełne frustracji westchnienie. Czemu tak zawsze musiało być? Julia żyła w wiecznym oczekiwaniu na powrót ojca. Pamięć o radości rozbłyskującej w jego oczach na widok córki pozostawała w jej sercu na długo po kolejnym pożegnaniu.

Julia starała się zaakceptować swój los. Jamal, jej ojciec, był kupcem. Wiedziała, że ten zawód wymaga ciągłych podróży. Mimo to w sercu miała wątpliwości, czy rzeczywiście nie mógł zostawać z nią choć trochę dłużej. Czemu zawsze czeka ich jedno pożegnanie za drugim? *A inne dziewczęta...*

Julia zatrzymała się i spojrzała pod nogi na ścieżkę. Wiedziała dobrze, że nie jest jak inne dziewczęta, choć nie potrafiła wyjaśnić, *dłaczego* tak jest. Jej życie wydawało się być pasmem nieustających sprzeczności. Jego poszczególne części nie pasowały do siebie nawzajem. Wiele razy się nad tym głowiła, lecz nie potrafiła tego do końca pojąć. A jej matka nigdy o tym nie mówiła, choć Julia była pewna, że ona też to czuje. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego Julia nie mogła pojąć, jej rodzina nie była częścią tyberiadzkiej społeczności. Mieszkali w pięknym, przestronnym domu, z wystarczającą liczbą służby, by żyć w dostatku i wygodzie, ale nigdy nie odwiedzali ich żadni goście, ani nikt nie zapraszał ich do siebie.

Jej matka spędzała większość dnia w swoich ulubionych pokojach lub w ogrodzie w centrum domu. Z uznaniem dotykała pięknych szat, które przywoził jej Jamal, lecz gdy wyjeżdżał, wisiały zapomniane, a Helena nosiła proste stroje domowe – do chwili, gdy służący zawiadamiał, że karawana Jamala zbliża się do bram miasta. Wtedy cały dom nabierał energii. Służący uwijali się, nabierając świeżej wody, biegnąc na rynek, wyjmując naczynia z kadzidłem, kładąc w łaźni świeże płótna. Julia też się wtedy spieszyła... Biegła piaskową drogą prowadzącą z miasta prosto do miejsca, gdzie zostawiano wielbłądy, które jęczały i narzekały na ładunki obciążające ich grzbiety. Tam właśnie jej ojciec doglądał rozładunku karawany. Tam witał ją tym szczególnym uśmiechem i szeroko rozpostartymi ramionami. Jego włosy lśniły w słońcu miedzianym odcieniem, a oczy, osadzone w opalonej twarzy, jaśniały orzechowym

blaskiem. Jakiś czas temu zaprzestał unoszenia Julii w silnych ramionach i obracania się z nią dokoła.

– Chyba robisz się już na to za duża – powiedział kiedyś przytulając ją, zaś w jego głosie Julia usłyszała coś, czego nie zrozumiała.

A gdy przyjeżdżali razem do domu, wszystko wyglądało inaczej niż zwykle i inaczej pachniało. Matka witała ich w drzwiach z ciepłym uśmiechem na twarzy, ubrana w jedną z tych ślicznych jedwabnych szat.

– Witaj, mój panie – mówiła kłaniając się głęboko, a mąż na chwilę przyciągał ją do siebie i patrzyli sobie głęboko w oczy, jak gdyby każde chciało się nasycić widokiem drugiego.

Wieczorny posiłek też wyglądał inaczej niż zwykle. Na stole pojawiała się mnóstwo przysmaków; niektórych z nich Julia nawet nie знаła. W cichej zazwyczaj komnacie rozbrzmiewały rozmowy i śmiechy. Po posiłku Jamal otwierał swoją podróżną torbę i pokazywał im skarby z obcych egzotycznych krain: jedwabie i przyprawy, perfumy w pięknie rzeźbionych słoiczkach, grzebienie do włosów z masy perłowej lub bursztynu, biżuterię, bransolety, pierścionki i naszyjniki z czystego złota. Matka zachwycała się każdym podarkiem. W jej oczach odbijała się radość, a czarujący uśmiech potwierdzał deklaracje, jakie to wszystko jest śliczne.

Matka zdawała się w obecności ojca rozkwitać niczym pustynny kwiat w trakcie wiosennych deszczy. Wtedy Julia zdawała sobie sprawę, jak piękna wciąż jest Helena. Jamal również jej to wielokrotnie powtarzał. Słyszając to Helena rumieniła się lub uśmiechała, przyglądając dłonią długie czarne loki, które on najbardziej lubił zebrane luźno z tyłu, a rozpuszczone wokół twarzy. Zawsze było tak samo, przez cały czas, gdy Jamal był z nimi w domu. Cały ich świat ulegał zmianie.

Ale nigdzie razem nie wychodzili jako rodzina. Nie chodzili na targ, nie korzystali z żadnych miejskich atrakcji, nie odwiedzali sąsiadów. A już

na pewno nie chodzili do synagogi, bo jej ojciec był Grekiem pochodzącym z Damaszku, i to raczej niezbyt religijnym. Julia wiedziała też, że korzenie jej matki są hebrajskie. Właściwie to Helena była Samarytanką, lecz nigdy o tym z Julią nie rozmawiała, raczej uciniała temat, jeśli córka próbowała ją o to pytać.

Gdy Jamal przyjeżdżał, ich niewielka rodzina przez cały czas pozostawała razem w domu. Cieszyli się sobą nawzajem, śmiali się, rozmawiali, a nawet się ze sobą droczyli. Udawali, że *tym razem* to się nie skończy.

Julia uwielbiała te chwile, przez co nieuchronne rozstanie było jeszcze trudniejsze.

Jamal wyjeżdżał często na wiele miesięcy. Śliczne podarunki znikwały z zasięgu wzroku. Matka z powrotem zaplatała włosy w prosty sposób, nosiła zwyczajne szaty domowe, a jej oczy były znów smutne i pełne udręki. A Julia? Ona również wracała do noszenia prostych ubiorów, niedbale zarzucając szal na ramiona. Lecz teraz, gdy była starsza, nie potrafiła odłożyć niektórych ulubionych klejnotów, otrzymanych od ojca. W pewien sposób, gdy je dotykała i słyszała brzęczenie na nadgarstkach, ojciec był jakby bliżej niej. Bo poza tym jej świat pozostawał ponury i zwyczajny, a cały czar, który ojciec ze sobą przywoził, gdzieś się ulatniał.

Julia otrząsnęła się z zadumy, westchnęła głęboko i w zniecierpliwieniu otarła pojedynczą łzę. *Przecież tata jest wciąż w Tyberiadzie* – pomyślała w duchu i potrząsnęła głową. Czy to nie wystarczy? Postanowiła jak najlepiej wykorzystać ten ostatni wieczór, który będą mogli spędzić razem.

Przyspieszyła kroku; jej sandały wzbijały małe kłębki kurzu, który wirował w rąbku jej szaty. Przełożyła przykryty szmatką kosz na ramię, aby nieść go wygodniej. Jamal będzie czekał na popołudniowy posiłek, chyba że nadzorowanie przygotowań karawany tak go pochłonęło, że nie zauważył,

w jakiej pozycji jest słońce. Czasami wydawało jej się, że ojciec jest tak zaabsorbowany swymi obowiązkami, że mógłby nic nie jeść przez cały dzień. Jednak matka nalegała, by posyłać mu do pracy przekąski. A Julia bardzo się cieszyła z każdej okazji, by go odwiedzić.

Ścieżka wiodła z ich podwórza wprost na zatłoczoną ulicę wyjazdową, prowadzącą wzdłuż brzegu Jeziora Galilejskiego do miejsca postoju karawan. Gdy Julia przybyła na miejsce, zastała tam mnóstwo ryczących wielbłądów, beczących owiec, uwijających się przewodników karawan, bosonogich poganiaczy bydła. Wszystko tonęło w upale, kurzu i nieładzie. Julia miała ochotę wstrzymać oddech, by nie czuć przykrego zapachu zwierząt oraz spoconych ludzkich ciał. Przechodząc, czuła wokół siebie jakieś poruszenie, ale nikt nic głośno nie powiedział. Nie była tym zaskoczona. Nawet nowo zatrudnieni poganiacze wiedzieli, że gdy chodzi o córkę, bogaty kupiec Jamal ma ostry język i wybuchowy temperament. Nikt nie śmiał pobudzać go do gniewu, zwłaszcza gdy trzymał w ręku bicz do smagania wielbłądów. Julia zakryła nos szalem i przyspieszyła kroku.

Dokładnie wiedziała, gdzie go zastanie. Gdy dorastała, bywała tu wiele razy. Wielbłądy ojca stały zawsze w najlepszym miejscu terenu postojowego, najbliżej studni i koryt do pojenia zwierząt. Nawet z oddali słychać było dziwne ryki wielbłądów przepychających się przy korycie, do którego słudzy próbowali wlać z bukłaków świeżą wodę.

Przełożyła koszyk do drugiej ręki, podczas gdy jej wzrok obiegał ruchliwy, głośny tłum, poszukując znajomej sylwetki. Ojciec stał odwrócony do niej tyłem, pochylając się właśnie i badając przednią nogę jednej ze swoich wielbłądzic. Szybko podeszła do niego i nieco zsunęła koszyk z ramienia.

– Będzie mogła iść w karawanie? – na dźwięk delikatnego głosu córki Jamal wyprostował się, a jego oczy – o tak! – zajaśniały z wielkiej radości na

jej widok. Serce dziewczyny podskoczyło ze szczęścia.

– Julio, mój skarbie – wziął z jej ręki koszyk. – Chodź, córeczko, usiądziemy gdzieś w cieniu.

Przeszli przez jedną z bram i podążyli w górę, w stronę namiotu. Jamal odsłonił wejście, przepuszczając dziewczynę przodem. Ziemię pod jej stopami pokrywały grube ciemne dywany. Pod jedną ze ścian leżała sterta poduszek. Julia wzięła kilka z nich i ułożyła tak, by mogli wygodnie usiąść. Bardzo lubiła tu przebywać. To było jej ulubione miejsce na świecie. Mogli tu być tylko we dwoje...

Gdyby tak... lecz nie pozwoliła myślom pobiec dalej w tym kierunku.

– Będzie mogła iść w karawanie? – spytała ponownie.

– Nic jej nie będzie. Dostała mocnego kopniaka przy korycie, ale przestała kuleć, a opuchlizna już zeszła.

Julia wiedziała, że powinna się cieszyć. Ta wielbłądzica szła jako pierwsza, prowadząc karawanę. Nadawała tempo reszcie zwierząt. Julia próbowała się uśmiechnąć, świadoma, że tego właśnie oczekuje od niej ojciec. Jednocześnie w sercu mimowolnie pomyślała z nadzieją, że gdyby zwierzę nie mogło iść, kolejny wyjazd karawany by się opóźnił.

– No to zobaczymy, co tam przyniosłaś dobrego – Jamal postawił koszyk na jednej z poduszek i podniósł przykrywającą go ściereczkę. Z uznaniem kiwnął głową na widok swoich ulubionych ciasteczek z miodem. – Rozpieszczasz mnie, skarbie.

– Tak naprawdę to mama cię rozpieszcza. Ja tylko przyniosłam koszyk. Skinął głową.

– Ależ jestem szczęściarzem. Dwie cudowne kobiety tak się o mnie troszczą. – Poczekał, aż Julia naleje mu chłodnej herbaty do kubka. – Jakie masz życzenia? Co mam ci przywieźć z kolejnej podróży?

Znów to pytanie. Przypomniało jej, że ojciec zaraz kolejny raz wyjedzie. Jak tylko zacznie świtać, wyruszy na szlak kupiecki z karawaną, jeźdźcami i mnóstwem towarów, którymi handluje. Ona dzielnie się pożegna, pozwoli się czule uścisnąć, odwzajemni uśmiech, a potem resztę dnia spędzi popłakując cicho w swoim pokoju. Zawsze było tak samo. Radosne powitanie, a potem rozdzierające serce pożegnanie.

Nagle przyszedł jej do głowy nowy pomysł i pochyliła się do przodu.

– Ojczy, czy mogłabym... czemu nie miałabym pojechać z tobą?

Kubek z herbatą zastygł mu w dłoni.

– Chcesz jechać ze mną w karawanie?

– Tak. Mogłabym...

Ale on już potrząsał głową.

– Szlak handlowy to nie miejsce dla młodej panny. Zwłaszcza tak ładnej jak ty, Julio.

– Ale...

– Nie, nie, nie – szybko wyrzucał z siebie słowa. – To nie jest miejsce dla młodej dziewczyny. To niebezpieczne. A w dodatku nie przystoi – jeszcze raz potrząsnął głową.

Wiedziała, że dalsze argumentowanie nic nie da. Ojciec wypił jeszcze jeden kubek herbaty.

– Nawet sobie nie zdawałem sprawy, jaki jestem spragniony. Zjesz ze mną ciastko?

Potrząsnęła głową, po czym wstała.

– Nie, dziękuję, ojczy. Chyba pójde pożegnać się z Sheeką.

Uśmiechnął się z pełnymi ustami.

– Te wielbłądy cię lubią, wiesz? Kiedy do nich mówisz, zawsze się uspokajają. Zawsze lepiej, kiedy na początku drogi są w dobrym humorze.

Pracują ciężiej, są mniej niespokojne i nie takie uparte. No, idź. Dołączę do ciebie, jak tylko skończę jeść.

Julia odsunęła na bok połę od wejścia do namiotu i ruszyła w stronę pomrukujących, plujących wielbłądów. Sama też to zauważyła. Z jakiegoś powodu wielbłądy rzeczywiście stawały się bardziej uległe i potulne, gdy do nich przemawiała i gładziła ich długie, włochate szyje.

Julia wiedziała, że przez większość ludzi wielbłądy były postrzegane jako śmierdzące, obrzydliwe i nieprzewidywalne zwierzęta, a mimo to lubiła je. Nie wiedziała, ani nawet nie próbowała zrozumieć, dlaczego tak jest. Może z tego prostego powodu, że wraz z nimi zawsze powracał do domu jej ojciec? Pozwolił jej nawet nadać imię każdemu z nich. Z radością myślała, że wędrując krętymi szlakami do odległego Damaszku czy Jerycha, ojciec woła wielbłądy po imieniu, które ona wybrała.

Wyciągnęła rękę, by pogłaskać Sheekę po karku. Nie wypadało podchodzić najpierw do innych wielbłądów, bo ich przywódczyni z pewnością wyraziłaby dezaprobatę w postaci gniewnych pomruków i jęków.

– Jak się masz? Czy noga mniej cię już boli? – zapytała łagodnie. – Czeka cię długa droga. Jesteś pewna, że... – kucnęła, by zbadać chorą nogę wielbłądzicy. Delikatnie przebiegła dłonią po wrażliwym miejscu. Pomruki zwierzęcia złagodniały. – Myślę, że tato ma rację. Jesteś...

– Ej, ty tam! – rozległ się za jej plecami donośny głos. – Wielbłądy chcą pić, a koryto puste. Przynieś więcej wody!

Julia zerknęła przez ramię na pokrytego kurzem strażnika karawany z lśniącym mieczem za skórzanym pasem. Najwidoczniej dopiero wrócił ze szlaku. Miał na sobie proste ubranie, a jego twarz była ogorzała od pustynnego słońca. Spojrzał na nią krzywo spod ciemnej, potarganej czupryny. Zauważyła, że jest młody. Zbyt młody, by mówić z aż takim

autorytetem. I chyba zbyt młody, by nosić tę krótką, ciemną brodę. Julia pozwoliła sobie na krótkie spojrzenie na jego twarz, a potem rozejrzała się na boki, by zorientować się, do kogo mówi.

– Wielbłądy – powiedział, znowu wskazując na stłoczone tuż za nim stadko. Spojrzał prosto na nią. Jego ton był pytający, gdy dodał: – Są spragnione. To była długa podróż.

Wyprostowała się powoli. A więc jego szorstkie rozkazy skierowane były do niej. Czuła, jak narasta w niej gniew. On myślał, że jest służącą. Albo jeszcze gorzej – niewolnicą. Nie widział, że ma na stopach sandały, a na rękach kosztowne bransolety? I że jej kolczyki są ze złota?

Czuła, że jej oczy również płoną gniewem. Kim był ten młody zarozumialec, by jej rozkazywać, jakby była jakąś wieśniaczką? Kto dał mu prawo wydawać rozkazy córce Jamala, najbogatszego i najważniejszego kupca na całym szlaku? Ona miałaby napić jego zwierzęta? Niedoczekanie!

Zrobiła krok do tyłu, ramiona jej zeszywniały, uniosła podbródek. Jej policzki zapłonęły gniewem.

Ale on nawet nie mrugnął.

– Nie słyszysz, co mówię? Wielbłądy potrzebują wody.

Spojrzała na niego wyzywająco.

– To radzę ci je napić zanim twój pan każe cię wychłostać.

Odeszła już kilka kroków, nim chłopak otrząsnął się ze zdziwienia na tyle, by zawołać za nią:

– On *nie jest* moim panem!

Nie mogła się oprzeć, żeby nie odwrócić się na pięcie, wskazując palcem w kierunku namiotu Jamala.

– A ja nie jestem jego niewolnicą, ani jego służącą. Jestem jego *córką*.

Zatrzymała się na tyle długo, by zobaczyć, jak zszokowany chłopak wytrzeszcza oczy. Jego usta otworzyły się nieco i obawiała się, że będzie

próbował ją przeproszać, więc odwróciła się znowu, a jej postawa jasno wyrażała irytację. Odeszła, z przyjemnością wyobrażając sobie, jak jej rozmówca musi być zaniepokojony.

*

Julia otrzepała z kurzu bawełnianą suknię, potrząsnęła gęstymi brązowymi lokami, przetkanymi złotymi pasemkami. *Mam je po tacie* – pomyślała z satysfakcją – i związała niesforne włosy z tyłu głowy w ciasny kok. Gdy uznała, że wygląda wystarczająco schludnie, by wejść do komnaty, w której miała zostać podana kolacja, z westchnieniem otworzyła drzwi swojego pokoju i prawie wpadła na Zoe. Starsza kobieta stała przed nią z tacą w dłoni; drugą miała już przygotowaną, by zapukać w drzwi. Wyglądała na tak samo zaskoczoną jak Julia.

Dziewczyna ocknęła się i otworzyła drzwi szerzej, by wpuścić służącą.

– Czy mama źle się czuje?

– Znowu ma bóle w skroniach – w tych kilku słowach dało się słyszeć zmartwienie, które ich ukochana służąca bezskutecznie starała się ukryć.

Ostatnio o wiele za często powtarzała się ta sytuacja – Helena nie jadła z Julią posiłków, bo źle się czuła.

– Postaw, proszę, tacę na stoliku obok okna.

Zoe zrobiła, o co ją poproszono, po czym skinęła lekko w stronę Julii i odwróciła się, by odejść.

– Zaczekaj, proszę – dodała Julia, nieco zawstydzona tonem swojego głosu. W jej uszach zabrzmiało to arogancko. – Proszę... – powtórzyła. – Ja... tak bardzo nie lubię jeść sama. Mogłabyś ze mną zostać?

Jeszcze jedno skinienie głowy i role pani i służącej jakby rozplynęły się w powietrzu. Zoe spojrzała na nią, niczym babcia na rodzoną wnuczkę.

– Ty też się martwisz – powiedziała łagodnie.

Julia przełknęła kęs, starając się rozluźnić ściśnięte gardło. Podeszła do okna i odsłoniła ciężką zasłonę. Może upał dnia zelżał już na tyle, by można wpuścić do środka trochę świeżego powietrza? Zmierzchało. Zarówno na podwórzu, jak i na wapiennej podłodze w pokoju kładły się wieczorne cienie. Na niebie świeciła samotna gwiazda, migocząc lekko, jakby chciała zachęcić inne, by do niej dołączyły.

– Przyniosłaś dwa kubki?

Zoe usiadła na stołku.

– Nie, tylko jeden.

– Nie szkodzi. Mam jeden przy dzbanku z wodą. Przyniosę.

Julia naląła dwie porcje herbaty, po czym zajęła miejsce na krześle po przeciwnej stronie małego stolika. Przesunęła tacę w kierunku Zoe, w nadziei, że drobna, starsza kobieta zechce coś zjeść. Co ona i jej matka by zrobiły, gdyby coś się stało Zoe? Julia utkwiała wzrok w tej kobiecie, którą znała przez całe swoje życie i zadała pytanie, które ciągle pojawiała się w jej myślach:

– Czy mama jest poważnie chora?

Wypowiadając te słowa, cały czas patrzyła w oczy Zoe, jakby chciała w ten sposób zmusić ją do powiedzenia całej prawdy.

Starsza kobieta potrząsnęła głową:

– Martwi się.

Julia spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Ale nie mogę z niej wydobyć, co jest przedmiotem jej troski – powiedziała. – Zoe, czy ona dzieli się z tobą tym, co nosi w sercu?

Starsza kobieta zawahała się.

– Helena... Twoja matka nie mówi na ten temat, ale...

– Znasz moją mamę znacznie dłużej niż ja. Uważa cię za swoją jedyną przyjaciółkę. Obie ją kochamy. Musimy porozmawiać i zrobić wszystko, by

jej pomóc.

Julia dotknęła dłoni Zoe.

Jej prośba najwyraźniej nie pozostawiła starszej kobiety obojętną. Nie patrząc dziewczynie w oczy odpowiedziała:

– To się zaczęło dawno temu. W Samarii, gdzie twoja matka się urodziła, była wesołą, beztroską dziewczynką. A potem, gdy... gdy w rodzinie... przydarzyły się nieszczęścia i zostali z długami, Helena była zmuszona zaradzić tej sytuacji.

– Zaradzić? Jak to? Co masz na myśli?

– Twój ojciec powiedział, że weźmie mały stragan na rynku i... no i Helenę... jako spłatę długu. A nawet, mówiono, że w swej hojności zaoferował rodzinie trochę pieniędzy. I wtedy Helena została sprowadzona tutaj. A ja razem z nią.

Julia poczuła, jak jej ciało sztywnieje.

– Mój ojciec?

Zoe tylko skinęła głową, ze wzrokiem wbitym w dłonie splecione na kolanach.

– I ożenił się z nią?

Zoe nie odpowiedziała.

– To znaczy, że...? – Julia nie mogła skończyć zdania. Czuła, jak serce głośno wali w jej piersi.

Gdy Zoe znów się odezwała, ton jej głosu był łagodny.

– Julia, taka jest kolej rzeczy. Nie możemy tego zmienić. Twój dziadek zmarł. Matka Heleny, twoja babka, zaakceptowała jedyne wyjście z sytuacji, by ratować rodzinę. Inaczej wszyscy zostaliby sprzedani jako niewolnicy albo musieliby zebrać na ulicy. Helena była piękną, młodą dziewczyną. Twój ojciec ją zauważył i zaoferował wyjście z tej sytuacji...

– Ale przecież on ją kocha – zaprotestowała Julia.

Zoe podniosła wzrok.

– Tak. Tak, kocha ją.

– Ale on ją... *kupił*? – Julia wciąż nie mogła tego pojąć. – Mama była po prostu zapłata za *dług*?

– W pewnym sensie... tak.

– Czyli nie jest jego żoną, tylko jego *niewolnicą* – niechcący wypowiedziała to okropne słowo zbyt ostrym tonem. Och, co za wstyd! Julia czuła, jak do jej oczu napływają gorące łzy. Nic dziwnego, że kobiety w mieście przechodziły na drugą stronę ulicy, gdy ją widziały. Nic dziwnego, że nigdy nie mieli gości.

– To dlatego jesteśmy traktowane jak trędowate...

– Nie, nie... Jestem pewna, że nasi sąsiedzi, ludzie w mieście, o niczym nie wiedzą.

– Więc ojciec ukrywa matkę w domu, żeby ją chronić przed złymi językami?

Zoe wzruszyła ramionami i zaczęła bawić się nitką wystającą z jej szala.

– To dość częste wśród mężczyzn o takiej pozycji jak Jamal. Myślę, że on się w ogóle nad tym nie zastanawia.

Te słowa sprawiły, że gniew Julii wzrósł jeszcze bardziej. Czy on naprawdę nie miał pojęcia, co to oznaczało?

– Ona jest zwykłą... – zaczęła Julia, ale nie mogła powiedzieć tego na głos.

Mimo to Zoe podniosła głowę i powiedziała szybko:

– Nie tobie oceniać. Skąd możesz wiedzieć, jak to wszystko się zaczęło? Albo jak wygląda teraz? Nie widzisz ich, jacy są szczęśliwi, kiedy są razem?

Słowa Julii były równie niecierpliwe, a przy tym gniewne.

– A gdzie on się cały czas podziewa, Zoe? Czy zawsze jeździ z towarami, tak jak twierdzi?

Zoe znów westchnęła, ale Julia widziała, że kobieta nie ma zamiaru skłamać.

– Z tego, co wiem, on ma dom i rodzinę.

– Gdzie?

– W Damaszku.

– A zatem oszukuje nas i ich. Tę rodzinę w Damaszku. Czy oni o nas wiedzą?

Zoe wyprostowała się.

– Nie mam pojęcia. I to naprawdę nie jest nasza sprawa, Julio. Nie powinniśmy zadawać żadnych pytań, ani...

– Czy mama wie? O tej drugiej rodzinie? Wie?

Zoe skinęła głową.

– Nic dziwnego, że jest chora i że się martwi. Nie ma żadnych praw, nie ma męża...

– Myślę, że ona nie martwi się o siebie.

Nagle Julia zrozumiała. Jej matka jest Samarytanką, uznawaną przez Judejczyków za wyrzutka. Nie jest ani członkiem społeczności judejskiej, ani poganką. Nawet jej helleńskie imię stygmatyzuje ją wskazując, że nie należy do hebrajskiej społeczności. A teraz okazuje się, że jest utrzymanką. Nie jest nawet żoną bogatego greckiego kupca. Stoi całkowicie na przegranej pozycji wobec innej kobiety, innego domu, innej rodziny.

A jakie prawa ma jej jedyne dziecko? Na myśl o tym Julia postawiła nietknięte jedzenie z powrotem na tacę.

– W dodatku jestem dziewczyną. Matka nie ma syna, który by się o nią zatroszczył, gdyby została odrzucona – dziewczyna wpatrywała się w Zoe. – Czemu nie miała więcej dzieci?

– Chciała. Nawet bardzo. Ale jej łono się zamknęło. Mówiła, że Jahwe uznał ją za niegodną...

Julia odepchnęła zimną już herbatę, wstała z krzesła i podeszła do okna. Na ciemniejszym niebie pojawiło się więcej gwiazd. Po lewej stronie ćwiartka księżycy robiła co w jej mocy, by dać choć trochę światła. Z podwórza słychać było tylko głosy kłócących się o coś sług. *Pewnie wartownicy dyskutują, kto o której godzinie będzie miał wartę* – pomyślała odrętwiale, a jej palce wodziły po parapecie.

Odwróciła się z powrotem do Zoe, swojej jedynej kotwicy w walącym się na głowę świecie.

– Od początku o tym wiedziałaś?

Zoe przytaknęła.

– Tak. Byłam z twoją matką od początku, jeszcze w Samarii.

Jej oczy zasnuły się smutkiem, a ręka, którą uniosła, by poprawić szal, wyraźnie się trzęsła.

– Rozpuściłaś mnie – zganiła ją łagodnie Julia. – Mam teraz poczucie, że byłam zbyt rozpieszczonym dzieckiem.

Zoe wyprostowała się, a jej oczy błysnęły w cichym proteście.

– Byłaś otoczona pięknymi i drogimi przedmiotami. Masz ojca i matkę, którzy cię kochają...

– I za nic nie brałam odpowiedzialności. Ale teraz będę. Muszę coś zrobić, żeby pomóc mamie. Na pewno jest jakiś sposób.

– Myślę, że rzeczywiście jest jeden sposób – powiedziała powoli Zoe, patrząc w swój kubek. Po chwili podniosła wzrok na Julię. – Pamiętasz, jak kilka tygodni temu udałam się do Sychar? Dostałam pozwolenie, by podróżować z karawaną twego ojca, żeby zobaczyć się z rodziną. Ale zobaczyłam się nie tylko z nimi. Spotkałam sąsiadkę, też Samarytanę. Kiedyś, w czasach, kiedy ja i twoja matka tam mieszkaliśmy, nie

nazwałabym jej przyjaciółką. Ale ona się zmieniła, jest teraz zupełnie inną osobą. Opowiedziała mi o tym. Kilka lat temu spotkała przy miejskiej studni mężczyznę, Proroka z Izraela. Ten Rabbi rozmawiał z nią, a ona wraz z wieloma innymi ludźmi stała się Jego wyznawczynią. Gdy po raz pierwszy usłyszałam jej historię, wydawała mi się trudna do uwierzenia, ale ta sąsiadka kazała mi znaleźć grupę Jego wyznawców, gdy wrócę do Tyberiady. Powiedziała, że oni opowiedzą mi więcej. Tak też zrobiłam. Ci ludzie mieszkają w wiosce nieopodal. Nazywają się wyznawcami Drogi i są wszędzie. Jest ich coraz więcej.

Głos Zoe rozbrzmiewał emocjami, jakich Julia nigdy wcześniej u niej nie słyszała.

– On nie jest tylko zwykłym prorokiem. On jest obiecany Mesjaszem. I nie przyszedł tylko do Żydów. Przyszedł do wszystkich ludzi – nawet do nas, Samarytan. Przyszedł, żeby nam przynieść zbawienie i wolność.

Julia była bardziej zaciekawiona niż przekonana, lecz spytała:

– A gdzie jest ten Prorok?

Zoe zmarszczyła brwi.

– No... On... został ukrzyżowany.

– Co ty mówisz? Czyli nie żyje?

– I tu dochodzimy do części historii, w którą na początku trudno mi było uwierzyć, ale to prawda – tłumaczyła szybko Zoe. – On powstał z grobu. Ludzie Go widzieli. Najpierw kilkoro, a potem więcej. Rozmawiał i jadł z nimi. Mówił im, co mają robić i dawał obietnice dotyczące przyszłości. Wiedzą, że to, co powiedział...

– Nie rozumiem – Julia potrząsnęła głową, słysząc tę niedorzeczną opowieść.

Zoe wstała, a jej oczy lśniły jakimś niezwykłym blaskiem. Wyciągnęła spracowaną dłoń i położyła ją na ramieniu dziewczyny.

– Chodź ze mną. Spotykamy się znów dziś wieczorem. Niech jeden z przywódców wyjaśni ci rzeczy, których ja wyjaśnić nie potrafię. Chodź ze mną, proszę.

To czysty nonsens. Martwy powraca do życia! Ale... gdzież indziej mogłaby znaleźć obietnicę pomocy? Co jej szkodzi posłuchać ich opowieści o tym Człowieku, kimkolwiek On był?

W końcu Julia skinęła głową na znak, że się zgadza i ujrzała, jak oczy starej służącej nagle się rozświeciły.



ROZDZIAŁ DRUGI

Tyberiada, sześć miesięcy później.

– Albanie! – głos Jamala, syryjskiego kupca i właściciela karawany oraz ziemi, na której znajdował się rynek przy wjeździe do Tyberiady, niósł się daleko – zwłaszcza gdy ten był czymś zdenerwowany. – Potrzebuję zamienić z tobą słowo!

Alban zostawił Jakuba i ruszył w kierunku otwartego namiotu. Nad obozowiskiem unosiły się chmury pyłu, a wielbłądy parskwały, tupały i ryczały. Niektóre niecierpliwie oczekiwały, by rozpocząć wędrówkę, inne narzekały na ogromne ciężary, które ktoś właśnie przymocowywał na ich grzbietach.

Namiot Jamala zdecydowanie wyróżniał się wśród innych. Jego rogi utrzymywały drewniane pale, bogato rzeźbione, z namalowanymi spiralami i innymi egzotycznymi wzorami. Jeszcze nie podniósł się poranny wiatr,

więc wszystkie cztery strony namiotu były podniesione. Na podłodze zasłanej warstwami tkanych dywanów stało krzesło przypominające tron, z połączanymi podłokietnikami. Na krześle tym siedział Jamal, a po jego lewej stronie, na miedzianym stoliku znajdowało się pióro, atrament, pergamin i herbata. Owo przenośne miejsce zamieszkania usytuowane było na niewielkim wzniesieniu tuż za obozowiskiem, dając Jamalowi widok z góry na całą karawanę.

Alban wiedział, że wprawne oko mężczyzny zauważy wszystko. Gdy zbliżał się do namiotu, główny służący podszedł do niego z misą i ręcznikiem. Alban powinien umyć ręce, twarz i stopy. Lecz nie – Jamal niecierpliwie machnął służącemu na znak, by się oddalił.

– Nie będziemy zatrzymywać naszego głównego strażnika ani chwili dłużej niż to konieczne.

Alban, jak przystało, czekał na skraju namiotu. Jego zakurzone sandały nie dotykały dywanu.

– Panie?

– To zła wróżba, żeby zaczynać podróż, kiedy ludzie się kłócą.

– Wśród wyznawców Drogi – powiedział cicho Alban – nie istnieje coś takiego jak wróżby.

Jamal skwitował to machnięciem ręki.

– Ja nie jestem wyznawcą żadnego człowieka ani bóstwa. I to dobrze dla nas wszystkich. To ja tu rządę, Albanie – ja! I wynająłem ciebie, byłego rzymskiego setnika, abyś strzegł mojej karawany, a nie żebyś siał niezgodę wśród reszty moich strażników.

– Słyszę, panie, i jestem posłuszny.

– Karawana rusza o świcie. Chcę, by uwaga mojego głównego strażnika była skupiona na ochronie moich towarów, a nie na jego młodym

pomocniku. Może powinienem go wymienić na kogoś innego? Tego, jak mu tam... Jakuba?

– Jest moją prawą ręką – zapewnił go szybko Alban. – I jednym z twoich najlepszych strażników.

– Słyszałem o nim same dobre rzeczy – zgodził się Jamal. – Ale czemu ty bladym świtem już wszczynasz kłótnie?

Alban wiedział, że za charakterystyczną wesołością kupca w rzeczywistości kryje się niebezpieczny gniew. Wyczuwał siłę czającą się w tym mężczyźnie, który na szczęście właśnie nieco łagodniał.

– Czasem Jakub jest nieco trudny i uparty.

– Za to ty w jego wieku z pewnością byłeś aniołkiem o złotych skrzydełkach i uśmiechu, który rozmiękczał serca starszyzny w twojej wiosce? – Jamal upił łyk ze złotego kielicha. Gdy tylko postawił kielich z powrotem na stole, stojący za nim sługa na nowo go napełnił. Z nalewanego napoju uniosła się para, a powietrze nagle zapachniało miętą. – Powiedz, bo zapomniałem: Jakub to twój siostrzeniec?

– Mój podopieczny. Uratowałem go od handlarzy niewolników, gdy był jeszcze chłopcem. Kilka lat temu zostałem jego prawnym opiekunem. I jego siostry też.

– To co was obu łączy, jest tak silne jak więzy krwi – zauważył Jamal. Jego gniew zdawał się już wyparować niczym ciepło napoju z kielicha. – Co z pewnością wyjaśnia fakt, dlaczego przed chwilą darliście ze sobą koty jak ojciec z synem.

Alban westchnął. Jego żona, Lea, też go z tego powodu upominała. I to nie raz.

– Przepraszam, jeśli zakłóciliśmy ci poranny spokój, panie.

– Nie tylko mnie! Mistrz karawany już i tak niepokoi się z powodu zagrożenia ze strony bandytów i zelotów z samarytańskich równin,

czyhających na moje cenne towary!

Jamal wrócił z ostatniej podróży z jakimś problemem zdrowotnym. Najlepszy lekarz w Tyberiadzie nakłonił go, by przynajmniej na jakiś czas zaprzestał podróży. Jamal niechętnie się zgodził i nie była to łatwa decyzja. Alban wiedział, że kupca drażniła sama myśl o tym, że jego karawany wyjadą z Tyberiady bez niego.

– Będę strzegł twojej karawany i twego towaru jak własnego życia – powiedział Alban.

– Nie kwestionuję twej lojalności, kapitanie straży. – Choć Jamal powrócił do luźnego tonu, jego spojrzenie pozostawało twarde jak stal. – A teraz rozkazuję ci, idź i pojednaj się z tym twoim Jakubem.

Alban uklonił się.

– Panie.

Wrócił do miejsca, gdzie Jakub pomagał załadować osły niosące zapasy karawany na drogę. Jakub obejrzał się przez ramię, a widząc zbliżającego się Albana tak mocno pociągnął jeden z pasków, że osioł zarżał.

Alban rozpostarł szeroko ramiona.

– Pojednajmy się, proszę. Niech będzie między nami pokój.

– Przychodzisz tylko dlatego, że Jamal ci kazał – burknął, okrywając płachtą zapasy, które miały im starczyć na najbliższe cztery dni.

– Rozkaz był jego. Ale pokój oferuję ja.

Alban widział, że Jakub pozostaje zacięty, lecz utrzymał nerwy na wodzy. Wreszcie chłopak, nie patrząc mu w oczy, krótko skinął głową, po czym szybko wrócił do pracy.

Przez chwilę Alban obserwował jeszcze swego podopiecznego. Jakub wyraźnie rósł w siłę i męźniał. Czasem Alban wciąż widział w nim młodego chłopaka, lecz teraz, gdy spojrział na niego z innej perspektywy, zauważył, że barki Jakuba są już szersze niż jego własne, a ramiona i nogi bardzo

muskularne. Jakub miał prawie dwadzieścia lat i był już o pół głowy wyższy od Albana. Był jeszcze na tyle szczupły, że Alban wciąż przeważał nad nim ciężarem, lecz Jakub miał dużo siły i młodzieńczego wigoru.

Alban poszedł w stronę, gdzie przywiązany był jego koń, rozmyślając nad tym, jak ostatnio Jakub ograniczał swoje ruchy, gdy wspólnie trenowali. Widać było, że nie chciał okazać się lepszym od swego pana i mentora. Alban dostrzegał w swym podopiecznym chęć do nauki. Wyczuwał, że chłopak czerpie przyjemność ze swoich rosnących ciągle umiejętności w posługiwaniu się mieczem, kijem, włócznią i łukiem. Lecz jednocześnie Alban czuł, że Jakub traktuje to wszystko jako część fascynującej przygody, podczas gdy on dobrze wiedział, jak bardzo niebezpieczne stały się w ostatnim czasie drogi Judei i Samarii. Był to jeden z powodów, dla których Alban chciał jak najszybciej odwieść Jakuba od wykonywania zawodu żołnierza. Bał się, że Jakub odrzuci szansę, którą mu oferuje. Tłumaczenia Albana jedynie pogarszały sytuację, groziły wręcz zniszczeniem ich wzajemnej relacji.

Słyszając zawodzący głos mistrza karawany Alban dosiadł konia i przenikliwym gwizdnięciem dał znak pozostałym strażnikom. Wraz z Jakubem ukłonili się Jamalowi, gdy mijali jego namiot, po czym rozpoczęli nowy dzień i nową podróż.

Alban wiedział w sercu, że tego dnia nie ma co liczyć na pokojowe stosunki z Jakubem.

*

Ich karawana schodziła w dół z przedmieść Tyberiady w kierunku równin na południowym zachodzie. Dopiero rozpoczął się listopad, lecz wiatr niósł ze sobą chłód, bardziej przenikliwy niż w lutym. Powietrze było ciężkie, zapowiadało się na deszcz. Wielbłądy parskały i nie chciały iść, a krzyki

poganiaczy tłumiał narastający wiatr. Bandyci wykorzystywali taki wiatr i deszcz, by zniemacka zaatakować. Alban dał ręką sygnał, nakazując dziewięciu zbrojnym mężczyznom, by zaczęli krążyć wokół karawany. Oddziałek Jakuba pojechał w jedną stronę, a ludzie Albana w drugą. W ten sposób otaczali karawanę ciasną pętlą, a ich ścieżki raz po raz się przeplatały. Alban nauczył się tego sposobu, służąc w rzymskich oddziałach.

Późnym popołudniem karawana wciąż podążała bezpiecznie naprzód, a wiatr ucichł, lecz Alban i jego ludzie byli wyczerpani. Rozbili obóz tuż przy rzymskim garnizonie stacjonującym u wejścia na równinę Megiddo. Alban dał ludziom rozkaz, by rozsiodłali konie i dali im dodatkową porcję paszy. Sam rozpoczął pieszo patrolowanie, choć niczego bardziej nie pragnął, niż zjeść coś i odpocząć. Bolały go wszystkie kości. Tęsknił za Leą i ich ślicznym synkiem, których zostawił bezpiecznych, w domu na obrzeżach Kafarnaum. Westchnął, zastanawiając się, czy nie jest już za stary na taką pracę.

Jakub podszedł do niego, niosąc w bukłaku chłodną herbatę i posiłek – suszone mięso z cebulą, zawinięte w placek chlebowy. Chłopak szedł razem z nim, podczas gdy Alban jadł i pił. Gdy skończył się posilać, wytarł usta dłonią i powtórzył słowa, które wypowiedział rano:

– Chciałbym, Jakubie, aby między nami był pokój.

Chłopak najwyraźniej tego oczekiwał, bo odpowiedział od razu:

– To w takim razie nie wspominaj już więcej o swoim pomysle.

– Jakubie, ale to jest dobry plan.

– Nie, nie dla mnie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Alban starał się, by jego głos brzmiał spokojnie, choć wymagało to ogromnego wysiłku i samokontroli.

– Zastanawiam się, czy to nie jest Boża wola dla ciebie, przyjacielu.

Alban dostrzegł, że Jakub zwraca się ku niemu. Nie powiedział nic więcej, tylko nadal szedł obok chłopaka.

– Rozmawiam z Bogiem. Codziennie – rzekł w końcu Jakub. – I *mnie* nic o tym nie powiedział.

Alban miał właśnie odpowiedzieć, że jest tak być może dlatego, iż Jakub jest uparty i zamiast *zapytać* Boga, tylko chce *oznajmić* Mu swoją wolę. Gdy jednak obejrzał się na Jakuba przez ramię, dostrzegł, że rysy Jakuba są napięte od ledwie powstrzymanego gniewu. Chłopak skulił ramiona, niczym wojownik szykujący się do natarcia. W tym momencie wyglądał na dziesięć lat starszego niż był w rzeczywistości.

Alban wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze. Chłopak, którego kochał i o którego troszczył się jak o własnego syna, teraz był mężczyzną i sam decydował o sobie, na swoją korzyść lub zgubę.

– Wedle tradycji twego ludu stałeś się mężczyzną, gdy skończyłeś trzynaście lat – rzekł.

– A teraz powiesz mi, że mam słuchać mojej starszyny, tak? – parsknął Jakub.

– Nie, Jakubie. Przyznaję, że chciałbym tak powiedzieć, ale tego nie zrobię.

Alban wskazał na rzymską drogę, którą właśnie podążali, biegnącą prosto, znikającą za najbliższym nisko położonym wzgórzem.

– Za tymi pierwszymi wzgórzami leży dolina Tyberiady, którą widać z zamku Heroda. Potem jest Jezioro Galilejskie, a potem teren Partów.

– Ja to wszystko wiem, przerabiałeś ze mną te lekcje całymi latami.

– Wysłuchaj mnie. Czy proszę o zbyt wiele? – Alban położył dłonie na ramionach Jakuba i odwrócił go w kierunku południowego zachodu. – Tam leży Samaria, rojąca się od bandytów i zelotów. Wszyscy czają się na karawany takie jak nasza, czekają na dobrą okazję do ataku. Za nimi czyhają

książęta z arabskiej pustyni, których wodzowie niczego bardziej nie pragną jak zagarnąć bogatą karawanę, a potem twierdzić, że zaginęła gdzieś na tym pustkowiu. Na północy mamy Liban, gdzie dumni niegdyś Fenicjanie zaczęli żyć z piractwa i plądrowania.

Alban widział, jak Jakub mruży oczy. Patrzył w dal, jak gdyby szukał tam czegoś, czego nie był w stanie dostrzec. Alban ucieszył się, że przynajmniej teraz chłopak słucha go uważnie.

– Próbuję ci powiedzieć, że jeśli zostaniesz przy tym zajęciu, które teraz wykonujemy, prędzej czy później będziesz zmuszony zabić człowieka. Czy jesteś w stanie żyć z taką plamą na swojej duszy?

– Ty jakoś żyjesz – stwierdził Jakub nie patrząc na niego.

– Jakubie, ja nie znam innego życia. Od dzieciństwa uczyłem się władać mieczem, włócznią i łukiem. Walczę, żeby się bronić, żeby zranić przeciwnika. Ale już więcej nie będę zabijać – zamilkł na chwilę i patrzył na Jakuba, aż ten odwrócił głowę w jego kierunku. – Lecz, Jakubie, nie mogę wytrenować ciebie w taki sam sposób i mieć nadzieję, że pozostaniesz żywy.

Jakub popatrzył na niego z taką intensywnością, że Albanowi trudno było wytrzymać spojrzenie młodzieńca.

– Do tej pory robiłem to samo, co ty.

– Być może mógłbyś też to kontynuować. Lecz czai się tu wielkie ryzyko, zwłaszcza dla kogoś, kto jeszcze nie przeszedł przez ogień walki i nie wyszedł z tego ranny, ale żywy.

Jakub powoli pokiwał głową.

– Rozumiem.

Alban poczuł przyływ nadziei. Powtórzył słowa, od których rozpoczęła się ich ostatnia sprzeczka.

– W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy trzy z moich karawan zostały zaatakowane przez bandytów. Wszystkie trzy uratowaliśmy od grabieży.

Jamal zaoferował mi w nagrodę miejsce handlowe w Samarii.

– Tak, wiem – powiedział Jakub lekko zniecierpliwionym tonem. – Ale nie myślisz o tym, by samemu nim zarządzać. Dlaczego uważasz, że ja...

– Jamal wyraźnie dał mi do zrozumienia, żebym znalazł kogoś innego, kto będzie zarządzał straganem. Chce, żebym ja dalej jeździł z karawanami.

Był to ruch godny Jamala, najsprytniejszego kupca, jakiego Alban znał. Jamal opowiedział mu, jak kiedyś przejął jeden stragan po wdowie. Jej nieboszczyk mąż, przyjaciel Jamala, nie tylko zostawił ją samą, lecz również z ogromnym długiem do spłacenia. Jamal nie tylko zgodził się na spłatę w późniejszym terminie, nie tylko oczyścił dom kobiety z wszelkich długów, lecz również zostawił jej wystarczająco dużo srebra, by mogła się utrzymać przez całe lata.

Jamal wysyłał wielu kolejnych podwładnych, by za niego kierowali interesem. Był jednak przekonany, że wszyscy ci słudzy go okradali. Alban myślał, że Jamal ma pewnie rację. Sklepek stał na skrzyżowaniu czterech najbardziej ruchliwych dróg w Judei, a od lat nie przynosił dochodów. Dlatego też kupiec sprezentował go Albanowi jako lojalnemu kapitanowi straży, który zasłużył na taką nagrodę za dobrze wykonaną pracę. Obaj przy tym wiedzieli, że Jamala nic to nie kosztuje, natomiast stwarza szansę uwolnienia się od kłopotu.

Alban zamilkł na chwilę, gdy zdał sobie sprawę, że wyraża swe myśli na głos. Jakub nic nie mówił, siedł tylko obok, skupiając uwagę na równinach rozciągających się poza granicami ich obozu. Jednak od czasu do czasu zerkał na Albana. Wykazywał się cierpliwością myśliwego.

– Wybacz. Chyba jestem bardziej zmęczony niż mi się wydawało – powiedział w końcu Alban.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Pali mnie w piersi – przyznał Alban.

– Idź odpocząć. Ja mogę wziąć pierwszą wartę.

– Wiem, że możesz – Alban odkaszlnął i schylił się czując, jak z jego ciała uchodzi powietrze i cała energia. Dłoń Jakuba wślizgnęła się pod jego ramię i młody mężczyzna łatwo go podtrzymał. Alban powoli się wyprostował i jeszcze raz przypomniał sobie, że jego towarzysz nie jest już chłopcem.

– Prześpij spokojnie całą noc – powiedział Jakub. – Ja zajmę się wyznaczeniem kolejnych wart.

Alban już się odwracał, by odejść, lecz zatrzymał się i zapytał jeszcze raz:

– Jesteś pewien, że nie chcesz pracować na tym straganie w Samarii?

– Niewiele jest rzeczy – odparł Jakub – których bym pragnął jeszcze mniej niż tego.

– To powiedz mi proszę, *co* ty byś tak naprawdę chciał?

Jakub zwrócił twarz w kierunku zachodzącego słońca.

– Sam chciałbym to wiedzieć.



ROZDZIAŁ TRZECI

Jerozolima

Abigail szła szybkim krokiem boczną alejką, jedną ręką przyciskając pakunek do podbródka, a drugą przytrzymując przednią część szaty. Przedtem długo rozważała, czy wziąć ze sobą koszyk na warzywa, gdyby przyszło jej odpowiadać na pytania, co robi sama na ulicy. Jak się okazało, niepotrzebnie. Wiatr hulał straszliwie, wyjąc i wdzierając się w pustą przestrzeń. Niebo pociemniało, niczym w godzinę po zachodzie słońca, choć w rzeczywistości było to wczesne popołudnie. Obok niej przemknęło kilkoro innych ludzi, osłaniając głowy od wichury, ale nikt jej nie zaczepił.

Okrzyżyła południowo-wschodni plac miasta, ten, na którym stała synagoga Libertynów. Choć od tamtego dnia minęło już pięć lat, Abigail wciąż unikała miejsca, w którym tłum porwał jej ukochanego Szczepana, by poprowadzić go przed Sanhedryn. A potem pojawił się dodatkowy powód,

by trzymać się bocznych uliczek: plac ten stał się miejscem spotkań tych, którzy prześladowali wyznawców Drogi.

Zbliżając się do Bramy Esseńczyków, Abigail zauważyła cztery kobiety niosące dzbany z oliwą i kosze zakryte wilgotnymi szmatkami, chroniącymi ich zawartość przed kurzem. Domyśliła się, że one też idą na miejsce postoju karawan za miastem i przyspieszyła kroku, by do nich dołączyć. Dwóch rzymskich strażników, którzy skulili się przy wewnętrznym murze dla ochrony przed wiatrem, ledwo spojrzęło na przechodzące kobiety.

Na równinie poza murami miasta niczym nieskrępowany wiatr prawie uniemożliwiał posuwanie się naprzód. Abigail, starając się przekrzyczeć huk wichru, spytała jedną z kobiet, gdzie może znaleźć karawanę Jamala. Nagle usłyszała wołanie i zobaczyła, że ktoś wyłania się ze szczeliny w zewnętrznym murze.

– Cześć, siostrze! – krzyknął i podbiegł do niej.

– Jakub! – wciąż ją to zadziwiało, że musi podnosić ręce do góry, by uściskać brata. Choć poprzednio widziała go zaledwie cztery miesiące temu, wydało jej się, że znów urósł o szerokość dłoni. Gdy go przytuliła, barki Jakuba były twarde jak kamienne mury.

– Kiedy przyjechaliście?

– Trzy wieczory temu.

– To dlaczego...? – jednak Abigail powstrzymała się od dokończenia pytania. Brat prowadził ją do pobliskiego namiotu o dziwnej konstrukcji, z podwójnymi ścianami i bardziej kwadratowego niż znane jej schronienia Judejczyków. Zewnętrzny dach przypięty był pod kątem, niczym żagiel, podczas gdy ścianę wewnętrzną stanowił gruby dywan pasujący do tego, który mieli pod stopami. Podwójne ściany były tak solidne, że gdy opadła za nimi wejściowa zasłona, lampy oliwne w namiocie paliły się bez problemu,

ledwie migocąc. Teraz, gdy wycie wiatru zostało stłumione, Abigail nie potrzebowała już podnosić głosu.

– Tak się cieszę, bracie, że cię widzę, ale dlaczego nie przyszedłeś się ze mną zobaczyć, tylko wysłałeś wiadomość?

– Jesteśmy obserwowani.

Abigail patrzyła na tego tajemniczego obcego człowieka, który tylko przypominał jej tego brata, którego znała w przeszłości. Za każdym razem, kiedy przybywał do Jerozolimy, widziała w nim tylko odbłask kogoś, kogo kiedyś dobrze znała. A teraz znów zauważyła, że od ich ostatniego spotkania w Jakubie zaszły kolejne zmiany. Coś wstrząsnęło jego światem i chłopak, którego znała i kochała stawał się mężczyzną.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Czają się w okolicy postojów karawan. Są uzbrojeni w kije. Gdy strażnicy pytają, czego tu szukają, odpowiadają zaczepkami, jakby byli rzymskimi żołnierzami albo strażnikami świątynnymi. Tyle tylko, że ci mężczyźni są zwykłymi Judejczykami, nie noszą żadnych oficjalnych szat.

– Wiem, o kim mówisz – odparła cicho Abigail i poczuła, jak przez jej ciało przebiega dreszcz. – Spotykają się w synagodze Libertynów.

– Tam gdzie kiedyś nauczał Szczepan? – Jakub potrząsnął głową. – *Konieczn*ie musisz opuścić to miasto, siostr

– Już o tym rozmawialiśmy – westchnęła Abigail. – Wielokrotnie. Tu jest moje miejsce, Jakubie.

Spodziewała się, że Jakub będzie się z nią kłócił. Tak jak zeszłym razem, gdy przyjechał do miasta. I wcześniej też. Prawdę mówiąc, zagrożenie dla wierzących było wcześniej na tyle mało zauważalne, że przez większość czasu mogła je po prostu ignorować. Ale wiedziała, że Jakub również wyczuwa narastające napięcie i ryzyko. Abigail przygotowywała się do kolejnej dyskusji na ten temat. Nie miała zamiaru opuszczać miasta,

w którym poznała, pokochała, poślubiła i straciła swojego męża, a potem urodziła jego dziecko.

Jednak Jakub powiedział tylko:

– Wybacz mi, Abigail. Nawet cię nie zapytałem, czy chciałabyś coś do jedzenia lub picia.

Rezerwa w głosie i postawie Jakuba sprawiła, że Abigail nie wiedziała, jak zareagować. W końcu powiedziała:

– Chętnie napiję się herbaty, jeśli masz.

– Oczywiście.

Wszedł za zasłonę przedzielającą namiot na pół. Abigail wydawało się, że dostrzegła tam w półmroku jeszcze jedną postać, lecz nie była pewna. Jakub szybko wrócił i wręczył jej kubek.

– Może chcesz daktyli?

– Dziękuję, bracie, nie jestem głodna.

– Czyli masz co jeść na co dzień?

– O, tak. Dobrze się tu o nas troszczą.

– Zacząłem się martwić. Jeden z moich ludzi był najpierw w podwórzu na starym mieście i zastał je opuszczone. Jedyne przypadkiem znalazłem sklepikarza, który jest wierzący i wiedział, dokąd się przenieśliście – Jakub przekrzywił głowę. – Czemu się uśmiechasz?

– Jeden z twoich ludzi – powtórzyła Abigail i zaśmiała się cicho. – Ależ wyrosłeś.

Jakub uśmiechnął się krótko i przez chwilę znów widać w nim było małego chłopca. Zaraz jednak spoważniał.

– Jest coś, co musisz... zobaczyć.

Jego oczy jeszcze bardziej pociemniały.

– Co się stało, Jakubie? Czy chodzi o Albana?

Jakub odstłonił zasłonę oddzielającą drugą część namiotu.

– Chodź.

*

Jakub był świadomy, że jego zachowanie niepokoi Abigail. Pragnął zrobić coś, co zmniejszyłoby dystans między nimi, lecz tak naprawdę czuł się udręczony kłopotami, które go przerastały. Gdy Abigail zobaczyła leżącą na posłaniu postać, cofnęła się.

– Nie bój się, siostró – rzekł Jakub. – Tak, zgadłaś, to jest Alban.

Jej twarz wykrzywiła się ze strachu, a ręka zakryła usta.

Jakub przybliżył lampę oliwną do chorego. Twarz Albana była mokra od potu. Miał gorączkę i zapadnięte policzki. Jego na wpół przymknięte oczy lśniły w świetle lampy, a usta wykrzywiły się lekko w uśmiechu.

– Witaj, moja droga – zachrypiał cicho.

Abigail klękła obok jego łoża.

– Co ci się stało, Albanie?

– Zapewniam cię, że to wygląda znacznie gorzej niż... – reszty zdania nie dał mu dokończyć kaszel, który wstrząsnął całym jego ciałem.

Jakub pomógł mu się unieść, podtrzymał go i podsunął mu do ust kubek z chłodną herbatą.

– Herbata jest posłodzona miodem – powiedział cicho do Abigail. – To pomaga na gardło.

Alban napił się, skinął głową i pozwolił, by Jakub położył mu głowę z powrotem na poduszce.

– Już strasznie mi się przejadł ten miód – wymruczał.

– Jak długo jesteś w takim stanie? – jej głos był tak samo przerażony jak wyraz jej twarzy.

Jakub odpowiedział za swego opiekuna:

– Czuł się nie najlepiej, gdy wyruszyliśmy z Tyberiady. Z każdym kolejnym dniem podróży jego stan się pogarszał. Razem to już dwanaście dni.

– Dajesz radę jeść? – spytała Albana.

Jakub znów odpowiedział za niego.

– Bardzo niewiele.

– Bez obaw, Jakub robi co może, żeby mnie podtuczyć.

– Mamy wyruszyć jutro – powiedział Jakub do Abigail. – Mistrz karawany odwlekał wyjazd mając nadzieję, że Alban wyzdrowieje. Ale wieziemy świeże zapasy do Cezarei. Nie możemy dłużej zwlekać.

– Nie możesz podróżować w takim stanie – powiedziała szybko Abigail, zerkając znów na wykrzywioną bólem twarz Albana.

Ten wydawał się gotów do dyskusowania z nią, lecz Jakub położył mu dłoń na ramieniu. To nieme upomnienie wystarczyło.

– Czy nie będę zbyt ciężarem dla ciebie i innych wierzących? – spytał Alban.

– Jak możesz w ogóle tak myśleć?

– Mamy bardzo trudne czasy i...

– Nie rozumiem, dlaczego tak długo czekaliście, by poprosić nas o pomoc.

– On chciał jechać dalej z karawaną – wyjaśnił Jakub.

Abigail przejechała dłonią wzdłuż pośłania Albana.

– Wykluczone.

– I obaj baliśmy się tych, którzy nas obserwują – dokończył Jakub.

Zauważył zatroskaną minę Abigail. W środku czuł to samo. Nazwane po imieniu zagrożenie nabrało siły, stało się bardziej rzeczywiste.

– A gdzie oni są teraz? – zapytała Abigail.

– Po południu, gdy wiatr się wzmógł, poszli sobie – odrzekł Jakub.

– W takim razie musimy się pospieszyć – Abigail zwróciła się do Jakuba, patrząc cały czas na chorego. – Są tu jacyś ludzie, którzy pomogą nam go przenieść?

– To zbyt niebezpieczne – Jakub spędził wiele godzin obmyślając różne rozwiązania. – Musimy tak go przenieść, żeby nikt nie wiedział, kto opuścił obóz.

– Ale sam przecież powiedziałeś, że ci, co was obserwowali, już sobie poszli.

– Tak, ale nie wiemy, czy nie mają szpiegów w obozie.

Jakub nie chciał martwić siostry jeszcze bardziej, ale musiała zrozumieć, jak wielkie jest ryzyko.

– Oni nie obserwowali całego obozu. Chcieli znaleźć konkretną...

– Czy oni... oni przyszli po ciebie, Jakubie? – odwróciła się szybko do niego mówiąc te słowa.

– Myślę, że nie byli pewni, kogo szukają. Gdyby chodziło im o Albana lub o mnie, to by przyszli i spytali po imieniu.

– I dlatego nie powinniśmy cię w to mieszać, Abigail – powiedział Alban. – Nie powinienem być proponować...

– Ja *już jestem* w to zamieszana, Albanie – machnęła rękami, dodając: – Jestem w to *zamieszana* od dnia, kiedy uratowałeś mojego brata.

Alban nic nie odpowiedział. Jego oczy błyszczały od gorączki, a oddech był chrapliwy.

– Mam plan – powiedział Jakub.

*

Gdy Jakub wynurzył się z namiotu, niebo miało kolor grafitowy. Ponurą szarość ożywiały odblaski popołudniowego światła. Jakub przeszedł do najbliższej zagrody, gdzie tłoczyło się sześć osłów, odwróconych tyłem do

wiatru. Jakub przepchnął się pomiędzy nimi i pociągnął liny, którymi uwiązane były dwa najmłodsze. Jeden z nich ryknął w ramach protestu, po czym posłusznie poszedł z Jakubem.

Młody mężczyzna przyniósł koce i siodła. Stojący po jego prawej stronie osioł odwrócił się, by śledzić jego ruchy. Oczy zwierzęcia, otoczone białymi kręgami, kryły w sobie lekkie zdziwienie. Jego boki drżały z chłodu, lecz osioł nie stawiał oporu.

Gdy Jakub wyciągnął zza paska dwie szmatki i przykrył nimi oczy zwierzęcia, jakiś głos powiedział:

– A więc wyjeżdżasz.

Jakub odwrócił się i zobaczył Latifa, judejskiego poganiacza z przedmieść Damaszku. Miał ciche, spokojne usposobienie i obchodził się łagodnie z wielbłędami. On też był wyznawcą Drogi. Jakub przekonał się o tym w często praktykowany w tych czasach sposób. Wystarczyło jedno ciche słowo, wypowiedziane o świcie przez Latifa, skierowane tylko do Jakuba, które ktoś niewtajemniczony łatwo mógłby zignorować. A w kolejnych dniach obaj uważnie się obserwowali i zaprzyjaźniali się.

– Albanowi się nie polepsza – odparł Jakub. – Muszę go zabrać w bezpieczne miejsce.

Nawet w grubym ubraniu Latif był człowiekiem niepozornej budowy, choć jego smukłe ciało kryło w sobie zadziwiającą siłę.

– Bezpieczne? Nie użyłbym takiego słowa jeśli chodzi o naszych ludzi, a już zwłaszcza nie w Jerozolimie.

– Tak czy inaczej, lepiej mu będzie tutaj niż gdyby miał z nami jechać do Cezarei.

Latif sięgnął ręką do osła i pogłaskał go po nosie. Zwierzę zarżało cicho, czując znajomy zapach.

– Nie spiesz się z powrotem. Zostań z nimi przez noc. Chodzenie po ulicach po zmierzchu jest niebezpieczne. A ja wezmę za ciebie wartę.

Jakub skinął głową.

– Dobrze mi zrobi spędzenie kilku godzin z przyjaciółmi.

– Powiedz Albanowi, że będę się modlił, by szybko powrócił do zdrowia – Latif pogładził osła między uszami. – Mogę ci coś powiedzieć w zaufaniu?

– Oczywiście.

– To są niepewne czasy. Potrzeba mi... przyjaciela.

Jakub zauważył, jak mężczyzna rzuca nerwowe spojrzenia we wszystkich kierunkach. Dłoń, która przed chwilą głaskała zwierzę, teraz drżała.

Latif mówił dalej, a jego głos zniżył się niemal do szeptu.

– Służę naszej społeczności w bardzo poufny sposób.

– Nie rozumiem.

– Jestem kurierem. Ryzykujemy życiem, by wierzący z różnych miejsc mieli ze sobą kontakt. Im dalej od Jerozolimy się rozprzestrzeniaamy, tym bardziej niezbędna staje się nasza praca.

Jakub przysunął się do Latifa choć nikogo nie było w pobliżu. Właściwie to całe miejsce postoju karawan wydawało się opustoszałe. Namioty w obozie pochylały się pod dyktando wiatru w jedną stronę jak zwijane żagle. Liny wydawały przeciągły odgłos podobny do jęku. Wielbłądy, trwające w pozycji klęczącej, spokojnie przeżuwały pokarm. Nawet okolice studni, przy których zawsze krzątało się dużo osób, były teraz puste.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Jakub.

– Obawiam się, że zauszniccy świątynni chcą mnie dopaść. Bo z jakiego innego powodu by się tu czaili i obserwowali nas jak sępy?

– Powodów może być mnóstwo.

Mimo chłodu na czole Latifa pojawiły się kropelki potu. Jakub poczuł, że ten człowiek bardzo się boi.

– Wiedzą, że jest w tym obozie kurier i mają nadzieję, że mnie wykurzą. Czuję to w trzewiach.

Jakub wątpił, by przypuszczenia Latifa były zgodne z prawdą. Ale było dla niego jasne, że cokolwiek by powiedział, nie zmniejszyłoby to jego niepokoju.

– Co chcesz, żebyś zrobił?

Oczy Latifa jeszcze raz przebiegły bezludną okolicę, po czym mężczyzna wsunął dłoń w poły ubrania. Wyciągnął skórzaną wąską torebkę.

– Weź. Miałem to dać komuś innemu, kto też jedzie do Tyberiady, ale jestem obserwowany i nie mogę z nim nawiązać kontaktu. To nie może wpaść w ich ręce. Dobrze to ukryj.

– Ale co ja mam z tym zrobić? – w pierwszej chwili Jakub miał ochotę się cofnąć, lecz zmusił się do pozostania w miejscu i wysłuchania przyjaciela.

– Jeśli się mylę i wyjedziemy stąd bezpiecznie, możesz mi to oddać z powrotem. I zapomnieć o całej tej rozmowie. Ale ja się nie mylę.

Wepchnął sakiewkę w ręce Jakuba.

– Jeśli mnie zabiorą, wróc do Tyberiady najszybciej jak się da.

Latif szybko i dokładnie wyjaśnił, jakie kroki będzie musiał podjąć Jakub. Od czasu do czasu przerywał na chwilę i kazał Jakubowi powtórzyć instrukcje. Wynikało z nich, że po przybyciu do obozu w Tyberiadzie ktoś podejdzie do Jakuba w zagrodzie dla wielbłądów. Jakub winien mieć na głowie czerwoną przepaskę, a w ręku koszyk z ziołami potrzebnymi do leczenia zwierząt. Ma wypowiedzieć zdanie, które Latif kazał mu powtórzyć kilka razy, aż upewnił się, że Jakub je dobrze zapamiętał. Gdy

wypowie te słowa, druga osoba odpowie, rysując na piasku znak ryby. Wtedy Jakub też ma narysować znak ryby. I dopiero wtedy ma dać tej osobie sakiewkę.

Latif zakończył jeszcze jednym ostrzeżeniem.

– Musi być dokładnie tak jak ci powiedziałem. I bądź ostrożny. Oczy szpiegów są wszędzie. A teraz powiedz, zapamiętałeś wszystko krok po kroku?

– Tak, tak sędzę, ale...

– W tych sprawach nie możesz się wahać, Jakubie.

– Oczywiście – Jakub próbował przełknąć ślinę.

– A jeśli mnie zabiorą, powierzam twojej opiece moje trzy wielbłądy.

Jamal dał mi specjalne zadanie, abym...

– To ty masz podwójną misję?

– Dwie misje. Oddzielne. Jedna z drugą nie ma nic wspólnego.

– Najwidoczniej jesteś człowiekiem godnym zaufania.

– A ja z kolei zaufałem tobie w przypadku obu tych misji – głową Latifa wstrząsnęło coś na kształt nerwowego tiku. – Pilnuj tej paczki, Jakubie. Strzeż moich wielbłądów – kontynuował prosiącym tonem, a jego ciemne oczy wyrażały o wiele więcej niż słowa. – No, idź już. A jeśli mnie zabiorą, módl się za mnie.

Jakub chciał zaprotestować, lecz mężczyzna odwrócił się i pospiesznie odszedł. Chłopak wsunął sakiewkę w poły szaty, przymocowawszy ją ciasno na brzuchu i poprawił pasek. Próbował się pocieszać, że obawy Latifa to tylko wytwór nerwów i wyobraźni. Wszyscy uczestnicy karawan byli znużeni długą drogą i burzą. Lecz gdy skierował się w stronę namiotu, poczuł jak sakiewka ociera się o jego skórę. Lęki Latifa zdawały się emanować z pakunku i przenikać głęboko do wnętrza Jakuba. Nie mógł

się doczekać jutra, kiedy odda sakiewkę i zapomni, że cała ta wymiana zdań w ogóle miała miejsce.

*

Ośle miały oczy osłonięte dla ochrony przed wirującym w powietrzu pyłem, więc nie opierały się, gdy Albana wsadzano na siodło. Mężczyzna był tak słaby, że Abigail i Jakub musieli razem pomagać mu dosiąść osła. Jakub nie pamiętał, by Alban kiedykolwiek wcześniej potrzebował jakiegokolwiek pomocy. Gdy sobie to uświadomił, tym trudniej było mu z nim się rozstać.

– Jesteś pewny, że dasz radę utrzymać się w siodle?

– To dobry plan – odpowiedział Alban, lekko kaszłąc. – I miałeś rację nalegając, bym został w Jerozolimie.

Abigail rzuciła Jakubowi szybkie spojrzenie. Fakt, że Alban to tak otwarcie przyznał, był naprawdę niepokojący.

– Bądź gotowa, żeby go podtrzymać – powiedział półgłosem Jakub, gdy podsadzał Abigail, dosiadającą drugiego osła. Podprowadził go, by stanął obok osła Albana.

– Nic mi nie będzie – powiedział Alban.

Zarówno Alban, jak i Abigail ubrani byli tak, jak zwykli to czynić mieszkańcy Damaszku: w zwiewne szaty w kolorze złota, z kapturami ocieniającymi twarze. Ubiór kobiety różnił się od męskiego tylko tym, że kaptur obrębiały frędzle, które teraz dziko łopotwały na wietrze. Jakub, odziany w szatę syryjskiego służącego, szarą, przewiazaną paskiem z materiału, chwycił lejce i pociągnął osły naprzód.

Wichura ucichła nieco, więc rzymscy strażnicy wrócili na swoje posterunki poza bramami miasta. W wielkim metalowym koszu paliło się kilka kawałków drewna, które rzucały strumienie iskier w kierunku wieczornego nieba. Choć Jakub ukrył wcześniej skórzaną torbę pod

dywanami w swoim namiocie, to jednak, gdy zbliżali się do bramy, wciąż czuł, jakby paliła mu skórę na brzuchu. Strażnicy stali stłoczeni tuż przy murze i przyglądali im się ponuro, lecz żaden o nic nie zapytał.

Uszli spory kawałek w kierunku wschodnim, odbijając od placu przed synagogą Libertynów, niepotrzebnie, gdyż ulice Jerozolimy były w dużej mierze opustoszałe. Straganiarze w większości pozamykali już okiennice swych sklepów i rozeszli się do domów, aby się ogrzać i posilić. Wiatr smagał dachy domów, dudniąc niczym olbrzymi bęben. Jakub biegł truchtem, poprzedzając osły. Jedynymi dźwiękami, które mieszały się z jednostajnym stukotem kopyt były ciche wskazówki co do drogi dawane przez Abigail i – od czasu do czasu – pokasływanie Albana.

Wkrótce Jakub zorientował się w położeniu i nie potrzebował już dalszych podpowiedzi. Zatrzymał się przed znajomą bramą i głośno zastukał laską. Twarz, która wśród zapadających ciemności pojawiła się we wbudowanym w bramę okienku, przyjrzała się badawczo Jakubowi i dwójce zakapturzonych jeźdźców.

– Zamknięte – warknął brodaty mężczyzna. – Przyjdźcie jutro.

– To ja, mistrzu.

– Nie znam cię.

– Jakub. Byłem kiedyś uczniem w twoim zakładzie stolarskim. Wpuść nas. Proszę.

– Jakub... – z powątpiewaniem wytrzymał wzrok w gęstniejącym mroku.

– Jakoś sobie nie...

– Kiedyś powiedziałeś, że jestem dobry jedynie w podpieraniu bocznej ściany.

– Czy to możliwe? – dało się słyszeć odsuwanie rygla i po chwili cieśla otworzył im drzwi. – Wielkie nieba, to naprawdę ty!

– Tak jak rzekłem – Jakub wprowadził do środka osły, a mężczyzna szybko zamknął i zaryglował bramę.

– Pomóż mi z Albanem.

– To Alban też jest tutaj? I Abigail, jak widzę! Przebrani za cudzoziemców! – cieśla pomógł postawić Albana na ziemi. – Co ci się stało, dobry człowieku?

– Nic takiego – odparł Alban rżąc. Podróż bardzo go zmęczyła. – To tylko kaszel...

– I gorączka tak wysoka, że może go strawić od środka – dodał Jakub przywiązując zwierzęta. – Nasza karawana musi jutro wyjechać, zaś Alban potrzebuje więcej czasu, żeby się podleczyć i odpocząć.

Abigail powitała postawnego gospodarza i spytała:

– Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby? Mogę się przeprowadzić...

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Dla przyjaciela w potrzebie? Oczywiście, że się znajdzie! – cieśla wsunął głowę pod drugie ramię Albana. – Chodź, bracie, i ogrzej zmarznięte kości przy ogniu.

– Nie chcę ci robić kłopotu – powiedział Alban.

– Zapłacimy ci – wtrącił Jakub.

– Nie chcę o tym słyszeć. Nie będzie żadnej zapłaty – cieśla zerknął znad pochylonej głowy Albana. – Wyglądasz, Jakubie, jakbyś był swoim starszym bratem. Ile to czasu żeśmy się nie widzieli...?

– Pięć lat.

– I to długich lat. Lecz sądząc po twoim wyglądzie, nie zmarnowałeś tego czasu.

– Jakub jest teraz moją prawą ręką – wyrzucił Alban.

Abigail szła za mężczyznami.

– A zatem, Albanie, Jakub zajmie się należycie twoją karawaną, a ty możesz spokojnie odpocząć i wyzdrowieć zanim wrócisz do swojej Lei.

Alban znów zaniósł się kaszlem i pewnie zgiąłby się w pół, gdyby nie dwaj mężczyźni podtrzymujący go za ramiona. Gdy atak kaszlu się skończył, Alban rzekł:

– Tak, już zbyt długo nie widziałem Lei... i naszego synka, Gabriela.

Samo wypowiedzianie ich imion zdawało się wygładzać zmarszczki na jego twarzy spowodowane bólem i zmęczeniem.

– Troszczymy się tu jedni o drugich – cieśla był prostym człowiekiem o dłoniach tak wielkich jak drewniane młoty, których używał w pracy. Przeprowadził Albana przez znajome drzwi do pomieszczenia, które Jakub pamiętał jako główną pracownię.

– Jesteśmy złączeni jako rodzina w Panu. Oczywiście, że ci pomożemy i nim się obejrzysz, będziesz gotów powrócić do domu, do żony i dziecka.

Pracownia była wymieciona, a narzędzia pochowane. W wysokiej komnacie, oświetlonej blaskiem pochodni znajdowały się stoły, przy których siedziało około trzydziestu osób. Z drugiej strony pomieszczenia otworzyły się duże drzwi prowadzące do schowka na drewno i ukończone wyroby. Było to miejsce pełne ciepła i przyjazne. Nowo przybyłych powitały uśmiechy i skinienia głów.

Jakub usiadł przy stole z mężczyznami, a Abigail po drugiej stronie z kobietami. Albanowi dano jedno z niewielu krzeseł postawionych obok wielkiego pieca, by się ogrzał.

Jozjasz, mistrz stolarski, wyszedł przed zgromadzonych i rozpostarł szeroko ramiona, jakby chciał ich wszystkich objąć.

– *W imieniu naszego zmartwychwstałego Pana...* – zaczął śpiewać.

Jakub pochylił głowę wraz z innymi. Mężczyźni kołysali się w przód i w tył, z zapałem odpowiadając „Amen”, gdy Jozjasz skończył. Wszyscy

zaśpiewali psalm, po którym nastąpiła kolejna modlitwa i pieśń. Zaraz potem młode kobiety rozniosły miski z pachnącą potrawą.

Jakub trzymał swoją miskę tuż pod brodą i jadł wraz z innymi. Odpowiadał, gdy ktoś go o coś zapytał, lecz głównie słuchał, co mówią inni.

Gdy kobiety zbierały naczynia po jedzeniu, Abigail przysunęła się bliżej Jakuba.

– Mamy tak mało czasu razem, bracie.

Jakub z pochmurnym wzrokiem skinął głową. To prawda. Zawsze zatrzymywał się na krótko, gdy przyjeżdżał z karawaną. Jednocześnie pragnął przekonać Abigail, żeby opuściła to miasto. Jerozolima naprawdę nie była odpowiednim miejscem dla niej i dla jej córeczki. Czułby się znacznie spokojniejszy, gdyby Abigail zgodziła się zamieszkać na północy kraju, blisko Lei. Ale nie powiedział tego głośno. Siostra już wielokrotnie słyszała jego opinię na ten temat. Zamiast tego spytał:

– A gdzie mała?

– Śpi na górze – twarz Abigail rozjaśnił uśmiech. – Nie tylko ty tak bardzo urosłeś.

– Mieszkacie teraz tutaj?

– Od sześciu miesięcy. Odkąd... odkąd w wieczerniku, gdzie dzieliliśmy ostatnią wieczerzę z naszym Panem zjawili się jacyś mężczyźni – Abigail wzdrygnęła się na samo wspomnienie. – Nadal służę sierotom i wdowom, tak jak niegdyś Szczepan, i akurat mnie wtedy nie było. Ale troje naszych przyjaciół przepadło bez wieści. Strażnicy świątynni nie chcą nam udzielić żadnych informacji.

Jakub potrząsnął głową, ale nie chciał słuchać więcej złych nowin. Nie dziś.

– Czy moja mała siostrzenica jest nadal tak urocza jak ją zapamiętałem?

– Dorcas jest tak samo piękna jak jej mama. Jej uśmiech zdobył serca nas wszystkich – odezwała się stojąca obok Abigail kobieta. Jakubowi zajęło chwilę, żeby się zorientować, kto do niego mówi.

– Marto! Wybacz, nie poznałem cię – Jakub nie mógł się oprzeć wrażeniu, że kobieta bardzo się zestarzała. Ale przynajmniej jej głos się nie zmienił, no i charakter – jak zawsze była bezpośrednia i szczerą.

– Twoja siostra jest piękną kobietą, ale widzę, że i ty wyrosłeś na urodziwego mężczyznę. Nie zdziwiłabym się, gdyby...

– Marto – szepnęła Abigail. – Za chwilę się modlimy.

Marta podniosła ręce do modlitwy.

– Dobrze cię widzieć, Jakubie. Potrzebujemy teraz dzielnych mężczyzn – dodała. – Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Skinęła głową, na co Jakub odpowiedział tym samym. Przyszła mu znów na myśl torba ukryta w namiocie pod dywanami. Wziął głęboki oddech i odwrócił się z powrotem w stronę Jozjasza, który stał przy stoliku nakrytym ręcznie tkanym obrusem.

Wieczorna modlitwa rozpoczęła się od wspólnego spożycia chleba i wina. Dla większości obecnych była to codzienność, lecz dla Jakuba owa pamiątka ostatniej wieczerzy Pana z Jego uczniami miała wyjątkowy wydźwięk. Dawno już nie miał takiej sposobności. Patrzył, jak starsi zgromadzenia stoją przed stołem, a Jozjasz znów zaczyna się modlić. Podniósł chleb, a potem kielich, błogosławiąc jedno i drugie, po czym połamał chleb na małe kawałeczki, by można go było rozdać.

Jakub myślał o tym, jakie to osobliwe, że najzacniejsi i najbardziej poważani, którym normalnie powinno się usługiwać i okazywać cześć, sami roznoszą tace z chlebem i kielich z winem, by podać je innym. Przypomniała mu się zasłyszana niegdyś historia, jak to Jezus klękał przed

swymi uczniami, aby umyć ich brudne stopy. Sługa...wybrzmiewało szeptem w jego umyśle, podczas gdy recytowane były słowa modlitwy.

– Tej nocy, kiedy Go wydano, Jezus wziął kielich...

Za zamkniętymi okiennicami wiatr wył i hulał po ciemnym podwórzu. Na wszystkich twarzach malował się nieziemski pokój. Większość w ogóle nie zwracała uwagi na hałas. Modlono się też za tych, którzy mieli jakieś konkretne potrzeby. Pierwsza z takich modlitw brzmiała: „Za naszego drogiego przyjaciela i brata w wierze, Albana, którego ciało potrzebuje uzdrowienia”. Potem modlono się za przyjaciół, którzy pięć miesięcy wcześniej wyjechali do Samarii i do tej pory nie było od nich żadnych wiadomości. Następnie wszyscy przyłączyli się do gorących błagań za rodzinę, która tego dnia po południu została zabrana siłą przez zauszników Świątyni pod wodzą Szawła z Tarsu. Samo jego imię, wypowiedziane przez Jozjasza smutnym, grobowym tonem, zdawało się wprawiać w drżenie płomienie świec.

Z miejsca, gdzie siedział, Jakub widział drzwi wejściowe do warsztatu, za którymi znajdowała się główna brama. Za tymi zamkniętymi, zaryglowanymi drzwiami czaiła się ta pełna niebezpieczeństw noc. Lecz tu panował pokój. Tej nocy Jakub poczuł, że Bóg jest bardzo blisko, niosąc mu tak wielkie pocieszenie, że niemal słyszał głos przemawiający do głębokiej ciszy w jego sercu.

Spojrzał znów na Albana siedzącego przy ścianie pieca. Ciepło sprawiło, że rysy jego opiekuna zdawały się jaśnieć, a może czynił to ten sam Duch, którego płomień Jakub czuł we własnym sercu. Wiedział, że Alban szczerze martwi się o jego bezpieczeństwo. Lecz był również pewien, że nie jest to życie dla niego. Zwrócił oczy z powrotem ku cieśli, który śpiewał głębokim głosem:

– *Pan czuwa nad wszystkimi, którzy Go kochają...*

Nagle Jakub zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy jest w stanie patrzeć na swego byłego pracodawcę bez cienia urazy. Wcześniej miał żal o to, że został zmuszony do pracy, której nie cierpiał, i dla człowieka, którego trudno było zadowolić. Jakub nigdy nie czuł, że powinien zostać cieślą. Nie było jego przeznaczeniem również sprzedawanie na straganie. Bóg nie powiedział mu tego w konkretnych słowach, lecz on i tak wiedział, że to nie jest droga dla niego.

Jakub zsunął się z ławki i klęknął na podłodze pomiędzy stołami, czując pod kolanami chłód kamieni. Pochylił głowę i modlił się z żarliwością równie wielką jak spokój w jego sercu. *O Panie, daj mi mądrość. Kiedyś prosił o to Salomon. Ja nie jestem tak mądry jak on. Prosiłem Cię już o wszystko inne, o wolność, siłę, bogactwo. Lecz dziś uniżam się i wyznaję, że bez Ciebie, bez Twojego prowadzenia, wszystkie te rzeczy są niczym. Ja jestem niczym. Pokaż mi wyraźnie, co chcesz, abym uczynił. Daj mi siłę, bym przyjął Twoją wolę. I dojdź z tym do granic moich możliwości.*

Walenie w bramę na podwórzu ucięło pieśń jakby nożem. Jakub usiadł z powrotem w ławce, podczas gdy Jozjasz wyszedł z pokoju na dwór.

– Któż to zakłóca nam nocny spokój o tak późnej godzinie? – zawołał.

– Przyjacieli!

Choć Jakub nie rozpoznał głosu, coś kazało mu odwrócić głowę w tamtym kierunku.

Jozjasz chwycił kij oparty o bramę i trzymał go przy piersi.

– Już późno. Przyjdź jutro...

– Nie mogę! Musiałem przyjść pod osłoną nocy, żeby...

– Ja znam ten głos! – Alban podniósł się chwiejnie na nogi. Najgłośniej jak tylko zdołał zawołał:

– Linuks?

– Tak, to ja. – Chwila ciszy. – Czy to ty, Albanie?

– Nie inaczej.

Alban pomachał do cieśli, którego dłoń spoczywała na ryglu od bramy.

– To przyjaciel i brat w wierze. Możesz śmiało otworzyć.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Tyberiada

Julia niespokojnie rozkopała przykrycie, które zdawało się przykuwać ją do łóżka. Wstała i w ciemności podeszła do okna. Wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie.

Odsunęła zamknięcie okiennicy. Powitał ją chłodny nocny wiatr. Nabrała w płuca powietrza, wdychając jego aromat. Po niebie mknęło kilka chmur skrywających kwartę księżyca. Na jednym z odległych wzgórz paliło się ognisko. Któż to mógł być? Poganiacze wielbłądów? Pasterze? Żołnierze rzymscy? A może grupka zelotów? Nie, raczej nie. Ci byli zbyt ostrożni i lepiej się ukrywali.

Jej myśli przebiegły szybko przez ostatnie sześć miesięcy. Gdy po raz pierwszy towarzyszyła Zoe na spotkaniu grupy znanej jako Droga, poszła tam z cichą nadzieją, że może oni byliby odpowiedzią na dylematy jej matki.

W końcu nawet ich nazwa zawierała w sobie pewną obietnicę rozwiązania problemów, nieprawdaż? Zoe wydawała się taka pewna, że owi ludzie będą dla niej źródłem mądrości i pocieszenia... Lecz pierwsze rozmowy z nimi w ogóle nie dotyczyły jej matki. Wszystko kręciło się wokół pewnego judejskiego Rabbiego, który żył, umarł... a potem znów ożył. Z początku Julia chciała to odrzucić jako czyste bajdurzenie i głupotę, tak jak wtedy, gdy usłyszała tę historię od Zoe. Rozsądek mówił, że to po prostu niemożliwe.

Mimo to zauważyła, że nie może się doczekać kolejnego spotkania. Było oczywiste, iż ta mała grupka rzeczywiście wierzy w te wszystkie rzeczy, które opowiadają na swoich spotkaniach. To było dla Julii niepojęte. Wyglądali na ludzi szczerych i takich, na których można polegać. Niektórzy nie mieli żadnego wykształcenia, lecz byli wśród nich również uczeni, a nawet jeden faryzeusz. I oni również przyjmowali tę historię jako fakt. Z każdego spotkania Julia wychodziła pełna pytań i wątpliwości.

Stopniowo zaczęła zauważać, że całym sercem chciałaby, aby ta historia okazała się prawdą. Czuła, jak przemawiają do niej słowa Rabbiego powtarzane przez Jego wyznawców z taką starannością i przekonaniem. Gdybyż tylko mogła odrzucić na bok ostrożność i przyjąć ich słowa, myślała z żalem. Czy to zmieniłoby jej życie i serce? Wiele dni nieustannie myślała tylko o tym, co tam usłyszała i czego była świadkiem. Wielokrotnie czuła, jak wzbierają w niej pełne nadziei modlitwy. *O Boże, czy Ty naprawdę istniejesz? Czy posłałeś tu na ziemię swojego Syna? Czy On jest naszym Mesjaszem? Czy poprzez Jego śmierć naprawdę możesz mnie obmyć z grzechu, z szukania swego? Zamienić mój smutek w radość? Moją samotność w poczucie przynależności... gdzieś? Do kogoś?*

Zeszłego wieczoru, gdy już nie dawała sobie rady z wirującymi w głowie myślami, poszła poszukać Zoe.

– Czy to jest prawdą? – spytała służącą, która stała się dla niej bliższa niż członek rodziny. – Czy to prawda, że On był – że jest – Mesjaszem, który był nam obiecany?

– Tak – ton głosu Zoe brzmiał niemal jak pieśń chwały, a nie jak zwykła odpowiedź. – O, tak – powtórzyła z ręką na piersi. – On jest Mesjaszem.

Tym razem Julia się nie zawahała.

– To ja też chcę uwierzyć. Potrzebuję Go. Przyjmuję prawdę. Nie mogę już dłużej szukać sensu życia poza Nim, bez Niego.

Uklękły razem i Zoe pomogła dziewczynie dobrać odpowiednie słowa modlitwy. Głos Julii drżał z emocji. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, do jej umysłu i duszy wlał się cichy pokój. Co do tego nie miała wątpliwości. Poczula, że wszystkie dręczące ją myśli odeszły, a pozostało jedynie głębokie poczucie spokoju. Nie czuła się tak od czasu, gdy jako bez troskie dziecko wdrapywała się na kolana mamy.

Mimo fali nagłych wrażeń i emocji Julia wiedziała, że to właśnie jest odpowiedź. Nie tylko dla niej, lecz także dla jej matki, tej kochanej kobiety, która niosła na swych barkach tak bolesne ciężary.

Teraz Julia obudziła się w nowym dniu, nadal rozmyślając nad cudownością swojej nowo odkrytej wiary. Jej serce wypełniało pragnienie, aby matka również doświadczyła tego głębokiego poczucia spokoju.

Ale jak ma przekonać matkę, by zobaczyła i przyjęła ten cudowny dar? Czy zgodzi się spotkać z grupą wierzących? Julia wiedziała, że mama będzie się martwić, czy zaakceptują Samarytanę, która jest niczym więcej jak tylko niewolnicą, ruchomym dobytkiem bezbożnego poganina. Dla judejskich przywódców był to wystarczający powód, aby taką kobietę wykluczyć z pełnienia jakichkolwiek funkcji religijnych. Czy wyznawcy Chrystusa również uznają ją za nieczystą i niegodną?

Nagle Julia przypomniała sobie, jak Zoe opowiadała jej historię o *innej* Samarytance, tej, z którą Jezus rozmawiał kilka lat temu przy studni w miasteczku Sychar. Zaakceptował ją, zmienił jej życie i dał żywą wodę. *Tego właśnie mamie potrzeba: żywej wody, która zmyłaby z jej duszy całą ciemność...*

Jutro wieczorem będzie kolejne spotkanie wyznawców Drogi. Największym pragnieniem Julii było, aby jej matka poznała mężczyznę, który posiadał tę wodę. Lecz jak ją przekonać, aby poszła na spotkanie i posłuchała?

Za drzwiami dało się słyszeć szuranie nogami. Julia wiedziała, że to Zoe przynosi jej śniadanie. Uśmiechy wymienione przez obie kobiety mówiły znacznie więcej niż mogłyby wyrazić jakiegokolwiek słowa. *Teraz naprawdę jesteśmy jak rodzina* – pomyślała Julia, gdy Zoe podchodziła z tacą do stolika w jej pokoju.

Obie zaczęły stawiać na nim talerzyki z owocami i chlebem.

– Nastął nowy dzień – powiedziała cicho Julia. – Dzień pełen nadziei.

Zoe skinęła głową i podała Julii kubek z herbatą.

– Też to czujesz.

– O, tak. Czy widziałaś już mamę?

– Słyszałam, że już nie śpi, ale jeszcze się nie ubrała ani nie jadła śniadania.

– Nie mogę się doczekać, żeby jej powiedzieć. Ale... Myślisz, że ona zrozumie?

Zoe uśmiechnęła się, lecz potrząsnęła przecząco głową.

– Nie sędzę. Jest to bardzo trudne do zrozumienia i do zaakceptowania – gdy te prawdy są takie nowe. Potrzeba światła Ducha Świętego, które człowieka oświeci.

– Czyli muszę poczekać? – Julią wstrząsnął niepokój. – Ale ja na pewno nie wytrzymam, muszę się tym z nią podzielić.

Po raz pierwszy od wielu lat Julia usłyszała chichot Zoe. Śmiech starej służącej był dziwnie skrzypiący, jak gdyby zapomniała już, jak się wyraża rozbawienie.

– Możemy się teraz pomodlić. Gdy tylko zjesz i będziesz czuła, że to odpowiedni czas, możesz iść do matki.

Skłoniły głowy w żarliwej modlitwie, co niewątpliwie stanowiło dla Julii nowe doświadczenie. Modlenie się ze służącą, nawet jeśli znała ją całe swoje życie, było czymś niespotykanym. Jednak nie czuła się z tym dziwnie czy niezręcznie. Teraz łączyła je jeszcze silniejsza więź.

Julia spojrzała na jedzenie, które miała przed sobą.

– Będziesz się ze mną modlić codziennie? – zapytała jedząc chleb z serem.

– Oczywiście. I nadal będę się modlić za twoją mamę, tak jak to robię cały czas odkąd uwierzyłam w Jezusa.

Julia obserwowała Zoe znad swojego kubka.

– A za mnie też się modliłaś?

Zoe skinęła głową.

– Wiele razy dziennie.

– I Bóg odpowiedział na twoją modlitwę.

– Tak.

– Myślisz, że wysłucha nas również w sprawie mojej mamy?

– Nie będzie to arogancją z mojej strony jeśli powiem, że z pewnością chce to uczynić.

Julia odsunęła od siebie jedzenie i wstała. Musiała się jeszcze ubrać, a czas leciał.

– Musimy często się modlić, Zoe, żeby mama usłuchała i zrozumiała. Żeby Duch ją oświecił, żeby zechciała pójść z nami jutro na spotkanie.

Nagle Julia przypomniała sobie, jakie walki sama toczyła. Wielokrotnie opowiedziano jej Dobrą Nowinę, mimo to przyjęcie tej prawdy zajęło jej wiele miesięcy. A teraz, gdy już uwierzyła, zastanawiała się, czemu zrozumienie tego trwało u niej tak długo. Wszystko było dla niej takie nowe. Miała mnóstwo pytań, na które jeszcze nie знаła odpowiedzi. Choć przenikał ją wewnętrzny spokój, nękała ją świadomość, że mama nie zaznała jeszcze tego uczucia. No i jej ojciec... Jak im to wszystko wytłumaczyć, żeby zrozumieli? To wytrącało ją z równowagi, budziło niepewność.

– A co jeśli mama nie... Jak ją przekonać?

– Dziecko kochane – odpowiedziała Zoe kojącym tonem i wyciągnęła rękę, by pogłodzić nierozczesane włosy dziewczyny. Zoe dotykała ją i zwracała się do niej w ten sposób po raz ostatni, gdy Julia była malutka, lecz teraz ten dotyk i słowa niosły jej pocieszenie i dodawały otuchy. – Dziecko kochane – powtórzyła Zoe. – Pomodliłyśmy się, a Pan Bóg usłyszał. Musimy Mu zaufać, że sam będzie działał.

Poklepała Julię po ramieniu i odwróciła się, by zabrać tacę z jedzeniem, po czym posłała dziewczynie jeszcze jeden uśmiech.

– Ubierz się, dziecko. Ubierz się, a potem idź do matki. A ja przez ten czas będę się modlić.

*

Wkrótce Julia zastukała w drzwi, ale nie usłyszała odpowiedzi. Najciszej jak umiała uchyliła je odrobinę. Zaglądając przez szparę zobaczyła łóżko swojej matki w totalnym nieładzie, jak gdyby Helena przez całą bezsenną noc

walczyła z prześcieradłami. Lecz jej głowa nie spoczywała już na skotłowanej poduszce.

Julia znalazła matkę siedzącą w altanie na dworze, przed jej sypialnią. Miejsce to było chronione od wiatru przez wysokie kamienne mury, a podłoga wyłożona kolorowymi, wzorzystymi kafelkami. Dawało poczucie odosobnienia i odrobinę ciepła nawet w tak chłodny poranek. Na ławce opierającej się o południową ścianę leżały miękkie poduszki, rozkładane tam przez służbę wczesnym rankiem i zabierane do domu wieczorem. Pośrodku małego pomieszczenia stała bogato zdobiona marmurowa grecka fontanna, którą z jednej ze swych licznych podróży przywiózł niegdyś Jamal. Kolorowe blaski tańczyły na ścianach, tworząc małe tęcze, mieniące się w tym kamiennym świecie. Helena kochała to miejsce.

Teraz bezwiednie bawiła się źdźbłami trawy, pozostawionymi na ławce przez wijące gniazdo ptaki. Jej rozpuszczone włosy okalały bladą, pozbawioną wyrazu twarz. Siedziała z jedną stopą podłożoną pod pośladki, przypominając bardziej dziecko niż dorosłą kobietę. Druga noga, obuta w sandał, huśtała się w przód i w tył w rytm jakiejś wewnętrznej piosenki.

– Mamo? – powiedziała z wahaniem Julia podchodząc bliżej.

Głowa Heleny podniosła się, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. Poruszyła się lekko i dała Julii znak, żeby podeszła.

– Zoe mówi, że znów źle się czujesz.

Helena podniosła dłoń falistym ruchem, na znak, że czasem jest lepiej, czasem gorzej.

– Mamo, bardzo się o ciebie martwię. Ostatnio nie wyglądasz na zdrową. Może potrzebny ci lekarz? Na pewno...

– Ależ nie – powiedziała stanowczo Helena, prostując plecy i potrząsając głową. Jej wzrok utkwiał znów w źdźbłach trawy, które miała w dłoni.

– Gdy jestem tutaj, wszystko wydaje się w porządku – powiedziała miękko, jak gdyby do siebie. Podniosła oczy i spojrzała na Julię. – Tak jak jakiś bóg zamierzył, aby było. Rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

Julia skinęła głową.

– Jest tu takie poczucie spokoju.

Helena uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Właśnie to chciałam wyrazić.

Julia poczuła, że teraz uwaga jej mamy jest skupiona i trzeba wykorzystać tę chwilę.

– Mamo, rozmawiałam z Zoe. Jakiś czas temu, gdy była w Sychar, spotkała starą znajomą sprzed lat. Ta znajoma opowiedziała jej niezwykłą historię, bardzo dobrą nowinę.

– Nowinę? Jakaż to dobra nowina może pochodzić z Sychar?

– Nie ma *jakiegoś tam* boga, tylko jest jeden, *prawdziwy*. Ta kobieta poznała Go osobiście. Przyszedł tam do studni i...

– Do studni w Sychar? – matka zmarszczyła brwi. – Co to za Bóg, który przychodzi do tej *mieściny*, i to w dodatku do studni? Potrzebuje pić, tak jak ludzie?

– On... nie poszedł tam zaspokoić własnej potrzeby, lecz potrzebę tej kobiety.

To stwierdzenie wprowadziło Helenę w jeszcze większe zdumienie.

– Bóg, który interesuje się człowiekiem? I to w dodatku *kobietą*?

– Ma na imię Jezus. Został przysłany przez Boga, który jest w niebie, Stwórcę wszystkiego. To jedyny prawdziwy Bóg, który szepcze do ciebie słowa pokoju.

Jej matka potrząsała głową.

– Wierzysz w to? Że my... że ja zostałam stworzona? Zrobiona przez kogoś? A nie tak po prostu *istnieję*? – zamachała ręką w powietrzu, jakby

chciała odrzucić tak niedorzeczną myśl.

– Wierzę.

– Gdyby tak było, to czy nie powinien istnieć jakiś powód... dla którego tu jestem?

– Tak, mam. Jest taki powód.

– Ale... Nic w moim życiu nie wskazuje na to, że cokolwiek ma jakiś powód lub cel. Że mamy jakiegokolwiek inne przeznaczenie niż istnieć, a potem umrzeć – oczy Heleny lśniły od łez. Wyciągnęła drżącą dłoń i pogładziła Julię po policzku. – Nie ma nic; nic, co dałoby mi jakikolwiek cel, jakiegokolwiek poczucie wartości – poza tobą.

Julia również powstrzymywała łzy.

– Mam, dziękuję ci, że dałaś mi życie. Ale istnieje coś więcej. Naprawdę. I tak bardzo bym chciała, żebyś ty również tego doświadczyła. Pójdiesz ze mną i z Zoe? Grupa wyznawców Jezusa spotyka się w pobliżu Tyberiady. Niektórzy znali Go osobiście, gdy tu był. Oni...

– On tu był? W Tyberiadzie? To czemu nikt o tym nie mówi? – Helena otarła łzy. Jej duże, wyraziste oczy wpatrywały się w Julię.

– Może nie dokładnie tu w Tyberiadzie, ale... ale oni ci wszystko o Nim opowiedzą – Julia w jednym momencie zdecydowała, że nie będzie w tej chwili nic więcej wyjaśniać. – Na tym spotkaniu, o którym wspomniałam. Pójdiesz z nami, mam? Proszę...

Helena podniosła się z ławki i podeszła do szumiącej fontanny. Stała plecami do Julii, lecz jej postawa wskazywała na walkę, jaka się w niej toczy. Julia widziała, jak matka wyciąga dłoń, a przez jej palce przelatuje woda. W końcu odwróciła się, znów zmarszczywszy brwi.

– Nie mogę nic uczynić bez pozwolenia twojego ojca. A on nie przepada za religiami. Wątpię, żeby...

Julia poczuła, że ma chęć pozwolić, aby kipiące w niej emocje, wątpliwości i to wszystko, co tkwiło w jej umyśle przez ostatnie tygodnie, wreszcie wybuchło. Czemu kazano jej żyć z tym całym fałszywym osądem sytuacji? Czemu nie znała prawdziwego powodu, dla którego ojciec tak rzadko bywał w domu? Czemu nie wiedziała o jego drugim domu – tym prawowitym? Czy ona i Helena w ogóle się dla Jamala liczyły? Choć już o tym rozmawiały i Helena zapewniała ją, że tak, dręczące myśli wciąż powracały do Julii.

Przypomniała sobie rozmowy wierzących na temat nauki Mesjasza o przebaczeniu. O tym, że trzeba kochać swoich wrogów. Oczywiście, jej ojciec nie był wrogiem, lecz jego czyny, jego kłamstwa, wykluczyły go również z kręgu jej przyjaciół...

Helena najwidoczniej wyczuła, co się dzieje w sercu jej córki, bo wróciła na ławkę i objęła córkę.

– Jamal naprawdę nas kocha. A to jest więcej niż ma wiele osób. To dobry człowiek. Zapewnia nam utrzymanie, przyjeżdża kiedy tylko może. Tak, owszem, musimy się nim dzielić. Ale czy nie rozumiesz? To lepsze, niż gdybyśmy nie miały go wcale.

– Nie jesteś na niego zła? Nie jesteś zgorzkniała? – wypowiadając te słowa Julia poczuła, że gdzieś w głębi jej świadomości coś zaczyna się dziać. Że budzi się tam delikatne pragnienie, by mu wybaczyć i poczuć się znów jak jego kochana córeczka.

– Nie mam powodu, by być zgorzkniałą. Gdyby nie twój ojciec, mogłabym równie dobrze być niewolnicą pracującą na polu i zbierać kłosa za żeńcami, ugniatać winogrona w winnicy, paść kozy na wzgórzach, czy wręcz zebrać. Albo coś jeszcze gorszego – potrząsnęła głową. – Twój ojciec troszczy się o mnie i o ciebie. Czy mogę narzekać na swój los, jeśli jedyne, co muszę robić, to być dla niego miła, kiedy przyjeżdża? To żaden ciężar.

On jest dla mnie dobry, Julio. Jest delikatny, pragnie mojego szczęścia. To znacznie więcej niż ma niejedna kobieta. I dzięki niemu mam ciebie.

Julia objęła matkę obiema rękami i wtuliła twarz w jej ramię.

– Sądziysz, że martwię się swoim losem? Tym, że spędzam z nim tak mało czasu? – spytała cicho Helena.

– A nie jest tak?

– Nie, kochanie. Niewiele o tym myślę. Gdy Jamal tu jest, życie wcale nie jest trudne. Kiedy jest z nami, w naszym domu, mam jakiś cel. Moje życie ma sens. Ale kiedy wyjeżdża... – ucichła na chwilę, zanim zaczęła mówić dalej, tuż przy uchu Julii. – Kiedy byłam dziewczynką, dorastałam w wiosce, a moja rodzina pracowała na rynku. Zawsze było mnóstwo roboty i zbyt mało rąk do pracy, dlatego pracowaliśmy ciężko. Bardzo ciężko. Ale znałam swoją rolę. Rozumiałam oczekiwania mojej rodziny. Miałam tam swoje miejsce. Potrafiłam poruszać się między straganami, umiałam gotować, sprzątać. Myślę, że byłaby ze mnie świetna służąca.

Na te słowa Julia uśmiechnęła się i podniosła głowę. Jej mama służącą? Helena odwzajemniła uśmiech, lecz potrząsnęła głową.

– A potem znalazłam się tutaj – mówiła dalej. – Tu nie mogę być służącą. Mam dom pełen służących. Moim zadaniem jest siedzieć i pozwolić, aby się o mnie troszczyli. Tęsknię za pracą przy piecu, za wsuwaniem do niego chleba, który sama zagniotłam i uformowałam, za patrzeniem, jak zaczyna się rumienić. Mój własnoręcznie zrobiony chleb... Tęsknię, by poczuć jego zapach. Mieć satysfakcję, że coś zrobiłam własnoręcznie. Ale nie, ode mnie oczekuje się, że będę tylko odpoczywać. Z drugiej strony, poza murami tego domu nie jestem akceptowana jako pani. Wszyscy wiedzą, że nie pochodzę z wyższych klas. I wychodzi na to, że nie mam żadnego celu. Wyleguję się i czuję się bezużyteczna, znudzona. Dni ciągną się w nieskończoność, a żaden nie ma sensu – zawahała się,

a uścisk jej ramion wokół Julii jeszcze się zacieśnił. – Tylko ty się dla mnie liczysz. A teraz...

– Teraz?

W oczach matki ujrzała czysty smutek.

– Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi. To było oczywiste, ale ja... powtarzałam sobie, że jeszcze nie, dopiero za jakiś czas...

– Ale o co chodzi? – spytała Julia szeptem.

Helena odchyliła głowę, by spojrzeć córce w oczy, po czym pogłaskała ją po policzku.

– Twój ojciec... Planuje małżeństwo.

– Ale to chyba dobrze, czyż nie? No bo chyba chcesz wyjść za niego...

– Nie chodzi o mnie, kochanie. Chodzi o ciebie. Ma nadzieję na korzystny kontrakt z jakimś mężczyzną zamieszkałym w miejscu, o którym nawet nigdy wcześniej nie słyszałam.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Jerozolima

Nim wszyscy poszli spać, żona i starsza córka Jozjasza przygotowały trzy posłania wokół pieca w pracowni. W miejscu, gdzie obrabiano drewno przed suszeniem, teraz stała taca z chlebem, miska daktyli i herbata. Abigail na chwilę zniosła na dół swoją śpiącą córeczkę. Jakub dotknął policzka małej.

– Nigdy w życiu nie widziałem ładniejszego dziecka – szepnął.

Alban przyglądał im się i zauważył, jak bardzo Dorcas jest podobna do ojca. Jakub obawiał się, że takie słowa mogą przysporzyć Abigail bólu, ale ona tylko pogłaskała swoje dziecko po buzi i przytaknęła.

– Szczepan jest w niej. W każdym jej kroku, spojrzeniu, uśmiechu.

Linuks stał w cieniu, obserwując tę rodzinną scenę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Jakub nie był pewien, co myśleć o tym człowieku, który

w potrzebie okazał się dla niego dobry, lecz z drugiej strony odmówił mu pomocy w zaciągnięciu się do rzymskich legionów. Chociaż... Chyba powinien mu za to kiedyś podziękować.

Abigail wymogła na nich wszystkich, by nie rozmawiali o niespodziewanym przybyciu Linuksa zanim nie wróci, po czym poszła położyć córeczkę z powrotem do łóżeczka. Chwilę później wróciła z Martą. Starsza kobieta powiedziała w charakterystyczny dla siebie, bezpośredni sposób:

– Mam nadzieję, że pozwolicie mi do was dołączyć?

Wszyscy trzej mężczyźni od razu skinęli głowami.

– Ale może powinniśmy pozwolić Albanowi odpocząć? – spytała Abigail.

– Już i tak wystarczająco się dziś wyspałem – wyrzucił Alban. – Moje serce rośnie, dusza się raduje, bo jestem wśród przyjaciół – podnosząc z wysiłkiem rękę wskazał słabym ruchem na nich wszystkich.

– Ale jak będziesz dalej mówił, nie wpłynie to dobrze na twoje zdrowie – zaprotestował Jakub.

– Położę się tu i będę tylko słuchał – Alban ułożył się wygodniej na posłaniu i przyglądał się po kolei twarzom przyjaciół. Jakub pomyślał, że odkąd wyruszyli z Tyberiady Alban po raz pierwszy wygląda, jakby odzyskał spokój ducha.

Linuks wyglądał na silniejszego niż kiedykolwiek przedtem. Co więcej, wydawał się zupełnie spokojny pomimo tego, co im już zdążył powiedzieć o wydarzeniach związanych z jego powrotem do Jerozolimy. Przyciągnął ławkę bliżej Albana i usiadł, oplatając palcami kubek herbaty, która na pewno już dawno wystygła. Mierzył Jakuba badawczym wzrokiem oficera, dostrzegającego ewidentne atuty i szukającego słabości. Jakub dobrze znał

ten sposób patrzenia. Alban robił to samo, gdy oceniał każdego człowieka, który chciał wstąpić w szeregi strażników karawany.

– Jesteś już mężczyzną, Jakubie – powiedział Linuks.

– Tak – potwierdził Alban, a chrypiący głos i tak nie zamaskował oczywistej dumy. – To moja silna prawa ręka.

Jakub już chciał wypomnieć Albanowi, że przecież chce go umieścić na straganie kupieckim w Samarii, ale się powstrzymał.

Linuks zwrócił się do swego starego przyjaciela i rzekł:

– Jeśli dalej będziesz mówił zamiast odpoczywać, to ja już się dziś nie odzywam.

Alban uśmiechnął się i machnął ręką pokazując, że go usłucha.

Linuks odwrócił się do Abigail, która siedziała przy piecu, obok swojego brata i Marty.

– Twoja córeczka dobrze sypia?

Usta Abigail rozciągnęły się w uśmiechu.

– Potrafi przespać burzę, pioruny, krzyki oraz śpiew.

– Rzadko kiedy płakała, nawet jako niemowlę – dodała Marta. – Chyba że miała dobry powód. Na przykład kiedy jej mama za późno przychodziła ją nakarmić. A zdarzało się to nieraz, bo Abigail miała dużo innych obowiązków na głowie.

– Czyli wciąż nie próżnujesz.

– Szczepan rozpoczął służbę dla Pana, która teraz jest jeszcze bardziej potrzebna niż wtedy – odpowiedziała Abigail, spuszczać wzrok pod intensywnym spojrzeniem Linuksa. – Wielu z tych, którzy pozostali w Jerozolimie, bardzo potrzebuje pomocy.

Marta wstała i poszła do kuchni. Jakub zauważył, że jej ruchy stały się bardziej sztywne, a na twarzy przybyło zmarszczek. Lecz uśmiech pojawiał

się na niej z taką samą łatwością jak niegdyś, zaś jej oczy wciąż błyszczały z autentyczną sympatią. Wróciła i naląła Albanowi świeżej herbaty.

– Ktoś jeszcze chce? – spytała.

Linuks wyciągnął kubek przed siebie. Gdy Marta usadowiła się z powrotem na ławce, żołnierz zwrócił się do Abigail:

– Jako przyjaciel pozwolę sobie na uwagę, że widać w tobie Boży pokój pomimo ciężaru tak wielkiej straty.

– Brak Szczepana codziennie odczuwam w moim sercu jak ranę – odpowiedziała Abigail. – Jednak z czasem coraz mniej boli. Nawet w obliczu straty odczuwam Bożą obecność.

– To widać – odparł Linuks i kiwnął głową.

Jakub przyglądał się twarzom siedzących wokół niego ludzi. Wszyscy wiedzieli, że Linuks starał się kiedyś o rękę Abigail i robił to z gorliwością rzymskiego wojownika. Posunął się nawet do przekupienia Jakuba, oferując młodemu poszukiwaczowi przygód spełnienie marzenia o zostaniu legionistą, jeśli tylko Jakub się za nim wstawi. Gdy Abigail została przyrzeczona Szczepanowi, Linuks zagroził, że będzie to koniec ich przyjaźni. Jednak Bóg przeprowadził swoją wolę nawet w tak strasznej chwili, przyciągając Linuksa, Rzymianina, do kręgu wierzących.

Jakub zauważył, że inni przyglądają się żołnierzowi.

– Nasz przyjacielu, Rzymianinie, ależ ty się zmieniłeś – powiedziała wreszcie Marta.

– Nasz Pan to sprawił – odparł Linuks.

– Bóg może pracować tylko w chętnym sercu – zapewniła go Marta.

Jakub zauważył, że Alban zmienia pozycję na posłaniu, żeby móc na niego spojrzeć, ale ten odwrócił twarz.

Wzrok Linuksa pozostał utkwiony w kubku, który trzymał w dłoniach.

– Dwadzieścia dziewięć miesięcy temu otrzymałem rozkaz powrotu do domu.

– Tak, dostaliśmy list od ciebie – powiedziała Abigail.

– I od tamtego czasu nie przestawaliśmy się za ciebie modlić – dodała Marta.

– Nie mam wątpliwości, że to dzięki waszym modlitwom zdołałem wytrwać przy Bogu – odparł Linuks. – Udałem się do Italii, bo szwagierka napisała, że mój brat jest bardzo chory, być może umierający. Nie będę kłamał. Pojechałem do domu myśląc, że to może być dla mnie szansa. Że wreszcie uzyskam to, czego mi przez całe życie odmawiano. Tytuły, bogactwo, władza – wszystko będzie moje. Było to wielkie marzenie, które niosło mnie przez morze. Z każdym dniem spędzonym na statku moje pragnienia przybierały na sile.

Jakub rozglądał się powoli, najpierw zatrzymując wzrok na twarzach czworga ludzi, rozświetlonych blaskiem dochodzącym z otwartego pieca. Jego wzrok powędrował dalej, ku płonącej pochodni, przytwierdzonej do przeciwległej ściany, którą zdobiło mnóstwo wiszących na niej narzędzi i urządzeń do pomiarów. Warsztat był naprawdę duży. Był w stanie pomieścić tuzin szkolących się chłopaków i handlarzy, a sufit sięgał wysokości kilku pięter. Z belki pośrodku sufitu, wyciosanej z pnia masywnego cyprysu libańskiego, zwisały trzy wyciągi krążkowe. Jozjasz, prawdziwy mistrz stolarski, potrafił w tym pomieszczeniu skonstruować ściany nowego domu, a potem je rozmontować i stopniowo przewieźć wózkami we wskazane miejsce. Jednak dla Jakuba pracownia stanowiła więzienie. Niegdyś bał się, że nigdy nie zdoła stąd uciec. Ale miał pewność, że stragan w Samarii będzie dla niego dokładnie tym samym, tyle że pod inną nazwą.

Tymczasem Linuks kontynuował:

– Gdy przybyłem do Italii, doświadczyłem tylko nieszczęścia, które zawsze tam było, lecz ja do tej pory pozostawałem ślepy na ten fakt. Miałem jakby zasłonę na oczach, uszytą z pożądania bogactwa, statusu i władzy. Tym razem, gdy przechadzałem się po korytarzach pałacu mego brata, z dekoracyjnymi tkaninami na ścianach, ze złotymi tacami zdobięcymi stoły, wyglądałem przez wysokie, wykończone łukami okna i patrzyłem na chłopów, na ziemię...

Nikt się nie odzywał. Jedynym dźwiękiem rozcinającym ciszę był odgłos wiatru, który nie mógł się dostać do ich bezpiecznej kryjówki oraz trzaskający ogień. Jakub znów przyjrzał się po kolei twarzom wszystkich zebranych. Kochana Marta, wierna służebnica ich Pana, której siostra, Maria i brat Łazarz byli zajęci pomocą biednym w ich rodzinnej wsi za Górą Oliwną... Abigail, jego umiłowana siostra, ze spokojem i godnością dźwigająca ciężar wdowieństwa, które dodawały jej uroku i piękna... Alban, były setnik, który wyratował Jakuba od handlarzy niewolników, przyjął do swego domu i serca oraz dał pracę niemal idealnie spełniającą jego chłopięce marzenia... No i Linuks, rzymski oficer, tak bardzo przemieniony przez Pana...

– Mój brat sądził, że przyjechałem jedynie ze względu na jego pieniądze – mówił Rzymianin. – Atakował mnie wściekle, choć leżał na łożu śmierci. Modliłem się całą noc w tej sprawie, prosząc Boga o prowadzenie. I rano je otrzymałem. Poszedłem do brata i powiedziałem, że niczego od niego nie chcę, niczego nie przyjmę i proszę go tylko o jedno: aby wyznał Pana Jezusa jako Mesjasza.

Ktoś westchnął lekko. Może nawet był to sam Jakub. Wszystkie oczy utkwione były w mężczyznę, który opierał się na łokciach i mówił jakby do jakiegoś miejsca w oddali.

– Mój brat mnie wyszydził. Ale nic to dla mnie nie znaczyło. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Oczywiście, miało to dla mnie wielkie znaczenie.

– To była twoja służba Panu – dokończyła za niego Marta. – Zrobiłeś, co mogłeś. Bóg cię do tego wezwał, a ty odpowiedziałeś.

Linuks powoli pokiwał głową, a jego spojrzenie pozostawało dalekie.

– Opowiedziałem mu o tym, że uwierzyłem w Jezusa. To samo wyznałem też reszcie jego rodziny. Jego druga żona, macocha dla córek, pomodliła się ze mną, podobnie dziewczynki. Bratanice stały się dla mnie bardzo cenne, mimo że wcześniej odwiedziłem je tylko raz.

– Zasiałeś ziarno w twoim bracie – rzekła do Linuksa Marta. – Módl się za niego i pozwól Bogu uczynić resztę.

– Ale kto się teraz zajmie jego rodziną? – czoło Linuksa zmarszczyło się w zatroskaniu. – Kto ich poprowadzi, tak jak ja byłem prowadzony przez was?

– Będę się za nich modlić, i o to, aby Pan pokazał rozwiązanie tej sytuacji – odezwała się Marta.

Jej słowa najwyraźniej przyniosły Linuksowi spokój ducha, bo oparł się wygodniej o ścianę, a jego rysy złagodniały.

– To samo poczucie, że jestem chroniony, towarzyszyło mi w podróży powrotnej. Rozmawiałem o Jezusie z ludźmi, z którymi płynąłem statkiem. Dwóch pomodliło się ze mną, a większość przynajmniej słuchała, co mam do powiedzenia.

Alban uśmiechnął się i wytarł strużkę potu z brody.

– Wczoraj, kiedy przybyłem do Jerozolimy, stawiałem się przed trybunem w twierdzy Antonia.

– U Metellusa? – szepnął Alban.

– Tak, u tego samego.

– Nie jest przyjacielem tutejszych wyznawców Jezusa.

– Ani moim. Pamiętasz, jak uznał mnie za sprzymierzeńca byłego konsula, który zastąpił Piłata? Metellus drwił, że konsul jest właśnie w drodze do domu i że jestem bezbronny. Pozbawił mnie dowództwa nad garnizonem w Kafarnaum. Prawdę mówiąc, i tak zakładałem, że wyruszając do Italii stracę tę funkcję, choć pytałem go przed wyjazdem o pozwolenie. Ale Metellus nie mógł sobie odmówić przyjemności odesłania mnie z powrotem do Cezarei. Mam się zgłosić do komendanta garnizonu i najprawdopodobniej stamtąd też zostaną odesłany – do Damaszku, Galii, a może nawet na granicę z Germanią. Metellus stwierdził, że takie wygnanie to nagroda, na którą zasłużyłem.

Te przykre konsekwencje zdawały się nie robić na Linuksie żadnego wrażenia. Mówił, jakby rozprawiał o pogodzie – tonem, w którym pobrzmiwało coś więcej niż spokój.

– Nic nie odpowiedziałem. Poczucie ochrony ze strony naszego ukochanego Pana nigdy nie było we mnie silniejsze niż w tamtej chwili. Było jeszcze silniejsze niż wtedy, gdy stałem przy łożu mojego brata. Jakby nic na tym świecie nie mogło mnie dotknąć.

Alban odkaszlnął, po czym rzekł:

– Prawdziwie jesteś jednym z nas, Linuksie.

Marta wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Rzymianina.

– Jesteś naszym bratem.

Jakub przyglądał się tym dwojgu. Judejska kobieta, służebnica zmartwychwstałego Pana i rzymski oficer, zaprzysiężony wróg jej narodu. Abigail wstała ze swojego miejsca i uklękła na kamieniach.

– Pomódlmy się za Linuksa – powiedziała.

– Za nas wszystkich – dodała Marta. – Nie, Albanie, ty leż.

Jakub przysunął się, by klęknąć obok siostry i ujął jej spracowaną dłoń. Usłyszał, jak inni zaczynają się modlić i też głośno do nich dołączył. Lecz

w sercu dźwięczały mu te same słowa, którymi modlił się po cichu w czasie obiadu. Powtarzał je w kółko. *O Panie, daj mi mądrość.*

*

Długo przed wschodem słońca, w srebrnym świetle nienarodzonego jeszcze dnia, Jakub powrócił do miejsca postoju karawany, włączając się w przygotowania do wymarszu. Chmury rozpierzchny się wraz z nocą, zabierając ze sobą wiatr, a powietrze było chłodne i suche. Zwierzęta głośno narzekały, gdyż zostały obudzone dwie godziny wcześniej, ale załadunek oraz podwójna porcja owsa w brzuchu rozgrzały je. Teraz wielbłądy tupwały szerokimi, grubymi podszwami kopyt, niecierpliwie czekając na rozpoczęcie wędrówki.

Kwarta księżycy wisiła na zachodzie, blednąc wraz z pojawiającym się słońcem, którego pierwsze promienie oświetliły niebo. Najbliższe wzgórza przybrały kolor bladej czerwieni i przed oczami Jakuba rozciągał się cudowny widok. Poganiacze, wzdychając pod nosem, szykowali się do wyjazdu. Budzili się wolniej niż zwierzęta, jeszcze byli zaspani, w przeciwieństwie do Jakuba, który był niezwykle podekscytowany, czując zew przygody. Dosiadł konia Albana, szarego ogiera z grzywą białą jak morską pianą, któremu wyraźnie udzielił się entuzjazm jeźdźca. Ogier parsknął niecierpliwie, dając znać, by zakończyć już wreszcie przygotowania i ruszyć w drogę.

Jakub przeprowadził szybką inspekcję karawany. Trzej słudzy mistrza karawany zwijali wielkie namioty i ładowali na wozy, aby zawieźć je na przechowanie do Jerozolimy, do następnej wizyty Jamala.

Mistrz karawany, Syryjczyk imieniem Yussuf, zagwizdał dwukrotnie ze swego miejsca przy bramie wyjazdowej, dając w ten sposób sygnał do wymarszu. Wielbłądy rozpoznały ten dźwięk i ustawiały się jeden za

drugim, zanim poganiacze zdążyli lekko uderzyć biczami w ich nogi. Mistrz karawany, chudy niczym chart wyścigowy, dziesięć lat spędził jako legionista, dopóki nie stracił w bitwie oka. Alban go znał i ufał mu. Pod nieobecność Albana Yussuf sam siebie mianował głównym strażnikiem karawany i polecił Jakubowi, by strzegł tyłu karawany. Większość strażników nie lubiła tego robić, bo oznaczało to wdychanie pyłu i piachu wzbijanego przez ludzi i zwierzęta. Na szczęście teraz, po chłodnej, deszczowej nocy ziemia była bardziej ubita, więc Jakub uznał, że tego dnia, o ile karawana nie zostanie zaatakowana, jedynym minusem w jego roli będzie samotność. Jakub oddał honory mistrzowi karawany i zawrócił konia. Trochę kurzu mu nie przeszkadzało.

Latif, widząc przejeżdżającego obok Jakuba, zawołał go. Chłopak zawrócił konia i podjechał w jego stronę.

– Nie zbliżaj się – syknął poganiacz.

Jakub zsunął się z siodła, udając, że ogląda kopyto konia.

– Co się stało?

– Spójrz na północ od bramy – padła cicha odpowiedź.

Miejsce postoju było podzielone na stanowiska niskimi kamiennymi murkami. Każde stanowisko, wyposażone w oddzielną studnię i koryto do pojenia zwierząt, było wystarczająco duże, by pomieścić jedną karawanę. Cały obóz ogrodzony był drewnianymi słupami i krzewem cierniowym, służącym jako nieprzekraczalna linia graniczna. Wzdłuż obrzeża znajdowały się zajazdy i stragany obsługujące karawany – kowale, wyprawiacze skór, sprzedawcy paszy. Brama wjazdowa była tylko jedna.

Gdy Jakub podniósł głowę i wyjrzał zza końskiego karku, Yussuf i pierwsza partia zwierząt właśnie powoli przez nią przechodzili. Karawana Jamala była duża – liczyła ponad siedemdziesiąt wielbłądów i przeszło trzydzieści osłów, a teraz zdawała się jeszcze dłuższa niż zwykle. Znacznie

mniejsze stadko Latifa wciąż klęczało w swoim stanowisku, czekając na sygnał do wyruszenia.

Jakub zauważył, że Latif ma tylko sześć wielbłądów, co oznaczało, że trzy gdzieś zaginęły. A to przecież było niemożliwe. Wiadomość o zaginionym, chorym lub zranionym wielbłądzie rozprzestrzeniła się w obozie szybciej niż wiatr.

– Gdzie reszta twoich zwierząt?

– Z Yussufem. Ale to teraz nieważne – Latif wskazał podbródkiem. – Zobacz, kto stoi przy bramie.

Przy wejściu jak zwykle stał zniechęcony przez wszystkich strażnik celny i nadzorował wychodzące zwierzęta. Ochraniało go dwóch rzymskich żołnierzy, którzy opierali się na swoich włóczniach i obserwowali karawanę ze znudzonym wyrazem twarzy.

– Nie rozumiem – powiedział Jakub, nie patrząc na Latifa. – Często sprawdzają pod takim czy innym pretekstem. Jakakolwiek wymówka... Chodzi o przemyt? Ale ty chyba nie...?

– To nie jest urzędnik celny – mruknął Latif, zaciskając pas na ładunku jednego z wielbłądów. – Spójrz na faryzeusza.

Jakub zauważył dwóch odzianych na czarno mężczyzn, stojących nieco dalej od wejścia, na wpół ukrytych za daszkiem nad straganem.

– Co to za jedni?

– Nie jestem pewien. Lecz obawiam się, że ten wyższy to Szaweł z Tarsu.

Jakub poczuł jak ścina mu się krew w żyłach.

– Myślisz, że ciebie szuka?

Latif wspiął się na siodło stojącego na czele wielbłąda, mlasnął językiem i machnął skórzanym biczem. Wielbłąd wydał z siebie pomruk,

potem beknięcie, po czym powoli stanął na nogi. Pozostałe zwierzęta poszły w jego ślady i powłócząc kończynami podążyły w stronę bramy.

– Tak jak ci mówiłem, Jamal dał mi specjalne zadanie – powiedział Latif mijając Jakuba. – Takie, o którym nie ma wiedzieć nikt inny z karawany. Jeśli mnie zabiorą, powierzam ci opiekę nad moimi wielbłędami. Teraz są z Yussufem. On o niczym nie wie i ma na tyle rozumu, żeby nie pytać – obejrzał się jeszcze i dodał: – Ale nie sądzę, że Szaweł jest tutaj z tego powodu. A torba? Jest bezpieczna?

Jakub skinął głową i wsiadł na konia, a jego nogi trzęsły się ze strachu, tak że zwierzę to wyczuło i zaczęło rzucać zadem na boki. Jakub ściągnął wodze, poklepał ogiera po szyi i wymruczał ledwie poruszając ustami:

– Skąd możesz mieć pewność, że przyszli po ciebie?

– Pewności nie mam. Ale po co w takim razie... Nieważne. Zaraz się dowiemy. Rozmawiałem z Yussufem. On wie, że masz strzec moich wielbłędów i zgłosić się do Jamala.

Jakub chciał jeszcze zaprotestować, ale Latif machnął pejczem i warknął:

– Nie mogą cię ze mną zobaczyć. Narazasz siebie i w ogóle wszystko. Módl się za mnie, jeśli mnie zabiorą. Jakubie, torba jest sprawą najwyższej wagi. Dostarcz ją zgodnie z tym, co ci poleciłem.

Jakub udawał, że sprawdza wielbłądy zamykające karawanę, a Latif pojechał dalej. Gdy chłopak uznał, że jest to już bezpieczne, obejrzał się, puszczając ostatni sznur zwierząt pomiędzy sobą a żołnierzami przy bramie. Dwaj faryzeusze nadal byli jak cienie – ich czarne szaty zlewały się z cieniem straganu.

W tym momencie zobaczył, jak jeden z nich robi krok do przodu. Jakub wstrzymał oddech.

Od razu rozpoznał Ezdrasza, wpływowego kupca z Jerozolimy, który kiedyś starał się o rękę Abigail. Od śmierci swojej siostry, Safiry, Ezdrasz stał się postrachem wszystkich wyznawców Drogi.

Ezdrasz odwrócił się, by powiedzieć coś do drugiego mężczyzny. Jakub go nie rozpoznał, ale nie musiał. Usłyszał już wystarczająco dużo opisów Szawła z Tarsu. Wysoki, szczupły i twardy, zarówno jeśli chodzi o sylwetkę, jak i wyraz twarzy. Spojrzenie jego ciemnych, groźnych oczu przypominało wzrok drapieżnego ptaka. Stali tak we dwóch, Ezdrasz i Szaweł, a ich spojrzenia sygnalizowały niebezpieczeństwo.

Jakub lekko zeskoczył z siodła i zdjął z szyi długą pustynną chustę. Owinął ją sobie dokoła głowy, jak to mieli w zwyczaju mężczyźni należący do plemion pustynnych, i przewiązał, by okrywała również jego twarz. Zazwyczaj poganiacze oraz strażnicy karawan robili tak, gdy paliło ich słońce lub wiatr smagał z brutalną siłą. Choć jednak ten dzień był chłodny, a bryza świeża, to jednak Jakub nie był jedynym, który założył na ramiona burnus.

Z bijącym mocno sercem zrównał krok z objuczonym ciężko wielbłądem i obserwował faryzeuszy. Mieli identyczne brody, szpiczaste niczym włócznie, z tą różnicą, że broda Ezdrasza nosiła ślady siwizny. Ich twarze były napięte z wściekłości. Jakub zobaczył, jak Ezdrasz pochyla się w kierunku młodszego faryzeusza i coś do niego szepcze. Szaweł wskazał na zbliżającego się do nich Latifa. Ezdrasz skinął głową.

Szaweł odwrócił się i przywołał kogoś stojącego za nim. Serce Jakuba zaczęło bić jeszcze szybciej, gdy zobaczył, że z niszy za straganem wyłania się pięciu strażników świątynnych.

Razem z Szawłem podszli do Latifa. Choć słów faryzeusza nie dało się dosłyszeć z powodu ryku wielbłądów, to Jakub natychmiast wyzbył się

złudzeń. Strażnicy ściągnęli Latifa z grzbietu zwierzęcia i powalili na kolana w przydrożnym pyłe, podczas gdy jego wielbłądy pociągnięto na bok.

Wieść o zatrzymaniu Latifa musiała błyskawicznie dotrzeć na przód karawany, gdyż Yussuf natychmiast przygalopował wzdłuż ustawionych w linii zwierząt.

– Co to ma znaczyć? – krzyknął, zanim jeszcze zsiadł z konia.

– Jestem tu w sprawach Świątyni – głos Szawła był zimny niczym trzymany w gotowości sztylet. – Ostrzegam, nie wtrącaj się.

– Ale ten człowiek jest Syryjczykiem!

– Jest *Judejczykiem* pochodzącym z Syrii! Dlatego obowiązuje go prawo Świątyni – oczy Szawła zwężyły się. – I ciebie również.

Sznur wielbłądów Jamala przeszedł powoli obok nich. Jakub trzymał głowę zwieszoną tak, by jego twarz pozostawała ukryta w fałdach chusty. Usłyszał, jak Yussuf pyta śmiało:

– Z czyjego rozkazu?

Szawel sięgnął pod swoją szatę i wyjął zwój.

– Jestem tu z polecenia Sanhedrynu, który wydał rozkaz aresztowania tego człowieka.

Choć Yussuf, były legionista, wielokrotnie odpierał ataki bandytów i walczył w trakcie pustynnych burz, to widok zwoju z pieczęcią Świątyni onieśmielił go.

– Latif jest moim zaufanym przyjacielem – powiedział drżącym głosem.

– To powinieneś lepiej sobie dobierać przyjaciół, jeśli nie chcesz podzielić jego losu.

Jakub usłyszał w tym zdaniu więcej niż ostrzeżenie. Wyczuł w Szawle z Tarsu nieugiętość, nieprzejednanie – sprawdziło się wszystko, co mówiły o nim pogłoski, a nawet było gorzej. Stał przed nim człowiek tak pewny

swego autorytetu, że każdego, kto chciałby mu się sprzeciwić, gotów był skazać na śmierć – z premedytacją, szybko i bez skrupułów. Jakub cieszył się, że może się przed nim skryć za wielbłądem.

Z trzęsącymi się nogami przeprowadził konia przez bramę. Usłyszał, jak Yussuf mówi, tym razem śmielej:

– A co z jego wielbłądami? Czy one też są zatrzymane?

Tym razem przemówił drugi z faryzeuszy. Był to głos człowieka, który kiedyś starał się o rękę jego siostry, lecz jednak jakiś inny. Teraz brzmiał chłodniej, surowiej, miał w sobie tę samą nieprzejednaną siłę, co głos Szawła.

– Powiedziano nam, że ten człowiek jest wyznawcą zakazanej sekty oraz przemyca kontrabandę.

W tym momencie Yussuf poczuł się pewniej.

– To przeszukajcie jego towary. Lecz wielbłądy należą do Jamala, który jest jego i moim panem.

Ezdrasz zawahał się.

– Czy mówisz o Jamalu, kupcu mieszkającym w Tyberiadzie i Damaszku?

– Nie inaczej.

– W takim razie nie możemy wziąć wielbłądów – głos Ezdrasza utracił nieco ze swej wojowniczości.

– A co z towarami? Mam je zostawić na środku drogi, żebyście wszystko rozbebeszyli i wzięli, co wam się spodoba?

– Nie jesteśmy pospolitymi złodziejaskami! – wykrzyknął Szaweł.

Yussuf nic nie odpowiedział.

– Towary trzeba przejrzeć – powiedział Ezdrasz. – Zrobimy to niezwłocznie. Jeśli wszystko będzie w porządku, będziesz mógł je zabrać.

Jakub zwolnił kroku na tyle, na ile się odważył, dopóki nie przeszedł ostatni z zasłaniających go wielbłądów. Usłyszał, jak Yussuf pyta:

– A co będzie z Latifem?

– Już ci powiedziałem – warknął Szaweł. – Powinieneś ostrożniej dobierać sobie przyjaciół.

– Słyszę i będę posłuszny. Proszę was jedynie, byście się pospieszyli z przeszukiwaniem. To opóźnienie może...

Niecierpliwy ruch ręki Szawła uciszył dalsze obiekcje.

Jakub zaryzykował spojrzenie za siebie. Serce go bolało na widok Latifa klęczącego na drodze z zaciśniętymi powiekami, z rękami przyciśniętymi do piersi i ustami poruszającymi się bezgłośnie, niewątpliwie w żarliwej modlitwie. Jakub tak bardzo pragnął zawrócić, popędzić konia, wyciągnąć miecz i... *I co dalej?* Co mógł zrobić jeden człowiek przeciwko dwóm legionistom i grupce uzbrojonych strażników świątynnych? Jakub odwrócił się z powrotem w stronę drogi, kryjąc się za koniem, by w ten sposób mniej rzucać się w oczy.

– Jakubie! – zawołał za nim Yussuf. – Jedź przodem i powiedz innym, co się stało. Jedźcie drogą wzdłuż wybrzeża. Dojadę, jak skończą przeszukiwanie.

Jakub wsiadł na konia i podniósł rękę. Jego usta próbowały powiedzieć: „Słyszę i będę posłuszny”, lecz gardło było zbyt ściśnięte, by wydobył się z niego jakikolwiek dźwięk. Kopnął konia w boki piętami i pogalopował do przodu.

Do tej pory nigdy nie uważał siebie za tchórza. Teraz to się zmieniło.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jerozolima

Linuks spał do późna i obudził się na pół przytomny. Miał nadzieję, że wkrótce uda mu się pozbyć zmęczenia, które wciąż odczuwał po długiej podróży. Rozejrzał się po warsztacie i zwinął swoje poślanie, po czym chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz, by umyć twarz tak, jak zrobiłby to pospolity żołnierz, czyli po prostu zanurzyć głowę w beczce z wodą stojącej na tyłach budynku. Jozjasz i jego uczniowie zaśmiali się na widok ociekającego wodą Rzymianina, który dopiero co spał pod postrzępionym kocem obok ich pieca w warsztacie. Sen żołnierza był tak mocny, że nie obudziło go nawet zgrzytanie miechu ani odgłosy walenia drewnianymi młotami. Gdy Linuks podniósł znad beczki ociekającą wodą głowę, natychmiast wsadził ją z powrotem i zanurzył jeszcze raz. Tym razem, gdy się wynurzył, z jego ust wytrysnęła fontanna wody, która dosięgła stojących

najbliżej rzemieślników. Starali się przed nią uskoczyć, śmiejąc się jeszcze głośniej.

Jozjasz rzucił mu ścierkę, którą właśnie sam wytarł ręce. Linuks osuszył twarz, skinął głową w podziękowaniu i wziął od najmłodszego z uczniów Jozjasza czerpak z wodą. Napił się i wrócił do pracowni. Usiadł na podłodze obok posłania Albana.

– Gdzie nasz Jakub?

– Wyjechał jeszcze przed świtem. Jego karawana jest już pewnie w drodze do Cezarei.

Słyszając tę nowinę Alban nie okazał żadnych emocji. Linuks uznał, że przyjaciel musi być myślami gdzieś indziej.

– Czy coś cię trapi? – nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Jakub świetnie sobie poradzi.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – Alban zawahał się, po czym dodał: – Ja i on... No cóż, poróżniliśmy się.

– Ale czym się tak martwisz?

Alban opowiedział o straganie w Samarii, podarowanym mu przez Jamalą. Linuks wysłuchał, po czym powiedział z powątpiewaniem:

– Trudno mi wyobrazić sobie Jakuba w roli kupca.

– Byłby bezpieczny. Miałby stabilną pracę, a stragan zapewniłby mu świetny dochód.

– Ale ile Jakub ma teraz lat? Dwadzieścia? Nie marzy mu się ciepła posiadka w środku samarytańskich równin. On pragnie przygód.

– A to są najbardziej niebezpieczne czasy na szukanie przygód.

– Na pewno dobrze go wyćwiczyłeś – Linuks, widząc, że Alban ma gotowe kolejne argumenty, szybko zmienił temat. – Wyglądasz dziś lepiej.

– Nie mogłoby być inaczej – nawet głos Albana brzmiał głośniej, zdrowiej. – Jestem otoczony przez przyjaciół, chroniony przez wiarę,

otoczony modlitwą i troską, po prostu kochany.

– Mówisz o niebie na ziemi – powiedział Linuks, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Tak – ton Albana złagodniał. – A w domu czekają na mnie dwie najukochańsze osoby. To doprawdy kawałek nieba na ziemi – popatrzył na przybity gwoździem do przeciwległej ściany drewniany krzyż, po czym potrząsnął głową. – Gdyby tylko wszyscy wierzący byli w takiej sytuacji jak ja...

Linuks jakoś nie zauważył wczoraj tego krzyża. Pierwszy raz widział taką rzeźbę.

– Jest aż tak źle?

– Wkrótce może być jeszcze gorzej – Alban wskazał na krzyż. – W nocy Jozjasz obudził się nagle i poczuł ogromny strach o swoją rodzinę i uczniów. Gdy się modlił, zobaczył wizję tego krzyża. Rzeźbił go, podczas gdy wszyscy w domu spali. Dziś rano widziałem, jak go tu przymocowuje.

– Tak się właśnie zastanawiałem, dlaczego go wczoraj nie zauważyłem – Linuks pokiwał głową nie tyle w odpowiedzi na słowa Albana, co na swoje własne myśli. Bez zdziwienia przyjął fakt, że Jozjasz przyszedł do Pana na kolanach, a Pan przemówił do niego przez obraz. Być może nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał mistrz stolarski, lecz pokój, który Linuks odczuwał patrząc na ten krzyż, palił go w piersi.

Dla Judejczyków krzyż był chyba najbardziej znienawidzonym symbolem rzymskiego panowania. Ten śmiertelny znak stanął na zbyt wielu wzgórzach, zwiastując najbardziej haniebną śmierć, a przedtem długą mękę, niosącą wstyd wszystkim, którzy byli jej świadkami.

A teraz wisiał tu, dając nadzieję przekraczającą ich zmartwienia i lęki. Samo patrzenie na ten kawałek wyrzeźbionego drewna podnosiło Linuksa na duchu, niosąc go na skrzydłach obietnicy: silnej i wiecznej.

*

Linuks patrzył jak Abigail, Marta i mała Dorcas dołączają do grupy zbierającej się na popołudniowy posiłek. Rodzina Jozjasza wraz z kilkoma innymi klanami spokrewnionymi z jego uczniami i innymi rzemieślnikami, zebrała się na modlitwę, po czym jadła w milczeniu, co najwyraźniej było przyjętym w tym domu zwyczajem. Nie przestrzegała go tylko Dorcas. Córeczka Abigail, bystra i pogodna czterolatka, jadła z talerza mamy, a potem bawiła się w cieniu pod stołem. Szczebiotła coś do małej szmacianej lalki i śpiewała urywki pieśni chwalących Boga. Widząc to Linuks uśmiechał się i tęsknił za pozostawionymi w Italii bratanicami. Chmury rozproszyły się i wiatr nie był już tak silny. Ustawione na tylnym podwórzu stoły otaczał długi rząd palm daktylowych. Cała okolica pachniała trocinami, klejem, dymem i męskim potem – dowodem ciężkiej pracy mężczyzn. Linuks byłby zupełnie zadowolony, gdyby nie smutne twarze ludzi, którzy go otaczali.

Po posiłku Marta wyniosła matę, na której spał Alban i ułożyła ją pod bocznym murem. Alban był pewny, że da radę usiąść przy stole i próbował ją do tego przekonać, lecz kobieta rzekła twardo:

- Położysz się tu, gdzie słońce ogrzeje ci kości.
- Ale ja wcale...
- Zrób, co ci powiedziała, przyjacielu – ostrzegł żartobliwie Linuks.

Alban zrzędził dalej, ale położył się posłusznie w wygodnej pozycji. Podeszedł do nich Jozjasz, którego przedramiona upstrzone były trocinami. Wytarł dłonie o ścierkę wiszącą u jego pasa.

- W nocy zaginał kolejny z naszych braci.
- Jego ściszony głos i twarz mówiły więcej niż słowa.
- Obok niego stanęła jego żona i podała mu chochlę ze świeżą wodą.

– Tak robią ludzie Szawła. Przychodzą w nocy i biorą, kogo im się podoba, a jak ktoś protestuje, machają przed nosem rozkazem ze Świątyni.

Jozjasz potrząsnął głową.

– Nie wiem, co bym zrobił, gdyby zabrali któregoś z moich chłopców.

– Opuszczamy to miasto – powiedziała kobieta, również ścisząc głos.

– Jutro o świcie.

– Ten dom należał do mojej rodziny od siedmiu pokoleń – powiedział Jozjasz. – Ta ziemia i ta praca. Mój ojciec był cieślą, a przed nim jego ojciec. Jerozolimę mam we krwi.

– Przecież nie uciekasz – zapewniła go żona, z pewnością powtarzając argument użyty we wcześniejszych rozmowach. – Ratujesz naszą rodzinę.

– Mam niedokończone prace, obiecałem ludziom...

– Zabierasz narzędzia ze sobą. Wszystko możesz tu przysłać, jak będzie gotowe.

– To nie to samo. Muszę być tutaj, żeby dostawać nowe zamówienia.

– A jeśli zabiorą ciebie i twoich synów, co nam to da, że będzie więcej zamówień?

W jej słowach nie było gniewu, nie próbowała też narzucać swojego zdania. Ich dyskusja najwyraźniej podążała dawno już wydeptaną ścieżką.

– Znaleźliśmy farmę oliwną niedaleko Sebastii – kobieta zwróciła się do Albana i Linuksa. – Jest tam stara stodoła, gdzie mój mąż może pracować. Drewna jest pod dostatkiem. I jest spokój. Wyruszamy o świcie.

Jej skinienie głową było równie zdecydowane jak ton głosu.

Jozjasz przywtórzył jej niechętnym skinieniem, po czym zwrócił się do milczących świadków tej wymiany zdań.

– Możecie tu zostać tak długo, jak tylko chcecie.

– Wszyscy powinniście opuścić Jerozolimę najszybciej jak to możliwe – powiedział Alban ze swego posłania.

Marta tylko zerknęła na Abigail.

– Ja nie mogę wyjechać – powiedziała cicho dziewczyna.

Żona Jozjasza westchnęła, ale nic nie rzekła. Wiatr zaszeleścił nad ich głowami palmowymi liśćmi. Linuksowi zdało się, że nawet pogoda nie zgadza się z decyzją Abigail.

– Muszę kontynuować dzieło Szczepana – powiedziała. – Służę wdowom i sierotom. Oni nie mają nikogo, nie mają gdzie...

– Z każdym dniem jest ich w Jerozolimie coraz mniej – wtrąciła żona cieśli, patrząc na swoje ręce. Mówiła tym samym, pozbawionym emocji tonem, którym przed chwilą zwracała się do męża.

– Czuję, że Bóg jest obecny. On mnie prowadzi i pociesza. On nas będzie chronił.

Podniosła córeczkę i przytuliła ją, aż Dorcas zaczęła się wiercić.

– A nie możesz wykonywać Bożych dzieł gdzie indziej? – spytał Alban. Abigail poprawiła swój szal.

– Pozostanie w Jerozolimie jest dla mnie ważne. W jakiś sposób odczuwam, że Szczepan... że jego błogosławieństwo jest tutaj.

Alban zmienił pozycję na swym posłaniu. Wszystkie oczy prócz Abigail skierowały się na niego. Lecz Linuks, który oczekiwał, że Alban nadal będzie się upierał przy swoim, srodze się zawiódł, gdy ten opowiedział zebranym, że kupiec Jamal podarował mu stragan w bardzo dobrym miejscu, na skrzyżowaniu szlaków handlowych na równinie Megiddo w Samarii, a wraz ze straganem dom w pobliskiej wiosce. Dodał, że Jakub odmówił pracy w tamtym miejscu, upierając się przy tym, by dalej pracować jako strażnik karawany.

Po jego słowach zapadła cisza. W końcu odezwała się Abigail:

– Muszę zostać również ze względu na Martę. Bola ją stawy. Podróż tylko by...

– Nie używaj mnie jako wymówki – przerwała jej Marta. – Jeśli o mnie chodzi, mogę wyruszyć choćby i dziś.

– Ale nie chciałaś dołączyć do Marii i Łazarza u was w domu – powiedziała Abigail.

– Jakże mogłabym cię tu zostawić samą, kochana? Przecież słyszysz, co się dzieje. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Nadciągają chmury. Zbliża się burza.

– Pomyśl o swojej córeczce – wsparła ją żona Jozjasza. – Jeśli zabiorą cię ludzie Szawła, co stanie się z Dorcas?

– O niczym innym tak nie myślę – szepnęła Abigail i rogiem szala otarła łzy. – Ale jeśli wyjadę z Jerozolimy, utracę ostatnie ogniwo łączące mnie ze Szczepanem... – głos jej się załamał.

– Szczepan oczekuje cię na końcu twojej drogi – rzekł Alban. – Tego jestem absolutnie pewny.

– Nie jestem pewien, ile powinienem teraz powiedzieć, ale gdy ostatni raz rozmawiałem ze Szczepanem, poprosił mnie, żebym cię chronił najlepiej jak potrafię – z wahaniem odezwał się Linuks. – Czuję, że moim obowiązkiem wobec niego, jak i wobec Boga, jest powiedzieć ci, że wszystko, co inni ci mówią, to święta racja. Ja jestem tu dopiero od kilku dni, a już i tak wiem, że sytuacja jest znacznie groźniejsza, niż wcześniej słyszałem. Sanhedryn uważa wierzących za znacznie większe zagrożenie niż to ze strony zelotów. A nowy konsul w tej sprawie dał Radzie Świątynnej wolną rękę. Trybun palcem nie kiwnie, żeby was ochronić. Wszystko to oznacza jedno: jeśli zostaniesz w tym mieście, najprawdopodobniej cię aresztują... Albo jeszcze gorzej.

Abigail nic nie powiedziała.

– A co z Albanem? – spytała Marta. – Jest chory. Nie możemy go tu tak zostawić.

– Mogę załatwić wóz – odparł Linuks, a widząc niechęć na twarzy Albana, dodał: – Nie, przyjacielu, nie kłóć się ze mną. Nie tym razem. Będę podróżował z tobą i dopilnuję, żebyś się nie przemęczał. Poślemy wiadomość do Lei do Kafarnaum, że wracasz do zdrowia i że wkrótce będziesz w domu.

Dorcas musiała zauważyć zaniepokojenie mamy. Stała, w jednej ręce ściskając lalkę, a drugą pociągając za szal Abigail.

– Mamo. Mamo?

Abigail posadziła dziecko na kolanach, pogłaskała po twarzyczce i wzdychając, krótko skinęła głową.

Żona cieśli przysunęła się bliżej męża i powiedziała:

– Ruszamy wszyscy o świcie.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Droga do Joppy

Jakub dobrze znał dwa szlaki wiodące z Jerozolimy do Cezarei. Zaczynały się jako jedna droga wiodąca przez wzgórza na zachód od Jerozolimy. Dalej, gdy droga schodziła na równiny, główny szlak Rzymian kierował się na północny zachód niemalże w linii prostej aż do miejsca docelowego na wybrzeżu. Droga ta była wybrukowana, więc łatwiej było po niej iść wielbłądom, lecz prowadziła przez niezamieszkałe tereny. Na tym pustym odcinku narastała aktywność band zelotów. Bezpieczniejszy szlak nadbrzeżny, jak głosiły legendy, powstał jeszcze za czasów króla Dawida, lecz miejscami była to ledwie skalista ścieżka.

Gdy dotarli do rozstaju dróg, Yussuf jeszcze do nich nie dołączył. Jakub wątpił, by ktokolwiek inny z obsługi karawany usłyszał ostatni rozkaz, który wydał mu Yussuf. Obawiał się, że poganiacze lub strażnicy,

którzy go nie znali, będą się z nim kłócić i stawiać opór, kwestionując jego tymczasowe dowództwo. Yussuf był silnym i doświadczonym mistrzem karawan, a mianował go sam Jamal. Jakub był tylko jednym ze strażników, nic nie znaczył, zwłaszcza teraz, gdy Alban leżał chory w Jerozolimie. Jakub był pewien, że przynajmniej niektórzy zakwestionują jego prawo do dowodzenia.

Gdy wchodzili w ostatni zakręt drogi, która następnie schodziła w dolinę, Jakub, który do tej pory zamykał karawanę, popędził konia do przodu. Spodziewał się, że któryś z poganiaczy lub strażników zakwestionuje jego poczynania, lecz zamiast tego wielu z tych, których mijał, machnęło pejcami, co było rodzajem pustynnego zaskładowania.

Jakub dojechał na czoło karawany, gdy do rozstaju dróg pozostał mniej więcej jeden stadion. Zrównał tempo ze strażnikiem otwierającym karawanę, którego imienia nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć.

- Znasz drogę przed nami? – spytał.
- Nigdy nie podróżowałem dalej na zachód niż tu.
- Jesteś z Syrii?
- Z Nabatei.

To zaciękało Jakuba. Nabatea była niewielkim królestwem na południe od Syrii. Bywało, że sprzymierzała się z Partami i była znana jako raj dla bandytów. Co więcej, podobno zeloci płacili za zgodę na budowanie na jej terenie stałych obozowisk, znajdujących się w ten sposób poza zasięgiem rzymskich żołnierzy.

Na twarzy Jakuba musiało odmalować się zaskoczenie, gdyż strażnik dodał:

- Yussuf mi ufa. Jamal także.
 - Ja również. Mam na imię Jakub.
- Strażnik podniósł dłoń.

– Hamman. Jesteś synem Albana?

– Nie, to mój opiekun – Jakub zawahał się, po czym dodał: – Urodziłem się w kupieckiej rodzinie. Nasza karawana została zaatakowana, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Tylko ja zostałem uratowany przez rzymskich żołnierzy pod wodzą Albana.

Strażnik powoli pokiwał głową, po czym rzekł:

– A bandytami byli prawdopodobnie Nabatejczycy lub Partowie sprzymierzeni z moim krajem. Masz dobry powód, by być zaskoczonym, że mnie tu spotykasz.

Jakub nie odpowiedział na jego komentarz. Zamiast tego powiedział:

– Jeden z nas musi jechać na końcu. Tył karawany jest niestrzeżony.

– Znasz drogę wzdłuż wybrzeża?

– Jechałem tędy wiele razy. Ale Jamal wyznaczył ciebie, żebyś dowodził karawaną – dodał powoli Jakub.

– Ci, którzy cię znają, mówią, że jesteś tak samo godny zaufania jak Alban – Hamman zawrócił konia. – Jadę osłaniać tyły.

Jakub zasalutował mu zwyczajem arabskim, kciukiem i palcem wskazującym dotykając kolejno czoła, ust i serca. Strażnik odpowiedział tym samym, po czym odjechał.

Gdy pierwsze zwierzęta dotarły do rozstaju dróg, Jakub zrobił to, co w tym wypadku zrobiłby sam Yussuf. Podniósł się na strzemionach, stanął w siodle i zagwizdał wystarczająco głośno, by było go słychać daleko z tyłu karawany, po czym zamachnąwszy się ręką wykonał jeden płynny ruch i wskazał na drogę przed sobą.

Z przodu karawany krajobraz wydawał się bardziej rozległy. Wszystko, co Jakub teraz widział, rysowało się z krystaliczną przejrzystością. Równina rozciągała się przed nim jako morze skał i piachu. Po lewej stronie, na południe od szlaku, ciemne chmury sunęły z powagą, precyzyjnie zrzucając

na ziemię kolumny deszczu. Za nim w swym odwiecznym splendorze wznosiły się wzgórza: tam, gdzie zbierały się chmury – szare i zacienione, zaś w miejscach, gdzie dotykały ich promienie słoneczne – w kolorze ochry i złota. Karawana rozciągała się za nim na rzymską milę. Jakub odwrócił twarz z powrotem ku pustej drodze wiodącej na zachód. Wziął głęboki oddech i próbował sobie powtarzać, że wdycha to samo chłodne, suche powietrze, co dziś rano. Nigdy jeszcze nie jechał z przodu karawany. To było miejsce Albana, Yussufa lub Jamala. Każdy wdech pachniał przygodą i odrobiną strachu.

*

Gdy karawana dojechała do pierwszego nocnego postoju, Yussuf wciąż jeszcze do nich nie dołączył. Droga skręcała teraz na południe. W tym miejscu odchodził od niej pomniejszy szlak wiodący na północ, a na rozstaju obu dróg wyrosła wioska. Miejsce postojowe dla karawan, ogrodzone krzewami cierniowymi, znajdowało się na wschód od wioski. Rozpadający się płot wyznaczał teren dla podróżnych.

Gdy zbliżała się długa procesja wielbłądów, koni, wozów i poganiaczy, Jakub czuł na sobie wzrok wielu par oczu. Był najmłodszy i najmniej doświadczony ze strażników i znał z imienia mniej niż połowę poganiaczy. Lecz gdy nikt inny się nie zgłosił, Jakub pojechał przodem do starszyny wioski, która już ich oczekiwała.

Karawany stanowiły główne źródło utrzymania dla wioski. Jakub ostro się targował, w obawie, że cena, którą mu zaoferowano za paszę, wodę oraz jeden nocleg w obozie jest zbyt wysoka. Wzruszył ramionami, wznosił bicz i wskazał karawanie północny kierunek. Widział nieraz, jak Yussuf używa tej metody, gdy uznawał, że narzucają mu zbyt wysoką opłatę. Ale tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Yussufa nie było w pobliżu, a poganiacze

mieli słusne powody, by sprzeciwić się rozkazowi Jakuba. Zaczęli podróż jeszcze przed świtem; zarówno ludzie, jak i zwierzęta byli utrudzeni. Czując odpowiedzialność za towary i denary mistrza karawany, Jakub gwizdnał tak samo jak Yussuf, gdy ten dawał znak, żeby ruszać dalej... i wstrzymał oddech, bo oto poganiacze jak jeden mąż zaczęli kierować zwierzęta na szlak północny. Nie było słycać zrządzenia czy protestów, nikt nie kwestionował decyzji i przywództwa Jakuba.

Starszyzna wioski natychmiast zaczęła krzyceć, by się zatrzymali, oferując cenę ponad połowę niższą od tej, której zażądała wcześniej.

Jakub zagwizdał po raz drugi, wskazując, by wielbłądy prowadzące karawanę weszły do obozu. Zsunął się z siodła i stanął przy bramie, gdy wchodził przez nią pierwszy sznur zwierząt. Dopiero gdy minęły go ostatnie wielbłądy, a Hamman zasalutował wjeżdżając przez bramę, Jakub odetchnął z ulgą.

*

Jakub nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić, jak wypełniać obowiązki, które zostały przed nim postawione. Próbował więc zachowywać się tak, jak jego zdaniem zachowałby się Alban.

Najpierw podszedł do Hammana, najstarszego z nowych strażników. Jakub przy wszystkich zasalutował jeszcze raz i oficjalnie podziękował za jego pracę. Potem poprosił go o pomoc w wyznaczaniu zmian warty. Jakub wyjaśnił mu również, na tyle głośno, by jego słowa dosłyszeli najbliżej stojący poganiacze, że przejmuje odpowiedzialność za wielbłądy Latifa i musi je rozładować oraz nakarmić.

Wszystko poszło dobrze. Mężczyźni zareagowali, jakby Jakub już był nowym dowódcą strażników. Mimo to młodzieniec tęsknił za Albanem bardziej niż kiedykolwiek. Pierwszy raz pojechał w trasę bez swego mentora

i opiekuna, i brakowało mu go, nawet jeśli dopiero co się poróżnili. Poza tym przeszywał go smutek z powodu Latifa. Jakub mimowolnie zastanawiał się, czy gdyby Alban był z nimi, to wymyśliłby coś, co mogłoby uratować ich brata w wierze. Może gdyby Jakub był lepszym albo odważniejszym człowiekiem...

Jakub przejął od głównego poganiacza trzy wielbłądy należące do Latifa. Mężczyzna ten, jeden z wujów Yussufa, wiedział, że nie należy o nic pytać. Jakub poprowadził zwierzęta bliżej wejścia, gdzie mógł się nimi zająć, a jednocześnie nadzorować obóz. Gdy przywiązywał wielbłądy, najmniejszy z nich, samica o dość złośliwym usposobieniu, próbował uszczypnąć go w ramię. Jakub zareagował tak jak robili to poganiacze w stosunku do zwierząt, które się źle zachowały; smagnął samicę po szyi skórzanym biczem i krzyknął tak głośno, że przestraszył kilka stojących najbliżej zwierząt.

Poganiacz rozładowujący obok towar zaśmiał się i powiedział:

– Ta mała potrafi być wredna. Latif mówi, że ona uważa się za zbyt urodziwą do takiej pracy.

Wielbłądzica rzeczywiście była ładna. W zachodzącym słońcu jej sierść mieniła się na brązowo. Patrzyła na niego z wyrzutem swymi ogromnymi ciemnymi oczami, okolonymi przez długie rzęsy. Dotknął jej karku i poczuł, jak wielbłądzica poruszyła się nerwowo. Przemówił do niej łagodnie, dotykając przy tym zgięcia jej kolan pejczem. Zwierzę bez dalszych protestów uklękło na ziemi.

– Potrafisz obchodzić się ze zwierzętami – pochwalił go poganiacz. – Latif dobrze zrobił, że poprosił cię o pomoc.

Jakub oparł się pokusie, by odpowiedzieć, że właśnie wcale nie pomógł Latifowi. Zamiast tego przymusił kolejno wielbłądy, by uklękły z brzuchami na ziemi, po czym odwiązał każdemu uprząż, pozdejmował z ich grzbietów

ładunki i poukładał na jedną wielką stertę. Inni poganiacze obserwowali, jak Jakub kieruje wielbłądy tak, by uformowały trójkąt wokół towarów. Ich wyraz twarzy wskazywał, że doceniają jego pracę.

Jakub przechodził od jednego zwierzęcia do drugiego, wyciągając z ich pysków kawałki drewna, a potem dokładnie sprawdzając każde kopyto, czy nie ma jakichś uszkodzeń. Wielbłądy dobrze znosiły intensywne upały i potrafiły wytrzymać całe dni bez wody, lecz miękkie poduszki ich kopyt były bardzo wrażliwe. Gdy Jakub dotarł z oględzinami do ostatniego wielbłąda, znów poczuł się przytłoczony tą całą sytuacją. Przez cały dzień wielokrotnie zalewała go ogromna fala poczucia winy i zmartwienia. Chwycił grzywę zwierzęcia, oparł głowę o jego długą szyję i modlił się, prosząc o bezpieczeństwo dla Latifa. Modlił się, by Latif mu przebaczył, i aby Bóg mu przebaczył. *Ale co ja mogłem zrobić? Coś na pewno mogłem...* Tego typu myśli przebiegały przez jego strapiony umysł. Samica jakby wyczuwała cierpienie Jakuba, bo wydała z siebie długi, niski pomruk.

Gdy Jakub podniósł głowę, ujrzał stojącego przy nim Hammana.

– Straże postawione, warty nocne wyznaczone. Starszyzna z wioski przysłała z jagniętami, żebyś je obejrzał.

Jakub wyprostował się powoli. Dostrzegł ciekawość w oczach strażnika, więc wyjaśnił:

– Ciężko mi na sercu z powodu Latifa. Powinienem był mu pomóc.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Po Latifa przyszli świątynni kapłani, strażnicy i rzymscy żołnierze. Jakakolwiek interwencja z twojej strony byłaby szaleństwem.

– Ale na pewno jest coś, co można...

– Jest. Wzięłeś odpowiedzialność za jego wielbłądy i za towar Jamala. Modlisz się o jego bezpieczeństwo. Wszystko inne leży daleko poza twoimi obowiązkami.

Bezpośredniość i praktyczne podejście strażnika pozwoliły Jakubowi spojrzeć z dystansem na swój żal.

– Zobaczmy, co ci starsi nam oferują na kolację.

Tak jak im obiecano, jagnięta były młode i dobrze odkarmione. Jakub oglądał uważnie każde jagnię tak, jak zawsze robił to Yussuf. Starszyzna, wciąż przestraszona groźbą wyjazdu karawany, zaferowała jeszcze worek mielonej kukurydzy oraz kosz świeżych ziół i przypraw: kolendry, mięty i kuminu. Jakub zachowywał się tak, jakby w ogóle nic się nie stało. Skłonił się nisko i podziękował za gościnność.

Jakub doglądał przygotowywanego posiłku, upewniając się, czy każdy poganiacz i strażnik dostał taką samą porcję, z każdym też krótko porozmawiał. Niezliczoną ilość razy widział Albana przy takiej pracy. Nim wrócił do zwierząt Latifa, była już noc. W obozie żarzyły się trzy ogniska, wyrzucając iskry w rozgwieżdżone niebo.

Jakub zdecydował, że czas przejrzeć towary Latifa.

Śpiące zwierzęta zasłaniały go przed wzrokiem innych. Każdy wielbłąd wiózł cztery amfory – gliniane naczynia sięgające mu do pasa, używane zarówno w transporcie lądowym, jak i morskim. Cztery pełne amfory mogły ważyć tyle, co trzech mężczyzn.

Szyja każdego naczynia była zapieczętowana drewnianą zatyczką. Jakub wybrał jedną z nich, odwiązał od innych i podważył nożem. Jego nozdrza natychmiast wypełnił intensywny aromat cynamonu. Odetkał kolejną i nocne powietrze wypełniło się zapachem goździków.

To rzeczywiście była zagadka. Przecież handel tymi towarami nie był w żaden sposób zabroniony. Latif, jeśli tylko zapłacił podatki, mógł z tymi produktami jeździć po całym imperium.

Wiedziony nagłym impulsem Jakub zanurzył rękę w naczyniu z cynamonem. Jego palce natknęły się na jakąś paczuszkę ukrytą głęboko

w przyprawie.

Jakub przeszukał po kolei wszystkie naczynia i znalazł szesnaście takich paczuszek. W końcu zamknął amfory, a zdobyte trofea owinął jednym z koców, służących jako siodła. Siedział tak dość długo, aż kwarta księżycza zaczęła schodzić z nieba. Do jego świadomości dotarło, że sekret Latifa, czymkolwiek był, może i jego kosztować życie.

*

Przyjazd Yussufa zwiastował wpierw nikły dźwięk niesiony nocnym wiatrem. Było to stąpanie i ciche parskanie zmęczonych zwierząt. Jakub siedział skulony w wąwozie przy drodze, na południe od obozu. Pozostał w ukryciu do momentu, gdy mógł już rozpoznać sylwetkę Yussufa. Gdy był pewny, że mężczyzna jest sam, delikatnie zagwizdał.

Ktokolwiek by to usłyszał, mógłby pomyśleć, że to wołanie nocnego ptaka, lecz Yussuf od razu mlasnął na wielbłądy, by się zatrzymały i zsunął się z konia. Gdy jego stopy dotknęły ziemi, jęknął naśladując wielbłąda, po czym podszedł do zwierzęcia, które szło jako pierwsze i poklepał je po szyi.

– Nie mów, że wbił ci się cierń – powiedział schylając się, by obejrzeć jego kopyto.

– To ja, Jakub – szepnął chłopak.

– Wiem, że jesteś zmęczony – powiedział Yussuf do wielbłąda, który mruknął cicho w odpowiedzi. Mężczyzna ukucnął przy przedniej nodze zwierzęcia. – Niech no spojrzę, a zaraz potem przejdziemy jeszcze kawałek i odpoczniemy do końca tej krótkiej nocy.

– Znalazłem ukryty towar, który Jamal powierzył opiece Latifa – powiedział Jakub schrypniętym głosem.

Wielbłąd parsknął, mruknął i pozwolił Yussufowi podnieść swoją nogę. Mężczyzna dokonał pobieżnej inspekcji kopyta i mruknął:

– A czy ja chcę wiedzieć, co to jest?

Jakub zawahał się. Też się nad tym zastanawiał, odkąd poczynił swe odkrycie.

– Nieważne – odezwał się Yussuf. – Skoro Jamal trzymał to przede mną w tajemnicy przez tak długi czas, to musiał mieć dobry powód. Powiedz mi tylko jedno. Czy moja karawana uczestniczy w przemyśle?

Odpowiedzi na to pytanie Jakub był pewny.

– Ani ty, ani Jamal nie złamaliście prawa rzymskiego ani judejskiego.

Yussuf wyjął zza pasa nóż i poskrobał kopyto zwierzęcia.

– Szaweł i ten judejski kupiec o zmijowej twarzy rozpakowali towar Jamala na ziemi i przeszukali go – w jego tonie, choć mówił szeptem, słychać było wściekłość. – Kiedy nie mogli znaleźć tego, czego tam szukali, byli naprawdę wkurzeni. Strasznie długo mnie przetrzymali i dlatego musiałem jechać przez wzgórza nocą. Dzięki Bogu wielbłądy Latifa, jak wynika z tego, co mi mówisz, były już wtedy z tobą daleko na północy. Moja mała karawana nie zakłóciła snu żadnym bandytom. Gdyby nie ten godny pożalowania widok Latifa w kajdanach, to bym się nawet uśmiechał.

Jakub kucnął za krzewem i, nadal targany wyrzutami sumienia, rzekł:

– Gdybym tylko mógł wtedy coś zrobić... jakoś go uratować...

– Miałeś na tyle zdrowego rozsądku, żeby się schować – ton Yussufa nabrał surowych barw. – W przeciwnym razie zostałbyś zakuty w kajdany razem z Latifem, a ja miałbym jeszcze jednego zaufanego człowieka mniej.

Pięści Jakuba zacisnęły się i wbiły w twardą ziemię.

– Okazałeś się silniejszym człowiekiem niż ja. Postawiłeś im się, nawet gdy grozili ci śmiercią. A ja nie zrobiłem nic, żeby bronić mojego brata w wierze.

Yussuf parsknął.

– Mało wiem o sprawach takich jak wiara i prorocy. Ale jedno wiem na pewno. Możesz teraz wdychać to nocne powietrze i chodzić wolny po tej ziemi, bo dziś się ukryłeś. A Latif? Nic przy nim nie znaleźli, a i tak go zatrzymali. Czego szukali, co mieli nadzieję znaleźć, nie wiem, ani nawet nie chcę wiedzieć. W dzisiejszych czasach im mniej się wie... – nie dokończył zdania, wzruszając ramionami.

Jakub zdecydował, że dalsza dyskusja na ten temat do niczego nie prowadzi.

– Muszę zanieść tajemnicę Latifa do Jamala.

Yussuf puścił kopyto, poklepał zwierzę po boku i powoli się wyprostował.

– Chcesz sam pojechać do Tyberiady?

– Długo nad tym myślałem. Jeśli ten judejski kupiec, Ezdrasz, myśli, że coś wie, to nie wiadomo, kto jeszcze może próbować wybadać tajemnicę Jamala. Najlepiej będzie, jak pojedę sam, jako biedny podróżny – Jakub wskazał za siebie, po czym zorientował się, że Yussuf i tak nie widzi jego gestu. – Wziąłem twoje dwa osły. Hamman mnie zobaczył, jak wychodziłem. Powiedziałem tylko, że muszę zdać raport Jamalowi i że będę cię wypatrywał na drodze.

– Hamman to dobry człowiek, jak na Nabatejczyka. Nic nikomu nie powie. Masz jakąś broń?

– Mam miecz, nóż i laskę.

Jakub zobaczył, że Yussuf schyla się nieco, po czym usłyszał delikatny brzęk metalu.

– Masz tu sakiewkę z monetami.

Yussuf mlasnął łagodnie i pociągnął uzdę pierwszego wielbłąda. – Obawiam się, że ten ostatni kawałek muszę przejść piechotą, bo inaczej

moje stare kości nie dadzą mi spać. Trzymaj się, młodzieńcze. Ufam, że wiesz, co robisz.

Jakub patrzył jak wielbłądy powoli idą na zachód. Pozostał w ukryciu, dopóki nie upewnił się, że droga jest pusta. Wtedy podczołgał się do sakiewki, zabrał ją i wrócił do miejsca, gdzie uwiązał osły.

*

Wzgórza przed nim rzucały głębokie cienie, a noc wypełniona była różnymi dźwiękami. Jakub trzymał się z dala od głównego szlaku, jadąc równoległe do rzymskiej drogi. Gdy teren zaczął się wznosić, wraz z pierwszymi oznakami świtu oczom Jakuba ukazały się wzgórza Judei. Młode i silne osły z łatwością wspinały się na kamienne stoki. Jakub kontynuował podróż, aż ciepło nowego dnia ogrzało mu twarz. Poprowadził zwierzęta jeszcze dalej od drogi, gdzie wyrzeźbiony wiatrem wąwóz uformował naturalną zagrodę. Przywiązał osły i zdjął z nich ciężary. Odkorkował bukłak i wlał wodę do płytkiego zagłębienia w skale, żeby zwierzęta mogły się napić. Sam też się napił, podczas gdy osły popychały się wzajemnie, żeby mieć lepszy dostęp do wody. Z zapasów, które wziął ze sobą, napełnił im worki paszą, jeszcze raz sprawdził, czy powrozy są dobrze przywiązane i wreszcie rozłożył na ziemi koc.

Gdy zasypiał, słowa Yussufa ponownie zabrzmiały w jego umyśle. Jeszcze raz pomodlił się o ochronę dla Latifa, gdziekolwiek on teraz przebywał. Jakub słyszał przerażające historie o wierzących, aresztowanych przez Szawła z Tarsu i strażników świątynnych. Niektórzy byli bici, a potem wypuszczani, o innych słuch zaginął. Pytał Pana, czy dobrze zrobił, że wtedy ukrył się i odszedł. Choć nie usłyszał odpowiedzi na wołanie swego serca, poczuł pewne pocieszenie z samego faktu, że mógł Boga o to zapytać.

Latif był pierwszą osobą, która na jego oczach została aresztowana i zakuta w kajdany. Jakub zasnął, modląc się za uwięzionego przyjaciela. Cokolwiek zrobił, lub czego nie zrobił, Latif był w Bożych rękach.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Jerozolima

Abigail krzątała się po cichu, przygotowując się do snu. W rogu ich małej sypialni Dorcas spała tak, jak spać potrafią tylko dzieci – beztrąsko i spokojnie. W panującej tu ciszy słycać było jedynie jej równy oddech.

Abigail delikatnie podniosła róg koca i wsunęła zmęczone ciało na posłanie obok córeczki. Razem z innymi wierzącymi rozmawiali dziś do późnej nocy. Ostatnie godziny tego dnia były niezwykle pracowite. Gdy zapadła decyzja o wyjeździe, trzeba było jeszcze tak wiele zrobić. Członkowie grupy postanowili, że opuszczą Jerozolimę o brzasku.

Jerozolima. Opuszczamy Jerozolimę.

To wszystko wydawało się takie nierealne. Nie chciała tego robić, jednak...

Choć czuła się bardzo zmęczona, wiedziała, że sen nie przyjdzie łatwo. Myśli pełne trosk oraz podchodzący do gardła żołądek nie pozwalał jej zasnąć. Odwróciła się od śpiącej córeczki i dała wreszcie upust palącym pod powiekami łzom, które wstrzymywała jedynie siłą woli.

Nie mogę wyjechać – przebiegało jej ciągle przez myśl. Nikt, nawet Marta lub Alban, nie mógł jej zmusić do wyjazdu. Niech sami sobie wyjeżdżają, jeśli tego pragną. Cieśla okazał wiele serca, oferując swój zakład jako dom dla wszystkich, którzy chcieli tu zostać. Abigail mogłaby z tego skorzystać. Jakoś dałaby sobie radę. Było tu jeszcze tyle do zrobienia. Pewna liczba wierzących z różnych powodów pozostała w Jerozolimie. Kto im pomoże?

Ale co stanie się z Dorcas?

Abigail podniosła się z łóżka. Przez chwilę przyglądała się swojej ślicznej córeczce, po czym otuliła ciaśniej kocem jej pulchne ramionka. Wzięła głęboki oddech i przeszła na palcach do jedyne go okna w pokoju. Odchyliła okiennicę i wyjrzała na zewnątrz, w ciemną noc.

Niebo było zasnu te chmurami, lecz pomiędzy ich warstwami widać było księżyc. Nad wzgórzami po lewej stronie świeciła odosobniona gwiazda. Wyglądała na tak samotną i opuszczoną jak Abigail.

Przed nią rozciągała się Jerozolima, bez światła i śladów jakiegokolwiek ludzkiej aktywności. Wybrukowane ulice były teraz puste i pogrążone w ciemności. Nie chodzili po nich kupcy, zachwalający swe towary. Nie dźwięczały podkowy kopyt rzymskich koni. Nie było sły chać krzyków dzieci ani rozmów kobiet śpieszących na rynek.

Jerozolima. Niespokojne miasto. Burzliwe i gwałtowne. Tak wiele w nim przechowywanej przez wieki nienawiści, zgorzknienia, sporów. Taka ogromna pustka.

Przez chwilę poczuła, jak wzbiera w niej rozżalenie. Co spowodowało na mieszkańców tego miasta obecny stan rzeczy? Dlaczego tak wielu dobrych ludzi wyjechało? Czemu ona musi uciekać?

Zamknęła oczy, by znów zobaczyć twarz swojego ukochanego Szczepana. Człowieka, który kochał to miasto, pracował na rzecz biednych, uciśnionych, potrzebujących. *I po co?* Co to wszystko dało? Przyniosło jedynie lęk, zniszczenie i śmierć. Wyznawcy Drogi, którzy teraz byli dla niej nawet więcej niż rodziną, zostali rozproszeni na małe grupki, a potem musieli potajemnie uciekać w nieznane miejsca. Już ledwie pamiętała te cudowne dni po zmartwychwstaniu Pana, płonące języki ognia, powiew Ducha... I gdzie to wszystko było teraz, gdy szczególnie potrzebowali tej mocy, poczucia celu?

Jerozolimo, nienawidzę cię – z niewytłumaczalnych przyczyn chciała wykrzyknąć w ciemność rozciągającego się przed nią miasta. Lecz nawet w gniewie i żalu wiedziała, że jest to nieprawdą.

Jerozolimo, ukochana moja. W głębi serca wiedziała, że zawsze będzie kochać Jerozolimę. To było jej miasto. Miasto Szczepana. On oddał życie dla swego Zbawiciela i dla tego miasta, dla jego mieszkańców. Abigail zdała sobie sprawę, że gdyby znalazła się w tej samej sytuacji, gdyby miała ten sam wybór, co jej mąż, z chętnym sercem postąpiłaby tak samo jak on. Przyłgnęła policzkiem do chłodnej, kamiennej ściany i znów zapłakała.

Tym razem jej łzy były mieszanką smutku i radości, słodko-gorzkich wspomnień, których nigdy nikomu nie odda. Jej płacz nie trwał długo. Rankiem, zanim kogut zapieje, opuści to miasto. Być może na zawsze.

Mimo wcześniejszych sprzeciwów zdecydowała się wyruszyć wraz z innymi. Nie mogła tu zostać. Powód jej decyzji leżał tuż za nią, śpiąc słodko na macie ze słomy, z lokami spoczywającymi na poduszce z sierści wielbłąda, a dziecięcy oddech był jedyną pieśnią słyszaną tej nocy.

Abigail powoli wróciła na posłanie i uklękła przy córeczce. Delikatnie zamknęła jej małą dłoń w swojej. Modliła się żarliwiej niż kiedykolwiek w życiu – o mądrość, prowadzenie, bezpieczeństwo. Ta mała dziewczynka, leżąc przed nią, stanowiła najcenniejszą część jej świata, a zarazem nakładła na nią największą odpowiedzialność. Bóg dał jej Dorcas nie bez powodu. Teraz jej obowiązkiem jako matki jest troszczyć się o to dziecko i dbać o jej bezpieczeństwo najlepiej jak potrafi.

I choć bardzo chciałaby temu zaprzeczyć, wiedziała, że w jej ukochanej Jerozolimie nie ma już dla niej ani jednego bezpiecznego miejsca.

*

Podróż z Jerozolimy do Samarii rozpoczęła się wczesnym rankiem. Większość ludzi szła pieszo. Linuks zarządził, że będą się wymieniać, jeśli chodzi o jazdę na osłach, przy czym kobiety, a w szczególności Marta, miały jechać częściej. Dorcas nigdy nie wyjeżdżała z Jerozolimy dalej niż do pobliskich wiosek za Górą Oliwną, więc wszystko, co widziała, wywoływało w niej okrzyki zdziwienia: promienie słońca na skałach, jaskinie wyrzeźbione przez wiatr, jastrzębie szybujące z prądem powietrza. Z każdym kolejnym zakrętem dziewczynka była coraz bardziej podekscytowana. Uczepiła się Linuksa, aż matka ją skarciła. Lecz gdy tylko Abigail zajęła się czymś innym, mała znów ukradkiem przybliżyła się do żołnierza. Najpierw delikatnie wskazywała na coś nowego dla niej i szeptem pytała o nazwę, po czym powtarzała dane słowo w kółko, stopniowo podnosząc głos. Wkrótce znów szczebiotała jak ptaszek. Gdy Abigail próbowała ją uciszyć, Linuks uśmiechnął się, lekko machnął ręką i potrząsnął głową. Ta mała dziewczynka już zdobyła jego serce, jak zresztą i wszystkich innych.

Wyglądało na to, że Abigail w ogóle nie spała tej nocy. Oczy znad szala, pokryte cieniami, przepęłniała troska. Linuks zauważył, że dopóki widać było mury Jerozolimy, częściej spoglądała za siebie niż patrzyła na drogę przed sobą. Marta musiała dwukrotnie ją podtrzymać, gdy się potknęła. Co rusz któraś z kobiet podchodziła do niej nakłaniając ją, by wsiadła na osła, podając wodę lub po prostu dotykając jej ramienia i okazując, że nie jest sama w swej żałobie.

Linuks nie pozwalał sobie na zbyt wiele spojrzeń w jej kierunku. Jego uczucie do Abigail było tak samo silne jak niegdyś, a zarazem tak inne, że już nawet się nad nim nie zastanawiał. Pogodził się z faktem, że Abigail nigdy nie będzie należała do niego, że swoje serce oddała innemu. To jednak nie uciszyło jego pragnienia.

– Wujku, zobacz!

– Nie powinnaś się tak do niego zwracać – skarciła córkę Abigail. – To nie przystoi.

– Byłbym ogromnie zaszczycony, gdybyś pozwoliła jej zwracać się do mnie w ten sposób – powiedział miękko Linuks.

Abigail odwróciła się i nie powiedziała nic więcej.

Dorcas przez chwilę obserwowała matkę, po czym odwróciła się z powrotem do Linuksa i spytała:

– Kto jedzie w naszą stronę, wujku?

– Poganiacze jadą na rynek. A za nimi dwa wielbłądy. Na pewno już wcześniej widziałaś wielbłądy.

– Tak, ale tego nie widziałam – znów wskazała palcem.

– To są klatki. Pewnie na kurczaki. Albo na gęsi.

Linuks podniósł dziewczynkę i posadził na osła, dźwigającym zapasy na drogę. Pociągnął zwierzę nieco do przodu.

– Chcesz podjechać kawałek i zobaczyć, jak się miewa wujek Alban?

Z oczami rozszerzonymi z przejścia Dorcas złapała się obiema rączkami grzywy łagodnego zwierzęcia. Linuks poprowadził osła truchtem ciesząc się, że może zrobić sobie małą rozgrzewkę.

Wieść o ich wyjeździe rozeszła się szybko minionej nocy. Ich grupka rozrosła się i liczyła teraz szesnaście rodzin. Gdy Linuks obudził się o brzasku, odkrył, że podwórze zapełnia się ludźmi i rzeczami. Skupione w grupkach rodziny w milczeniu czekały na sygnał do wymarszu. Kiedy minęli bramę miejską, do pochodu dołączyło jeszcze więcej wierzących. Linuks nie miał nic przeciwko ich obecności, przeszkadzało mu jedynie tempo, w jakim się posuwali. Chciał, by przed zapadnięciem nocy grupa wyszła daleko poza wzgórza Jerozolimy, ale trzeba było dostosować tempo do najślabszych.

Gdy zbliżyli się do czoła grupy, Linuks zastał Albana, podążającego na jego własnym wierzchowcu i pogrążonego w dyskusji z Filipem, który pojawił się o świcie, gdy wyruszali, i zapytał, czy może przyłączyć się do wyprawy. Podchodząc Linuks usłyszał, jak Filip mówi:

– Judejczycy i Samarytanie nienawidzą się wzajemnie już od wieków. Ale ty na pewno o tym wiesz.

– Obawiam się, że twe słowa jedynie wskazują na moją ignorancję – odparł Alban. Zauważył Linuksa i spytał: – Jakie wieści z tyłu?

– Wszystko dobrze, tylko że strasznie wolno się poruszamy.

– Niewiele możemy na to poradzić – powiedział Alban potrząsając głową. – Nie możemy pozwolić, by ktokolwiek został z tyłu, więc musimy dostosować się do ich tempa.

– I ryzykować, że utkniemy na noc na wzgórzach? – odrzekł Linuks ściszym głosem.

Alban nie odpowiedział mu od razu. Zamiast tego odwrócił się i ogarnął wzrokiem całą grupę. Wóz, który uprzednio był przeznaczony dla

Albana, wiózł teraz osiem starszych osób, jeszcze słabszych niż były setnik. Alban wyglądał już znacznie lepiej, podróż wyraźnie przyspieszała jego powrót do zdrowia.

Linuks wiedział, co zwróciło uwagę Albana, gdy przyglądał się wędrowcom. Podróżni mieli ze sobą cały swój dobytek; były to wielopokoleniowe rodziny, z niemowlętami i dziadkami. Nikt nie chciał zostawić swoich bliskich w Jerozolimie. W efekcie grupa był bardzo rozciągnięta.

Alban usadowił się wygodniej w siodle, westchnął i powiedział po prostu:

– Pan Bóg się o nas zatroszczy.

Linuks otworzył usta, by jeszcze raz wyrazić wątpliwości, lecz zauważył, jak Filip kiwa głową na znak aprobaty i postanowił nie mówić nic więcej na ten temat.

Poganiacze, nadciągający z naprzeciwka w stronę Jerozolimy, zagonili swoje stadko owiec oraz dwa wielbłądy do małego wąwozu, jakby miniaturowej jaskini, umożliwiając im swobodne przejście. Alban pozdrowił podróżnych, po czym zawołał do nich:

– Jakie przywozicie wieści z drogi przed nami?

– Wieje i jeszcze raz wieje – odkrzyknął najstarszy. – Zimno przenika aż do kości.

Alban odkaszlnął, po czym spytał ochrypłym głosem:

– A szlak?

– Coś okropnego! – poganiacz przyjrzał się Albanowi uważnie. – Jesteś Rzymianinem?

– Tak. Z Galii. I bojącym się Boga, wyznawcą Drogi.

Poganiacz odstłonił zepsute zęby w szerokim uśmiechu.

– A jakimuż to Bogu służysz?

– Naszemu Zbawcy, zmartwychwstałemu Mesjaszowi, Jezusowi Chrystusowi.

– Słyszałem o Nim. Ludzie z naszej wioski twierdzą, że to On jest tym, na którego od dawna czekaliśmy.

– Mają rację – wtrącił Filip. – A skąd jesteś, dobry człowieku?

– Z Tefon, stąd prosto na północ, tak jak leci kruk. A ty?

– Z Galilei, ale mieszkałem z braćmi w Jerozolimie, odkąd nasz Pan wrócił do swego domu w niebiosach.

Mężczyzna o twarzy ogorzalej od licznych podróży, uniósł dumnie podbródek.

– Jestem Samarytaninem. Czczę jedyne prawdziwego Boga, ale nie widzę potrzeby, by oddawać pieniądze tym sępom ze Świątyni.

Gdy Filip nic na to nie powiedział, odezwał się Alban:

– Kapłani świątynni nie są naszymi przyjaciółmi.

Starszy poganiacz wydawał się wystarczająco zadowolony z takiej odpowiedzi.

– A dokąd zmierzacie?

– Jak najdalej od Jerozolimy – odparł Alban. – W bezpieczne miejsce.

– Taką mamy nadzieję – dodał Filip. – I o to się modlimy.

Linuks dodał ciche „amen” i jeszcze raz zerknął do tyłu.

Poganiacz potrząsnął laską, wskazując na drogę w kierunku północnym.

– Jechaliśmy cały dzień i nie napotkaliśmy żadnych problemów. Ale chodzą pogłoski...

– Patrzcie! Kurczaczki! – słodki, wysoki głosik Dorcas sprawił, że wszyscy się zaśmiali. Dziewczynka wskazywała na klatkę poganiaczy.

Poganiacz zachichotał.

– To nie są żadne kurczaki, mała. To drozdy, szpaki i śpiewające ptaki pustynne!

Jak gdyby dla potwierdzenia, ptaszek o złotych piórkach na piersi zatrzepotał skrzydełkami w jednej z mniejszych klatek, a w powietrze wzleciała jego piosenka. Dorcas klasnęła w rączki z zachwytem.

Poganiacz dał sygnał jednemu ze swoich ludzi, który szybko odwiązał klatkę i podszedł z nią do dziewczynki. Dorcas z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami patrzyła, jak mężczyzna z uśmiechem podaje jej ręcznie plecioną trzcinową klatkę. Spojrzała pytająco na Linuksa, który skinął głową.

– Tak, możesz wziąć.

– To prezent – powiedział starszy poganiacz. – To dla dziewczynki z oczami jak klejnoty.

– Co się mówi? – napomniał dziewczynkę Alban.

– Dziękuję. Podoba mi się ten mały śpiewający kurczaczek!

Starszy mężczyzna znów się zaśmiał.

– A on polubi ciebie, jeśli tylko będziesz się nim dobrze opiekowała.

Linuks oddał Albanowi lejce osła i podszedł do poganiacza. W oczach mężczyzny pojawiło się pytanie: czyżby Linuks chciał go obrazić oferując zapłatę za podarunek? Lecz Linuks rzekł:

– Potrzebujemy jagniąt na dzisiejszy posiłek.

– Mam jagnięta. Zdrowe, młode i najdelikatniejsze w całej Samarii.

– Bądź tak dobry i wybierz mi trzy sztuki.

Mężczyzna poszedł, wybrał i podał cenę. Linuks zapłacił nie targując się. Mężczyzna przyjrzał mu się raz jeszcze, tym razem z błyskiem szacunku w oczach. Linuks przepłacił za jagnięta, dzięki czemu nabył to, czego potrzebował, a jednocześnie nie uraził dumy poganiacza w związku z podarkiem.

– W tym tempie nie dacie rady dojść dziś do równin, do miejsc obozowych – zauważył starszy mężczyzna.

– Mamy wśród nas starców i osoby niedołążne.

– My czasem korzystamy z wodopoju, który zazwyczaj jest suchy. Ale w ostatnim tygodniu tyle napadało, że jest teraz pełen wody – rzekł poganiacz. – Trochę dalej niż w połowie drogi pomiędzy wzgórzami jest wąwóz. Rozciąga się ze wschodu na zachód, prosto jak cięcie sztyłem. Droga ostro skręca na zachód, podchodząc do ściany. Zaraz po tym zakręcie otwiera się wąski przesmyk. Patrz uważnie, bo łatwo go przeoczyć. Prowadzi do kanału, a ten do jaskini, która rozmiarem powinna wystarczyć – mężczyzna wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, jak duża jest cała grupa. – Powinniście być tam bezpieczni.

– To, że nasze ścieżki się spotkały, jest odpowiedzią na naszą modlitwę – powiedział z żarliwością Linuks. – Jesteś świętym posłańcem.

Poganiacz zachichotał.

– Ty za to jesteś najdziwniejszym Rzymianinem, jakiego w życiu spotkałem.

– Jestem stworzony na nowo przez Jezusa, zmartwychwstałego Chrystusa.

Starszy mężczyzna taksował go wzrokiem.

– Jeśli ten wasz Jezus potrafił zamienić dwóch Rzymian w opiekunów ubogich Judejczyków, to naprawdę ma wielką moc.

– Jestem żywym świadectwem prawdziwości twych słów – odparł Linuks. – I pomodłę się do Niego dzisiaj o zbawienie dla twojej duszy i całej twojej rodziny.

W samą porę odnaleźli ów kanał. Zaczynało się ściemniać i Linuks obawiał się, że przeoczą wyłom w skale. Nie mogli użyć pochodni zarówno z powodu zbyt silnego wiatru, jak i ze względu na grasujących bandytów. Mrok gęstniał, a nad wzgórzami gromadziły się chmury. Zbudowana przez Rzymian droga była w dość dobrym stanie, lecz kiedy z niej skręcili, dalsza ścieżka była już wąska, miejscami stroma. Wielu wierzących nie było przyzwyczajonych do długich podróży i raz po raz rozlegał się okrzyk strachu, z pewnością głośniejszy niż wycie wiatru.

Linuks już wcześniej oddał Dorcas z powrotem pod opiekę Abigail i wrócił na swoje miejsce z tyłu grupy. Razem z najstarszym synem cieśli robili, co mogli, by zachęcić pozostających w tyle do przyspieszenia kroku. Albana zaczął na nowo męczyć coraz mocniejszy kaszel. Był jednak pewien, że przyjaciel doprowadzi ich do bezpiecznego miejsca, o ile tylko ono rzeczywiście istniało.

Wreszcie z przodu grupy rozbrzmiał szmer nadziei. W szarówce zbliżającej się nocy, tuż przed nimi zamajaczył przesmyk skalny. Linuks zauważył, że jeden ze starszych mężczyzn ledwie trzyma się na osle i powoli zaczyna się z niego zsuwać. Rzymianin złapał go i przytrzymał, posuwając się ostrożnie naprzód. Czuł wstrząsające mężczyzną dreszcze.

Jaskinia, która wyłoniła się po ich lewej stronie wyglądała jak paszcza ogromnej bestii. Szli teraz jeszcze wolniej, gdyż długi sznur ludzi i zwierząt musiał ścieśnić się u wejścia. Linuks, stojący przy staruszku na końcu kolejki miał wrażenie, jakby stał tak całe godziny. Starszy człowiek najwyraźniej również był zniecierpliwiony, bo narzekał:

- Co im tak długo to zajmuje?
- Woda – to była jedyna odpowiedź, która przyszła Linuksowi na myśl.
- Co powiedziałaś?

– Woda! – Linuks przybliżył usta do ucha staruszka. – Powiedziano nam, że jest tam płytki zbiornik na wodę. Jeśli tak, to ludzie napełniają bukłaki, zanim pozwolą zwierzętom się z niego napić.

Mężczyzna odwrócił twarz w stronę wiatru, a po jego policzkach spływały mokre strużki.

– Gdybym wiedział, że to tak będzie wyglądało, kazałbym im, żeby mnie zostawili.

– I rodzina miałyby zamieszkać w nowym domu bez swojego czcigodnego dziadka? Niemożliwe.

Mężczyzna spojrzał na Linuksa.

– Dziwny z ciebie człowiek.

– A ty, dobry człowieku, jesteś dziś drugą osobą, która mnie tak nazywa.

– Byłeś oficerem?

– Nadal nim jestem. Przynajmniej do czasu, kiedy mnie złapią i pozbawią tej rangi. – *Albo jeszcze gorzej* – pomyślał, lecz nie powiedział już tego na głos.

– Zrobią to?

Linuks wzruszył ramionami, ale starszy człowiek z pewnością tego nie zauważył.

– Wszystko w rękach Boga.

– Naprawdę jesteś dziwny. Gdyby dziś rano córka powiedziała mi, że wieczorem będę trzymany w siodle przez rzymskiego oficera, to miałbym obawy, że dostała gorączki i wkrótce dołączy do mojej kochanej zmarłej żony! – zaśmiał się z niedowierzaniem.

Linuks nie odpowiedział, bo akurat kolejka posunęła się naprzód. Byli ostatnimi, którzy weszli do wąskiego kanału. Od razu przestał ich smagać wiatr. W górze był niemiłosiernie, od czasu do czasu spuszczać na nich

deszcz piasku i żwiru, ale Linuksowi to nie przeszkadzało. Rozejrzał się szybko po wielkiej jaskini i z ulgą stwierdził, że to miejsce pomieści ich wszystkich, że będą mogli posilić się i odpocząć. Sam też był okropnie zmęczony.

– Pomóż mi zsiąść, dobrze? – powiedział staruszek drżącym głosem. – Muszę rozprostować kości.

Linuks pomógł mu i zaprowadził go powoli do jego rodziny. Po drodze poczuł już zapach jagnięciny pieczonej nad ogniskiem i usłyszał śmiech dzieci. Jednym z tych dzieci mogła być Dorcas, ale nie był pewien.

Miejsce to miało kształt wielkiej misy z wysokimi ścianami, o średnicy mniej więcej pięćdziesięciu kroków. Ci, którzy przybyli wcześniej, rozpięli rodzinne namioty jeden obok drugiego tak, że połowa wąwozu była zadaszona. Wzniesiono duży parawan, by oddzielić miejsce do spania dla kobiet i dzieci. Podłóże usypane było piaskiem tak drobnym jak zmielona mąka. Kobieta, która podeszła do nich szybkim krokiem, wylewnie podziękowała Linuksowi i przytuliła znużonego staruszka, po czym odprowadziła go na wygodne miejsce przy ognisku. Alban skinął ręką, przywołując Linuksa do innego ogniska.

– Tam jest woda do obmycia się, jeśli nie masz nic przeciwko dzieleniu sadzawki z osłami.

Gdy Linuks wrócił, Alban podał mu na zwęglonym patyku kawałek pieczonego mięsa.

– Nasze talerze i sztucce są wciąż gdzieś spakowane...

– Jestem tak głodny, że nie będzie mi to przeszkadzało.

Linuks jadł i patrzył, jak jego przyjaciel kładzie się na swojej macie.

– Jak się czujesz po dzisiejszej podróży?

– Jak mój własny dziadek. Ale będę spał spokojnie, dzięki temu, że znalazłeś dla nas bezpieczne miejsce na nocleg.

– To nie ja, to poganiacz nam powiedział, gdzie się udać.

Filip siedział opierając się plecami o ścianę skalną.

– Powiedział ci, bo zyskałeś jego zaufanie. Ty, Rzymianin. Ja bym to nazwał cudem.

– Ja również – Alban założył ręce za głowę. – Filipie, podczas drogi zacząłeś nam opowiadać o Samarii i tamtejszej ludności.

Filip odwrócił się do Linuksa i spytał:

– Wiesz cokolwiek o niezgodzie pomiędzy Judejczykami a Samarytanami?

– Żołnierze rozmawiają tylko o ryzyku, jedzeniu i tym podobnych rzeczach. Samaria jest znana jako mieszanka żyznych równin i opuszczonych jałowych ziem. Wiemy, że były jakieś spory pomiędzy Samarytanami a kapłanami świątynnymi, ale było to dla nas bez znaczenia – Linuks przerwał, gdyż oto tanecznym krokiem podeszła do nich Dorcas i zatrzymała się przy nim. – A ty nie powinnaś być teraz z mamą?

Dorcas potrząsnęła głową.

– Mama jest zmęczona.

– No to chodź, usiądź tu przy mnie. Chcesz trochę mięsa?

Potrząsnęła głową i poklepała się po brzuszku.

– Jestem już najedzona.

– A twój mały ptaszek jak sobie radził przy takim wietrze?

– Mama dała mu wody i przykryła klatkę. Jest śpiący. Sprawdziłam – pokazała, jak ptaszek włożył głowę pod skrzydełko. Potem usiadła i wtuliła się w Linuksa, a on objął ją ramieniem.

Alban uśmiechnął się patrząc na tych dwoje, po czym zwrócił się do Filipa:

– To opowiedz nam o tej krainie, w którą właśnie wkraczamy.

– Judejczycy nienawidzą Samarytan od wieków. Faryzeusze posuwają się do nazywania ich religijnymi odszczepieńcami, uważają za gorszych od Rzymian – Filip mimiką twarzy przeprosił Linuksa, po czym mówił dalej: – Gdy pobożny Judejczyk jedzie do Galilei, udaje się na wschód od Jerozolimy i przeprowia się przez Jordan, nim zwróci się w kierunku północnym – a wszystko tylko po to, by nie postawić stopy w Samarii.

Filip mówił jak człowiek uczony, a jego imię sugerowało, iż pochodzi ze zhellenizowanej rodziny. Ze względu na pasję i oddanie, znany był wszystkim jako ewangelista. Linuks nic więcej o nim nie wiedział. Filip był z natury człowiekiem cichym, realistą, który długo słuchał, a potem jeszcze dłużej rozmyślał, nim wygłosił swoją opinię na jakiś temat. Lecz gdy się już odezwał, wszyscy słuchali go z uwagą.

– Granice Samarii – kontynuował Filip – przebiegają od rzeki Jordan do wybrzeża, od Jerycha na południu do wzgórz Libanu na północy. Na początku były to terytoria dane plemionom Efraima i Manasses. Za panowania króla Ozeasa Asyryjczycy podbili północne królestwo Izraela. Zwycięzcy wzięli wielu Izraelitów do niewoli. Ci, którzy pozostali, żenili się z nowymi asyryjskimi kolonistami. Gdy Grecy podbili nasze ziemie czterysta lat później, uczynili Samarię – mam na myśli miasto – swoją stolicą. Nim Herod Wielki dostał te ziemie we władanie, ci z północy pobudowali własną świątynię na górze Garizim i wyrzekli się jakichkolwiek powiązań z Jerozolimą.

Linuks poczuł, jak Dorcas mocniej się w niego wtula. Ukryła się pod jego ręką i położyła główkę na jego piersi w sposób charakterystyczny dla ufego dziecka. Chwilę później Linuks usłyszał jej równomierny oddech i wiedział, że dziewczynka zasnęła.

– Trudno jest nam ignorować taką wspólną historię – kontynuował Filip. – A jednak ostatnie słowa wypowiedziane do nas przez Pana Jezusa,

zanim wstąpił do nieba i odszedł od nas, były następujące: „Gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, *i w Samarii*, i aż po krańce ziemi”.

– Ale apostołowie nie martwią się tym, że idziemy do Samarii, prawda? – powiedział miękko Alban.

Wzrok Filipa skierował się na Albana leżącego na macie przy ognisku.

– Nie – odpowiedział. – Nie tym.

– Jeśli mają zaprosić Samarytan, by do nas dołączyli – powiedział Alban głosem słabym, lecz wyraźnym – to czemu nie innych? Czemu nie Rzymian? – mówiąc to wymienił z Linuksem znaczące spojrzenia.

Filip powoli pokiwał głową, po czym kontynuował poprzednią myśl:

– I czy mamy uznawać Samarytan, którzy uwierzą w Jezusa jako Pana, za prawdziwych Judejczyków? Czy też mają być uważani jedynie za bojących się Boga, jak nawróceni poganie? Jest tyle pytań pozostających bez jasnej odpowiedzi...

Linuks przypomniał sobie coś, co kiedyś usłyszał od Szczepana.

– Sam Jezus poszedł kiedyś do Samarii, czyż nie?

Filip patrzył na niego z drugiej strony ogniska.

– Był tam wielokrotnie.

– Mogę zrozumieć – rzekł Alban – czemu idea wierzących wśród Samarytan może niepokoić apostołów.

– Otrzymaliśmy wieści, że to się już zaczęło – powiedział Filip. – Nasz Pan, gdy jeszcze chodził po ziemi, nauczał w wiosce Sychar i wierzący, którzy już tam się osiedlili, opowiedzieli innym Samarytanom dobrą nowinę o Jezusie. Wielu z nich do nas dołącza. To im właśnie powiedziałem w Jerozolimie. To już nie jest kwestia, czy mamy na to pozwolić. To już się stało. Ja jadę do Samarii po to, by być świadkiem, tak jak kazał nasz Pan.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tyberiada

Pomimo usilnych próśb Julii, Helena nie chciała brać udziału w wieczornych spotkaniach małej grupki, znanej jako Droga. Julia tak bardzo martwiła się o matkę, że nie przestawała jej prosić i nakłaniać. Na próżno, gdyż Helena coraz bardziej utwierdziła się w swoim oporze. Julia była pewna, że matka nie chce wzbudzić niezadowolenia Jamala, a to pogłębiło rozłam, który narastał pomiędzy nią a ojcem. Robiła co mogła, by ukryć niechęć, którą odczuwała w jego obecności, lecz obawiała się, że prędzej czy później stanie się ona widoczna. Jak długo będzie potrafiła ukrywać swoje uczucia, jeśli uważała, że ojciec wyrządził jej matce krzywdę?

A jednak to opór matki przed przyjęciem wiary, a nie żal do ojca, był tym, co spędzało Julii sen z powiek i stanowiło temat jej codziennych próśb zanoszonych do Boga.

Gdy któregoś razu szły z Zoe pod osłoną ciemności na spotkanie, Julia wyznała:

– Nie wiem, co robić. Gdyby tylko sama usłyszała, jak wierzący opowiadają o Mesjaszu, to jestem pewna, że zrozumiałaby. Ale ona odmawia nawet pójścia na spotkanie – zakończyła z żalem.

Zoe przez jakiś czas milczała.

– Może... może jest inny sposób – odezwała się wreszcie.

Julia wytrzymała wzrok w ciemności, by spojrzeć jej w twarz.

– Jeśli znasz jakiś inny sposób, to mów, proszę cię.

– A nie pomyślisz, że kwestionuję twoją mądrość?

– Niby jaką mądrość? Mówię ci, że jestem zdesperowana. Próbowалам wszystkiego, żeby ją przekonać, lecz mama jest niewzruszona.

Zoe zwróciła ku niej twarz w świetle wschodzącego księżyca.

– Pamiętasz, co mówił Elias na ostatnim spotkaniu? Mamy się modlić. Mamy żyć w wierności pośród innych, aby sami zobaczyli różnicę, by zobaczyli, jak Mesjasz zmienił nasze życie. Żyjesz w napięciu. Jesteś wyczerpana nerwowo, moja kochana Julio. A to nie odzwierciedla pokoju, który dał nam nasz Zbawca.

Julia zatrzymała się w pół kroku.

– Już zapomniałam o tych słowach, Zoe. Ale teraz, gdy mi je przypomniałaś...

Starsza kobieta spojrzała na Julię, a potem odwróciła wzrok bez słowa. Było to tak wymowne, że Julia aż się skrzywiła.

– Myślisz, że ją zamęczyłam swoimi ciągłymi prośbami?

– Być może – odpowiedziała Zoe miękko.

– Ale jeśli mamy ją przyciągnąć do naszej grupy...

– Julio, skarbie, to Duch Święty przyciąga ludzi. My możemy jedynie być światłem – kobieta zwróciła się z powrotem w stronę ścieżki.

Tak. Oczywiście. Julia też to słyszała. Czemu nie rozumiała, co to oznacza dla niej? Żyj w prawości. Szukaj Pana i módl się o oświecenie dla innych. Eliasz mówił o tym wszystkim na ich ostatnim spotkaniu, a tymczasem Julia próbowała przymusić matkę do wiary.

Przyspieszyła kroku, by dogonić Zoe.

– Masz rację – przyznała, chwytając ją za ramię. – Żle się za to wszystko zabrałam. Muszę się modlić i pozwolić, by to Duch Święty przemawiał do serca mamy. Ona już wie, czego pragnę. Mówienie jej o tym na okrągło nic tu nie działo.

– Myślę, że coś już działo. Matka ma świadomość twojej nowej wiary. Wie również, że Mesjasz już przyszedł. Teraz to już tylko od niej zależy, czy zechce być wolna od swoich więzów.

– Nie masz chyba na myśli... że powinna zakończyć relację z moim ojcem?

Zoe poklepała dłoń Julii, wciąż spoczywającą na jej ramieniu.

– Nie, dziecko. Mam na myśli to, że powinna zapoczątkować relację ze swoim Stwórcą.

*

Julia podniosła głowę na odgłos zbliżających się kroków. Siedziała w odosobnionym kącie podwórza z kawałkiem najczystszej bawełny i jedwabnymi nićmi do wyszywania. Odkryła, że to świetna okazja do modlitwy.

Matka stała przed nią z koszykiem przeznaczonym dla Jamala. Jej uśmiech zaraz zastąpiło lekkie zmarszczenie czoła.

– Córeczko, już prawie południe. Twój ojciec będzie czekał na posiłek. Myślałam, że przyjdiesz do kuchni zobaczyć, co dla niego przygotowałam.

Julia poruszyła się nerwowo. Tak naprawdę w ogóle nie pomyślała o ojcu. Matce musiało to wydawać się dość dziwne. Kiedyś Julia nie mogła się doczekać, kiedy wyruszy ścieżką prowadzącą do obozu karawan i zobaczy witającego ją z uśmiechem ojca, cieszącego się z jedzenia, które przyniosła. Lecz ostatnio wzbraniała się przed pójściem do niego. Na początku chodziło jej po prostu o to, iż ojciec nigdy nie ożenił się z jej matką. A z pewnością mógł to zrobić. Wielu mężczyzn, jak się dowiedziała, posiadało więcej niż jedną żonę. Nie była to sytuacja idealna z punktu widzenia kobiety, lecz dawała jej jakieś zabezpieczenie, ochronę prawną, gdyby coś się stało. Julia wciąż cierpiała z powodu trudnej sytuacji matki i swojej własnej. Ostatnio za każdym razem, gdy pojawiała się w jego namiocie, Jamal miał kolejne informacje dotyczące jej przeszłego małżeństwa. I choć była w pełni świadoma tej nieprzyjemnej perspektywy, nie chciała o tym rozmawiać. Nie chciała nawet o tym myśleć.

Stawką był nie tylko jej własny dobrobyt. Helena wciąż była niewierząca. Julia nieustannie modliła się, aby jej matka skłoniła się ku poznaniu prawdy. Tak trudno jej było trzymać język za zębami, wstrzymać się od dalszych błagań, lecz wspierana przez Zoe, trzymała się postanowienia, by więcej nie poruszać tego tematu, a jedynie się modlić.

– Nie patrzyłam, gdzie jest słońce – przyznała Julia odkładając materiał. – Za chwilę pójdę. Możesz postawić koszyk przy drzwiach.

– Zapytaj ojca, kiedy wróci do domu na wieczorny posiłek. Ostatnio wraca coraz później.

– Mówił, że musi zostawić wszystko uporządkowane zanim znów wyjedzie.

– Wyjeżdża?

Julia skinęła głową.

– Tak powiedział wczoraj wieczorem, gdy wreszcie przyszedł do domu.

Julia zauważyła, że twarz Heleny spochmurniała.

– Jedzie z karawaną? Myślałam, że jeszcze nie wróciła.

Helena rzadko zwracała sobie głowę tym, kiedy przyjeżdżają lub odjeżdżają karawany Jamala. Interesowało ją to tylko o tyle, o ile zapowiadało, że ukochany znów przyjedzie po dłuższej rozłące.

– Z tego, co rozumiem, główna karawana uda się do Tyru i raczej przez długi czas jej nie będzie – powiedziała Julia podnosząc ciepłe okrycie, bo dzień robił się chłodny.

– To gdzie w takim razie twój ojciec...

– Nie powiedział – Julia nie chciała martwić matki, że ojciec być może pojedzie do Damaszku. *Do swojej prawdziwej rodziny...* Lecz nie powiedziała tego głośno. Wiedziała, że to przysporzyłoby matce więcej cierpienia.

Julia sięgnęła po koszyk. Była spóźniona i wiedziała, że ojciec będzie niezadowolony, chyba że w wirze przygotowań nie zauważył upływu czasu.

– Myślałam, że on cię informuje na bieżąco...

– Nie zawsze – powiedziała szybko Julia. Pochyliła się, by pocałować Helenę w policzek.

Pośpieszyła do ojca, zostawiając matkę z niewypowiedzianym pytaniem, wciąż malującym się na twarzy.

Szła szybkim krokiem po znajomej ścieżce, a jej myśli znów pełne były wzburzenia. Modliła się. Nie tylko o to, by jej mama uwierzyła, lecz również w sprawie ojca. Nie była pewna, co chciałaby, aby Bóg uczynił w jego kwestii. Może żeby przeprosił matkę? Żeby wyznał, że przez te wszystkie lata nie był z nimi szczerzy? Żeby Bóg zmienił jego serce i by poślubił matkę, co dałoby jej status równy z innymi kobietami w mieście? Gdy tak wewnętrznie uskarżała się Bogu na tę sytuację, wiedziała również, że nie ma tu prostych rozwiązań. Co jej ojciec mógł zrobić? Albo jak

odwrócić to, co już uczynił? Gdyby po tych wszystkich latach jej rodzice zostali małżeństwem w świetle prawa, czy nie pogorszyłoby to jeszcze sytuacji?

Gdy przybyła zdyszana pod zasłonięte wejście do namiotu i weszła do środka, ojciec wcale nie czekał niecierpliwie na jedzenie. Jego głowa była nadal pochylona nad pergaminem – bez wątplenia była to lista towarów, które miały zostać spakowane do transportu. Gdy podeszła, ledwie uniósł głowę.

– Przyniosłam jedzenie, ojczu – powiedziała, stawiając koszyk w rogu stołu i zaczęła wykladać zawartość.

– Tak, dobrze – odparł roztargniony. Nawet nie zwrócił się ku niej z uśmiechem, jak to zwykle czynił. – Jeszcze tylko chwilkę.

Zauważyła, że marszczy czoło.

– Czy coś się stało, ojczu?

– Len, który pojechał do Syrii. Dostaliśmy cenę znacznie niższą, niż oczekiwałem. Zastanawiam się, czy mój człowiek tam na miejscu rzetelnie dogląda moich interesów. Z pewnością mógł osiągnąć większy zysk, gdyby się sprytniej targował. Trzeba go zastąpić kimś innym. Miałem pewne wątpliwości co do jego zdolności do interesów, a teraz jestem pewien, że on się nie nadaje.

Jamal odsunął od siebie pergamin i potarł ręką kark.

– Człowiek może być tylko w jednym miejscu, nie rozdzieli się – powiedział zmęczonym tonem. – I może się zająć tylko jedną rzeczą na raz.

Tak – pomyślała Julia – ty na pewno wiesz o tym najlepiej.

– Herbaty? – zapytała starając się, by jej głos się nie załamał.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę po kubek, który mu podała.

– Gdybyś była chłopcem – powiedział wyszczerzając zęby w uśmiechu – mogłabyś być moją prawą ręką. Z twoim byстрыm spojrzeniem i polotem

żaden kupiec by cię nie oszukał.

– Ale nie jestem chłopcem – odparła tonem chłodniejszym niż zamierzała.

– Nie, i na żadnego chłopaka bym cię nigdy nie zamienił – wymówił te słowa ciepłym głosem, co przywróciło Julii choć trochę pokoju w sercu.

– Posiedź ze mną chwilę i napijmy się razem herbaty. Mam dla ciebie wieści.

Julia usiadła posłusznie, ale nie nalała sobie herbaty.

Przyciągnął do siebie jakiś dokument, który leżał z boku na stole i sięgnął po szkło powiększające.

– Wygląda na to, że negocjacje dotyczące twojego małżeństwa przebiegają pomyślnie. Ta rodzina nie może się doczekać, by weszła do niej córka Jamala.

Nie spojrział na nią, więc, nie zobaczył, jak się skrzywiła. Gdy podniósł głowę znad dokumentu, Julia z zaskoczeniem zobaczyła w jego oczach coś jakby ból.

– Będę za tobą tęsknił.

Jego głos brzmiał ochryple od emocji. Julia nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie. Szybko odchrząknął i już mówił dalej, pewny siebie:

– Ale takie jest życie. Trzeba wykorzystać je jak najlepiej. Powinno cię ucieszyć, że uważnie się przyjrzałem tej rodzinie i nie odkryłem niczego, co mogłoby nas martwić. Mimo to...

Nie dokończył myśli. Julia nie wiedziała, czy ma tego żałować, czy czuć ulgę. Wiedziała tylko, że wcale nie chce tego małżeństwa.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Samarytańskie równiny

Gdy Jakub się obudził, odkrył, że przespał całą noc, nieczuły wobec faktu, że jego żebra uciska kamień. Jęknął przewracając się na drugi bok, a jeden z osłów zaryczał cicho w odpowiedzi, jakby współczuł mu tej niewygody. Słońce sięgało zenitu i niemiłosiernie paliło w głowę. Choć odrobina wiatru, który zdołał się wedrzeć do zamkniętego kanionu, przynosiła trochę ochłody, to jednak gorąco uwięzionego w wąwozie światła słonecznego mocno dawało się we znaki. Jakub przeturlał się dwukrotnie, próbując utrzymać się w cieniu. Wreszcie stanął chwiejnie na nogi i zaczął rozcierać bolące miejsce wokół żebra.

Stał tak przez chwilę, po czym wlał trochę wody do płytkiego wyłobienia w skale. Podczas gdy osły piły, sprawdził, czy są dobrze przywiązane, a następnie napełnił ich worki owsem. Czekająca je długa droga

– aż do zmierzchu. Zwierzęta z zadowoleniem żuły strawę, a Jakub przygotował sobie śniadanie składające się z kruchego sera koziego, chleba i suszonych moreli. W trakcie jedzenia przeglądał sekretne towary, które wyciągnął z pakunków niesionych wcześniej przez zwierzęta. Skończywszy jedzenie, obwieścił osłom:

– Czas sprawdzić, czy mam rację co do Jamala i jego tajemnych skarbów.

Jakub przed opuszczeniem obozowiska zapakował cztery worki z zapasów poganiaczy. Dwa z nich zawierały paszę i jedzenie dla niego. Torba z listami, którą dał mu Latif, spoczywała na jednym z worków. Zwierzęta niosły też na grzbietach cztery bukłaki z wodą.

Kolejne dwa worki zawierały szesnaście paczek, dokładnie zawiniętych i zapieczętowanych czerwonym woskiem. Gdy otworzył worek, owionęła go ta sama ostra woń goździków, cynamonu i czegoś jeszcze. Każda paczka była nieco większa niż dwie jego pięści. Wybrał jedną na chybił trafił i otworzył za pomocą noża.

Jego nozdrza w jednej chwili napełniły się zapachem, którego nie da się pomylić z niczym innym. Często słyszał ludzi opisujących tę woń jako mglisty posmak nieba. Świetnie rozumiał, dlaczego. Aromat był upajający, jak gdyby samo wdychanie go pomagało uwolnić zmysły i uleczyć duszę.

Jakub wiedział, że kadzidło jest chyba najcenniejszym towarem na świecie. Stanowiło najważniejszy składnik każdych perfum i było używane do spalania podczas uroczystości religijnych Greków, Rzymian i Judejczyków. Kadzidło stosowano przy balsamowaniu zwłok i w czasie pogrzebów. I, co było w tym wszystkim być może najważniejsze, dla tych, których było na to stać, kadzidło stanowiło substancję o silnych właściwościach leczniczych. Używano go jako leku na trudności z oddychaniem, bóle stawów i zapalenia w obrębie klatki piersiowej.

Hebrajskie słowo oznaczające kadzidło, *lewona*, było również nieoficjalną nazwą starożytnego fenickiego królestwa położonego na północ od Judei. Kupcy fenicy przez ponad tysiąc lat mieli prawie całkowity monopol na ów towar.

Kadzidło pochodziło z drzewa, które rośnie tylko w jednym rejonie Pustyni Arabskiej. Jakub miał tego świadomość, ponieważ kadzidło było tematem wielu opowieści snutych przy ogniskach podczas wędrówek karawan. Poganiacze, którzy podjęli się trudu mozolnej wyprawy do Jemenu i z powrotem, byli podziwiani przez innych podróżnych. Jedyłą rzeczą gorszą od wędrówki przez pustynne piaski Arabii było spotkanie bandytów. Tylko coś tak cennego jak kadzidło mogło sprawić, że taka podróż warta była ryzyka.

Każdy kawałek znajdujący się w paczce miał nieco plastyczną teksturę i był mniej więcej wielkości paznokcia. Paczka, którą otworzył, była wypełniona przyprawą koloru siwych włosów. Srebrne kadzidło było najcenniejsze ze wszystkich. Jakub spojrzał na dwa worki z paczuszkami. Jeśli choć połowa z nich zawierała srebrne kadzidło, to miał przy sobie wystarczająco dużo bogactwa, by nabyć okręt kupiecki wraz z całą załogą.

Nic dziwnego, że Latif tak martwił się o swoje wielbłądy...

Jakub użył sznurka z konopi, by jak najlepiej umieścić pieczęć z powrotem na miejscu. Domyślał się już wcześniej co do zawartości paczki właśnie ze względu na czerwony воск, gdyż w ten sposób zamykano towary o intensywnym zapachu. Jakub wylał odrobinę cennej wody na ziemię i ulepił kawałek gliny, którym zatkał rozcięcie w paczce. Pozostałej części błota użył, by energicznie wyszorować ręce. To jednak nie wystarczyło, by pozbyć się intensywnego aromatu. Musiał mieć się na baczności, by nikt nie zbliżył się do niego, zanim zapach się nie ulotni.

Załadował oba worki na osła, który nie niósł jego zapasów, po czym wyruszył w drogę. Nadal trzymał się z dala od głównej trasy, trzymając się od niej na dystans, jaki zwykli utrzymywać ubodzy Judejczycy. Prowadził zwierzęta po twardo ubitej ścieżce równoległej do głównej drogi. W zakurzonym ubraniu nie różnił się niczym od trzech innych poganiaczy z osłami, których właśnie mijał. Jakub przyjrzał się starszemu człowiekowi, który jechał na osiołku, podczas gdy jego wnuk truchtał obok, zbierając po drodze patyki na ognisko. Jakub oddalił się jeszcze trochę od głównej drogi, zsiadł z osła i zaczął robić to samo. Nim zaczęli się wspinać na wzgórze, jego osioł był tak obładowany drewnem na opał i chrustem, że obu worków nie było już widać. Ponieważ gałęzie były wyschnięte, nie dodawały zwierzęciu wiele ciężaru.

Podróż przebiegała sprawnie. Z powodu wiatru i wysokości słońce nie paliło takim gorącem. Po południu Jakub znalazł szlak, którego szukał: mało używaną ścieżkę odchodzącą na północny wschód, z dala od Jerozolimy, w kierunku równin Samarii. To był najbardziej ryzykowny etap podróży i Jakub chciał go mieć za sobą przed zachodem słońca. Szlak wznosił się i opadał przez opustoszałe doliny. Jakub szedł pieszo obok zwierząt.

Minął kilku pasterzy strzegących owiec i kóz. Pozdrawiał ich cicho, ale się nie zatrzymywał. Raz, gdy szedł szczególnie stromym klifem, zdało mu się, że usłyszał z oddali krzyk, jakby zauważył go zwiadowca i dawał w ten sposób znać czekającym poniżej bandytom. Wzgórza jerozolimskie były niby patrolowane przez rzymskich żołnierzy, dzięki czemu zeloci trzymali się od nich z daleka, lecz biorąc pod uwagę mnóstwo zakrętów i zmian kierunku na szlaku, niezliczone dolinki z nieskończoną liczbą możliwych kryjówek dla bandytów, nawet Jakub, który już prawie cztery lata był strażnikiem karawan, obawiał się, że nie wyjdzie stąd żywy.

Jakub pokonał kolejny grzbiet, wszedł w zakręt i zatrzymał się w osłupieniu. Oto przed nim rozciągała się dolina Samarii. W samą porę, bo słońce właśnie dotknęło zachodnich wzgórz. Nawet osły zaryczały z ulgą.

Nim zszedł do doliny, nogi piekły go ze zmęczenia. Przywiązał zwierzęta w płytkim wąwozie przy ruinach jakiejś bezimiennej wioski, zapewne opuszczonej z powodu niebezpieczeństwa ze strony grasujących przestępców. Nie zauważył żadnego koryta ani naturalnego zagłębienia w skałach, do którego mógłby wlać wodę dla osłów, więc poił je trzymając bukłak pod pachą i stopniowo nalewając sobie w zagłębienie wyciągniętej dłoni. Osły piły po kolei, a włoski na ich pyskach łaskotały go w dłoń. Następnie napełnił ich worki owsem i sam zjadł kolację na zimno, obserwując zapadający dokoła niego mrok. Stare mury i pozostałości drewnianych budowli wioski wystawały ponad ziemię niczym stare kości.

Tej nocy spał na poduszce z dwóch pachnących worków.

*

Jakub obudził się na dźwięk czyichś głosów. Na początku wydawało mu się, że są one tylko snem, lecz po chwili znów usłyszał w ciemności ciche szepty dochodzące z ruin wioski.

Bezszelestnie odsunął okrycie i kucnął. Osioł stojący bliżej niego fuknął cicho, być może przez sen. Jakub uciszył go, przytrzymując rękę na pysku, nie odrywając przy tym oczu od żaru, który zauważył po lewej stronie. Było to dogasające ognisko, zakryte trzema ścianami ruin tak, że nie było go widać od strony drogi.

Nie wiedział, czy byli to inni zmęczeni podróżni, czy bandyci. Tak czy inaczej, ogromne zmęczenie być może uratowało go przed napaścią, bo gdyby miał siłę, też by rozpałił ognisko.

Dzięki Bogu, tamci rozbili obóz na drugim końcu wioski. Gdy podniósł głowę, poczuł wiatr we włosach i zapach nadchodzącego deszczu.

Niebo zasłane było chmurami, stąd nie było wiadomo, ile zostało godzin do świtu. Jakub szacował, że jeszcze przynajmniej przez godzinę będzie ciemno. Odwiązał pierwsze zwierzę, po czym przymocował na jego grzbiecie worki z kadzidłę, wodę, paszę oraz miecz. Nie było szansy, by po cichu załadować drewno na opał. Poza tym jego bezpieczeństwo zależało teraz od szybkości działania. Trzymając lejce jednego osła w zębach, Jakub przeczołgał się po piasku i odnalazł drugiego. Nasłuchując równego oddechu zwierzęcia, obudził je głaszcząc po boku i przemawiając szeptem.

Trzymając lejce w lewej ręce wyprowadził osły z wioski kierując się na zachód, z dala od wioski i od głosów nieznanomych. Był to kierunek przeciwny do celu jego podróży, ale Jakub się tym nie przejmował. Zaczekał, aż wzgórze zasłoni go od wioski, po czym skierował się na południe i zaczął szukać drogi. Nim do niej dotarł, horyzont przed nim zaczęło rozjaśniać nikłe światło pochmurnego dnia.

Jakub wspiał się na grzbiet drugiego osła, a lejce pierwszego przymocował sobie do paska, po czym cmoknął cicho. Nie odetchnął spokojnie aż miejsce jego nocnego postoju pozostało daleko w tyle.

*

Z nastaniem świtu Jakub rozejrzał się po okolicy. Samarytańskie równiny stanowiły szerokie pasmo żyznej ziemi, rozciągające się od judejskich wzgórz na południu aż po wyżyny daleko na północy. Góra Karmel, Gilboa i Tabor tworzyły linię grzbietów, która łączyła się ze wzgórzami Galilei, oddzielając równinę Samarii od Megiddo. Te dwa regiony stanowiły serce Samarii.

Jakub dobrze wiedział, że na drogach Samarii można spotkać Rzymian, kupców fenickich i syryjskie karawany, a spośród Judejczyków tylko tych, którzy uważali się za zhellenizowanych, bardziej „nowoczesnych” w kwestiach kultury i praktyk religijnych. Przestrzegający wszelkich przepisów nie postawiliby stopy w Samarii, tak samo jak nie weszliby do rzymskiego garnizonu. Oznaczałoby to dla nich rytualną nieczystość.

Mimo tego obostrzenia, na drogach nie brakowało podróżnych. Regiony Samarii i Megiddo nawet w tych niepewnych czasach pozostawały względnie bezpieczne. Prowadziła tędy większość rzymskich dróg i akweduktów, gdyż teren był równy i płaski. A to z kolei oznaczało, że garnizony były tu liczniejsze i silniejsze.

Mimo to Jakub zachowywał się tak samo jak wcześniej; prowadził osły wzdłuż ubitej ścieżki jakieś pięćdziesiąt kroków na północ od głównej drogi. Jego ubiór przypominał strój ubogiego wieśniaka. W trakcie wędrówki czołgał się po piachu i spał w ubraniu pod gołym niebem, więc jego płaszcz był brudny i nieco podarty. W Judei, a już tym bardziej w Samarii, było pełno takiej biedoty. Jak dotąd nie zwrócili na niego uwagi ani rzymscy żołnierze, ani celnik w garnizonie na rozstaju dróg. Wyglądał na zbyt biednego, by nagabywać go o łapówkę.

Na swój pierwszy posiłek Jakub zatrzymał się w cieniu garnizonu, skąd drogi rozchodziły się w pięciu głównych kierunkach. Najstarsza z nich wiodła prosto na północ i wśród poganiaczy i strażników karawan znana była pod swoją starożytną nazwą jako Droga Patriarchów, gdyż kiedyś łączyła dwanaście plemion Izraela. Po śmierci Salomona i podziale królestwa stała się jedyną drogą łączącą północne królestwo Izraela z Judeą. Od najazdu Rzymian przestała być tak często używana i teraz była już niemalże zapomniana, bo główna droga rzymska prowadziła na zachód, do Cezarei.

Jakub spojrział na trzy tuziny straganów postawionych ciasno obok siebie przy zbiegu dróg. Wiedział, że dokładnie tak samo wygląda stragan, który chciał mu powierzyć pod opiekę Alban, tyle że tamten znajdował się dalej na północ, przy głównej drodze rzymskiej. Z miejsca, w którym siedział, słyszał jak kupcy zachwalają swoje towary, pokrzykując śpiewnie i rytmicznie na każdego przechodzącego podróżnego. Wzdrygnął się na myśl, że miałyby w ten sposób spędzać całe dni.

Lecz gdy przerzucił nogę przez okrycie na grzbiecie osła, nagle zdał sobie sprawę, że gdyby to naprawdę było wolą Bożą, przystałby na to. Może by się z Bogiem targował; zapewne wygłaszałby w kierunku nieba długie monologi i wykrzyczałby swoją frustrację, ale zgodziłby się. Aż zadrżał na myśl o sprzeciwieniu się Bogu. Przypomniała mu się pewność, z jaką Alban mu mówił o tym straganie. *Dlaczego Bóg miałby przemówić do mojego opiekuna, a nie do mnie?* – pytał znowu.

Przed nim rozciągała się biała piaszczysta droga, zaś nad nim – pochmurne niebo. Niewielu podróżnych zmierzało w tym kierunku. Po lewej stronie w oddali pasło się stadko owiec, a daleko przed nim szło dziewięć wielbłądów. Samotność wyostrzyła jego zdolność słyszenia czegoś więcej niż tylko wiatr i jego własne myśli. Wzbudziła też w nim większą gotowość do przyjęcia prawdy.

Być może Bóg przemówił do Albana, ponieważ Jakub nie chciał Go słuchać.

*

Był wdzięczny, że deszcz jednak nie spadł. Widział jak ciemne chmury częściowo przesłaniają dolinę za nim. Wiatr był orzeźwiający, zaczął wiać mocniej. Po południu Jakub musiał osłonić głowę i twarz, żeby ochronić się przed tumanami piachu.

Zbliżał się wieczór, gdy dotarł do wzgórz wyznaczających granicę Galilei. Region ten był niegdyś tak samo bezpieczny jak każdy inny, z twierdzą rzymską górującą na najwyższym szczycie. Lecz czasy się zmieniły i niewielu żołnierzy z garnizonu zapuszczało się w teren po zmroku. W obliczu niebezpieczeństwa grożącego ze strony bandytów i zelotów nawet uzbrojeni żołnierze musieli wciąż oglądać się za siebie.

Po całodziennej wędrówce pod wiatr osły były bardzo zmęczone. Mimo to Jakub, rozglądając się uważnie, poprowadził je jeszcze szybciej. Gdy na horyzoncie ukazał się pałac Heroda, Jakub zauważył zwiadowców na szczycie wzgórza, nad Tyberiadą. W przeciwieństwie do grupki osób, które dzieliły z nim nocleg w ruinach samarytańskiej wioski, nie było tu wątpliwości, kim oni są.

– *Heja!* – Jakub wyciągnął zza pasa bicz i uderzył osła w bok. Zwierzę zaryczało protestując, bo było już i tak wielce strudzone po ciężkim dniu. Ale nie było wyboru, jeśli chcieli dojechać do celu.

– Szybciej! Biegiem, osle! Biegiem!

Wiedział, że wymaga rzeczy niemożliwej, bo osły nie potrafią galopować. Przebierają jedynie nogami, podnosząc kopyta nieco ponad ziemię. Jednak w takich właśnie chwilach przejawia się siła osła, gdyż zwierzęta te potrafią podążać dłużej i są bardziej wytrwałe niż konie. Stąd też częściej korzystano z nich w karawanach. Na koniach poruszali się jedynie strażnicy, którzy musieli w bardzo szybkim tempie przemieścić się. We wszelkich innych okolicznościach osły sprawdzały się znacznie lepiej.

Tak właśnie było teraz w przypadku Jakuba. Choć osły wciąż ryczały w proteście, ich małe kopytka mknęły po szlaku, a Jakub nakłaniał je do szybszego biegu zarówno krzykami, jak i biczem. Wzgórza tyberiadzkie schodziły w doliny o stromych zboczach, z nagłymi spadkami wiodącymi

w zacienione wąwozy. Rzymianie starali się budować drogi w linii prostej, lecz tu zmuszeni byli wieść drogę ostrymi zakrętami.

Mrok zapadał szybko i pałac Heroda Antypasa był już ledwie widocznym cieniem. Jakub usłyszał jakby nawoływanie nocnego jastrzębia za sobą. Obawiał się, że dźwięk ten wydał w rzeczywistości dwunożny drapieżnik, więc jeszcze mocniej smagnął osła.

– *Heja!*

Ze wzgórza po prawej stronie spadło trochę kamyków. Jakub był niemal pewny, że to jeźdźcy na koniach próbujący go wyprzedzić. Pochylił się nad karkiem osła, trzymając lejce jedną ręką, a drugą chwytając grzywę zwierzęcia. Pochylił się nad jego uchem i wysapał:

– Czujesz niebezpieczeństwo? Czujesz, jak blisko są ich miecze? Ze względu na nas obu, błagam, zapuść skrzydła i *leć!*

Jakub znał ten szlak tak dobrze, że mógłby go przemierzać we śnie. Gdy minęło się skrót do twierdzy Heroda, droga robiła się szersza i zaczynała schodzić do Jeziora Galilejskiego. W mroku zamajaczyły pierwsze światła Tyberiady. Jakub wciąż pochylał się nad karkiem osła i dopingował do szybszego biegu. Drugi osioł przestał już ryczeć, zachowując siły na to, by dotrzymać kroku pierwszemu. Jakub zaryzykował spojrzenie za siebie i zobaczył, że jeden z worków prawie się odwiązał i obija się mocno o bok zwierzęcia. Nie miał pojęcia, czy było to kadzidło, czy tylko zapas żywności, a nie było czasu, by się zatrzymać i to sprawdzić. Tętent zbliżających się kopyt był coraz wyraźniejszy.

– *Leć, przyjacielu, leć!*

Weszli w kolejny zakręt, a potem w jeszcze jeden. I nagle wzgórza jakby się otworzyły. Poniżej rozpostarły się przed nim powitalne światła Tyberiady. Po lewej stronie ujrzał mury pierwszego obozu dla karawan, a za sobą usłyszał okrzyk pełen frustracji. Mimo to nie zwolnił, dopóki nie

minął strażników przy głównej bramie. Oni również usłyszeli krzyki i tętent kopyt, bo stali zwrócenii na zewnątrz z napiętymi łukami, gotowi do strzału.

Jakub nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki jest obolały od tego wyścigu o życie na podskakującym zwierzęciu. Dotarło to do niego dopiero w momencie, gdy ześlizgnął się z grzbietu osła i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Utrzymał się w pionie jedynie dzięki temu, że uchwycił się grzywy zwierzęcia. Zarzucił drugą rękę na jego kark i starał się złapać oddech, podobnie jak sapiące zwierzę.

Drugi osioł, dysząc równie mocno, podszedł bliżej, aż jego pysk spoczął na żebrach Jakuba. Ten puścił grzywę, by objąć oba zwierzęta.

– Dobra robota, przyjaciele. *Dobra robota.*



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Równiny Samarii

Abigail obudził najpiękniejszy dźwięk na świecie – śmiech jej córeczki.

Nałożyła na głowę szal i wyszła z części przeznaczonej dla kobiet. Ze zdziwieniem spostrzegła, że większość obozujących już nie śpi i przygotowuje się do wymarszu. Dorcas bawiła się lalką, którą kiedyś wyrzeźbił dla niej Jozjasz oraz próbowała naśladować piosenkę wyśpiewywaną przez ptaszka. Pilnowała jej Marta, która jednocześnie pomagała innej kobiecie przymocować do grzbietu osła pakunek ze sprzętami domowymi.

– Gdybym miała zamknięte oczy, to nie wiem, czy potrafiłabym odróżnić, które z nich śpiewało.

– Czemu nikt mnie nie obudził, kiedy inni wstawali? – wymruczała Abigail.

– Bo bardziej niż ktokolwiek inny potrzebowałaś odpoczynku – uśmiechnęła się ciepło Marta. – Wiem, że przez kilka ostatnich nocy wierciłaś się i nie mogłaś spać.

– Musiałam być bardziej zmęczona niż mi się zdawało.

– Jesteś już poza granicami Jerozolimy – powiedziała kobieta stojąca obok Marty – i poza zasięgiem strażników świątynnych. Z twoich bark został zdjęty ogromny ciężar. Nic dziwnego, że spałaś jak kamień.

Lecz Abigail nie czuła ulgi z powodu opuszczenia miasta. Z każdym krokiem odczuwała raczej, że ostatnie ogniwo łączące ją z ukochanym Szczepanem za chwilę się przerwie.

Marta musiała zrozumieć, dlaczego Abigail zmarszczyła czoło, gdyż powiedziała łagodnym głosem:

– Spójrz na swoją córkę. Czy nie jest piękna jak wschód słońca? I ileż radości wnosi do twojego życia – Marta popatrzyła znów na Dorcas, po czym dodała: – Jest taka podobna do Szczepana, nie sądzisz?

Słowa te skierowane były do Abigail, ale w odpowiedzi odezwała się druga kobieta:

– Wiesz, do tej pory się nad tym nie zastanawiałam, ale cząstka Szczepana jest w niej rzeczywiście taka wyraźna – jego uśmiech, jego wielkie serce.

– I jego oczy – dodała Marta. Zwróciła głowę w stronę Abigail i dodała ciszej: – Zawsze będziesz go miała przy sobie. – Poklepała osła po boku i wyprostowała się z ręką na plecach. – Chodź, Abigail, kochana. Znajdziemy ci coś do jedzenia.

Tego dnia cała grupa zdawała się podróżować z większą lekkością w sercach. Abigail często słyszała, jak inni mówili między sobą o Bożej ręce, która zapewniła im taki bezpieczny nocleg. Ich radości nie pomniejszył nawet wszechobecny wiatr i ciemne chmury. Gdy pozostawili za sobą

wzgórza i weszli na prostą drogę wśród samarytańskich równin, zaczęli śpiewać pieśni na chwałę Boga. Dorcas jechała na osiołku, a Abigail szła niedaleko za nią. Dziewczynka jedną ręką trzymała się grzywy zwierzęcia, a drugą machała do chmur nad głową i śpiewała wraz z innymi.

Marta podeszła do Abigail.

– Choćby cały świat stanął przeciw nam, i tak będę wielbić Pana – powiedziała cicho.

Abigail przytaknęła i zastanawiała się, dlaczego jej serce wciąż jest pełne smutku.

Gdy pieśń się skończyła, Dorcas odwróciła się i wyciągnęła rączki.

– Mamo! Mamo! Chcę zejść!

– Jesteś już duża, potrafisz powiedzieć ładnie.

– Weź mnie na dół.

– Poproszę – skarciła ją Abigail. – Proszę, pomóż mi zejść.

Dorcas powtórzyła jej słowa, po czym wykręciła się z rąk Abigail, zanim jeszcze jej stópki dotknęły ziemi.

– Ale nie odchodź daleko – powiedziała Abigail.

Obok nich przebiegła grupka dzieci, piszcząc z uciechy i ciesząc się wolnością. Podskakiwały i bawiły się na prostej i szerokiej drodze, mijając podróźnych, wznosząc przy tym radosne okrzyki mimo ponurego dnia.

Dorcas dołączyła do nich nie oglądając się na matkę, tylko szybko przebierając nóżkami, żeby dogonić kompanów. Odłączyła się jednak od nich, gdy zauważyła Linuksa idącego obok konia, na którym siedział Alban. Podskoczyła kilka razy do góry, wznosząc przy tym rączki. Abigail obserwowała jak Linuks się zaśmiał, po czym podniósł dziewczynkę i posadził na koniu przed Albanem. Ten z kolei pogłaskał ją po kędzierzawej główce i powiedział coś, na co mała zareagowała śmiechem.

Marta nuciła pod nosem, ale przerwała, by powiedzieć:

– Ona nas wszystkich zaraża swoją radością. Jest dla nas wielkim darem.

W południe dotarli do Neapolis, celu podróży dla trzech rodzin. Zroszone niedawnym deszczem pola wokół miasteczka wyglądały świeżo i pięknie. Ludzie zbierali ostatnie jesienne plony owoców i późnych oliwek, inni zaś ścinali złote łany zbóż. Abigail zdawało się, że wszyscy oni przerwali pracę, by popatrzeć, jak ich grupa przechodzi drogą.

Linuks też musiał to zauważyć, bo gdy Dorcas domagała się, by ją niósł, on zamiast tego zсадził dziewczynkę z konia i od razu oddał Abigail.

– Nie pozwól jej teraz oddalać się.

– Czy wszystko...?

– Zaraz się przekonamy – odpowiedział. – Powiedz innym rodzinom, żeby pilnowały swoich dzieci – to mówiąc, odwrócił się szybko. – Wypatruj mojego sygnału i bądź czujna.

Pola rozpościerały się jak złote dywany aż do drzwi pierwszych domów w miasteczku. Jednak tu też ludzie zbierali się na progach i obserwowali przechodzących, wprawiając ich w niepokój. Abigail zauważyła, że jeden z mężczyzn odwraca się i mówi do kogoś ukrytego wewnątrz domu. Chwilę później pędem wybiegł stamtąd chłopak i przeskoczywszy przez ogrodzenie, płosząc pasące się stadko owiec, pobiegł w kierunku centrum miasteczka.

– Skąd przybywacie? – zawołał do nich starszy mężczyzna, trzymający się słupa podpierającego dach domu.

– Z Jerozolimy – odpowiedział mu Filip.

– Nie jesteście przypadkiem wyznawcami tego ukrzyżowanego Proroka?

– Jezusa z Nazaretu, zmartwychwstałego Pana – potwierdził Filip.

– Przychodzimy w pokoju – zawołał Alban głosem jeszcze słabym, ale wystarczająco głośno.

Abigail z obawą patrzyła, jak Linuks cofa się do jednej z rodzin, które chciały zostać w Neapolis. Rozmawiał z nimi po cichu, po czym donośnym głosem powiedział do miejscowych:

– Podróżujemy z kuzynami Ben Izaaka.

– Mamy ze sobą ludzi starszych i niedołącznych – dodał Alban. – Czy możemy gdzieś napić zwierzęta i znaleźć jakieś schronienie?

Starszy człowiek wskazał dalej na drogę.

– Publiczna studnia jest tam, przy rynku.

Linuks podziękował i stanął przy drodze czekając, aż wszystkie rodziny przejdą. Nie odzywał się. Abigail wiedziała, że teraz już wszyscy są świadomi jego niepokoju. Gdy przechodziła obok niego, widziała, że kostki jego palców są zbielełe, tak mocno trzymał laskę. Miał napięty wyraz twarzy, a jego oczy wciąż wpatrywały się w drogę przed i za nimi.

– Co się stało, mamó? – zapytała Dorcas.

– Ciiii, kochanie. Musimy teraz być cicho.

– Nie podoba mi się to.

Abigail nachyliła się i wzięła dziewczynkę na ręce.

– Jesteś tu ze mną bezpieczna. Pomodlimy się, żebyśmy były dzielne. Możemy tak zrobić?

Dorcas skinęła głową, uchwyciła się mocno szyi matki i więcej się nie odzywała. Abigail, zmęczonej długim marszem, wydała się ciężka, lecz nie postawiła jej na ziemię.

Gdy dotarli do rynku, Marta szepnęła:

– Daj, ja ją poniosę.

– Nie, naprawdę...

Słowa Abigail przerwał głos jakiejś kobiety.

– Czy to wy? – zawołała, a wysoki ton jej głosu wybił się na tle cichej grupy.

Podróżni zatrzymali się. Zwierzęta nerwowo kręciły łbami, gdyż udzielało im się napięcie ludzi. Jeden z osłów zaryczał, po czym zapadła cisza.

Kobieta wyłoniła się z bocznej alejki i biegła do nich z wyciągniętymi ramionami.

– Nareszcie jesteście! – wykrzyknęła znowu. Podchodziła od jednego podróżnego do drugiego. – Czy moje modlitwy zostały nareszcie wysłuchane? Tak długo modliłam się, żeby ktoś przyszedł nas nauczać.

Stojący na początku pochodu Filip wystąpił i spytał:

– Czy ja cię... znam? – podszedł bliżej do niej.

Kobieta zwróciła się ku niemu i podbiegła wykrzykując:

– Chwała Panu! Wysłuchał mnie! – i rzuciła się do stóp Filipa wzbijając kurz. – O, panie mój!

– Nie jestem twoim panem i nie zasługuję na taki tytuł – Filip delikatnie wziął ją pod rękę i pomógł jej wstać. – Byłaś w Sychar, prawda?

– Tak, dobry panie, przy studni Jakuba.

– Tak, teraz pamiętam. Nasz Pan z tobą rozmawiał.

– Dałam Mu wody ze studni w Sychar. Mieszkałam tam – mówiła już ciszej, a w jej głosie słychać było pokój. Tymczasem z alejek, domów i wszelkich zakamarków wyłaniali się ludzie. Podchodzili, zbierając się wokół kobiety, Filipa i wszystkich przybyłych, aż wypełnili cały rynek. Kobieta rzekła:

– A Rabbi, Jezus, dał mi wody żywej. I ta woda mnie zmieniła, zmieniła wszystko!

Filip się uśmiechał.

– A ty opowiedziałaś o tym swoim sąsiadom i przyjaciółom.

– Opowiadałam o tym w kółko – tyle, ile mogłam, bo przecież niewiele wiedziałam. Prawie nic – jedną ręką wytarła twarz. – Ale teraz ty przyszedłeś. I możesz im opowiedzieć to, czego ja nie wiem.

– Może najpierw zatroszczmy się o potrzeby całej grupy – odezwał się Alban ze swego konia. – A potem porozmawiamy z wami wszystkimi.

*

– Wszyscy znacie Helzebe, tę dobrą kobietę z Sychar. Znacie jej historię, jak przyszła czerpać wodę ze studni Jakuba w tej wiosce, a Jezus siedział tam i czekał na uczniów, którzy poszli kupić jedzenie.

Filip stał na skalnym murku odgradzającym publiczne studnie i koryta pośrodku dużego placu, okolonego straganami i innymi budynkami. Abigail pomyślała, że jeden z nich wygląda na synagogę. Ich zwierzęta zostały napojone, nakarmione i teraz odpoczywały w stajniach po lewej stronie rynku. Trzy rodziny spotkały się z mieszkającymi tu krewnymi i zostały powitane zarówno przez nich, jak i przez wielu innych mieszkańców miasteczka. Ludzie przynieśli jedzenie i herbatę, a nawet zaoferowali przestronny budynek, gdzie starsi, dzieci i niedołęźni mogli udać się na tak bardzo potrzebny odpoczynek. Abigail widziała Dorcas wśród innych dziecięcych twarzyczek wychylających się z krawędzi dachu, obserwujących ich ze schronienia sporządzonego z plecionych trzcin. Dziewczynka energicznie machała mamie obu rączkami i Abigail odpowiedziała, machając jej krótko, po czym odwróciła się, by słuchać Filipa.

– Nasz Pan Jezus obiecał tej dobrej kobiecie, że będzie mogła napić się wody żywej. Przyjaciele, dziś ja chcę złożyć wam tę samą propozycję.

Abigail rozejrzała się po placu wypełnionym tłumem ludzi, zwróconych twarzami w stronę Filipa. Wiele innych dachów otaczających

plac również zajętych było przez słuchających. Wiatr ucichł, a głos Filipa, wyraźny, donośny, roznosił się ponad tłumem.

– Ktokolwiek napije się wody żywej, oferowanej przez Mesjasza, Jezusa, sam stanie się źródłem płynących wód. Mesjasz przyszedł z owym darem do każdego, kto zechce go przyjąć. On zaprasza nas wszystkich do przyjęcia daru wiecznego życia.

Jakiś męski głos z tyłów tłumu zawołał:

– Ale ty jesteś Judejczykiem, a my Samarytanami. Jesteśmy odwiecznymi wrogami!

– Tak, masz rację – zgodził się Filip. – Lecz przyście Mesjasza zmieniło wszystko. Czy pamiętacie słowa proroka Izajasza? „Wtedy swe miecze przekują na lemiesz”. Mówił też: „Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z kozłkiem razem leżeć będą”.

– Jakże to możliwe? – zawołał ktoś inny.

Filip wskazał na wschód, na samotny szczyt wznoszący się ponad dachami. Abigail widziała, że ta pojedyncza góra była na tyle wysoka, że wierzchołek pokryty był lodem.

– Wasi przodkowie czcili Boga na górze Garizim, podczas gdy my, Judejczycy, odbudowaliśmy Świątynię w Jerozolimie. Mimo to sam Jezus powiedział tej kobiecie, waszej sąsiadce – wskazał na kobietę stojącą pod murkiem u jego stóp – że nadchodzi czas, gdy Bóg nie będzie czczony w żadnym z tych miejsc.

– To prawda, co mówi! – zawołała kobieta.

Filip wyciągnął ręce do tłumu.

– Przyszedł czas, abyście sami poznali Jezusa i nauczyli się czcić Boga w waszych sercach.

W tym momencie Abigail doznała potężnego objawienia. Doznała tak silnego wrażenia, że poczuła się, jakby była zupełnie sama, poza

otaczającym ją tłumem ludzi. Nie słyszała dalszych słów Filipa. Nie musiała. Bezdźwięczna, lecz wyraźna wiadomość przyszła prosto do jej serca.

Jakże się myliła! Opierała się przed wyjazdem z Jerozolimy z niewłaściwych powodów. Twierdziła, że chce tam służyć biednym. A przecież tak wielu z tych, którzy potrzebowali jej opieki, wyjechało z miasta już wcześniej. Zdecydowana większość. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, patrzyła jak liczba wierzących się zmniejsza, a biedni i wdowy wyjeżdżają szukać bezpieczniejszych miejsc. Widziała to i zdecydowała się pozostać zamknięta na znaczenie tego faktu.

Prawdziwym powodem, dla którego nalegała na pozostanie w Jerozolimie, był jej brak zaufania do Boga.

Lękała się, że opuszczenie Jerozolimy będzie oznaczało opuszczenie Szczepana. I w pewnym sensie tak rzeczywiście było. Lecz prawdą było również to, że Szczepan już ponad pięć lat temu opuścił to miasto i znalazł się w niebiańskiej Jerozolimie. Jej pamięć po nim nie potrzebowała konkretnego *miejsca*. Miała przecież ze sobą jego córeczkę, a także dar Ducha Świętego.

Co więcej, nie służyła Bogu tam, gdzie potrzeba była jeszcze większa. Tak jak na przykład teraz Filip.

– Nasz Pan mówił o tym, że nadchodzi żniwo. Ten czas żniwa, moi bracia i siostry, właśnie nadszedł, a tym żniwem jesteście wy! Czas zerwać łańcuchy przeszłości i ujrzeć objawioną prawdę. Dar życia wiecznego jest wam dany. Przyjdźcie teraz i przyjmijcie Mesjasza jako waszego Zbawiciela od grzechu, od wiecznej śmierci!

Gdy wielu ludzi zaczęło podchodzić, Abigail padła na kolana. Czowała, jak ludzie przechodzą obok niej, lecz nadal miała poczucie odosobnienia, jakby ich nie było. Pochyliła głowę i modliła się z taką żarliwością, że czuła,

jakby te słowa nie pochodziły od niej, ale z jakiegoś miejsca głęboko w środku, miejsca, istnienia którego nie była wcześniej świadoma. *Drogi Boże, wybacz mi, że nie chciałam dotąd słuchać Twojego głosu. Ale teraz jestem tu, i jestem gotowa. Prowadź mnie, gdzie chcesz, bym stawiała następne kroki. Objaw mi, jak mam Ci teraz służyć. Daj mi mądrość i siłę, bym we wszystkim pokładała w Tobie ufność, bym poszła, gdziekolwiek mnie poprowadzisz i wykonała, cokolwiek mi powierzysz. Pomóż mi, Panie.*



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tyberiada

Julia poczuła, jak z powodu słów podróżnego, które właśnie usłyszała, przez całe jej ciało przebiega dreszcz. *Co ten człowiek mówi? Czy on naprawdę proponuje, by była łącznikiem w łańcuchu podziemnej komunikacji wierzących tu, w Tyberiadzie? Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, kim ja jestem?*

Cofnęła się o krok, a w jej głowie już formował się opór wraz z odpowiednio dobranymi argumentami.

Ale to Zoe wyraziła dezaprobatę i odrzuciła propozycję:

– To jakiś nonsens. Julia to przecież jeszcze dziecko...

– Kobieta – odparł ów człowiek niemal sycząc, aby mówić cicho, a jednocześnie wyrazić się dosadnie. – Młoda kobieta. I właśnie dokładnie dlatego została wybrana. Nikt nie będzie jej podejrzewał.

– Nie. Nie, to zbyt niebezpieczne – Zoe jednym ruchem ręki schowała Julię za siebie. Julia tylko stała i patrzyła. Nigdy w życiu nie widziała, cichej zwykle i ugodowej Zoe, przeciwstawiającej się komuś, a już na pewno nie mężczyźnie. – Nie chcę o tym więcej słyszeć.

Mężczyzna wziął głębszy oddech, bez wątpienia po to, by się uspokoić.

– Rozumiem twoje obawy. Rzeczywiście jest to niebezpieczne. W ostatnich tygodniach pojmano trzech naszych kurierów. Wszyscy byli szanowanymi mężczyznami w naszej społeczności wierzących. Każdy z nich został aresztowany za przewożenie wiadomości od jednej grupy wierzących do drugiej. Te wiadomości mogły oszczędzić ludziom cierpienie, uratować czyjeś życie. A dzisiaj otrzymaliśmy informację o kolejnym planowanym aresztowaniu. Jeśli nie wyślemy kogoś z ostrzeżeniem... – zawiesił głos, lecz myśl o tym, co może się wydarzyć, zawisła w powietrzu między nimi, wypełniając je zgrozą.

Przez kilka kolejnych, pełnych napięcia chwil panowała cisza. Julia widziała, że Zoe bije się z myślami.

Gdy nic nie odpowiedziała, mężczyzna mówił dalej głosem drżącym z emocji.

– Nie możemy pozwolić, by linie komunikacyjne zostały przerwane. Dzięki tym ostrzeżeniom uratowanych zostało wiele osób. Zdajemy sobie sprawę, że musimy bardzo ostrożnie wybierać posłańców. Mężczyźni są od razu postrzegani jako podejrzani, dlatego są obserwowani dzień i noc. Nie wiemy, kim są szpiedzy, ani gdzie czyhają. Sądzymy, że pracują z rozkazu faryzeusza Szawła. Ten człowiek wydaje się mieć oczy i uszy w każdym mieście, porcie i na każdym rynku.

Zoe pokręciła głową.

– Ale nie moja Julia – błagała.

– Jest córką kupca. Może poruszać się wśród członków karawan. Jej obecność nie będzie wzbudzała podejrzeń. I wszyscy wiedzą, że jej ojciec nie jest jednym z nas. Wielokrotnie wyraził swoje zdanie na ten temat.

Zoe spuściła głowę, najwyraźniej wielce zmartwiona tym, co usłyszała. Zaciągnęła szal na twarz i owinęła ciaśniej, jakby chciała się ukryć przed życiem i jego twardymi wymaganiami.

– Dostanie osobę kontaktową – kontynuował nieznajomy – również wybraną z największą starannością. Kogoś, kto też będzie poza podejrzeniami. Nie jest to żaden znany i ważny członek naszej grupy, ale ktoś godny zaufania. Podejmujemy wszelkie środki ostrożności. Wybraliśmy go z największą rozważą. Teraz musimy tylko ufać Bogu...

Aha, czyli składa to wszystko w ręce Boga – pomyślała Julia. Oczywiście, miał rację. Cóż innego mogli zrobić, jak tylko zaufać Bogu? Każdy dzień niósł ze sobą ryzyko. Szpieczy byli wszędzie. Tego czy innego członka ich społeczności codziennie oskarżano o wykroczenia, czy to religijne, czy innego rodzaju.

Zoe opuściła ramiona w rezygnacji.

– Natanie, jesteś pewien, że nie ma nikogo innego?

A więc Zoe знаła tego człowieka. Nic dziwnego, że nie przestraszyła się go, gdy nagle stanął przed nimi, kiedy wracały z rynku. Julia podniosła wzrok. Ostatnie promienie słońca odbijały się w oddali od położonego na wzgórzu pałacu Heroda Antypasa. W tym świetle pałac lśnił jak żar w ognisku. Króla nie było w jego siedzibie. Już od dłuższego czasu tu nie zawitał. Niewielu wiedziało, dokąd się udał, a jeszcze mniej osób to obchodziło, lecz ta misternie zaprojektowana rezydencja wciąż przypominała o tym niebezpiecznym człowieku, który założył ich miasto.

– Nie ma nikogo lepszego – mówił dalej Natan. – Inaczej nie przyszedłbym do was.

Zoe znów westchnęła, a w jej oczach wciąż malował się strach. Julii wydawało się, że gdy jej wierna służąca odwróciła się w jej stronę, w jej oczach pojawiły się łzy. Zoe nie zadała żadnego pytania, lecz Julia wiedziała, że wisi ono w powietrzu.

– Czy mogę... Czy mogę się nad tym zastanowić, pomodlić się w tej sprawie? – głos Julii zadrżał mimo wysiłku z jej strony, by nad nim zapanować.

Natan skinął głową i odstąpił o krok. Następnie znów się przybliżył i powiedział szeptem:

– Do jutra. Dłużej czekać nie możemy.

Julia przełknęła ślinę. Miała jedynie kilka godzin na podjęcie decyzji, która mogła kosztować ją życie i narazić jej rodziców na niebezpieczeństwo... Poczuła, jak spracowana dłoń Zoe zamyka się na jej rękę. Ścisnęła ją skwapliwie – tak bardzo teraz potrzebowała jej wsparcia.

– Na rynku. Stragan Demetriusza, z figami – powiedział Natan ściszonego głosem. – Przyjdź, kiedy słońce będzie najwyżej.

Po tych słowach zniknął w cieniu uliczki.

Obie kobiety stały, trzymając się za ręce. Zoe powiedziała:

– Twoja matka nie będzie chciała słyszeć o czymś podobnym. Ona...

– Moja matka nie może się o tym dowiedzieć – powiedziała szybko Julia. – To by ją tylko naraziło na niebezpieczeństwo – mocno pociągnęła za rękaw płaszcza Zoe. – Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

Nagle Julia zrozumiała, że już podjęła decyzję. I po przestraszonej reakcji Zoe wiedziała, że służąca również jest tego świadoma. Poczuła, jak Zoe osuwa się do przodu, jakby powoli uchodziły z niej siły, niczym bukłak, który właśnie został przebity. Ale zobaczyła przy tym, że służąca niechętnie kiwa głową na znak, że zgadza się zachować tajemnicę. Podniosła przy tym szal do oczu, by je wytrzeć.

Naraz Julia zdała sobie z czegoś sprawę i aż jej się zrobiło słabo. Była zupełnie sama. W tej ryzykownej sytuacji nie będzie miała nikogo, kto by jej strzegł. Nie będzie przy niej nawet Zoe, w której ramionach zawsze się chroniła, gdy coś ją trapiło, która ocierała jej łzy, gdy Julia cierpiała, a w razie potrzeby dawała łagodną poradę czy słowo zachęty. Nie. Julia będzie zdana na siebie. Będzie zupełnie sama.

Nawet w tej chwili Zoe znalazła sposób, by dodać jej sił. Wyciągnęła trzęsącą się dłoń, by położyć ją delikatnie na policzku dziewczyny.

– Jesteś dzielna, moja mała. Niech Bóg będzie z tobą.

*

Nazajutrz Julia powoli podeszła do straganu Demetriusza. Bez pośpiechu wzięła jedną figę do ręki, rzucając przy tym ukradkowe spojrzenia na ulicę oraz sąsiednie stragany. Sam Demetriusz, obsługujący właśnie inną klientkę, zdawał się zupełnie ją ignorować. Gdy kobieta podniosła swój koszyk i odwróciła się, by odejść, spojrzał na Julię i prawie niezauważalnie skinął głową.

Po chwili odezwał się do niej:

– Może pomogę ci wybrać produkty? Oliwki są bardzo dojrzałe, a figi świeże. Czego potrzebujesz?

Julia poczuła przyływ paniki. Nie pomyślała, żeby wziąć ze sobą monety. Jak ma teraz cokolwiek kupić?

Spuściła głowę i wyszeptała:

– Ja... zapomniałam pieniędzy.

Jego głos również był łagodny:

– Następnym razem. A teraz szukaj w ubraniu i udawaj, że wyciągasz monety. Podaj mi je do ręki.

Julia zrobiła, co jej kazał, a policzki płonęły jej z powodu tego, że musiała uciec się do podstępu. Kupiec udawał, że dokładnie przelicza pieniądze, po czym wsadził trochę fig do koszyka Julii.

– W środku jest moja żona – powiedział już normalnym głosem, wskazując głową na tył straganu. – Chciałaby przesłać pozdrowienia twojej matce.

Julia zawahała się. Żona Demetriusza nigdy nie przekazywała pozdrowień dla jej matki. Nikt z właścicieli straganów tego nie robił. Szczerze mówiąc wątpiła, by którykolwiek z nich w ogóle znał jej matkę. Ale mężczyzna skinął raz jeszcze, więc podniosła koszyk i weszła za zasłonę oddzielającą rynek od prywatnego mieszkania kupców.

Tam nie powitała jej żona Demetriusza, lecz Natan. Oczy Julii rozszerzyły się w zaskoczeniu. Czy to jakaś sztuczka? Czy Natan rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, czy może została właśnie schwytana przez świątynnych kapłanów? Zawahała się, a jej oczy szybko zaczęły szukać drogi ucieczki.

– Wejdz – powiedział cicho Natan. – Musisz zdawać sobie sprawę, że nie mogliśmy cię w to wszystko zaangażować nie sprawdzając najpierw, czy potrafisz wykonywać polecenia. Dobrze się spisałaś. Ale musisz się jeszcze trochę nauczyć. Nie możesz wyglądać na kogoś, kto nie wie, co robi. Byłaś już kiedyś na rynku?

– Wielokrotnie. Z naszą służącą, Zoe. Albo z kimś innym z kuchni. Ale...

– Rozumiem. To nie ty dokonujesz zakupów.

Julia skinęła głową.

– Służący...

– Oczywiście. A dokąd chodzisz sama?

Musiła pomyśleć nim udzieliła odpowiedzi. Właściwie to nie było wiele takich miejsc.

– Tylko wtedy, gdy idę do ojca.

Natan zastanawiał się nad tym po cichu. W końcu znów się odezwał.

– Trzeba będzie, żeby Zoe chodziła z tobą na rynek, jak zwykle. Będziesz udawała, że pomagasz w wyborze zakupów. A nosisz koszyk?

– Tak, często.

– To dobrze – skinął głową. – Kto ma przy sobie monety? Ty czy służąca?

– Yyyy... Raz ja, raz służąca. Nie zastanawiamy się nad tym. Czasem przynosi monety z kuchni i trzyma je przy sobie, a czasem daje mnie.

– A zatem ludzie na straganach są przyzwyczajeni do tego, że płacisz ty albo twoja służąca?

– Tak... tak mi się wydaje.

– Pamiętaj, musisz być zawsze ostrożna. Nie ufaj nikomu poza osobami, do których cię skierujemy. Po wszelkie instrukcje przychodź do Demetriusza. On będzie cię informował, gdzie i kiedy masz się stawić. Ale nigdy nie możesz robić zakupów tylko u niego. Chodź po całym rynku i kupuj to, co zwykle kupujesz. Nie pozwól, by twoje oczy wędrowały w różnych kierunkach, jakbyś kogoś szukała. Po prostu robisz zakupy dla domu. Z poczucia obowiązku pomagasz starej służącej. Rozumiesz, co mówię?

Julia przełknęła ślinę i skinęła głową.

– Dobrze.

Wątpiła, by w tym układzie było cokolwiek dobrego. Czy zapamiętała wszystkie instrukcje? Czy będzie potrafiła je wykonać? Czuła się tym wszystkim przytłoczona.

– Cokolwiek da ci Demetriusz, masz zanieść na postój karawan. Twoja osoba kontaktowa spotka się z tobą tam, gdzie trzymane są zwierzęta.

– Przy *wielbłędach* mojego ojca?

– Tak.

– Ale mój ojciec nie jest wierzący. I jest bardzo wrażliwy na punkcie swoich wielbłądów. Nie pozwala do nich podchodzić nikomu poza swoimi poganiaczami i strażnikami.

– Wiemy o tym.

– To znaczy, że ten człowiek pracuje dla mojego ojca?

Natan skinął głową.

– Ale to... Co jeśli mój ojciec go nakryje? Przecież mógłby... To jest śmiertelne niebezpieczeństwo!

– Wszystko dzieje się dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy. To ostatnie miejsce, w którym szpiedzy będą szukać kurierów Drogi. Twój ojciec jest bogaty, wpływowy i bardzo wymagający. I nie ma absolutnie żadnych powiązań z żadną grupą czy sektą religijną. Wyraża się o tym nader jasno: „Nie będę słuchał takich bzdur”.

– Czyli... *wykorzystujecie* mojego ojca? – Julia ledwie zdołała wypowiedzieć to na głos.

– Jedyne jako tarczę przeciwko złu. Jedyne po to, by ratować życie ludzi, którzy nie uczynili nic złego – mężczyzna wręczył jej małą paczuszkę owiniętą w materiał. – To jedyny raz, kiedy osobiście wręczam ci paczuszkę. Potem będzie to robił Demetriusz. Rozumiesz?

Julia skinęła głową, próbując pokonać wątpliwości i strach.

– Pamiętaj wszystkie instrukcje? Dziś zanim wyjdiesz, możesz schować paczuszkę w poły szaty. W przyszłości wyjmiesz ją z koszyka dopiero wtedy, gdy będzie to bezpieczne. Idź najpierw jak zwykle do ojca, a dopiero potem do wielbłądów. Tam spotka się z tobą osoba kontaktowa.

Człowiek ten będzie miał czerwoną chustkę przewiazaną na czole oraz koszyk z lekarstwami dla zwierząt. Powie: „Deszcze nawiedziły Jerozolimę”. Powtórz sobie te słowa.

Julia posłusznie to zrobiła ściszym głosem.

– A ty odpowiesz rysując znak ryby. W ten sposób – mężczyzna nakreślił sandałem prosty znak na ziemi.

Julia skinęła głową.

– A teraz, gdy będziesz wychodzić, stań w wejściu i powiedź kilka słów, jakbyś rozmawiała z żoną kupca.

Ku ogromnemu zaskoczeniu Julii, Natan nałożył na głowę i ramiona kobiecy szal, okrył sobie twarz i podszedł za nią do wyjścia. Wystawił tylko głowę ściśle owiniętą szalem. Julia szybko myślała, jakich słów powinna teraz użyć.

– Na pewno jej przekażę – wydusiła w końcu, mając nadzieję, że w jej głosie nie brzmi strach. – Będzie bardzo wdzięczna.

Skinęła głową okrytej szalem postaci, a potem Demetriuszowi, gdy przechodziła przez jego stragan. Ku jej zdziwieniu mężczyzna ostrożnie wsunął jej w dłoń kilka monet i wyszeptał:

– Idź jeszcze na inne stragany.

Julia poszła na stragan z przyprawami i kupiła trochę imbiru. Czy kiedykolwiek zrozumie zasady tej nowej, ryzykownej gry?



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tyberiada

O świcie Jakub najdokładniej jak umiał otrzepał ubranie z kurzu i zjawił się przed domem Jamala. Mocno zastukał w bramę, a gdy nikt nie odpowiadał, wyciągnął miecz z pochwy i załomotał gałką rękojeści.

Jakub znał sługę, który mu w końcu otworzył. Był to starszy człowiek, niezdolny do pracy z powodu niedołężności, ale nadal piastujący funkcję przełożonego sług. Trzymał się jej kurczowo i w rezultacie kłócił się ze wszystkimi. Jakub też już wcześniej miał z nim do czynienia, choć nie zdarzyło się, żeby któryś rzucił się drugiemu do gardła.

– Co to ma znaczyć...? – okropnie się skrzywił na widok niechlujnego poganiacza z osłami. – Jak śmiesz zakłócać spokój tego domu!

Normalnie Jakub nie zwróciłby uwagi na pokrzykiwanie tego człowieka i poprosiłby o widzenie się z jego panem. Lecz to nie była

normalna sytuacja. Odsunął służącego ramieniem i przeszedł obok.

– Z drogi – rzucił krótko.

– Nie zamierzasz chyba wprowadzić tych zwierząt do środka?!

Ale Jakub, który kosztem snu przez całą noc strzegł osłów i worków, miał dokładnie taki zamiar. Nie chciał ani na chwilę spuścić ich z oczu.

– Obudź swojego pana. Teraz!

– Straże! *Straże!*

Ośle, przestraszone krzykami służącego, ryczały i opierały się przed pójściem dalej, lecz Jakub mocno pociągnął za uzdy i wprowadził je na centralne podwórze. Gdy tylko zwierzęta zwietrzyły wodę z fontanny, poszły już chętnie. Jakub odwiązał worki i postawił je na bruku. Pozwolił zwierzętom się napić, jedną ręką je głaszcząc, a drugą trzymając miecz.

Strażnicy, którzy pojawili się słysząc wołanie przełożonego służby, stanęli w pewnej odległości, spoglądając z respektem na ostrze miecza Jakuba błyszczące w porannym świetle. W komnatach okalających podwórze zaczął się ruch, gdyż zamieszanie na zewnątrz obudziło mieszkańców domu. Jakub nie zwracał na to uwagi. Był wycieńczony. Czuł, że jeśli Jamal nie zjawi się za chwilę, to zaśnie na stojąco.

– Lepiej żeby był jakiś dobry powód tych hałasów!

Jakub odwrócił się, słysząc znajomy głos.

– Mam powód, panie.

– Czy my się znamy? – spytał kupiec, podchodząc bliżej.

– Mam na imię Jakub, panie.

– Podopieczny Albana? Mój strażnik? – Jamal zatrzymał się przed nim. – Czy to naprawdę jesteś ty, pod tą warstwą brudu?

Jakub tylko skinął głową.

– Gdzie moja karawana? – kupiec spojrzał na dwa pokryte kurzem osły i na równie zabrudzonego młodzieńca.

– Powinna wychodzić dziś lub jutro z Cezarei, jest w drodze do Tyru.

– A ty co tutaj robisz?

– Zabrali Latifa – powiedział Jakub ściszoneg głosem.

Twarz kupca pobladła.

– Co to znaczy: „zabrali”?

– Czekali na niego. Zatrzymali go tego ranka, gdy wyruszaliśmy z Jerozolimy – Jakub pochylił się w stronę Jamala i mówił po cichu, aby ciekawskie uszy stojących nieopodal strażników nie mogły go usłyszeć. – Zarekwirowali jego wielbłądy, wyciągnęli towary na oczach rzymskiego celnika i wszystko przeszukali.

Z kupca w jednej chwili uszły siły. Jakub chwycił go za ramię i pomógł usiąść na brzegu fontanny.

– Wiedzieli... – jęknął mężczyzna.

– Być może – szepnął Jakub. – A może nie. To mógł być podstęp. To nie pierwszozna, gdy uczciwi ludzie są fałszywie oskarżani, zwłaszcza w Jerozolimie. Byli tam też kapłani świątynni, obserwowali wszystko jak sępy.

Twarz Jamala nadal była blada.

– Oddalić się! Wszyscy! Chcę być sam! – zawołał, unosząc rozkazująco dłón.

Słyszając jego gniewny głos, wszyscy się pochowali.

– Syrusie!

Kłótlivy przełożony sług wyłonił się z cienia.

– Tak, panie?

– Jadłeś już coś? – zwrócił się Jamal do Jakuba.

– Nic oprócz kurzu w drodze.

– Każ kucharzowi przyrządzić coś ciepłego do jedzenia i zaparzyć świeżej herbaty. Dla nas obu.

Jakub poczuł, jak brzuch burczy mu pod wpływem nagłego ataku głodu.

– I sok z granatu. Tak bardzo o nim marzyłem.

– Słyszałeś, co powiedział? – Jamal rzucił polecenie służącemu. A gdy ten nie dość szybko ruszył się z miejsca, warknął: – Już!

Gdy zostali sami, Jakub powiedział:

– Nie wszystko stracone, panie.

– Co takiego?

– Zanim Latif został zabrany, powierzył mi swój sekret.

Głowa Jamala powoli się uniosła.

– Ale powiedziałaś...

– Latif oddzielił trzy wielbłądy. Przeszukali tylko te sześć, które szły z nim.

Jakub podniósł worki i położył je u stóp Jamala. – Tu jest wszystko. Co do kawałeczka.

Jamal pochylił się na tyle, by poczuć mocny aromat przypraw i kadzidła. Podniósł jeden z worków w rękach, jakby podnosił dziecko.

– Czy wiesz, co jest w środku?

– Otworzyłem jedną z zapieczętowanych paczuszek.

Oczy Jamala się zaszklily. Ręce nieco mu się trzęsły, gdy odkładał worek z powrotem na kamienie.

– W tych torbach są moje całoroczne zyski.

Jakub nic nie powiedział, bo w tym momencie wrócił sługa z tacą.

– Obsłuż mojego honorowego gościa – poinstruował go Jamal podniesionym głosem.

Jakub widział wyraźnie, że sługa wolałby raczej rzucić tacą o ziemię, ale musiał wykonać polecenie. Postawił tacę z jedzeniem i pić na brzegu

fontanny i gestem zaprosił Jakuba, by ten się poczęstował. Gdy podawał drugi kubek swemu panu, spytał z obawą w głosie:

– Czy... Czy potrzebujesz jeszcze czegoś, panie?

– Mamy wszystko, czego nam trzeba, cały mój dom i ty również, dzięki odwadze tego młodego człowieka. A teraz zostaw nas i dopilnuj, by nam nie przeszkadzano – Jamal gestem nakazał słudze, by się oddalił. – Jedz, Jakubie, do syta.

Jakub jadł i opowiadał. Mówił o Latifie klęczącym na drodze, o tym, że Yussuf jeszcze nie dołączył do karawany, gdy zatrzymywali się na pierwszy nocleg, o tym, że musiał objąć dowodzenie nad karawaną, o rozmowie z Hammanem, o konieczności podjęcia decyzji na rozstaju dróg, o reakcji wioski na ich przybycie, o oględzinach pojemników z cynamonem i goździkami. Mówiąc, jeszcze raz przeżywał te wszystkie przygody. Opowieść wciągnęła również Jamala, aż kupiec bezwiednie zaczął jeść z tego samego talerza. Od czasu do czasu nakłaniał Jakuba, by zjadł jeszcze jakiś owoc albo napił się herbaty, ale poza tym nie przerywał aż do momentu, gdy Jakub opisał szaleńczą jazdę do Tyberiady, z niewidzialnymi jeźdźcami na karku.

– To co mi opowiadasz jest prawdą? – odchylił się do tyłu i bacznie przypatrywał się twarzy Jakuba.

Jakub skinął głową, wycierając palce i podbródek o skraj szala, który miał na głowie.

– Każde słowo.

Jamal pogładził siwiejącą brodę.

– A powiedzieli w ogóle, *dla czego* go przeszukiwali?

– Gdy tylko Yussuf powiedział Ezdraszowi, że wielbłądy należą do ciebie, wycofali się. Powiedzieli, że szukają kontrabandy.

– Kontrabandy, tak? – Jamal pociągnął za brodę.

– Ale dlaczego mieliby wybrać akurat wielbłądy Latifa? – zastanawiał się Jakub.

– Myślisz, że wiedzieli, co on przewozi?

– Albo myśleli, że wiedzą – Jakub przytaknął. – Ale tak jak mówiłem, mógł to być jakiś podstęp.

– Zastanawiam się, kto mógł im powiedzieć.

– Na pewno nie Latif. Stawką było tu jego życie.

– Więc są świadomi – zastanawiał się Jamal, patrząc w niebo. – Wiedzą przynajmniej, że jest taka możliwość. Będziemy musieli przedsięwziąć... – przerwał, potrząsnął głową i zamiast skończyć zdanie, powiedział: – Wyślij posłańców do Jerozolimy. Niech wezmą ze sobą złoto. Zobaczymy, może wypuszczą Latifa za zapłatą.

– Słyszę i jestem posłuszny – odparł Jakub, powtarzając słowa, których często używał Alban. – Lecz, panie, ja nie mam złota.

– Ale będziesz miał, mój chłopcze. Będziesz miał. Dostaniesz nagrodę i jeszcze więcej. A teraz... Syrusie!

Starszy człowiek pojawił się z szybkością kogoś, kto wyćwiczył do perfekcji czajenie się po drugiej stronie filara.

– Panie?

– Ten człowiek ma być honorowym gościem w mojej gospodzie. Dasz mu najlepszy pokój i odziejesz jak księcia. Dopilnuj, żeby miał wszystko, czego będzie potrzebował.

– Przyda się kąpiel – wymruczał Jakub. – I najlepsza opieka dla tych zwierząt, które uratowały mi życie, a tobie majątek.

Śmiech Jamala rozbrzmiał w podwórzu.

– To nie osły, lecz również książęta! Syrusie, dopilnuj, żeby ci trzej książęta mieli wszystko, czego potrzebują!

Tyberiada składała się tak naprawdę z dwóch odrębnych części. Religijni Judejczycy nie postawiliby stopy w części miasta założonej przez Heroda, wzniesionej na terenie starożytnego cmentarza. Gospoda, rynek oraz obszar portowy były wyraźnie oddzielone od części zhellenizowanej, w której punktem ciężkości był pałac króla. Jakub, wyszedłszy z domostwa Jamala położonego opodal jeziora, udał się do obozu dla karawan. Idąc napawał się osiągniętą niezależnością.

Jamal nalegał, by Jakub został honorowym gościem w jego gospodzie. Wcześniej Jakub nigdy nie odważyłby się wejść do tak pięknych komnat. Co więcej, kupiec syryjski nalegał, by Jakub wziął od niego sakiewkę czystego złota i obiecał mu jeszcze więcej. Potem, ku jeszcze większemu zaskoczeniu, podarował Jakubowi swój własny ozdobny sztylet. Tę broń rozpoznałby każdy w Tyberiadzie. Zakrzywiony sztylet miał długość przedramienia Jakuba, a jego rękojeść była wykonana ze szczerego złota. Pokrytą srebrem pochwę przyozdabiały dwa szmaragdy. Jamal pokazał Jakubowi, jak powinno się go nosić i wręczył pas utkany z jedwabiu, lekki jak piórko, a mocny jak żelazo. Przewlókł go przez obręcz przymocowaną do pochwy, aby mógł zwisać swobodnie, lecz nie wypaść. Jakub wymamrotał słowa podziękowania, ale Jamal tylko machnął ręką.

Jakub wiedział, że powinien być zadowolony z tej nagłej zmiany położenia, lecz dawna rozmowa z Albanem wyrzyła się w jego pamięci. Niekiedy jego opiekun opowiadał coś o swoim życiu z czasów, gdy był setnikiem. Zwykle takie momenty następowały późną nocą przy obozowym ognisku, gdy cała załoga poza strażnikami zapadała w sen. To były sposobne chwile, by dzielić się doświadczeniami, których Alban zebrał w swym życiu niemało.

Pewnej nocy Alban opowiedział Jakubowi o swoim pierwszym spotkaniu z Linuksem, o tym, jak zazdrościł rzymskiemu oficerowi łatwości,

z jaką tamten poruszał się po korytarzach rzymskiej władzy. W tamtym czasie palącą ambicją Albana było wybić się wyżej i dalej niż jakikolwiek podrzędny Gall. Chciał osiągnąć więcej – zostać generałem, senatorem, może nawet konsulem...

Lecz podczas służby dla Poncjusza Piłata Alban nauczył się bardzo ważnej rzeczy: im bliżej znajdziesz się centrum władzy, tym większe podejmujesz ryzyko. Konsul mógł pod wpływem kaprysu zniszczyć dowolnego człowieka. Rezultat był taki, że ludzie próbowali zapewnić sobie bezpieczeństwo poprzez różne oszustwa. Przyklejali się do tego, kto miał największą siłę i władzę, aż ich kręgosłup i duch zostawał na zawsze wypaczony. Sami już siebie nie poznawali; nie pamiętali też, dlaczego kiedyś tak pragnęli władzy. I żyli w nieustannym lęku. Nie było żadnego trwałego przymierza, żadnego prawdziwego przyjaciela.

Jakub myślał o tym wszystkim, idąc drogą prowadzącą do portu tyberiadzkiego, a potem wzdłuż brzegu, ku otwartej przestrzeni, gdzie zbierały się karawany. Pogrążony w myślach, przypominał sobie, jak twarz Albana wydawała się starsza, gdy opowiadał o swojej służbie. Słowa, którymi podsumował tamten czas dźwięczały w uszach Jakuba z każdym krokiem: *Człowiek u władzy jest pierwszorzędnym negocjatorem. Cokolwiek ci oferuje, w zamian weźmie więcej. A ty musisz znać siebie samego. Dawaj tylko to, co możesz dać, pozostając jednocześnie wiernym swojej prawdzie.*

*

Julia tak często przechodziła ścieżką prowadzącą do obozu karawan, że nie była w stanie tego zliczyć. Jej umysł nigdy jeszcze nie był w takim stanie jak dziś. Dwie sprawy kładły się ciężarem na jej sercu. Wciąż grały w niej emocje dotyczące ojca – człowieka, który utrzymywał w tajemnicy prawdziwy charakter relacji łączącej go z jej matką i z nią. Trudno jej było

przybrać teraz pozę kochającej córeczki. Okazywać szacunek? Tak, da radę to zrobić. Być posłuszną? Też. Nawet by nie pomyślała, by mu się sprzeciwić, choć pomysł z zaaranżowanym małżeństwem wciąż przytłaczał jej ducha. Było tak wiele niepewności, tyle niewiadomych. Ale czy zostało jakieś miejsce na miłość – taką, jaka wiązała ze sobą jej rodziców, nawet z tą gorzką prawdą, noszoną przez matkę po cichu w sobie przez te wszystkie lata?

Poza tym ciężkim brzemieniem dźwigała jeszcze jedno: paczuszkę, która spoczywała w sekretnej kieszeni jej szala, wszytej starannie przez Zoe. Czyja ręka odbierze od niej tajną wiadomość? Czy rozpozna właściwą osobę, gdy nadejdzie czas?

Znów powtórzyła hasło. *Deszcze nawiedziły Jerozolimę* – te słowa ma usłyszeć od osoby kontaktowej.

Człowiek ten ma mieć na czole czerwoną przepaskę i nieść lekarstwa dla zwierząt. Tyle wskazówek z pewnością wystarczy, by rozpoznać kuriera.

Przeżywając niepokój nie wiedziała, czy ma się pospieszyć, czy ociągać. Lecz gdy zbliżyła się do postoju karawan i usłyszała ryczące wielbłądy, przyspieszyła kroku. Nie słyszała o planach, by jakaś karawana miała dziś wychodzić. Na pewno będzie to jakiś niewielki sznur, inaczej jej ojciec by o tym coś wspomniał. Tak czy inaczej, ona musi dostarczyć wiadomość na czas.

Najpierw musi jednak zanieść jedzenie ojcu. Musi zachowywać się normalnie. Robić to samo, co zawsze i nie zwracać na siebie uwagi.

Dzięki Bogu, ojciec był w swoim namiocie, nie chodził po obozie i nie przeprowadzał inspekcji karawany. Wiał chłodny wiatr; Julia cieszyła się, że może wejść do środka i schronić się pośród solidnych ścian namiotu.

Słyszając szelest unoszonej u wejścia zasłony Jamal podniósł głowę.

– Aaa, przyniosłaś mi herbatę. Jest jakaś szansa, że jest jeszcze ciepła?

– Zoe starannie owinęła ją w kilka ścierek – powiedziała stawiając koszyk na ziemi. – Zobaczmy.

Herbata nie była gorąca, ale jeszcze dość ciepła. Nalała do kubka i podała ojcu. Upił łyk i uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że pomoże mi się nieco ogrzać. Nie radzę sobie już z zimnem tak jak za dawnych lat. Powiedziano mi, że tak się dzieje, jak się człowiek starzeje.

Julia zmusiła się do uśmiechu. Jej umysł nie potrafił nie myśleć o zadaniu, które ją czekało.

– Zjesz ciasto?

W odpowiedzi wyciągnął rękę.

– Mam dziś mało czasu, żeby z tobą porozmawiać. Muszę jeszcze przejrzeć te dokumenty, które dziś wysyłam przez służącego.

– Rozumiem – tak naprawdę Julia cieszyła się, że nie będzie musiała długo tu zostawać. Była zdenerwowana i chciała jak najszybciej wykonać swe zadanie. – Słyszałam, że jedna z wielbłądzic się właśnie ociełiła. Pójdę wybrać imię dla małego i przyjdę później po koszyk.

Uśmiechnął się, ale jego oczy wróciły już do dokumentu, który trzymał w dłoniach.

– Jesteś dla mnie błogosławieństwem.

Te słowa sprawiły, że serce Julii przez chwilę zabiło szybciej, ale ojciec nie zauważył jej zmieszania. Czy myślałby tak samo, gdyby wiedział, co jego córka właśnie zamierza zrobić?

Odchyliła zasłonę i wyszła na chłodne powietrze. Wzięła kilka głębszych oddechów, by uspokoić nerwy, po czym ruszyła w stronę jęczących i wadzących się między sobą wielbłądów. W rogu stała wielbłądzica strzegąca swego nowo narodzonego cielaczka. Julia rozpoznała matkę, jedną ze starszych samic o imieniu Zadu. Samica ta urodziła już

wiele wspaniałych młodych. Julia podeszła do niej i trzęsącą się dłonią pogładziła kudłaty kark.

– Czy jesteś tak samo zdenerwowana jak ja? – szepnęła do mruczącego zwierzęcia. – Spójrz na swoje piękne dzieciątko. Nic dziwnego, że się o nie martwisz. A może to ona? Jak śpi, to nie jestem w stanie stwierdzić. Jesteś dobrą mamą, a z twoim dzieckiem wszystko będzie dobrze. Nie martw się już...

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zdała sobie sprawę z czyjejś obecności. Ktoś podszedł do zwierzęcia z drugiej strony. Julia zauważyła dłoń z koszykiem, co pasowało do opisu, który dostała od Natana. Potem za szyją wielbłąda zobaczyła rozczochrane ciemne włosy z przewiazaną przez czoło czerwoną opaską.

Usłyszała niski, męski głos:

– Deszcz nawiedził Jerozolimę.

Przez jedną przerażającą chwilę zapomniała, co ma teraz zrobić. Ale przypomniała sobie szybko – ma narysować znak ryby. Julia wyciągnęła trzęsącą się dłoń i laską narysowała na piasku ów symbol.

Ciemne włosy zniknęły, bo ich właściciel przyklęknął po drugiej stronie wielbłądzicy. Julia zobaczyła dłoń wyciągającą z koszyka i otwierającą słoik z maścią. Następnie nieznajomy narysował palcem na ziemi rybę.

– Patrz jakbyś oglądała nogi cielaka – usłyszała ciche ostrzeżenie.

Julia przyklęknęła na piasku. Dopiero wtedy ich oczy spotkały się pod stojącym pomiędzy nimi wielbłądem. Nie powstrzymała się w porę i z niedowierzaniem głośno wciągnęła powietrze.

Ale to on pierwszy się odezwał.

– Czy to jakiś dowcip? – syknął. – Ktoś chce mi zrobić głupi kawał?

Julia nie wiedziała, czy błysk w ciemnych oczach oznaczał zaskoczenie czy gniew. Poczwała, jak płoną jej policzki.

– Jeśli tak jest – odpowiedziała tym samym tonem – to nie jest to moja sprawa.

Wstała szybko, pełna gniewu i upokorzenia.

Jak to możliwe? Jak oni mogli ją posłać na spotkanie z tym... tym grubiańskim opryskiem, który wcześniej tak bezczelnie z nią rozmawiał i przypuszczał, że ona, córka Jamala, jest zwykłą służącą czy niewolnicą.

– Daj wielbłdom pić – rozkazał, jakby miał jakiegokolwiek prawo mówić jej, co ma robić. Otrzepała się z piasku i odwróciła się na pięcie.

Lecz on obszedł wielbłąda i zatrzymał ją szybkim ruchem ręki.

– Czekaj.

To jedno słowo tylko bardziej ją rozzłościło.

– Jeśli natychmiast mnie nie puścisz, zacznę krzyczeć i strażę mojego ojca...

– Mam na imię Jakub, jestem jednym ze strażników twojego ojca.

– Czyli wiesz, kim jestem. Dlaczego więc traktujesz mnie jak...?

Ale była tak zła, że nie potrafiła dokończyć myśli.

Zwolnił uścisk, ale wydawał się gotów, by złapać ją znowu, gdyby spróbowała odejść.

– Proszę, daj mi chwilę, żebym doszedł do siebie – powiedział biorąc głęboki oddech. – Nie spodziewałem się córki Jamala. Nie miałem pojęcia, że on ma jakiegokolwiek powiązania z... z wierzącymi.

– Mój tata wybiera swoją drogę – rzekła Julia. – Ja zaś wybrałam inną.

– Oczywiście – wymamrotał ścisząc głos, co odczytała też jako ostrzeżenie, by mówiła ciszej.

Kontrolowała ton głosu, lecz w jej słowach nadal słyhać było uszczypliwość:

– Nie spodziewałam się, że zostanę poproszona o przekazanie wiadomości strażnikowi karawany – powiedziała. – Ktoś wyćwiczony do tego, by ranić i zabijać, niezanujący życia, wydaje się mało prawdopodobnym kandydatem do przekazywania wiadomości o nadziei i pokoju – ostatnie słowa cisnęła w niego niczym kolce ciernistego krzewu i nawet w swoim emocjonalnym zamieszaniu zdała sobie sprawę, jak bardzo są niewłaściwe.

Jego oczy błysnęły.

– Inni strażnicy wdają się w spory. Ale to nie znaczy, że ja też.

Julia wzięła głęboki oddech i zmusiła się do tego, by rozluźnić zaciśnięte pięści. Jedyne, co chciała teraz zrobić, to uciec.

– Przyszłaś tu po to, żeby dostarczyć i przyjąć ode mnie wiadomość – powiedział tonem uprzejmym, lecz stanowczym.

Skinęła głową i starała się zapanować nad wirującymi myślami.

– Nie powinniśmy pozwolić, by... różnice między nami stwarzały niebezpieczeństwo dla życia innych osób – kontynuował cicho, przesuwając wprawna dłoń po boku cielaczka.

Oczywiście, miał rację. Wyciągnęła rękę, by mocniej owinąć szal wokół siebie, gdyż muskały ją lodowate palce wiatru.

– Zaczniemy od początku? – powiedział cichym i opanowanym głosem.

Lekko skinęła głową.

– Deszcz nawiedził Jerozolimę.

– Nie tak miało być. Powinieneś powiedzieć: „Deszcze nawiedziły Jerozolimę”.

Spojrzeni na siebie, po czym on uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

– Chyba zbyt wiele razy to ćwicyłem. Ale odkąd pierwszy raz usłyszałem te słowa, myślałem o ich znaczeniu. Zawierają prawdę dotyczącą naszego Mesjasza.

Julia wcześniej nie zauważyła, żeby to zdanie miało jakiś głębszy sens, lecz teraz nagle zrozumiała. Tak, oczywiście. Deszcze niosą nadzieję i życie spragnionej ziemi, tak samo jak Mesjasz przyniósł nadzieję i życie wszystkim ludziom. Znów spojrzała na młodego mężczyznę, tym razem z czymś na kształt szacunku.

Jakub wyciągnął skórzaną torebkę. Julia, nim ją wzięła, sięgnęła do swojej sekretnej kieszeni i powiedziała:

– To dla ciebie. Instrukcje dla ciebie są pod zewnętrznym brzegiem.

Jakub skinął głową i schował paczuszkę pod pelerynę. Julia wzięła od niego torebkę i również schowała.

Gdy odwrócił się, by odejść, Julia zdała sobie sprawę, jaki jest wysoki i dobrze zbudowany. Nic dziwnego, że ojciec zatrudnił go jako jednego ze swoich strażników.

Odwrócił się jeszcze i powiedział:

– To zaszczyt, a zarazem brzemię, być wybranym do tej pracy – spojrzał przy tym na nią. Czyżby zobaczyła w jego oczach błysk humoru? – I mieć okazję do kolejnego spotkania, lepszego niż nasze pierwsze.

– Mam na imię Julia – powiedziała na tyle głośno, by ją usłyszał, kiedy odchodził.

*

Następnego dnia Julia obserwowała Jakuba z ukrycia za dużym pustynnym cedrem, z jej ulubionego miejsca na rynku. Jako dziecko często bawiła się w jego cieniu, kiedy słudzy zabierali ją ze sobą idąc na zakupy. Pozostawali pod urokiem jej pełnego energii ducha i nawet niepewny status jej matki

tego nie zmieniał. Nawet we wczesnym dzieciństwie Julia wiedziała, że w jej domu coś jest nie do końca tak, jak być powinno. Jej matka nosiła ze sobą jakąś mroczną tajemnicę, owijała się nią ciasno jak zimową peleryną. Nosiła swój smutek z godnością królowej, ale nie wywyższała się, czym zaskarbiła sobie miłość całej domowej służby.

Julia dopiero teraz potrafiła prawdziwie docenić niezwykłą siłę charakteru matki. W mieście wiele było domów z dwiema żonami i najczęściej były one pełne sporów i kłótni. Pierwsza żona często chciała rządzić tą mniej ważną kobietą, która z kolei zachowywała się wyniośle, żądając szacunku, na który nie miała szans przy swojej pozycji. Była to niewyobrażalnie trudna sytuacja, gdyż bycie „tą drugą” oznaczało, że owa kobieta nie jest ani służącą, ani kochanką, lecz zajmuje jakieś mgliste miejsce pomiędzy tymi dwiema rolami. Helena mogła bez trudu zażądać godniejszej pozycji dla siebie, zwłaszcza że żona Jamala mieszkała o sześć długich dni drogi na północ. Lecz Helena o nic nie prosiła, niczego nie oczekiwała. Było w niej jakieś smutne opanowanie. Sama wykonywałaby pracę służącej, gdyby inni w domu jej na to pozwolili. Im więcej Julia rozumiała, tym bardziej podziwiała swoją matkę.

A teraz ojciec aranżował jej małżeństwo i każdego ranka budziła się ze świadomością, że jest o jeden dzień bliżej odejścia z domu – jedyne go domu, jaki kiedykolwiek znała. Tu czuła się bezpiecznie, tu miała starych i nowych przyjaciół, swoją wspólnotę wierzących. Tu była jej ukochana mama.

Ojciec nie pojmował, dlaczego Julia nie jest bardziej podekscytowana perspektywą ślubu i zamieszkania u wpływowej rodziny w Bagdadzie. I Julia rozumiała frustrację ojca. W końcu dzięki niemu jej pozycja społeczna znacząco wzrośnie. Nie będzie już tylko córką konkubiny, trochę więcej niż

niewolnicą. Zamiast tego otrzyma pozycję, której zawsze pragnęła jej matka, lecz wiedziała, że nigdy nie będzie jej to dane.

Ale Julia nie chciała poślubić jakiegoś nieznanego, zwłaszcza kogoś, kto nie dzielił z nią jej wiary. A co stanie się z matką? I co rodzina pana młodego będzie myślała o córce konkubiny? Jak będą ją traktować? Gdzie mogłaby w razie czego uciec, zupełnie odizolowana, uwięziona w jakimś odległym mieście?

Julia wytarła twarz ręką, próbując pozbyć się z głowy takich myśli, jakby próbowała odgonić chmurę natrętnych much. Miała teraz pilniejsze sprawy niż swoją przyszłą pozycję społeczną.

Patrzyła, jak Jakub od niechcienia podchodzi do kamieni ogradzających mały port rybacki. Na każdej z trzech przewróconych do góry dnem łodzi, ułożone na prowizorycznych stojakach, suszyły się sieci. Jakub oparł się o jedną z łodzi, która dziś nie wypływała na jezioro i spojrzał na brzeg. Jego spojrzenie przebiegło też po niej, ale się nie zatrzymało. Julia przyglądała się, jak młody człowiek podnosi kamyk i puszcza kaczki na wodzie. Jezioro miało tego dnia odcień rozmytej szarości, a nisko na niebie wisały chmury.

Gdy Jakub zaczął iść w stronę muru synagogi, Julia doszła do wniosku, że dzisiejsza pogoda idealnie pasuje do jej nastroju.

*

Jakub obserwował, jak Julia wychodzi z cienia drzewa i zmierza ku niemu. Zauważył ją, gdy zaczął podążać brukowaną drogą w kierunku łodzi. Z tyłu głowy czaiła się w nim obawa, że z powodu tej konspiracyjnej wymiany informacji mógłby podzielić los Latifa. Z drugiej strony był pod urokiem ciemnych, błyszczących oczu Julii i jej pełnych gracji ruchów. Dziewczyna posiadała też, tak jak jej ojciec, aurę ledwie dającej się okiełznać energii, lecz

w niej objawiała się ona jako przyciągający ogień. Nawet w tak ponury dzień wydawała się wabić do siebie światło, które sunęło w ślad za nią przez plac.

W przeciwieństwie do większości mieszkańców Tyberiady, Julia nosiła odzienie typowe dla Judejczyków. Było to niezwykle, zważywszy, iż była córką syryjskiego kupca, mocno szczącą się tym, że nie zgina kolan przed żadnym bogiem. Nic dziwnego, że Jakub podczas ich pierwszego spotkania wziął ją za służącą, skoro jedyną biżuterią, którą miała na sobie tamtego dnia były otrzymane od ojca bransoletki. Zarówno jej szal, jak i wierzchnia szata wykonane były z wysokiej jakości wełny, ale tak sprane, że miały raczej odcień szary niż pierwotny, błękitny.

Uwagę Jakuba zwrócił fakt, że tym razem dziewczyna nie była zła; wyglądała na spokojną, lecz w jej oczach czaił się głęboki smutek.

Zeszli się przy bramie wejściowej do synagogi. Julia zawahała się.

– Nie jestem odpowiedzialny za to, że zabrali Latifa – Jakub z zaskoczeniem usłyszał własne słowa.

Spojrzała na niego pytająco, po czym lekko kiwnęła głową. Jakub zauważył starszą służącą, które szła za nimi zachowując odpowiedni dystans. Skinął w jej kierunku głową, ale w odpowiedzi został tylko otaksowany baczny wzrokiem.

Położenie przy najczęściej używanym szlaku z północy na południe, oraz fakt, że Tyberiada była miastem zamieszkałym przede wszystkim przez Greków – oto co sprawiło, że Jamal wybrał ją na swój drugi dom. Choć starożytny cmentarz leżał poza centrum miasta, religijni Judejczycy uważali cały jego teren za nieczysty. W rezultacie synagoga była obiektem nieco zaniedbanym, jak również małym, jak na miasto o takich rozmiarach, tak ważne pod względem ekonomicznym. Herod zapewne nie miał żadnego interesu w tym, by utrzymywać miasto w dobrobycie.

Julia stała obok muru okalającego teren synagogi, zwrócona w stronę głównego budynku.

– Wczoraj wieczorem, zanim wyszłam z obozu, wstąpiłam jeszcze do namiotu ojca – powiedziała nie patrząc na Jakuba. – Jego partner handlowy w Jerozolimie potwierdził, że ten poganiacz, Latif, jest wciąż przetrzymywany przez świątynnych kapłanów.

Jakub zastanawiał się, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, że Latif również był posłańcem.

– Wszystko bym dał, gdyby mógł tu ze mną teraz być, bezpieczny i z dala od zagrożenia.

– Tyberiada też wcale nie jest bezpieczna.

– Dla nas wszędzie jest bezpieczniej niż w Jerozolimie – Jakub zaryzykował szybkie spojrzenie na boki. Nikt nie patrzył w ich kierunku, gdyż stanęli pod murem w bezpiecznej odległości od siebie, z zaufaną służącą w pobliżu. – Nie wiedziałem, że jesteś wierząca.

– Nic o mnie nie wiesz.

Skinął głową na znak zgody, jak również pokazując, że dotarła do niego ukryta między wierszami oczywistość: on był prostym strażnikiem karawan, a ona córką wpływowego kupca.

– Chcę cię... Chciałbym cię przeprosić.

Julia odwróciła głowę w jego stronę. Jakub nie potrafił zdobyć się na to, by jej spojrzeć w oczy.

– To jak się do ciebie zwróciłem tam na postoju karawan... – potrząsnął głową. – To było niewłaściwe z mojej strony. Sądziłem, że... Tak czy inaczej, nie powinienem do nikogo, mężczyzny czy kobiety, mówić w taki sposób. Nie tak uczył nas nasz Pan. To wszystko jest dla mnie jeszcze nowe. A potem dostałem zadanie bycia kurierem i nie miałem pojęcia,

czego, czy kogo się spodziewać. A teraz rozumiem, jakie mądre było z ich strony wybranie... kobiety.

Bezwiednie rysowała okrągłe wzory sandałem po ziemi.

– Mój ojciec często mówi, że przyznanie się do błędu jest oznaką wielkiego charakteru.

– Twój ojciec to bardzo mądry człowiek.

Julia myślała chwilę, nim odpowiedziała:

– Mój ojciec jest mądry, tak, ale nie jest wierzący – wzięła głębszy oddech, wyprostowała ramiona i znów odwróciła głowę w stronę synagogi.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość. Powiedzieli, że to bardzo ważne – zawahała się przez krótki moment. – Ale najpierw chcą się z tobą spotkać. Oczekiwali, że torbę przekaże ktoś inny. Obawiają się, że łańcuch został przerwany.

– O kim mówisz?

– Nie mogę powiedzieć. Poinstruowano mnie, że nie znamy nikogo poza naszym własnym kurierem. Inaczej to jest zbyt niebezpieczne. Nie możemy wytyczać łatwej ścieżki, którą mogliby podążać nasi wrogowie.

– Ja jestem w tym nowy. Właściwie to nawet zupełnie przypadkiem. Latif, zanim został zabrany, przypuszczał, że może być śledzony i poprosił mnie o pomoc.

– Latif był kurierem? – wydawała się zaskoczona.

– Zastanawiałem się, czy byłaś tego świadoma.

– Ja nie wiem prawie nic. Wczoraj to też było moje pierwsze... pierwsze spotkanie.

Uśmiechnął się.

– Nie poszło zbyt dobrze, prawda?

Ona też się uśmiechnęła i poczuła się nieco skruszona.

– Wiem, że Latif był jednym z poganiaczy mojego taty. Nic więcej. Nie miałam pojęcia, że był wierzący, ani że pełnił taką służbę. A czy mój ojciec...?

Jakub zastanowił się nad tym niedokończonym pytaniem.

– Być może nie. Nie, nie sądzę. Musimy być ostrożni i z niczym się nie zdradzić. A czy wie, że jesteś jedną z nas?

– O, nie. Nie może się dowiedzieć. Nigdy by mi nie pozwolił... Nigdy.

Jakub przytaknął. Czyli ta dziewczyna to coś więcej niż błyszczące oczy i ognisty temperament. Zastanawiał się, jakie jeszcze może mieć sekrety.

Ale ona skierowała się już w kierunku swojej służącej. Odwróciła się jednak, a jej policzki były zaróżowione.

– Zapomniałam ci powiedzieć – wyszeptała. – Masz natychmiast iść pod cyprys przy starej studni. Tam na ciebie czekają.

Skinął głową i patrzył, jak Julia odchodzi. Jednak rosnąca odległość pomiędzy nimi była niczym w porównaniu z tym, jak wielki dystans dzieli ją, córkę Jamala, od niego, skromnego strażnika karawany.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Równiny samarytańskie

Po postoju w Neapolis uchodźcy z Jerozolimy pokonali niewielką odległość, mniej niż siedem rzymskich mil, dzielącą ich od Sebastii. Towarzyszyło im wielu z tych, których Filip ochrzcił, podczas gdy Helzebe, kobieta, która kilka lat temu spotkała Jezusa przy studni w Sychar, i jej trzech krewnych pojechali przodem, żeby wcześniej zawiadomić wioskę o ich przybyciu. Grupa wierzących została powitana przez niemal wszystkich mieszkańców Sebastii. Wielu z nich machało palmowymi liśćmi. Gdy zbliżali się do placu w centrum wioski, zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, a z oddali dobiegał grzmot piorunów.

Przybysze pośpiesznie weszli do gospody, w której parter stanowiła jedna wielka izba. Helzebe już wcześniej dopilnowała, by miejscowi mężczyźni poprzenosili stoły na bok, a teraz wydawała polecenia, by

zatroszczono się o zwierzęta i prosiła każdego, kto był w zasięgu jej głosu, by podzielił się z przybyszami jedzeniem, kocami i paszą. Dzieci zostały nakarmione i wyprowadzone na piętro, gdzie na prostej podłodze z desek rozłożono im maty do spania. Żar ognia, gotowana strawa i ciepło stłoczonych ciał wkrótce przemogło chłód i wilgoć burzy.

Filip wstał i znów zaczął przemawiać. Odpowiadał na pytania ludzi z typową dla siebie logiką i starannością. Mówił o czasach, kiedy Jezus opowiadał o swojej śmierci, pokazywał, że dobrowolnie oddał On życie, aby każdy mógł otrzymać dar życia wiecznego. Zaprosił wszystkich zebranych do modlitwy, do przyjęcia zmartwychwstałego Pana jako ich Mesjasza i Zbawiciela.

Abigail spoglądała na kobietę z Sychar, która spijała każde słowo Filipa z taką gorliwością i przejęciem, że niemal brakło jej tchu. Abigail zdała sobie sprawę, że tego rodzaju żar w jej własnym życiu już wygasł. Wiedziała, że właśnie tu i teraz owa kobieta otrzymuje osobistą lekcję, jakby słyszała ją z ust samych apostołów.

Wtem wstała jedna z kobiet przysłuchujących się z tyłu pomieszczenia. Trzymając w rękach bezwładne ciało dziecka przedarła się z nim przez tłum do przodu, ku Filipowi. Klęknęła przed nim i wyciągnęła ręce z dzieckiem, mówiąc po cichu coś, czego Abigail nie dostyszała. Filip skinął na Albana, by do niego dołączył, po czym obaj położyli ręce na dziecku i zaczęli się modlić. Wierzący od razu zrozumieli, co się dzieje i również zaczęli się modlić, a ich głosy wzniosły się w znajomej, pięknej intonacji.

– Gorączka opadła! – krzyknęła nagle kobieta ponad głosami modlitwy. – Odzyskałam dziecko! Dziękuję, dziękuję!

Abigail usłyszała, jak Filip radzi kobiecie, aby podziękowała Bogu, a nie im. Cała grupa stała jak jeden mąż, ze wzniesionymi rękami i głosami,

wielbiąc Boga za ten cud. Inni przepychali się do przodu, chcąc poprosić o cud uzdrowienia dla siebie.

Abigail ponownie złączyła się z innymi w modlitwie, lecz tym razem jej błaganie płynęło z głębi serca. Prosiła, by ogień Ducha Świętego zapłonął w niej na nowo i aby ona również sięgała w stronę Boga z tym samym głodem, z tym samym pragnieniem i chęcią, by Go znać, służyć Mu i kochać w Jego imię. Dokoła niej rozlegały się okrzyki podziwu i radości, gdyż inni również odczuwali na ciele i duszy Boży dotyk, o który prosili.

Była już późna noc, gdy miejscowi w końcu rozeszli się do domów, a wędrowcy udali się na spoczynek do gospody. Abigail ze świecą w dłoni wspięła się po schodach, żeby znaleźć Dorcas. Położyła się obok córeczki i objęła ją ramieniem. Była zmęczona, ale wdzięczna za wszystko, co dziś widziała, słyszała i czego osobiście doświadczyła.

– Dziękuję Ci, Jezu... – tylko tyle zdążyła wyszeptać, nim zasnęła.

*

Rano wyruszyli na północ do Bemesilis, a następnego dnia dotarli przez Jiszub do Gitty. W każdej miejscowości któraś rodzina z Jerozolimy odnajdywała krewnych i przyjaciół, którzy przyjmowali ją do siebie, by następnie pomóc w znalezieniu lub zbudowaniu nowego domu. Jednocześnie z każdej wioski ktoś wyruszał z nimi w dalszą drogę, aby zadawać pytania dotyczące Jezusa.

Nim dotarli do Narbaty, ludzie z miniętych wiosek mocno zasilili ich szeregi. Ich grupa była teraz większa niż w chwili, kiedy wychodzili z Jerozolimy. Podczas postoju zjedli wspólny posiłek, Filip przemawiał, a potem następne osoby zostały ochrzczone.

Abigail siedziała z Martą na ławce, w otoczeniu miejscowych kobiet, siedzących na trzciniowych matach. Zadawały one pytania dotyczące nauki

Jezusa; chciały zwłaszcza wiedzieć, jak ich Mistrz wypełnił starożytne proroctwa. Abigail zwykle czekała, aż wypowie się Marta, ale ta również wciągała ją do dyskusji, czyniąc to w taki sposób, by Abigail czuła się coraz pewniej.

Dorcas pierwsza zauważyła Linuksa stojącego pod ogromną sykomorą. Abigail przyglądała się, jak jej córeczka biegnie przez plac i wyciąga do niego rączki. Linuks podniósł dziewczynkę, podczas gdy oczy wszystkich kobiet zwrócone były ku niemu. Podeszedł do nich i powiedział:

– Wybaczcie, że wam przerwałem, siostry.

– Nie przypuszczałam, że dożyję dnia, w którym rzymski oficer nazwie mnie *siostrą* – mruknęła pod nosem jedna z kobiet siedzących blisko Abigail.

– Abigail, czy mogę cię prosić na słowo, gdy już skończysz? – powiedział Linuks.

Abigail zdała sobie sprawę, że kobiety nie dadzą rady długo słuchać, jeśli Linuks będzie się kręcił w pobliżu. Przeprosiła je, wstała z ławki i odeszła z nim kawałek.

– Nie chciałem, żebyście przerwały nauczanie – powiedział Linuks, stawiając Dorcas na ziemi.

– Marta potrafi nauczać znacznie lepiej ode mnie.

– Szczerze w to wątpię. Marta podaje fakty, a ty osładzasz je swoim sercem, swoją radością.

Abigail właśnie miała się sprzeciwić, gdy Dorcas powiedziała:

– Mama jest szczęśliwa.

– Naprawdę?

Dorcas pokiwała główką, a jej loki fruwały w górę i w dół.

– Dorcas, nie wiem, jak ktoś mógłby tak dużo przebywać z tobą i nie być szczęśliwym – rzekł Linuks.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

– Wujku Linuksie, a ty też jesteś szczęśliwy?

Nie odpowiedział, tylko zaprowadził je do kamiennego murku wyznaczającego granicę wioski. Posadził na nim Dorcas i zwrócił się do nich obu:

– Jutro muszę wyjechać...

– *Nie!* – zawołała dziewczynka z łatwością przeskakując z jednej emocji w drugą, przeciwną. Na jej twarzy odmalował się niepokój.

– Muszę jechać – Linuks adresował te słowa do dziewczynki, ale Abigail wiedziała, że mówi to do niej. – Cezarea jest o ponad dzień drogi stąd, na północny zachód. Dziś będziecie wszyscy spać tutaj, a jutro idziecie na wschód, do Ginaj. Następnego dnia dotrzecie do Nain i to jest koniec waszej podróży.

– Ale... – Dorcas trzymała go kurczowo za tunikę obiema piąstkami. – Wujku, ty masz jechać z nami!

– Masz dar zjednywania sobie przyjaciół, gdziekolwiek się znajdziesz – powiedział łagodnie. I znów Abigail była pewna, że mówi nie tylko do dziecka, ale też do niej. – Rozmawiałem ze starszyzną. Macie wystarczająco dużą eskortę, będziecie bezpieczni. I Alban...

– Nie, proszę – Dorcas nadal protestowała. – Pojedź z nami.

– Bardzo bym chciał – odpowiedział Linuks kładąc dłoń na jej główce.

– Ale mam rozkaz stawić się u komendanta w Cezarei.

Dorcas wyglądała jakby miała się rozpłakać.

– A potem?

Linuks uniósł jej bródkę jednym palcem.

– Kochanie, ja wrócę.

– Kiedy?

– Od razu, kiedy tylko dostanę pozwolenie – po raz pierwszy spojrział na Abigail. – To znaczy, jeśli twoja mama pozwoli mi cię odwiedzić.

Dorcas spojrzała na matkę.

– Linuks musi wypełnić swój obowiązek. Każdy z nas ma jakieś obowiązki – powiedziała Abigail, prosto, lecz stanowczo. – Ale będziemy tęsknić za jego towarzystwem, prawda?

Dorcas przyłgnęła do ramienia żołnierza. Jej oczy przepełniały pytania pomieszane ze smutkiem.

Abigail przyjrzała się im obojgu. Z twarzy Linuksa biła łagodność, jego oblicze było odmienione przez wzrastającą wiarę. Zmiana, która w nim zaszła, była może bardziej subtelna niż uzdrowienie chorej nogi Abigail, ale ta przemiana nie była mniej cudowna. Zniknął gdzieś jego sardoniczny humor, maskujący gorycz i wściekłość z powodu doznanego losu i brutalnej ręki brata. Zniknęło też pragnienie, by zmusić Abigail do tego, by należała do niego. Linuks złagodniał; czuł głód wzrastania w wierze i troszczył się o innych.

Dorcas zaczęła ponownie płakać.

Abigail wzięła dziewczynkę na rękę, a ta ukryła twarz w ramieniu matki.

– Muszę jechać – Linuks wyciągnął rękę, by pogłaskać dziecko po głowie. – Wyruszę jutro, zanim wzejdzie słońce.

– Bądź dzielna – szepnęła Abigail do ucha dziewczynki. – Pożegnajmy naszego przyjaciela z uśmiechem na twarzy.

Dorcas tylko potrząsnęła głową.

– Będzie znacznie lepiej, jeśli wyjedzie ze wspomnieniem twojej radosnej buzi – nalegała Abigail.

Głowa dziewczynki zaczęła jeszcze energiczniej poruszać się w prawo i w lewo na znak zaprzeczenia.

– Ale ja nie jestem szczęśliwa! Mamo, ja już za nim tęsknię...

Abigail omal nie powiedziała, że ona również. W ostatniej chwili zreflektowała się i rzekła tylko:

– Wiem, skarbie.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tyberiada

Gdy Jakub wrócił do rezydencji Jamala, żeby się z nim spotkać, wyczuł jakąś zmianę w panującej tu atmosferze. Przez chwilę martwił się, że może Jamal dowiedział się o jego spotkaniu z Julią. Siedział na podwórzu przypatrując się pospiesznej krzątaniu służby i słuchając dochodzących z domu krzyków. Czuł, jak narasta w nim napięcie. *Strzeż się gościnności książąt.* Te słowa odbijały się echem w jego głowie i poczuł, jak po plecach spływa mu strużka potu.

Wreszcie przyszedł po niego srogi służący z zakrzywionym, orlim nosem i opadającymi powiekami. Patrzył na Jakuba z ponurą satysfakcją, jak myśliwy na swoją ofiarę.

– Pan cię teraz przyjmie.

Jakub poszedł za nim długim korytarzem prowadzącym do podwójnych, połączonych drzwi, za którymi znajdowały się prywatne pomieszczenia. Służący uklonił mu się kpiąco, wskazując, by wszedł do bocznej komnaty. Jakubowi tak zaschło w gardle, że nie był w stanie przełknąć śliny.

Komnata okazała się tak naprawdę korytarzem wyłożonym kamieniami i chylącym się ku dołowi. Drogę oświetlały lampy oliwne migoczące w niszach. Przeszedł przez kolejne drzwi, żelazne, nabite gwoździami, po czym zszedł po krętych kamiennych schodach. Znalazł się w komnacie prawie tak dużej jak wewnętrzne podwórze, ze sklepieniem w kształcie przeciętej wzdłuż beczki, podtrzymywanym przez masywne kamienne kolumny. Z żelaznych podpór wystawały płonące pochodnie.

– Tutaj – głos Jamala zagrział ponuro i srogo.

Kupiec siedział za stołem, wystarczająco dużym, by zmieściło się przy nim dwadzieścia osób. Na jego końcu leżał stos paczuszek z kadzidłem, a czerwony wosk błyszczał w świetle pochodni. Jamal był zajęty pisaniem na pergaminie. Nie patrząc na Jakuba wskazał za siebie. Stał tam piecyk, a na nim miedziany garnek, w którym coś bulgotało.

– Nalej mi jeszcze, i przy okazji też sobie.

Rozkaz był zwięzły. Jamal w niczym nie przypominał rozmownego i wesołego mężczyzny, z którym Jakub rozmawiał podczas poprzedniej wizyty w tym domu. Nie chciał nalewać herbaty, gdyż obawiał się, że nie jest w stanie ukryć drżenia rąk, ale jego gardło było straszliwie wyschnięte, więc zrobił, co mu kazano.

Jamal przestał pisać i wskazał krzesło naprzeciw siebie.

– Siadaj.

Jakub spełnił polecenie, prawie rozlewając przy tym gorącą herbatę. Głowa kupca nadal pochylała się nad dokumentem. Jakub rozejrzał się

dokoła. Widać tu było bogactwo Jamala – beczułki z najdroższymi przyprawami, skrzynie, jak Jakub przypuszczał, wypełnione złotymi i srebrnymi monetami, sterty gobelinów, eleganckie szaty ozdobione drogimi kamieniami. Na żelaznych stojakach stały w szeregach gliniane amfory, niczym żołnierze na paradzie. I godna królewskiego skarbcza obfitość kadzidła, leżącego na krawędzi stołu.

Jamal odłożył pióro, złożył pergamin i przyciągnął do siebie jedną z lamp oliwnych, żeby stopić kostkę czerwonego wosku. Gdy kapnęło go już wystarczająco dużo, by skleić brzegi, wyciągnął pieczęć zawieszoną na złotym łańcuszku wokół szyi i przycisnął ją do wosku. Następnie wsunął łańcuszek wraz z pieczęcią z powrotem pod szatę.

– Mam problem – oznajmił.

Jakub nie wiedząc, czego Jamal od niego oczekuje, powiedział tylko:

– Panie...

– Właściwie to dwa problemy – kontynuował kupiec. – Moja karawana z Damaszku spóźnia się już o dwa tygodnie i nie przyjechał żaden posłaniec, żeby mi wyjaśnić, jaka jest tego przyczyna – Jamal odsunął krzesło tak gwałtownie, że uderzyło o kamienną ścianę. Wstał, założył dłonie za siebie i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem. – Gdybym stracił tę dostawę kadzidła, i gdyby moja karawana z Damaszku rzeczywiście została porwana, byłbym zrujnowany.

Jakub poczuł, jak jego mięśnie się rozluźniają. Cokolwiek trapiło Jamala, nie miało to nic wspólnego z jego spotkaniem z Julią.

– Może to tylko jakieś opóźnienie – zauważył.

Jamal doszedł do rogu komnaty i zawrócił. Jego sandały uderzały lekko o kamienną podłogę

– Być może.

– Ostatnio była okropna pogoda. Może zdecydowali, że poczekają, aż ustaną burze.

– Wyślij strażnika, żeby się tego dowiedział.

Jakub chciał zaprotestować, że nie ma takiej władzy, lecz zorientował się, że jeśli Jamal wydaje taki rozkaz, to nie będzie problemu z wyegzekwowaniem go.

– Trzech strażników będzie miało większe szanse, że wyruszą i wrócą bezpiecznie, panie – zasugerował.

– To niech jedzie trzech – Jamal nadal chodził po komnacie. – W tych niepewnych czasach los kupca nigdy nie jest bezpieczny. Wiesz, że już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio przespałem spokojnie całą noc?

– Przykro mi to słyszeć, panie.

– Na pewno nie spałem spokojnie od wielu miesięcy. Może nawet od lat.

Jakub odczekał chwilę, po czym odezwał się:

– Mówiłeś o dwóch problemach.

– Tak, tak. W rzeczy samej. Właśnie otrzymałem wiadomość, że do Joppy dotarł ładunek z kadzidłem – stukanie sandałów o podłogę zwiększyło częstotliwość. – Mój dostawca w Joppie obawia się, że inni wiedzą, jaki towar dla mnie przechowuje.

W tym momencie Jakub zrozumiał powód, dla którego został wezwany.

– I chcesz mnie posłać, panie.

Jamal zatrzymał się w pół kroku. Wciąż nie patrzył wprost na młodego człowieka.

– Jestem gotów ci służyć, jeśli taka jest twoja wola – powiedział Jakub.

Wzrok kupca podniósł się powoli, niemal niechętnie.

– Miałem zamiar poprosić cię, czy byłbyś tak łaskawy i zajął miejsce Latifa. Ale... nie mam żadnej karawany, z którą mógłbyś bezpiecznie pojechać.

– A czy Latif był bezpieczny w towarzystwie Yussufa? – Jakub potrząsnął głową. – Powinniśmy zakładać, że wszystkie twoje karawany są obserwowane.

– Mógłbym cię wysłać z kilkoma strażnikami.

– Panie, jeśli grupka twoich strażników miałaby podróżować bez karawany, to tylko z jednego powodu. Zwłaszcza, jeśli rozeszły się pogłoski kojarzące cię z handlem kadzidłem. Rzymscy poborcy podatkowi i złodzieje obsiedliby nas jak sępy padlinę.

– Nie słyszałeś, co właśnie powiedziałem? – pięść Jamala opadła z hukiem na stół. – Muszę stamtąd zabrać ten skarb, póki jeszcze jest mój!

Tym razem wściekłość kupca nie dotknęła Jakuba w żaden sposób. Powoli wstał, by spojrzeć swemu panu w oczy.

– Panie, potrzebujemy jakiegoś wytłumaczenia dla mojej podróży. Może jakiś służący z bogatego domu potrzebuje pojechać na zachód... – Jakub urwał w pół zdania, bo kupiec stanął jak wyrzeźbiony z kamienia. – Co się stało, panie?

Lecz uwaga Jamala była już skupiona na czymś daleko poza tymi ścianami.

– Poczekaj tu na mnie.

*

Julia była zaskoczona, gdy jej ojciec pojawił się w wewnętrznym podwórzu, gdzie znajdował się ulubiony zakątek matki. W dni takie jak dziś był zwykle tak pochłonięty pracą, że często zapominał nawet o jedzeniu. A teraz stanął przed nimi z uśmiechem, który według Julii wyglądał na wymuszony.

– A, tu jesteście. Wszędzie cię szukałem – usiadł na ławce obok Heleny. – Mam dla ciebie wieści, kochana.

Oczy Heleny zwróciły się ku niemu z zainteresowaniem, ale też z obawą.

– Dotarło do mnie, że nadszedł czas, by pozwolić ci odetchnąć od tego małego miasteczka. Zorganizowałem wycieczkę do Joppy. Wyjeżdżacie dziś. Obie – dodał, zwracając się do Julii.

– Pojedzie z wami ten młody człowiek, Jakub. Będzie wam służył i zadba o wszystkie wasze potrzeby podczas podróży.

Julia zauważyła, że do oczu Heleny wkradła się niepewność.

– Ale po co, mój panie?

Jamal błędził wzrokiem po ogrodzie, przemykając po wszystkim, lecz nie widząc nic.

– Czy potrzebuję powodu, by podarować moim dwóm ulubionym kobietom wycieczkę do miejsca o wyrafinowanej kulturze? Zbyt długo trzymałem was w zamknięciu.

Julia poczuła, jak mięśnie w żołądku boleśnie jej się zaciskają. Próbowała zwilżyć wyschnięte usta.

– A ty? Pojedziesz z nami?

Jamal wydawał się być roztargniony.

– To nie będzie możliwe. Mam tu zbyt wiele spraw na głowie – najwyraźniej zauważył konsternację na twarzach obu kobiet, bo dodał pośpiesznie: – Może będę mógł później do was dołączyć. Tak bym się cieszył, mogąc pokazać moim dwóm damom uroki nadmorskiego miasta. Morze Śródziemne jest takie piękne...

Myśli Julii wybiegły w przyszłość. *Morze?* Wątpiła, by ojca kiedykolwiek interesowało morze. Było dla niej jasne, że prawdziwy powód tej wycieczki musi kryć się gdzie indziej. Co jej ojciec knuje?

Helena wciąż się nie odezwała. Wyglądała na zbyt zaskoczona, by choćby się poruszyć. Julia zdecydowała, że musi wypowiedzieć się za siebie i matkę.

– Myślałam, że wszystkie twoje karawany są w drodze.

– Tak, to prawda. Ale na szczęście mój zaufany przyjaciel właśnie dziś wyrusza do Joppy. Stwierdziłem, że to świetna okazja, by wysłać was z jego karawaną. Jest mała, lecz dobrze strzeżona. I będziecie miały Jakuba jako osobistego sługę i strażnika – rozpromienił się, jakby w jego głowie zaświtała jakaś nowa myśl. – To będzie świetna okazja, kochanie, żeby zacząć wybierać szaty ślubne. W Joppie znajdziesz najlepsze jedwabie.

Julia poczuła się, jakby na jej sercu zacisnęła się wielka pięść. Gorączkowo szukała słów, by zaprotestować, że nie chce myśleć o żadnym małżeństwie.

Ale w tym momencie odezwała się Helena:

– To wszystko dzieje się tak nagle, mój panie.

– Tak, tak, ale mój przyjaciel wyrusza dziś. Nie może tego odłożyć. Wciąż jest wystarczająco czasu, żebyście się przygotowały – zatarł ręce z entuzjazmem. – Julio, kochanie, skoro niedługo udasz się daleko, do spokojniejszej, ale też bardziej kulturalnej części świata, musisz mieć jakieś pojęcie o tym, co leży poza Tyberiadą.

– Czy nie możesz nam powiedzieć, jaki jest prawdziwy powód? – spytała cicho Helena.

Jamal zeszywniał. Tylko jego oczy wciąż były rozbiegane.

– Ja... ja...

– Nie ufasz nam, mój panie?

Jego usta kilka razy otworzyły się i zamknęły. W końcu wydusił z siebie:

– Ufam bardziej niż jestem w stanie wyrazić.

Obie kobiety patrzyły wyczekująco.

Jego głowa opadła. Całe ciało, nawet dłonie zwiotczały.

– Mam bardzo poważny problem.

Helena przysunęła się, by móc dotknąć jego rąk.

– W interesach?

– Bardzo poważny – powtórzył.

Helena skinęła głową, jakby słyszała znacznie więcej niż to, co Jamal rzeczywiście powiedział.

– I martwisz się, że jeśli nam powiesz, o co chodzi, to nas również narazisz na niebezpieczeństwo. Czy tak, mój panie?

Jamal spojrział na Helenę oczami pełnymi bólu i z troskaniem.

– Za nic w świecie nie chciałbym cię stracić. Ale potrzebuję... – potrząsnął głową.

– Potrzebujesz kogoś, komu możesz zaufać, kto będzie ci służył, nie kwestionując twoich poleceń – skinęła głową. – Żyję po to, by wykonywać twoje rozkazy, mój panie.

Miłość i smutek były tak silne w głosie Heleny, że Julia ledwie była w stanie powstrzymać się od płaczu.

Jamal wstał i popatrzył na obie kobiety. Gdy się odezwał, jego głos był zachrypnięty od emocji, falujących gwałtownie pomiędzy nim a Heleną.

– Niech służące pomogą wam się spakować. Ilość rzeczy, które możecie zabrać, jest ograniczona. Towarzyszyć wam może tylko jedna służąca. Taki jest wymóg karawany. No i oczywiście Jakub. On będzie waszym osobistym sługą podczas tej podróży.

Julia zastanawiała się, dlaczego ojciec tak bardzo podkreśla tę część planu, ale miała wiele pytań dotyczących całej tej sprawy. *I to w dodatku tak nagle...*

– Będziemy gotowe do drogi – rzekła Helena. – Tak jak nam powiedziałaś.

Jamal położył dłoń na ramieniu Heleny. Julia wyczytała w jego oczach ulgę i znów zastanawiała się, dlaczego.

– Wiedziałem, że zrozumiesz i zgodzisz się mi pomóc, Heleno. Jestem twoim dłużnikiem.

*

Reszta poranka upłynęła na gorączkowych przygotowaniach. Fakt, iż służące, z Zoe na czele, były tak samo zdezorientowane jak Julia, nie pomagał. Ta niezwykła wyprawa, ogłoszona w ostatniej chwili sprawiła, że szeptały po kątach, snując domysły. Helena nie pomagała, bo z powodu bólu głowy udała się na spoczynek. Julia pracowała nad przygotowaniem sama, wydając polecenia i pomagając upchnąć ile się da do małych tobołków i toreb. Któż mógł przewidzieć, jak długo będą poza domem?

Zoe pakowała rzeczy w ciszy, lecz od czasu do czasu Julia zauważała jej zmarszczone czoło. Wiedziała, że czasem słudzy poznają jakieś wieści na długo przed swoimi panami.

– Powiesz mi, o co chodzi?– spytała ostrożnie.

W końcu starsza kobieta odwróciła się do Julii.

– Mam wieści. Tak naprawdę to powinnyśmy się z nich cieszyć.

– Czy to ma coś wspólnego z tą podróżą?

– Nie widzę żadnego związku, dlatego też waham się, czy ci to powiedzieć. I tak masz tyle na głowie...

– Mów. Proszę...

– Wygląda na to, że... że dom Jamala w Damaszku doznał błogosławieństwa – Zoe spojrzała gdzieś w bok, a potem z powrotem na Julię. – Jego... jego żona, w Damaszku, uwierzyła w Jezusa.

Julia popatrzyła w osłupieniu na swą drogą przyjaciółkę. *Uwierzyła?* Tak. Tak, to przecież była dobra wiadomość. To zawsze było coś wspaniałego, gdy ktoś dołączał do grona wierzących. *A moja mama jeszcze nie...* – pomyślała Julia z żalem. A teraz... Wyglądało na to, że żona Jamala podjęła tę decyzję.

Czy ojciec o tym wie? Czy to ma związek z ich nagłym wyjazdem? Albo jeszcze inna możliwość: czy jego żona dowiedziała się, że Jamal ma drugą rodzinę i teraz żądała, by je oddalił? Nie było żadnego prawnego powodu, by miał tak uczynić, ale kto wie, czy nie naciskała na niego na tyle, że nie mógł tego wytrzymać...?

Julia zwróciła się do Zoe.

– Skąd się o tym dowiedziałaś?

– Jedna ze służących, która ma rodzinę w Damaszku, usłyszała to od innej, która tam była w podróży. Wieści wśród wspólnot wierzących rozchodzą się szybko, zwłaszcza jeśli są radosne. Ta kobieta wiedziała, że pracuję w domu Jamala. Przekazała mi informację, gdy spotkałyśmy się wczoraj rano na rynku.

Julia podziękowała Zoe za wiadomość, robiąc wszystko, by ukryć niepokój. *Och, mamo, tak bardzo bym chciała, by te wieści dotyczyły ciebie...*

Czy będzie w stanie zatroszczyć się o swoją zbolełą na duszy matkę?



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tyberiada

Jakub był znacznie weselszy niż prawdopodobnie powinien być. Rozpierała go radość z zaczynającej się nowej przygody. Próbował skupić myśli na czekających go niezliczonych niebezpieczeństwach, na tym, że wyrusza w zupełnie nieznaną sobie teren. Był osobiście odpowiedzialny przed Jamalem za bezpieczeństwo jego żony, córki i starszej służącej. Będą jechać z obcą karawaną. Nie mógł nikomu ufać, a przed nimi była długa podróż. A przy tym musiał jeszcze wymknąć się na chwilę, by poinformować osobę kontaktową, że oboje z Julią wyjeżdżają na kilka, może kilkanaście dni, więc jeśli pojawią się jakieś ważne wiadomości, to trzeba je będzie przekazać przez innych kurierów.

Wrócił zdyszany w nadziei, że Jamal nie zauważył jego krótkiej nieobecności. Wszystko wydawało się w porządku. Niepostrzeżenie

dołączył do służących i strażników, którzy uwijali się przy przygotowaniach. Złapał się na tym, że zaczął pogwizdywać przy pracy.

Jamal stał przy powozie. Helena i Julia siedziały już w środku.

– Będziesz dbał o ich bezpieczeństwo z największą starannością? – zwrócił się kupiec do Jakuba.

– Będę ich strzegł bardziej niż własnego życia, panie – odparł żarliwie chłopak, świadomy obecności matki i córki. Poczł na sobie wzrok obu kobiet.

Jamal obciągnął płaszcz, kopnął jedno z kół powozu, zagryzł dolną wargę i rzekł:

– To nie jest moja karawana. I to nie są moi strażnicy, rozumiesz – patrzył prosto w oczy Jakuba.

– Karawanę poprowadzi doświadczony człowiek – powiedział Jakub, chcąc dodać mu otuchy. – Twoje towary już wcześniej jeździły pod jego nadzorem.

– Ale nie moja żona i córka.

Jakub zerknął do środka powozu i zauważył, że słowa Jamala wywołały na twarzy Heleny głęboki smutek. Podobne uczucie odzwierciedliło się w spojrzeniu Julii, która zaraz podniosła skraj szala do twarzy i odwróciła się. Jakub był pewien, że obie kobiety skrywają jakiś głęboki żal, ale nie miał pojęcia, z jakiego powodu.

Jamal zdawał się nieświadomy tego, co dzieje się w sercach obu kobiet.

– No dobrze – powiedział. – Dbaj o nie, niech mają tyle wygod, na ile droga wam pozwoli.

Skłoniwszy się, Jakub obiecał szczerze:

– Słyszę i jestem posłuszny, panie.

Jamal zrobił krok bliżej wozu i patrzył to na Helenę, to na Julię.

– Bądźcie ostrożne, moje drogie, i niech wasz pobyt będzie jak najkrótszy. Ani nasz dom, ani moje serce nie jest wypełnione, gdy was nie ma.

Jakub patrzył na Jamalę, po czym szybko odwrócił wzrok, nim jego pan to zauważył. Nie potrafił zrozumieć ukrytego znaczenia tych słów, ale był pewien, że wyrażają one coś głębszego, niż pożegnalną formułkę.

Spojrzenie Heleny ponownie przepełnił żal i smutek.

– Będę za tobą tęsknić, Jamal – rzekła bez ogródek.

Jakub spostrzegł, że Julia ani się nie odezwała do ojca, ani nawet na niego nie spojrzała. Jakub tak pokierował powozem, aby zająć miejsce z przodu karawany, chroniąc w ten sposób kobiety przed wdychaniem wzbitego pyłu. Manewrując, spojrzał jeszcze na Jamalę. Kupiec stał w lekkim rozkroku, zasłaniając ręką oczy od słońca i pochylając się nieco do przodu, jakby sam chciał podążyć za odjeżdżającą karawaną.

Co to wszystko znaczy? – chłopak wątpił, czy kiedykolwiek się tego dowie.

*

Jakub miał na sobie tradycyjny ubiór służących z Damaszku: prostą bawełnianą szatę, związaną mocnym, przeplatany jedwabiem pasem, przykrytą kolorowym płaszczem. Sztylet, otrzymany w darze od Jamalę, pozostał w Tyberiadzie. Zamiast tego Jakub wziął prosty nóż z damasceńskiej stali, który leżał teraz ukryty w macie do spania, przymocowanej wraz z innymi pakunkami do boku jednego z osłów. W pakunkach znajdował się również miecz i jeszcze jeden nóż, długości uda Jakuba, a do tego niewielka tarcza. Jakub nie zamierzał brać ze sobą tego wszystkiego, lecz Jamal nalegał, upierając się, że sługa, któremu powierzono życie żony i córki bogatego kupca musi być należycie uzbrojony.

Jamal chciał oczywiście dodać do eskorty również całą gromadę własnych strażników, ale mistrz karawany odmówił. W tym względzie był nieugięty. Karawana wiozła towary należące do tuzina różnych kupców, i każdy z nich mógłby zażądać tego samego przywileju. Aby temu zapobiec, mistrz karawany zabierał ze sobą wyłącznie własnych strażników. Jamal musiał to zrozumieć – jego karawany rządziły się takimi samymi prawami.

Z tyłu wozu truchtał przywiązany liną osioł, który wcześniej przywiózł Jakuba bezpiecznie do Tyberiady. Obok niego, lekko protestując z powodu opuszczenia stada, szło młodsze zwierzę. Drugi osioł, który towarzyszył Jakubowi w drodze przez Samarię, okulał. Jego zastępca wiozł na grzbiecie zapasy przeznaczone na drogę.

Jakub, jak przystało na służącego, zajmował miejsce na zewnątrz powozu. Zoe jechała z tyłu, co również odpowiadało jej pozycji. Konstrukcja wozu, obca Judejczykom, cieszyła się popularnością wśród Rzymian. Miał on na górze okrycie podpierane przez cztery słupki. Ścianki osłaniały ciężkie gobeliny, które można było podwinąć lub opuścić, w zależności od pogody. Od zewnątrz wyglądały na proste, w kolorze ziemi, lecz gdy Jakub pomagał kobietom wsiadać, zauważył, że od środka zdobią je piękne, kolorowe motywy, przedstawiające ptaki i ogrody. W dni takie jak ten, kiedy wiał zimny wiatr, wewnątrz powozu było z pewnością całkiem przytulnie.

Od czasu do czasu dłonie Julii odgarniały zasłonę i z przodu ukazywała się jej twarz. Widok ten za każdym razem przyciągał uwagę Jakuba. Zdjęła szal, co dla kobiety, zwłaszcza Judejki, było śmiałym zachowaniem. Jakubowi wydawało się, że ciemne oczy dziewczyny skrywają pytania, na które nie ma odpowiedzi. Gdy jej twarz zniknęła za zasłoną, on wciąż pozostawał pod wrażeniem tych oczu, przypominających wyszlifowane onyksy. W kółko sobie powtarzał, że jego pragnienia w najmniejszym

stopniu nie rokują na przyszłość. Lecz ostrzeżenia podsuwane przez umysł były tak słabo słyszalne, jak wołanie drozda w cierniowym krzaku.

Wczesnym popołudniem, gdy zostawili za sobą wzgórza Tyberiady, karawana zatrzymała się na postój. Na wzgórzu opodal drogi majaczyła opuszczona rzymska twierdza. Gdy wyszła w niej studnia, garnizon przeniósł się dalej na północ, na równiny Samarii. Dla podróżnych wciąż pozostało otwartych kilka nędznych straganów. Jakub wyciągnął monety z otrzymanej od Jamala sakiewki i poszedł kupić jakieś przekąski dla kobiet. Ucieszył się, ujrawszy świeżo zebrane granaty.

Gdy zwierzęta odpoczywały i jadły, kobiety nie oddalały się od wozu, chodząc tylko dokoła niego, by rozprostować nogi. Jakub trzymał się w zasięgu ich głosu, przyjmując postawę, którą często widział u służby domowej: dłonie zaciśnięte na nadgarstkach drugiej ręki, trzymane przed sobą tuż pod żebrami, wzrok utkwiony w jednym punkcie przed sobą. Dwóch strażników urządziło sobie zabawę jego kosztem; siedzieli tak, by ich widział i rechotali pogardliwie. Jakub ich ignorował. Musiał zachowywać pozory, że jest tylko sługą. Poza tym łatwo mógł sobie wyobrazić bardziej przykre obowiązki niż dyskretne obserwowanie Julii.

Nim zatrzymali się o zachodzie słońca, oba konie ciągnące powóz były wyczerpane całodziennym wysiłkiem. Zoe przygotowała kolację nad niewielkim ogniskiem, podczas gdy Jakub niespiesznie czesał rumaki. Dał im trochę wody i kilka garści owsa i znów wrócił do czesania ich sierści. Był tak na tym skupiony, że nie zauważył podchodzącej do niego Julii.

– Czemu nie dasz im porządnego posiłku? – odezwała się dziewczyna.

– Pani Julio... – podniósł się niezdarnie.

Julia wskazała na puste worki, które konie trącały nozdrzami, daremnie szukając paszy.

– Pracowały ciężko przez cały dzień. Dlaczego je głodzisz?

– Jeśli dam koniom pełen posiłek, gdy są jeszcze przegrzane, to spuchną im wnętrzności i przez całą noc będą je boleć brzuchy – Jakub wrócił do szczotkowania boków zwierzęcia. – Pozwolę im się jeszcze trochę ochłodzić, a potem dam im więcej jeść i pić.

Choć starał się skupić na wykonywanej czynności, to jednak dobrze czuł na sobie spojrzenie Julii.

– Moja matka się położyła – powiedziała wreszcie Julia – a Zoe i ja właśnie będziemy zaczynały wieczorną modlitwę. Zastanawialiśmy się, czy nie chciałbyś do nas dołączyć.

Jakub odwrócił się w jej stronę ze szczotką zwisającą w jednej ręce. Przełknął ślinę i powiedział:

– Będzie to dla mnie zaszczyt, pani.

Poszedł za nią do powozu. Przy ognisku, niedaleko tylnego wejścia do pojazdu, ustawione były dwa stołki. Jakub stanął naprzeciw wozu, a Julia zajęła miejsce obok Zoe. Widział podobne rzeczy u wielu wierzących Judejczyków, którzy zapraszali swoją służbę do wspólnej modlitwy. Patrzył, jak obie kobiety zakładają na głowy tradycyjne judejskie szale. Pochylił głowę, gdy Zoe zaczęła recytować jeden z psalmów.

– Pan jest moim pasterzem – usłyszał znajome słowa. Zauważył, że gdy tego słuchał, był w stanie zapomnieć o obecności Julii. Ze skłonionymi ku sobie głowami najpierw jedna kobieta wypowiadała słowa modlitwy, potem druga. Wreszcie i Jakub dodał swoje prośby do Boga: o bezpieczeństwo w podróży, o spokojną noc, o szybkie wyzdrowienie dla Albana oraz za Latifa, gdziekolwiek się tej nocy znajdował.

Gdy skończyli się modlić, Jakub nie ruszył się z miejsca czekając, aż Julia go odeśle. Lecz ona zamiast tego powiedziała:

– Ten Alban, o którym mówisz, to ten, który służy u mojego ojca jako główny strażnik?

– Tak, pani.

– Czy nie mówiłeś kiedyś, że to twój opiekun?

– Tak, pani – zawahał się znów, świadom, jak wielka przepaść dzieli go od tej młodej kobiety. Ale wiedział, że musi powiedzieć prawdę. – Alban był kiedyś setnikiem garnizonu w Kafarnaum, a ja byłem jego sługą.

Obie kobiety nie kryły zaskoczenia.

– Mój ojciec zatrudnił rzymskiego oficera jako strażnika?

– Lepiej wybrać nie mógł – odpowiedział Jakub. – Alban pochodzi z Galii. Jest wyćwiczony we wszelkich sztukach wojennych. Służył Poncjuszowi Piłatowi w ostatnich dniach jego panowania jako konsula, tuż po śmierci naszego Pana. Gdy uwierzył w Jezusa, zmuszono go do rezygnacji z dowodzenia żołnierzami.

Zdał sobie sprawę, że żadna z kobiet nie zadowoli się jedynie połową historii, więc ciągnął dalej:

– Gdy byłem dzieckiem, karawana mojej rodziny została zaatakowana przez bandytów na drodze do Damaszku. Alban mnie uratował. Moja siostra zdołała uciec, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Dopiero kilka lat temu spotkaliśmy się znowu, w Jerozolimie, na podwórzu, gdzie na początku zbierali się wierzący.

Wiedział, co o nim teraz myślą: że jest osieroconym chłopakiem, wychowywanym na służbie u Rzymianina, który teraz dostał odrobinę wolności i służy Jamalowi.

Lecz w głosie Zoe, która przerwała milczenie, nie było ani cienia pogardy.

– Taka tragedia – powiedziała łagodnie. – A twoja rodzina pochodziła z Syrii?

– Nie, z Judei.

– Aha – Zoe skinęła głową i znów westchnęła.

Obie kobiety wstały i weszły do powozu po ustawionych przez Jakuba schodkach. Gdy podawał im stołki, Julia rzekła:

– Szczęściarz z mego ojca, że ma Albana i ciebie, zaufanych ludzi.

W świetle pochodni jej twarz odzwierciedlała smutek, ale również siłę. Jakub skłonił głowę.

– Dziękuję, pani.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Cezarea

Zbliżając się do wzgórz okalających Cezareę, Linuks zauważył nową studnię, wykopaną w cieniu wieży strażniczej. Prosta konstrukcja składała się z otoczonego kamieniami dołu i trzech koryt dla zwierząt. Kilka marnych straganów, zbudowanych ze szmat podpartych kijami, za kilka monet zapewniało niewyszukane posiłki maszerującym żołnierzom i poganiaczom. Od miasta dzieliły to miejsce zaledwie dwie godziny drogi, więc taka publiczna studnia mogła się wydawać niepotrzebna. Dla Linuksa stanowiła symbol bezprawia panującego w Judei. Karawany wyjeżdżające z rzymskiej stolicy tego kraju mogły się tu zatrzymać i napić po raz ostatni zwierzęta, na wypadek gdyby w dalszej drodze nie było już żadnego bezpiecznego miejsca.

Po obu stronach drogi wyrosły wzgórza – znak, że miał do pokonania już tylko kilka ostatnich zakrętów. Linuks poczuł, jak budzą się w nim stare sentymenty. Zobaczywszy przed sobą miasto, wyprostował się, jak przystało na oficera wkraczającego do rzymskiego miasta. Strażnicy patrolujący teren zauważywszy go, zaszalutowali. Choć nie miał na sobie munduru, rozpoznali w nim człowieka władzy i przywilejów.

Lecz teraz, po raz pierwszy odkąd zaczął służyć w armii, Linuks poczuł się z tym źle.

Najwyższe wzgórza schodziły ku plaży. Miasto leżało na krańcu równiny Szaron, która rozciągała się wzdłuż brzegu poczynając od Joppy i Apollonii. Na wszystkich wzgórzach Cezarei wybudowano pałace lub świątynie. Najwyższe wzgórze zajmowały świątynie poświęcone Jupiterowi i Saturnowi. Kapłani z tych dwóch świątyń sprzeczali się i kłócili w każdym miejscu rzymskiego imperium. Linuks minął pałac konsula oraz hipodrom i zatrzymał się przy nowo wykończonym budynku garnizonu. Jego budowę rozpoczął Poncjusz Piłat, lecz praca wykonywana była etapami, niekiedy przerywana i w efekcie przeciągnęła się na wiele lat. Koszary stały po dwu bokach placu; od strony północnej stajnie, a od południowej łaźnie i kwatery oficerskie. Linuks zostawił konia stajennemu i zameldował się pełniącemu służbę oficerowi. Otrzymał tymczasową kwaterę, rzucił na podłogę cały swój skromny dobytek i skierował się ku łaźniom.

Wejście do głównej sali, caldarium, przywróciło mu pamięć o wszystkim, co Linuks kiedyś znał. Grupa oficerów grała w kości na posadzce; słychać było salwy gromkiego śmiechu i niewybredne żarty. Wnęce przy wejściu, obok posążka, paliła się lampa oliwna. Wielu przechodzących żołnierzy wrzucało monetę do misy przy posążku, próbując zapewnić sobie w ten sposób szczęśliwy los. Linuks odmówił niewolnikowi, który zaoferował pomoc przy rozbieraniu się, natomiast wysłał go po czysty

mundur. Ogolił się, wykapał, zmywając brud i trudy wędrówki, ubrał się i przeszedł do ostatniej wnęki, gdzie na kąpiących się czekała kolacja na zimno.

Gdy Linuks nakładał sobie chleb i owoce, do stołu z drugiej strony podszedł mężczyzna.

– Ty jesteś Linuks Aureliusz, czyż nie?

– To ja – Linuks przyglądał mu się przez chwilę – Czy my się znamy?

– Służyłem pod legatem Bruno Aetiussem. Ktoś mi ciebie wtedy pokazał.

– Myślałem, że Aetius zabrał swoich oficerów ze sobą do Damaszku.

Rzymianin zawahał się, po czym zanurzył czubek noża w kielichu z winem.

– Paru z nas, niewielu, poprosiło o możliwość pozostania tutaj.

Mówiąc to, oficer narysował na obrusie zakrzywioną linię, która ułożyła się w prosty symbol. Skończywszy, rozlał jeszcze trochę wina, po czym zakrył płamę półmiskiem. Czekał.

Linuks coraz częściej widywał takie rysunki. Ten znak zaczął się pojawiać zaraz po tym, jak strażnicy świątynni zaczęli prześladowania. Skromny symbol, który z łatwością mógłby zostać pomyłony z czymś innym. Jedna zakrzywiona linia, potem druga odwrotna do niej, przecinały się tworząc zarys ryby.

Dla wierzącego wszystko było jasne. Znak ryby oznaczał ostatnią wieczerzę szabatową Mesjasza i Jego uczniów. Był to symbol pokoju i bezpieczeństwa, znak brata lub siostry w wierze.

– Jesteś odpowiedzią na moje modlitwy – powiedział cicho Linuks.

Oficer skinął głową i odpowiedział równie cicho:

– Podwórze przy stajni. Jutro o tej samej porze.

Linuks ledwie zdążył mrugnąć powiekami i mężczyzny już nie było.

*

Następnego dnia po południu Linuks pojawił się przy stajniach, gdzie sześciu mężczyzn podziwiała nowego ogiera. Koń, choć młody, wyjątkowo nadawał się do bitwy. Miał ogniste spojrzenie i stąpał niecierpliwie, gdy dosiadł go jeden z oficerów.

– Jestem Grattus – zwrócił się do Linuksa – a ten niedomyty chłopak, trzymający wodze twojego rumaka to Oktawiusz, moje osobiste utrapienie.

Dosiadający konia młody człowiek wyglądał pozornie na znudzonego arystokratę, lecz przeczyło temu srogie spojrzenie, a uścisk jego dłoni, gdy witał się z Linuksem, był twardy jak kamień.

– Mój dowódca zginąłby beze mnie i dobrze o tym wie.

– Linuks Aureliusz do twych usług.

– Jedziemy na północ patrolować drogę i być może zjeść obiad ze starym przyjacielem.

– Który się ciebie nie spodziewa – dodał młody żołnierz.

– Jest rzymskim setnikiem. W każdej chwili powinien spodziewać się gromady bandytów.

Grattus nie zawracał sobie głowy przedstawianiem reszty żołnierzy. Linuks wskoczył na swego dobrze odżywionego i wypoczętego konia. Wyjechali z garnizonu i udali się drogą wzdłuż brzegu. Minęli port i główny rynek, po czym wjechali na pierwszą linię wzgórz, gdzie się zatrzymali.

Grattus wskazywał różne miejsca, a jego młody przyjaciel lustrował wzrokiem drogę za nimi. Reszta żołnierzy podążała truchtem za trzema oficerami. Przed nimi leżały wioski rybackie: Dora, Bukolon i Sycaminium, gdzie góra Karmel opadała do morza. W blasku zachodzącego słońca wody Morza Śródziemnego skrzyły się barwami miedzi. Widać było płynącą na południe łódź rybacką, a jej żagiel wyglądał w tym świetle niczym

wypolerowana tarcza. Niebo wreszcie było bezchmurne i nie zanosiło się na burzę.

– Co powiesz, Oktawiuszu? – spytał Grattus.

– Nie widzę nic niepokojącego, panie.

– Dobrze.

Grattus dotknął piętami boków konia i poprowadził ich szlakiem w dół zbocza. Droga zakręcała wielokrotnie, aż doprowadziła ich do małej zatoczki, w której na kamienistym brzegu stało pół tuzina rzymskich willi. Grattus rozejrzał się, po czym gestem kazał jednemu z pieszych żołnierzy zastukać w bramę najbliższego domu. Czekając, Grattus odezwał się cicho:

– Zawiadomiliśmy kapitana straży, że przyjedziemy z tobą.

Bramę otworzył sługa, który najwyraźniej ich się spodziewał. Ukłonił się i gestem zaprosił ich do środka. Tu zjawili się kolejni służący, by zatroszczyć się o ich konie. W willi trzej oficerowie zostali powitani na sposób rzymski: podano im misy do obmycia rąk i świeże ręczniki. Piesi żołnierze usiedli na dworze, gdzie mieli czekać na oficerów. Ci zostali wprowadzeni na środkowe podwórze, gdzie przywitał ich gospodarz.

Grattus przedstawił starszego mężczyznę. Był to Korneliusz, starszy setnik gwardii z Italii, jednostki wyróżniającej się w Judei. Większość żołnierzy stacjonujących w Judei i Syrii została tu przydzielona z najdalszych regionów imperium, ale gwardia italska składała się z przedstawicieli rzymskich elit. W Judei rzadko było ich naraz więcej niż dwustu. Ich setnik rangą niewiele ustępował komendantowi Jerozolimy. Linuks, zanim trafił do osobistej straży Piłata, również służył w ich szeregach.

Po oficjalnym powitaniu z setnikiem, jego żoną i synami Linuks zrozumiał, dlaczego Grattus podczas podróży zachowywał tak wielką ostrożność.

Na podwórze weszła służba domowa, osobista straż setnika, potem piesi żołnierze, którzy towarzyszyli Grattusowi i jacyś Judejczycy, których Korneliusz przedstawił jako sąsiadów i przyjaciół. Ci ostatni ubrani byli w zwiewne szaty świadczące o silnych wpływach hellenistycznych.

Gdy wszyscy się zebrali i zapadła cisza, Grattus powiedział:

– Pozdrawiam was w imię Najwyższego Boga, Jego Syna Jezusa Chrystusa, i Ducha Świętego.

Wszyscy zebrani, mężczyźni i kobiety, oficerowie i prości żołnierze, panowie i słudzy, Rzymianie i Judejczycy, jednym głosem odrzekli:

– Amen.

– On zmartwychwstał!

– Zmartwychwstał prawdziwie! – odparli gromko.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Równiny Megiddo

Abigail zauważyła, że ich grupa, znacznie pomniejszona, skręciła w kierunku północno-zachodnim. Zgodnie z zapewnieniem złożonym Linuksowi, starszyzna wioski wysłała z grupą wierzących męską eskortę, której towarzyszyły kobiety, pragnące jeszcze słuchać nauk. Gdy Dorcas przypomniała sobie, że Linuks wyjechał, jej buzia wygięła się w podkówkę.

– Kiedy wróci wujek? – zapytała kolejny raz, kiedy przygotowywały się do drogi.

– Nie wiem, ale na pewno niedługo – odparła Abigail.

Dorcas jechała na osiołku, wtulając się w miękki koc ozdobiony motywem kwadratów, którego używała również do spania. Wiatr ustał, lecz i tak było zimno jak na tę porę roku. Choć był to środek dnia, Abigail była wdzięczna, że ma zimowy płaszcz. Po pewnym czasie słońce i marsz

wreszcie rozgrzały trochę wędrowców. Dorcas odwróciła się i popatrzyła na pustą drogę za sobą, po czym zaczęła się głośno zastanawiać, jak też Linuks zdoła je odnaleźć.

Środkową część Samarii porastała zielona, bujna roślinność. Drogę ocieniały gaje oliwne. Na stokach wznoszących się na północy pięły się winorośle, a pola ozimej pszenicy srebrzyły się i złociły w powiewach łagodnego wiatru. Tuż po południu, gdy zbliżali się do Ginaj, powietrze wypełnił zapach jesiennych owoców.

Tego popołudnia i przez cały wieczór Filip dalej przemawiał do dużej grupy osób. Abigail rozpoznawała twarze wielu kobiet; całe rodziny poszły z nimi w drogę, by móc uczestniczyć w jeszcze jednym spotkaniu. Większość pytań nie dotyczyła już tego, czy Jezus naprawdę jest Mesjaszem, ale tego, jak pogłębić wiarę, jak żyć, jak lepiej poznać Pana. Grupa wierzących, która podróżowała z Filipem, żyła z poczuciem sensu, które przekładało się na ich wieczorne modlitwy i wspólną pasję, by Bóg posługiwał się nimi według swej woli.

Większość rodzin, które wyruszyły z Jerozolimy, odłączyła się już w wioskach, przez które przechodzili, korzystając z gościnności przyjaciół lub krewnych. Ostatnie trzy rodziny znalazły teraz schronienie u jednej z miejscowych rodzin, która przeniosła się do frontowej izby, drugą pozostawiając kobietom, a mężczyznom udostępniając dach. Po wieczornej modlitwie Abigail ułożyła Dorcas do snu, po czym dołączyła do Marty i Albana, którzy siedzieli na zewnątrz przed drzwiami. Podobnie jak wiele budynków w Samarii, dom posiadał z przodu zadaszony ganek, który przy lepszej pogodzie służył jako dodatkowa, przewiewna izba. W jednym rogu na glinianej kuchence płonął ogień, dający nieco ciepła w tę chłodną noc.

Rozmawiali ze sobą jak przyjaciele, którzy bardzo dużo wiedzą o sobie nawzajem. Pogawędkę przeplatały długie chwile ciszy, gdyż wszyscy byli

zmęczeni po długiej podróży i wieczornym nauczaniu oraz po modlitwie o uzdrowienie. Nikt jednak się nie kwapił, by pożegnać się i udać na spoczynek. Rozmawiali o powszechnym duchowym głodzie, a potem o Linuksie i o tym, co go czeka w Cezarei. Alban zaproponował, by pomodlili się za przyjaciela. Gdy jeszcze raz skłonili głowy i zwrócili się do Boga, Abigail poczuła, że jej oczy napędniają się łzami, których nie rozumiała.

Zdrowie Albana się polepszało, co ucieszyło Martę.

– Widzę, że odzyskujesz w tej podróży zdrowie. To dziwne, bo przecież zachorowałaś też podczas podróży – rzekła.

– Dużo mi dały te dwie noce odpoczynku w Jerozolimie – odparł Alban z uśmiechem. – No i tempo, w jakim się poruszamy jest znacznie wolniejsze niż to, w którym pędzi karawana. Nie wspominając już o tym, jak o mnie tu dbają przyjaciele, i że nie mam żadnych obowiązków.

– Masz jedynie całkowicie wyzdrowieć – powiedziała stanowczo Marta.

– Kiedy wrócisz do Galilei? – spytała Abigail. – Lea na pewno strasznie tęskni.

– I twój synek – dodała Marta.

– Najpierw doprowadzę was do celu podróży – powiedział Alban. – Lea wie, że jej mąż jest dowódcą straży w karawanach. Nie lubi, kiedy musimy się rozstawać, tak samo zresztą jak ja, ale nauczyła się to akceptować jako konieczną część naszego życia.

Abigail z ulgą, starannie kryjąc zadowolenie, przyjęła fakt, że Alban jeszcze z nimi zostanie.

– A ty kiedy wrócisz do swojej rodziny? – zwróciła się z pytaniem do Marty.

– Kiedy Bóg mi powie, że mam wrócić.

– Ale oni...

– Nic im nie będzie, jestem tego pewna. Są bezpieczni, wśród przyjaciół. I też pełnią Bożą wolę – Marta wzięła Abigail za rękę. – Tak jak ja. Nie zostawię was samych.

Przez chwilę zapadła cisza, lecz nie było w niej nic niezręcznego. W końcu odezwał się Alban:

– Rozmyślałem nad tym, co pierwszego dnia powiedział mi Filip. O tym, że Samarytanie są przez religijnych Judejczyków postrzegani jako najgorsi z najgorszych, że w oczach wielu faryzeuszów ich pozycja jest nawet gorsza niż pogan czy rzymskich żołnierzy.

– A my jesteśmy tutaj – rzekła Marta. – Tak samo jak nasz Pan, kiedy chodził po ziemi.

– A ci ludzie przychodzą, aby słuchać o Jezusie – powiedziała Abigail.

– I to jeszcze jak – potwierdził Alban. – Ich pragnienie zbawienia jest taką radością. Dla mnie i dla naszego Pana.

*

Wyruszyli z Ginaj późnym rankiem. Po niebie szybko przemieszczały się chmury. Znów wydawało się, że na pożegnanie wychodzi im cała wioska. Filip ostatni raz przemówił do tłumu. Kładł ręce i modlił się za wielu, a potem ochrzcił jeszcze kilka osób. Gdy wyszli z wioski, poszła z nimi również Helzebe, kobieta z Sychar. Miała ona rodzinę w Nain, gdzie mieszkali kupcy z Megiddo. Postanowiła, że pójdzie tam z nimi i upewni się, że zostaną odpowiednio przyjęci w nowym domu.

Wzgórza Galilei podzielone były na dwie części. Pasma południowe oddzielało równiny samarytańskie od równin Megiddo, czy Armageddonu, jak mówili niektórzy. Wzgórza północno-wschodnie wiły się dokoła Tyberiady i wychodziły naprzeciw wzgórzom Golan. Pomiedzy nimi, około

dwudziestu rzymskich mil na zachód od rzeki Jordan, rozciągała się szeroka równina. W tym punkcie spotykały się wszystkie większe drogi łączące część północną i południową, z wyjątkiem rzymskiego traktu, który omijał Galileę od zachodu.

Tego dnia Alban trzymał się prosto w siodle, a jego twarz nabrała już normalnych kolorów. Również jego głos brzmiał znacznie mocniej, gdy objaśniał Abigail, jakie tereny są jeszcze przed nimi.

– Tu przed tobą jest być może najważniejsze połączenie dróg w całym wschodnim imperium – zsunął się z siodła, wskazując jedną drogę za drugą i wymieniając, dokąd prowadzą. – Trzy dni stąd na południowy zachód leży port Joppa, z którego droga wiedzie dalej do Egiptu. A ta droga na południe prowadzi do Jerozolimy. Wzdłuż szlaku na wschód leży Tyberiada, a za nią Damaszek i prowincja Syria. Ta droga, prowadząca na północ i zachód, prowadzi do Tyru, Sydonu i dalej do Tarsu.

Stali na niewielkim wzniesieniu, jakieś dwieście stóp nad równiną Megiddo. Abigail dostrzegła przed sobą trzy karawany, podążające różnymi drogami. Wiatr doniósł do nich z dala jakiś krzyk.

– Co to było? – spytała Abigail.

Alban uśmiechnął się.

– To kupcy zachwalający swoje towary. Twoi nowi sąsiedzi.

Chmury wisały nisko na niebie i sprawiały, że równina nabrała ciemnoszarych barw. Bujna zielona roślinność została za nimi, na południu. Przed nimi zaś drogi przecinały obszar wyglądający na ogromne pustkowie. W oddali wznosiło się samotne wzgórze. Stała na nim rzymska twierdza, przypominająca wykutego z kamienia drapieżnego ptaka. Pustynna równina, nad którą wiał wiatr, zdawała się ciągnąć bez końca.

Podeszły do nich Helzebe i Marta. Obie kobiety odkryły, że łączy je zdolność mówienia prosto z mostu i bezpośredni sposób wyrażania swego

zdania. Helzebe wskazała na wioskę położoną na stoku po lewej stronie.

– Oto twój nowy dom. Nain.

Wioska była jedynym miłym punktem w ponurym krajobrazie. Pobielone wapnem domy przypominały z daleka perły. Droga była miejscami stroma, a w wielu punktach z trudem dawało się przejść.

– Czy to jest bezpieczne? – zastanawiała się Abigail.

– Co, droga? – zaśmiała się Helzebe. – Bezpieczna, jeśli się ją przebyło sto razy.

Abigail poczuła, jak przez jej ciało przebiega dreszcz i objęła Dorcas ramieniem.

– Nain jest bodaj najbezpieczniejszą wioską w całej Judei – mówiła dalej Helzebe. – Prowadzi tu tylko ta jedna droga. Bandyci omijają ten region szerokim łukiem, wierz mi.

– Oto nasza bezpieczna przystań – powiedziała Marta z widocznym zadowoleniem.

Abigail chciała im przytaknąć, ale wiatr porwał jej słowa, zanim zdążyła je wypowiedzieć. Przytuliła się mocniej do córeczki, bardziej ze względu na siebie niż na nią.

*

Droga prowadząca do Nain sprawiła, że z wrażenia brakło im tchu. Zejście w dół, początkowo łagodne, stopniowo stawało się coraz bardziej strome. W pewnym momencie, gdy za ostrym zakrętem droga spadała w dół, część osłów się zaparła i nie chciała iść dalej. Alban zeskoczył ze zwierzęcia, na którym jechał i zawiązał mu na oczach szmatki, łagodnie przy tym do niego przemawiając.

– Te zwierzęta urodziły się i wychowały na równinach. Wkrótce przyzwyczajają się do wzgórz, a po kilku tygodniach bez problemu przewiożą

was tędy nawet w nocy.

Abigail właśnie chciała powiedzieć, że nie zamierza nigdy jechać tędy nocą, lecz uprzedziła ją Dorcas.

– Patrz, mamó! – wykrzyknęła. – Czy to są mrówki?

– Nie, kochanie, to wielbłądy.

– Małe wielbłądki?

Alban i Marta uśmiechnęli się do siebie.

– Duże wielbłądy – powiedział Alban. – Wyglądają na takie małe, bo jesteśmy bardzo wysoko.

Dorcas klaskała w rączki i skakała na grzbiecie osła.

– Drogi też są malutkie.

– Podoba ci się to, kochanie? – spytała Marta.

Dziewczynka machnęła rączką, by zakreślić jak największy okrąg.

– Teraz widzę *wszystko!*

Marta znów posłała uśmiech w stronę Abigail.

– Rzeczywiście, dużo stąd można zobaczyć.

– I ładnie pachnie – dodała Dorcas, marszcząc nos i szczerząc zęby w uśmiechu.

Filip stanął obok dziewczynki.

– To są perfumy północnej Samarii. Pustynna szaławia, eukaliptus, cedry i szczaw. Wszystko to rośnie dziko na tych zboczach.

Abigail patrzyła, jak jej córeczka oczarowuje całą grupę i rozmyślała nad dzielącą je różnicą. Ona stała się więźniem myśli ciemnych jak te chmury, ponurych jak te suche wzgórza w oddali i przestała dostrzegać piękno tego dnia, możliwości, które przed nią otwierał.

Pogładziła włosy córeczki i szepnęła:

– Dziękuję.

– Za co, mamó?

– Że jesteś moim słońcem, kochanie.

*

Wioska była znacznie większa niż się wydawało na pierwszy rzut oka, i znacznie ładniejsza niż Abigail mogła się spodziewać po mieścinie położonej na zboczu wzgórza, z dala od innych miast i wsi. Najwidoczniej przejeżdżające tędy karawany dzieliły nieco swego bogactwa z mieszkańcami Nain, gdyż wiele domów było świeżo otynkowanych, dachy świeżo pokryto strzechą, a drzwi i słupy narożne wykonane były z misternie rzeźbionego drewna oliwnego. Miasteczko rozłożyło się na płaskowyżu szerokim może na milę i długim pół mili. Stadka beczących owiec rozbiegały się w rozmaitych kierunkach. Winnice i zagajniki drzew owocowych sięgały aż po strome zbocza.

Otoczające Nain wzgórza tworzyły naturalne granice i w dużej mierze chroniły miejscowość przed wiatrem. Z miejsca, gdzie stali, płaskowyż nieco się obniżał, tworząc jakby naturalny amfiteatr.

Helzebe spotkała znajomego, który zaprowadził ich do domu należącego do jej rodziny. Gości poczęstowano lokalnym specjałem – wodą ze źródła z dodatkiem mięty oraz soku z granatu i cytryny. Wkrótce przed domem zebrał się tłum, zwabiony wieścią, że w miasteczku są uczniowie Jezusa.

Nowo przybyli zostali zaprowadzeni na rynek. Abigail z ciekawością przyglądała się otoczeniu, zastanawiając się, jak będzie się tutaj toczyło jej życie. Uświadomiła sobie, że będzie mieszkać i wychowywać dziecko w Samarii, dalekiej kuzynce judejskiej ojczyzny.

– Patrz. To oczy? – Dorcas wskazała na najbliższe domostwo.

– To znaki przeciw złym urokom – wyjaśniła Helzebe. – Tutejsi ludzie wierzą, że to odgania nieszczęścia.

– Słyszałem o takich praktykach – powiedział Filip pod nosem.

Helzebe dłuższą chwilę się wahała, po czym powiedziała:

– W tym mieście mieszka czarownik. Jest bardzo sławny, znany w całej Samarii. Ma na imię Szymon. Wątpię, by was radośnie przywitał.

Filip nie zdążył odpowiedzieć, gdyż weszli na rynek i zaraz podbiegła do niego jakaś kobieta.

– Błagam, pomożesz mi? – wołała.

– Jeśli tylko mogę, to...

– Chodzi o mojego męża. Już od wielu lat cierpi okropne bóle. Czarownik nie potrafił mu w żaden sposób pomóc.

– Gdzie jest twój mąż?

– O, tam, pod dachem go położyliśmy, mój dobry panie – szła obok Filipa, nerwowo zacierając ręce. – Nie możemy ci dać wiele, ale zapłacimy, ile tylko...

– Nie trzeba mi waszych pieniędzy – zapewnił ją Filip. – I nie jestem twoim dobrym panem, bo nikt nie jest prawdziwie dobry prócz Boga Najwyższego.

– Tak, panie – odparła skinąwszy głową, choć wydawała się nie pojmować jego słów. Zebrała w sobie na tyle odwagi, by pociągnąć Filipa za rękaw.

– Tam jest, panie.

Mężczyzna nakryty przepoconym kocem, leżał na przenośnym pościeliu zrobionym z przeplatanych ze sobą skórzanych pasów. Wyraz twarzy miał napięty, a oddech urywany i płytki z powodu bólu.

Filip dostrzegł, że z bocznej uliczki ktoś wychodzi i zmierza prosto ku nim. Długie włosy tego mężczyzny były nawoskowane i zaplecione tak, że spadały na jego lewe ramię, a na ich końcu wisiał srebrny dzwoneczek. Miał na sobie piękną szatę pokrytą dziwnymi symbolami; malowane symbole

widniały też na jego rękach i szyi. Gdy człowiek ów ujrzał, że Filip otwarcie mu się przygląda, podszedł jeszcze bliżej i uniósł głowę.

Filip odwrócił się do mężczyzny na posłaniu. Wszedł po schodkach na ganek, gdzie tamten leżał i ukląkł przy jego głowie.

– Nie mam nic, co mógłbym ci dać, oprócz tego, co zostało mi dane przez Pana, Boga naszego. Czy rozumiesz moje słowa?

Oddech mężczyzny stał się jeszcze cięższy, lecz zdołał odpowiedzieć.

– Tak.

– To powiedz mi, czego chcesz?

Wzrok mężczyzny skupił się na Filipie z intensywnością i desperacją.

– Chcę być wolny od tego bólu, co mnie zniewala... – wydusił z siebie, z trudem łapiąc powietrze.

– Dobrze powiedziane, mój bracie.

Abigail poczuła dotknięcie na ramieniu. Marta powiedziała do niej cicho:

– Chodźmy.

Podeszły do Filipa i stanęły obok niego. Dołączył też do nich Alban. Wszyscy pochylili głowy i zaczęli się modlić.

Abigail poczuła znajomy powiew Ducha; przyplływ sił, które wypełniły ją całą od środka, aż została owładnięta mocą Bożej miłości. Otworzyła oczy na głos Filipa.

– W imieniu naszego Pana Jezusa, zmartwychwstałego, nakazuję, bądź uzdrowiony!

Oczy mężczyzny rozszerzyły się, a jego oddech stał się tak cichy i spokojny, jak wyczekujący wokół nich tłum.

– Zniknął – wyszeptał. – Zniknął! – powtórzył głośnie.

– Wstań – powiedział Filip, wyciągnąwszy do niego rękę. Mężczyzna chwycił ją i wstał oniemiały, a jego żona, siedząca obok, szlochała z ulgą.

Tłum odsunął się, dając mu miejsce, by zszedł z ganku. Mężczyzna przeszedł w tę i z powrotem, patrząc na swoje ręce i nogi, po czym podniósł dłonie do nieba i wykrzyknął:

– Jestem uzdrowiony! Chwała Bogu!

Gdy Filip opuszczał plac, cała wioska ruszyła za nim. Na czele tanecznym krokiem, skacząc jak dziecko i śmiejąc się, sunął uzdrowiony mężczyzna. Nawet czarownik Szymon, którego kolorowa szata wyróżniała się w tłumie, poszedł z nimi, choć trzymał się nieco z tyłu.

Mrowie ludzkie przeszło przez pastwisko, na którym pasło się stado owiec, i zatrzymało się przy starych drzewach owocowych. Ich sękate pnie były powykręcane przez długie lata wzrostu. Pośród nich znajdowało się źródło, którego krystalicznie czyste wody wypływały z kamienistych stoków, zasilając strumień, zaopatrujący miasteczko w wodę.

Filip wszedł do strumienia i zaczął opowiadać o czymś, co dla Abigail wciąż pozostawało żywe i wyraziste: że woda jest znakiem przyjęcia zmartwychwstałego Mesjasza i przemiany zachodzącej w człowieku. Mówił, że ludzkie grzechy zostały zmyte krwią ukrzyżowanego Bożego Baranka, tak jak woda obmywa człowieka z zewnętrznego brudu, że przyjęcie tej prawdy symbolizuje życie wieczne z Bogiem. Filip zaprosił słuchaczy, by podchodzili pojedynczo i do każdego łagodnym tonem mówił te same słowa:

– Możesz zostać ochrzczony, jeśli wierzysz całym sercem i przyjmujesz Mesjasza.

– Wierzę, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym – odpowiadali po kolei podchodzący.

Nie wszyscy podeszli do przodu, lecz Szymon był wśród tych, którzy weszli do wody i powtórzyli te słowa. Gdy Filip go zanurzał, symbole

zdobiące jego szatę zabarwiły wodę. Oczy wszystkich z wyjątkiem Filipa zwróciły się w stronę ciemnej plamy płynącej w stronę miasteczka.

– Wstań – powiedział Filip, podnosząc czarownika z wody. – A teraz idź, twoje grzechy są odpuszczone. Żyj kochając swojego Pana i służąc Mu.

*

Mieszkańcy Nain poszli przygotować ucztę dla gości. Helzebe i jej krewna wprowadziły Abigail do domu podarowanego Albanowi przez wdzięcznego Jamala. Byli tam również Filip, Marta i Alban.

Widać było, że niewielki budynek nie jest zamieszkanym od dłuższego czasu. Wyglądał dokładnie tak, jak opisywał to dokument własności wystawiony przez Jamala. Frontowy ganek, zbudowany w sposób charakterystyczny dla samarytańskich wiosek, był prawie tak szeroki jak główna izba. Podłoga z desek została podniesiona tak, aby wewnątrz domu pozostało suche nawet podczas ulewnych deszczy. Skórzane zawiasy w drzwiach zostały zjedzone przez szczury, a wszystkie powierzchnie pokrywał obficie osad z sadzy i brudu. Ale dach wyglądał na solidny, a wewnątrz domu jasne dzięki oknom wychodzącym na wschód i południe. Na piętrze znajdowały się jeszcze dwa małe pokoiki.

Filip wspiął się po schodach na górę i wrócił po chwili, przebrawszy się w suchą szatę. W tym czasie Marta rozpałała ogień i zagotowała wodę na herbatę. Podała zmęczonemu nauczycielowi jeden z dwóch nieuszkodzonych kubków, które znaleźli, a drugi zaniosiła na ganek i wręczyła siedzącemu na ławce Albanowi. Kobiety pracowały w milczeniu, przerywanym tylko przez przyciszone głosy rozmawiających mężczyzn.

Kuzynka Helzebe wyszła, a po pewnym czasie wróciła z kilkoma innymi kobietami, z których każda niosła jakiś sprzęt kuchenny. Abigail była poruszona ich hojnością. Uważała, że nie może przyjąć tych rzeczy,

których przecież one same na pewno potrzebowały, jednak Marta powiedziała jej po cichu:

– One chcą cię powitać w nowym domu. Poza tym chcą też wynagrodzić Filipowi jego usługę. Wyjaśniłam im już, że on nie przyjmie pieniędzy, dlatego składają podarki tobie, nowej sąsiadce.

Abigail powoli skinęła głową, a jej oczy napełniły się łzami.

Teraz sprzątanie poszło o wiele szybciej. Trzej mężczyźni przynieśli pojemnik z wapnem, omietli ściany w każdym pokoju, po czym je wybielili. Dwóch innych zabrało się do wstawiania nowych zawiasów do drzwi. Dorcas wbiegała i wybiegała z domu ze szmatką do czyszczenia w jednej ręczce i lalką w drugiej. Jej pełne podniecenia szczebiotanie słychać było w całym domu.

Nim słońce zaszło, dom wyglądał jak nowy, a w każdym pokoju stał przynajmniej jeden mebel. W piecu z kamiennym otworem huczał ogień. W domu zaczynało się robić przytulnie.

Wieczerną wierzącą zjedli wspólnie na głównym rynku, bo żaden dom nie był wystarczająco duży, by wszystkich pomieścić. Chmury już przeszły, a góry ochraniające miasteczko przed chłodnym wiatrem rzucały wysokie cienie. Filip znów zaczął nauczać, a potem poprowadził modlitwę. Abigail ogarniało stopniowo coraz większe poczucie pokoju. Dorcas smacznie spała na jej kolanach.

Kuzynka Helzebe odprowadziła je do domu, oświecając drogę pochodnią. Podekscytowanie i praca sprawiły, że obie kobiety były już bardzo zmęczone. Abigail, trzymając na rękach śpiącą Dorcas, starała się podziękować wszystkim za pomoc i troskę. Alban i Filip położyli się w głównej izbie przy kominku. Abigail zaniósła córeczkę na górę do jednego z pokoi, a Marta zajęła drugi.

Mimo zmęczenia, którego dawno nie pamiętała, Abigail nie mogła spać i była pełna energii. Postawiła przy oknie jedyny mebel, stołek o trzech nogach, i usiadła.

W świetle gwiazd dojrzała zarys zarośniętego ogrodu, okolonego kamiennym murkiem. Dalej stały cztery inne domy z płaskimi dachami. *Mój dom...* W ciszy zastanawiała się nad tymi słowami.

– Dziękuję ci, Boże, za ten dar – szepnęła.

Obejrzała się przez ramię na swoje dziecko śpiące w rogu pokoju. *Taka jestem wdzięczna, że mamy dom i sąsiadów, którzy się troszczą...*

Lecz gdzieś z głębi serca wydobyło się również westchnienie. Abigail starała się poukładać sobie w głowie te różne uczucia, które nią targaly. Była wdzięczna, a jednocześnie niepewna co do przyszłości, która jawiła się przed nią niczym droga bez celu.

Pochyliła się do przodu i skrzyżowała ręce na krawędzi okna. W domach usytuowanych wzdłuż doliny paliły się ogniska, a nad głową Abigail rozpościerało się srebrne morze gwiazd. To musi być to miejsce, chroniące przed wszelkimi niebezpieczeństwami, których tak się bała w Jerozolimie...

Jeśli tylko znów będę mogła odnaleźć radość... Jeśli tylko znajdę tu swoje miejsce, aby dawać, aby służyć...

Siedziała tak, opierając podbródek na dłoni i patrzyła w ciemność, aż jej umysł zaczął się wyciszać. Wreszcie wsunęła się pod koc obok Dorcas. Wokół niej zdawały się przepływać dziwne odgłosy i ciche szepty. Jej córeczka zamruczała coś przez sen i przytuliła się mocniej. Ciepło i zapach dziewczynki stopniowo ukończyły Abigail. W końcu zasnęła.

Nie miała pojęcia, jak długo spała, nim pojawił się ten sen. We śnie Abigail usłyszała głos sprzed wielu lat – jej ukochany mąż szeptał jej imię.

We śnie otworzyła oczy i ujrzała Szczepana leżącego po drugiej stronie Dorcas, przy czym dziewczynka nie tyle oddzielała ich od siebie, co łączyła w jedno. Obecność tego małego ciała była żywym świadectwem ich miłości i jedności.

Abigail chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. I w pewnym sensie nawet się z tego cieszyła. W tej ciszy ich duchowa wspólnota doznała wzmocnienia.

Szczepana otaczała nikła poświata, która świeciła na tyle jasno, by Abigail mogła go wyraźnie widzieć. Był dokładnie taki, jakiego zapamiętała, a jednak zupełnie odmieniony. Zniknęło zmęczenie i stres, które towarzyszyły mu podczas ich ostatnich wspólnych dni. Patrzył na nią z taką intensywnością, że czuła, jakby płynęła w nicość, pozostawiając siebie całkowicie odsłoniętą, całkowicie otwartą na przyjmowanie jego miłości.

Obudził ją odgłos jej własnego szlochu. Dorcas kwiliła przez sen, z pewnością rozbudzona przez płacz matki. Abigail okryła dziecko ciaśniej kocem i po cichu wstała z posłania. Gdy Dorcas była jeszcze niemowlęciem, sny o Szczepanie nawiedzały Abigail dość regularnie. Gdy sny stopniowo zaczęły ustawać, a potem zupełnie się skończyły, ulżyło jej, ale jednocześnie poczuła się osamotniona.

Owinęła szal wokół głowy i ramion, po czym wyszła z pokoju. Poczowała na sobie czyjś wzrok, lecz kiedy spojrzała do drugiego pokoju, ujrzała Martę pogrążoną we śnie.

Abigail sądziła, że najgorszy okres żałoby ma już za sobą. Tak myślała, gdy po cichu schodziła po zewnętrznych schodach. To nocne doświadczenie zupełnie ją zaskoczyło i pozostawiło po sobie uczucie smutku, ale też bezsilności. Znowu poczuła się, jakby Szczepan dopiero co zmarł.

Podeszła do frontowych drzwi czując, jak jej serce szłocha po cichu, cierpiąc straszną udrękę. Co mogła z tym zrobić?

Łzy przesłoniły jej widok, kiedy wchodziła na ganek. Zatrzymała się i odwróciła, gdyż bardziej poczuła niż zobaczyła jakąś poświatę.

Zamrugła oczami. I wtedy zobaczyła Filipa.

Uczeń Jezusa klęczał na ziemi, na drodze, gdzie alejka prowadząca do miasteczka otwierała się, tworząc szerszą przestrzeń u podnóża góry. Noc wypełniała niezemska jasność, na tyle intensywna, że najbliższe domy nabrały koloru migoczącego srebra. Lecz samo światło było niczym w porównaniu z uczuciami przepelniającymi serce Abigail. Cisza kryła w sobie tyle samo mocy co światło, była siłą, na którą zwróciła uwagę. Nie było w niej miejsca na nic poza przelotnym spojrzeniem w wieczność, takim, które zabierało wszelki strach, niepewność, a nawet smutek wywołany snem.

Abigail padła na kolana. Nie widziała nic poza Filipem, który leżał rozciągnięty na ziemi... i poza światłem. Jakikolwiek kryło się w tym przesłanie, i ktokolwiek był jego głoscielem, jej serce wypełniła moc, miłość i nadzieja, wlewając do jej umysłu nieme zapewnienie, że wszystko będzie dobrze.

Światło dawno przygasło, a Abigail wciąż klęczała. Kamyki wbijały jej się w kolana, plecy ją bolały, lecz widziała w tym potwierdzenie, że doświadczyła cudu... i że żyje. Niewygodna pozycja ciała łączyła ją ze światem. Przypominała, że ona jest tu w konkretnym celu. Abigail cieszyła się z bólu i dyskomfortu, i modliła się dalej.

Usłyszała kroki i podniosła głowę. Filip zmierzał ku niej. Abigail powoli wstała.

Twarz Filipa nosiła jeszcze ślad światła, które widziała na rynku.

– Zostałem wezwany na południe – oznajmił jej. – Na drogę między Jerozolimą i Gazą. Muszę wyruszać natychmiast.

Abigail spojrzała na wschód. Niewyraźna poświata zapowiadała początek nowego dnia. Skinęła głową w zrozumieniu.

Poszła za Filipem do domu, żeby rozpalić ogień, po czym weszła na górę, by obudzić Martę.

Wiedziała, że już i tak nie zaśnie.



ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Równiny Megiddo

Po szybkim śniadaniu wyszli z domu. Zabrali trzy osły: dla Filipa, Dorcas i Albana, gdyby ten za bardzo się zmęczył w drodze powrotnej. Wreszcie było widać poranną zorzę, pogoda była bezwietrzna. Gdy krętą drogą dotarli do dna doliny, ciepło budzącego się dnia oraz marsz rozgrzał ich na tyle, że pozdejmowali zimowe płaszcze i położyli je na grzbiecie osła.

Wszyscy czuli się przytłoczeni wydarzeniami, które miały miejsce poprzedniego wieczora. Tylko Dorcas niezmiennie nuciła pod nosem, klepiąc osła po karku w rytm melodii i wskazując na różne rzeczy, które ją interesowały po drodze. Abigail nikomu nie powiedziała o swoim śnie, bo nie miała pojęcia, co oznaczał, ani czy był czymś więcej, niż tylko reakcją organizmu na fizyczne i psychiczne wyczerpanie. Spotkanie Filipa z Niewidzialnym było rzeczą zupełnie inną. Abigail opisała innym

wszystko, co widziała, choć wciąż miała wrażenie, że była świadkiem czegoś zupełnie nie z tej ziemi.

Gdy droga w końcu zrobiła się płaska, a połączenie dróg na południu było już widoczne przed nimi, Alban powiedział:

– Tak wiele chciałbym powiedzieć, zapytać. Ale...

– Ja też – zgodziła się Marta, gdy Alban zawiesił głos.

Abigail poczuła ogromną ulgę na myśl, że czują to samo co ona.

– Czuję się, jakbym miał wiele myśli i wrażeń, które są we mnie uwięzione – ciągnął Alban.

Filip zatrzymał się i odwrócił do nich, a jego twarz wciąż nosiła ślad nieziemskiego światła.

– Zostałem ubogacony przez twoje nauki, Filipie – powiedział Alban.

– Czuję, że spędzone z tobą dni były dla mnie darem. Jednak...

Filip nic nie mówił, słuchał z uwagą.

Alban zaczął jeszcze raz:

– Jednak czuję, że wcale nie znam cię lepiej, niż gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy. Wybacz, nie chciałem cię urazić.

Filip skinął głową, jakby spodziewał się tych słów. Swoim zwyczajem nie spieszył się z odpowiedzią. W końcu rzekł:

– Ci z nas, którzy zostali powołani, by szerzyć Ewangelię naszego Pana, są bardzo różnymi ludźmi. Każdy z nas ma inne dary i mocne strony. Któż zaprzeczy, że nie mam na pierwszy rzut oka nic wspólnego z Piotrem, poza naszą miłością do Boga? Jednak nakaz dany nam przez Chrystusa, zanim wrócił do swego Ojca, jest identyczny dla nas obu.

Abigail nie chciała zabierać głosu. Ale milczenie Filipa sugerowało, że czeka, aż jedno z nich coś odpowie. Zaczęła więc powoli, z lekkim wahaniem:

– Idźcie na cały świat i głóście Ewangelię...

Marta przytaknęła powoli.

– Stoimy przed wyzwaniem, by robić to tak, żeby nie stawać Ewangelii na drodze.

– On musi wzrastać, a ja stawać się mniejszym – dodał Alban.

Uśmiech Filipa sprawił, że poświata wokół niego rozbłysła mocniej.

– Dokładnie tak. Jak mam żyć, aby ktoś, kto mnie ujrzy, zobaczył Jezusa? Kiedy mówię, czy ludzie słyszą prawdy, które głosił Mesjasz? Jak mam żyć, by żadna moc, która ze mnie wychodzi, w widoczny dla innych sposób nie pochodziła ode mnie? Ani władza, ani korona, ani chwała? Wszystko to należy do Niego. Ja jestem chętnym do pracy, kochającym sługą, daję Mu swoje ręce, nogi, głos, oczy i uszy, aby Duch Święty mógł ich używać.

– Jest to wyzwanie, któremu wszyscy powinniśmy starać się sprostać – powiedział Alban powoli. – I znów twoje słowa są dla mnie błogosławieństwem.

Wzięli się za ręce i modlili się: czworo dorosłych i mała Dorcas. Modlili się o bezpieczeństwo dla Filipa, powierzali Bogu nieznaną powód, dla których miał wyruszyć na południe. Modlili się też za siebie nawzajem, za dni, które były przed nimi, za wspólnotę wierzących rosnącą tu, w Nain, jak również za serca ludzi, którzy przyjęli Jezusa podczas ich podróży. Modlitwa była długa i połączyła ich tak mocno, że Abigail znowu poczuła w sobie wzrastającą moc podobną do tej, której doświadczyła wskutek snu o Szczepanie. A gdy skończyli się modlić, poczuła również spokój na tyle silny, by wyprawić Filipa w dalszą drogę z radością w sercu. Zwróciła się do reszty:

– A teraz chodźmy zobaczyć, gdzie ja mam pracować i służyć.

Dotarli do rynku w Megiddo, odświeżeni i gotowi na kolejny dzień. Rynek, okolony domami zbudowanymi z kamiennych bloków, mieścił się na przecięciu pięciu głównych rzymskich dróg. Niektóre rodziny mieszkały nad swoimi sklepikami, lecz Abigail rozumiała, dlaczego większość wolała osiedlić się w Nain. Miasteczko u zbrocza góry było chronione przed wiatrem i rozciągały się zeń piękne widoki, natomiast ogromne równiny Megiddo, otoczone z dwóch stron przez wzgórza Galilei, spowijał wszechobecny kurz.

– Wrogiem człowieka jest tutaj wiatr – wyjaśnił Alban. – A wieje on prawie cały czas.

– I upały – zawołał głos ze sklepiku, obok którego przechodzili. – Cieszcie się chłodem zimy, póki możecie. Co roku przez pięć miesięcy ta ziemia, na której stoicie, to kowadło, słońce zaś jest młotem.

Mężczyzna, który wyłonił się ze sklepiku, zdawał się być workiem skóry naciągniętym na szkielet. Wysoki jak Alban, z pewnością nie ważył nawet połowy tego, co były setnik. Tradycyjne samarytańskie szaty równie dobrze mogłyby wisieć na uschlłym drzewie, lecz jego uśmiech był przyjazny, a oczy bystre.

– Przyszłście przejąć stragan Jamala?

– Tak – powiedział Alban. – Mam na imię Alban. Jamal podarował mi ten stragan, jak również dom w Nain. Chcę go powierzyć mojej przyjaciółce Abigail – wyjaśnił, wskazując na młodą kobietę.

– Wczoraj patrzyłem, jak wasz towarzysz staje nad moim przyjacielem i modli się o jego uzdrowienie – powiedział mężczyzna. – Widziałem, jak wstaje, tańczy i wykrzykuje. Poprzedniej nocy, nim przybyliście, poszedłem z żoną pożegnać się z nim, bo był już umierający. Ja i on dorastaliśmy razem – to mówiąc, wyciągnął do Albana spracowaną dłoń. – Jestem Yelban. Służę

jako jeden ze starszych w Nain, a także tu, na rynku. A ty chyba już kiedyś tędy przechodziłeś.

– Wiele razy. Jestem głównym strażnikiem karawan Jamala.

– Tak mi się wydawało, że znam twoją twarz. Rodzina, która dogląda tamtych owiec z pierwszej zagrody, wskazała mi ciebie. Twierdzą, że jesteś człowiekiem szczerym i uczciwym w swych słowach oraz czynach. Mówią, że Jamal ma szczęście, że u niego pracujesz.

– Czuję się zaszczycony, że tak o mnie mówią.

– To znacznie lepsza opinia niż to, co powiedzieliby o łajdakach, którzy ostatnio zajmowali się jego straganem.

– Jamal podejrzewał, że go okradają.

– Tak było. I nie tylko jego. Okradali wszystkich. Pokleпали cię po plecach i od razu szukałeś sakiewki – Yelban skierował ich na lewo. – Chodźcie. Pokażę wam, co zostało z waszego interesu.

Sklepek było bardzo korzystnie położony – w miejscu, gdzie schodziły się wszystkie drogi. Z jednej strony widać było tradycyjny front, z długim daszkiem nad wejściem i oświetlonymi słońcem półkami, na których można było rozłożyć towary. Patrzący od tyłu widział małą, dwupoziomową, kamienną twierdzę. Tylna izba była niepodzielona, rozległa, bez okien. Poprzedni mieszkańcy, gdy się wyprowadzali, zabrali ze sobą drabinę na dach, cały towar i wszystko, co dali radę zmieścić na wóz.

Abigail, Dorcas, Marta i Alban wspięli się na dach po drabinie pożyczonej z sąsiedniego straganu. Tam zobaczyli, że jest on ogrodzony kamiennym murkiem sięgającym do klatki piersiowej. Dorcas podbiegła do murku i poprosiła, by ktoś ją podsadził, żeby mogła wyrzeć.

Yelban wskazał im zbliżającą się z północy karawanę.

– Straganiarze zawsze wiedzą, kiedy nadciąga karawana – rzekł.

Alban uśmiechnął się.

– Słyszałem, że wiatr im to mówi.

– Często słyszymy to od współników w interesach z innymi karawan – kupiec uśmiechnął się szeroko i wesoło. – Czasem możecie spać tu na dachu. Dolna izba jest waszym schronem i twierdzą. Trzymajcie tam zapasy na pięć dni, bo jeśli podniesie się wiatr, nie będziecie mogli się stąd ruszyć. Wiecie, co to jest *khamsin*?

– Wiatr pustyński – powiedział Alban. – Udręka wszystkich karawan. Na równi z bandytami.

– Góry działają jak ogromny lej, tak że centrum każdej burzy przechodzi dokładnie przez tę równinę. Albo tak się człowiekowi wydaje, gdy ten wiatr uderza.

– Jamal mówił, że na tym straganie mają być sprzedawane wyroby tkackie z Samarii – powiedział Alban.

– Dywany, gobeliny, tkaniny, szaty, namioty – wyliczał Yelban. – Prawie każda kobieta w miasteczku zajmuje się tkactwem. Inne przędą wełnę albo farbują tkaniny na różne kolory. Tkaniny samarytańskie są znane w całym imperium.

Marta rozejrzała się po pustych półkach, po czym wzniosła ręce na wysokość ramion.

– Ale tu nie ma co sprzedawać.

– Jeśli mieszkańcy Nain wam zaufają, dadzą wam towar i poczekają na zapłatę, aż go sprzedacie – mężczyzna żywo kiwnął głową. – To dotyczy również mnie – wzruszył ramionami. – Dostaję niewielki procent z zysków od każdego straganiarza, by opłacić strażników i utrzymać zagrody.

Abigail zadrzała na myśl o tym, ile jeszcze nie wie, ani nie rozumie w całym tym przedsięwzięciu.

– Będę bardzo wdzięczna za każdą twoją mądrą radę i pomoc.

– Już zaskarbiliście sobie przyjaciół w Nain, bo człowiek, którego uzdrowiliście był przede mną naczelnikiem miasteczka – chwycił drabinę i zaczął schodzić, ale zatrzymał się jeszcze na moment. – Czy macie ten sam dar uzdrawiania, co Filip?

Marta odpowiedziała za wszystkich:

– Możemy położyć ręce na ludzi w potrzebie i modlić się, tak jak zrobił to Filip. Cała reszta jest w rękach Boga.

– I nie bierzecie zapłaty?

– Jak możemy prosić o pieniądze za coś, co nie jest naszą własnością?

– Czarownikowi się nie spodoba to, co mówicie – Yelban uśmiechnął się i zniknął za murkiem. Jego ostatnie słowa dotarły do nich, gdy już zniknął z ich oczu. – Gwarantuję, że będziecie wzbudzać zaufanie, dokądkolwiek się udacie.

*

Abigail oddała się zajęciom, które znała i rozumiała. Stragan, zaplecze i izba mieszkalna wymagały solidnego wysprzątania. Zamiotła podłogi słomianą miotłą, którą poprzedni mieszkańcy przeoczyli albo uznali za bezwartościową. Alban i Marta poszli z Dorcas do publicznej studni i wrócili z dwoma skórzanymi wiadrami wypełnionymi po brzegi wodą. Pożyczyli też od sąsiadów i przynieśli szmatki oraz prowizoryczne narzędzie do mycia podłogi. Dowiedzieli się przy okazji, że cały rynek nie mówi o niczym innym, tylko o ich przybyciu.

– Jeden ze straganiarzy chciał przejąć to miejsce – dodał Alban – ale Yelban na to nie pozwolił.

– To człowiek honorowy i jest po naszej stronie – odparła Marta.

– A ty nie powinienesz odpoczywać po tym wszystkim, co dziś zrobiłeś?

– Abigail zagadnęła Albana.

– Prawdę powiedziawszy, czuję się, jakby wczorajsze modlitwy Filipa były przeznaczone tak samo dla mnie, jak i dla tego mężczyzny na łożu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułem się lepiej niż dziś – zapewnił.

– Nie przystoi, żebyś szorował podłogi jak jakaś służąca – wymamrotała Marta.

Alban się zaśmiał.

– Mówisz to do człowieka, który obowiązki żołnierza zaczynał od czyszczenia stajni – zamoczył szmatę w kubie, po czym stanął i rozejrzał się, patrząc na wszystkich. – Przecież sam nasz Pan umył i osuszył ubrudzone pyłem nogi uczniów. Ja też chcę mieć taką postawę sługi – to powiedziawszy, wyszorował kawałek podłogi.

– Powiniennem niedługo wyruszać do Kafarnaum – dodał po chwili.

Abigail spodziewała się tych słów i trochę obawiała się je usłyszeć. Zobaczyła, że usta jej córki wyginają się w podkówkę i szybko przykucnęła przy niej, by uprzedzić protest. Przytuliła Dorcas i powiedziała do Albana:

– Twój synek musi bardzo za tobą tęsknić. I twoja żona również. Prawda, Dorcas?

Dziewczynka nie odpowiedziała, ale zdołała jakoś skinąć lekko główką.

Alban wypłukał szmatę, po czym zabrał się za przecieranie frontowej ściany.

– Jeszcze nie wyjeżdżam, kochani. Lea na pewno chciałaby, żebym dopilnował, by tkacze potraktowali was uczciwie.

– Będziemy wdzięczne za każdą godzinę razem z tobą, a potem pożegnamy cię z wdzięcznymi sercami – Abigail jeszcze raz przytuliła córeczkę. – Prawda, skarbie?

Dorcas już chciała coś odpowiedzieć, ale w drzwiach pojawił się właśnie jakiś chłopak. Wpadł tak nagle, że Marta krzyknęła zaskoczona.

Chłopak mógł mieć dziesięć, może jedenaście lat i był chudy jak patyk.

– Jestem synem Yelbana – wysapał. – Moja mama dostała ataku. Tata kazał przekazać: „Na miłość Tego, który kieruje waszymi krokami, pospieszcie się”.

Gdy wybiegali z pustego sklepiku, na północnym horyzoncie pojawiła się karawana.

– Fenicjanie – rzucił chłopak przez ramię, podążając przed nimi. – Bandyci na wielbłądach. Targują się godzinami, a pieniądze wydają, jakby to była ich własna krew. Tędy.

Wskazał im drogę przez plac, teraz pełen gwaru. Młodzi wybiegali właśnie, zmierzając ku nadjeżdżającej karawanie, wielu z nich z towarami przewieszonymi przez ramiona. Właściciele straganów krzatali się, układając i polerując towary, nawołując z gorączkową niecierpliwością. Chłopak podbiegł do największego straganu. Abigail pomyślała, że przysłonięty daszkiem frontowy ganek straganu jest tak szeroki, jak ganek jej nowego domu w Nain. Słudzy uwijali się nakrywając stoliki, stawiając na nich świeże karafki i sztucce, podczas gdy dwie kobiety zaczęły piec całą owcę nad otwartym, kamiennym piecem. Chłopak poprowadził ich przez gospodę do tylnej izby, gdzie znaleźli Yelbana klęczącego nad posłaniem.

– Przyszli, ojcze.

– Jestem waszym dłużnikiem – powiedział Yelban nie podnosząc głowy.

– Nie masz wobec nas żadnego długu – powiedziała Abigail, pochylając się nad kobietą, która leżała zupełnie nieruchomo, z bladą twarzą. – Nie chcemy nic, tylko służyć Panu.

Alban i Marta skinęli głowami i zapewnili, że będą się modlić przy straganie.

Abigail skinęła na znak przyzwolenia i postawiła Dorcas na podłodze obok siebie.

– Bądź grzeczna i stój tu, a mama porozmawia z przyjacielem.

Oczy Dorcas były szeroko otwarte i poważne.

– Sprawisz, że ona nie będzie chora?

– Być może, z Bożą pomocą – Abigail uklękła obok Yelbana. – Co się stało?

– Moja żona często ma napady bólu w okolicy czoła i skroni. W jednej chwili jest normalnie, a w drugiej tak jak teraz widzisz – Yelban zamoczył szmatkę w misce, wycisnął, po czym delikatnie położył na czole kobiety. Jego głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu:

– W czasie tych ataków wszystko sprawia jej ból. Wszelkie odgłosy, światło, ruch. Czasem ból trzyma ją tak przez kilka dni.

Kobieta leżała zupełnie nieruchomo, jak gdyby bała się nawet wziąć normalny oddech, który mógłby wzmóc ból. Jej czoło pokryte było głębokimi zmarszczkami, usta zwarte w cienką linię, powieki mocno zaciśnięte.

– Jak ma na imię? – spytała Abigail.

– Jasmina.

– Mogę się za nią pomodlić?

– Błagam cię, zrób to, i cokolwiek innego, co mogłoby pomóc.

W tym momencie do izby wbiegł syn Yelbana i kucnął z drugiej strony przy ojcu.

– Przyszli Fenicjanie – szepnął.

Mężczyzna najwyraźniej nie chciał odchodzić od żony. Spojrzał z udręką w oczach na Abigail.

– Jako starszy muszę mówić w imieniu wszystkich kupców. Trzeba sprzedać owce, a zagrody...

– Musisz iść, proszę – powiedziała Abigail podnosząc szmatkę z czoła jego żony, by ją znów zwilżyć. – Ja z nią zostanę.

Yelban delikatnie pogładził żonę po policzku.

– Zdrowiej, moja kochana. Wrócę jak tylko będę mógł.

Hałas na zewnątrz był okropny, jednak w zacienionym pokoju panowała cisza.

– Jasmino, słyszysz mnie? – szepnęła Abigail.

Jedynym dźwiękiem, na który pozwoliła sobie leżąca na pościeli kobieta był cichy jęk. Była tak samo chuda jak jej mąż. Pomimo strasznego bólu widać było, że jest wyjątkowo atrakcyjną kobietą o pięknych rysach i błyszczących ciemnych włosach.

Abigail odłożyła szmatkę na bok. Położyła dłoń na ramieniu kobiety, a drugą na czole. Jej modlitwa była prostą prośbą do Boga, by czynił swoją wolę w tym domu. Hałas na zewnątrz powoli cichł. Abigail poczuła, jak małe ciało wtula się w jej bok. Już chciała powiedzieć córeczce, żeby wróciła na miejsce w rogu pokoju, ale poczuła, że w tym momencie jest to coś właściwego. Miała silne wrażenie, że otaczają ją niewidzialni aniołowie. Objęła dziewczynkę ramieniem.

Abigail nie wiedziała, jak długo tak klęczała i modliła się przy chorej kobiecie, z Dorcas u boku. Wreszcie w pewnym momencie wstała – nie sama, lecz raczej pociągnięta przez tę samą siłę, którą poczuła, gdy widziała modlącego się Filipa.

Przemówiła głosem, który ledwie rozpoznała jako własny:

– W imieniu naszego Pana Jezusa Chrystusa, Jasmino, bądź uzdrowiona! Bądź uzdrowiona i wstań!



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Równiny Megiddo

Jakub obudził się nagle. Usiadł na pościeli i nasłuchiwał czujnie. Obóz był pogrążony w ciszy i ciemności, którą zaczynały już jednak rozpraszać pierwsze promyki świtu nad wschodnimi wzgórzami. Jakub wstał i rozejrzał się wokół wozu, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Kobiety spały za zasłonami, strażnicy na warcie przechadzali się spokojnie, lecz czujnie. Mimo to coś go niepokoiło, był tego pewien.

Posuwali się na zachód znacznie wolniej niż planowali, gdyż ku zaskoczeniu poganiaczy przedwcześnie ociełiła się jedna z wielbłądzic, rodząc bliźnięta. Maleństwa były blade niczym pustynny wschód słońca, z dużymi ciemnymi oczami. Nikt oprócz Jakuba nie miał nic przeciwko temu, by zatrzymać się na cały dzień i noc, żeby wielbłądzica doszła do siebie. Wyruszyli dzień później, z cielątkami przywiązanymi na grzbiecie

wielbłąda krocącego tuż przed ich matką. Ich zawodzące krzyki i ryczenie matki wywoływały w karawanie chóralny śmiech. Podróżując niespiesznie, zatrzymali się w połowie dnia, aby dostarczyć zapasy dla mijanego rzymskiego posterunku. Nic dziwnego, że dotarli do granic Megiddo późno, tuż przed nastaniem zmroku.

Jakub napił się z bukłaka zawieszzonego w tyle wozu i wpatrywał się w spowijającą wszystko ciemność. Mimo ciszy trawiący go niepokój tylko się wzmógł.

– Też to czujesz? – usłyszał cichy głos.

Jakub odwrócił się i ujrzał mistrza karawany, przyglądającego mu się bacznie. Był to krzepki mężczyzna, z wąsami podkreconymi przy policzkach i wchodzącymi w brodę, co nadawało mu srogi wygląd, zwłaszcza teraz, gdy jedynym światłem była blada poświata kwarty księżyca.

Jakub właśnie miał odpowiedzieć, że nie wie, dlaczego odczuwa taki niepokój, gdy nagle to usłyszeli. W oddali zagrzmiało.

Włosy na karku stanęły Jakubowi dęba.

– Jak daleko to było twoim zdaniem? – odezwał się mistrz karawany.

– Nie dojdzie tu przed południem – odparł Jakub. – Jest tak daleko, że może w ogóle nas ominie.

– To dziwne, że sługa dwóch bogatych kobiet zna się na pustynnych burzach – powiedział znacząco mistrz karawany.

– Jestem lojalny wobec Jamala – odpowiedział szybko Jakub. – A Jamal jest twoim zaufanym partnerem w interesach. I tyle powinieneś wiedzieć.

– Dobrze powiedziane – mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. – To co byś teraz zrobił, obeznany z pustynią sługo?

– Stoimy w leju, gdzie wzgórze Tyberiady stykają się z początkiem równin Megiddo – powiedział powoli Jakub. – Musimy stąd iść i szukać schronienia w jakimś miasteczku. Chyba że przyjmą nas Rzymianie.

– Najbliższe dwa garnizony są ponad pół dnia drogi stąd. I żaden nie jest wystarczająco duży, by nas wszystkich pomieścić, nawet gdyby chcieli. A zechcieliby na pewno, ale za łapówkę w wysokości mojego wynagrodzenia za tę podróż – mistrz karawany podniósł dwa palce do ust i zagwizdał na alarm. – Niech twoje panie przygotują się do drogi nim obudzimy zwierzęta i zapakujemy na nie rzeczy, albo was zostawimy.

– Już jesteśmy gotowe – dobiegł ich głos z wozu.

Mężczyzna znów szeroko się uśmiechnął.

– Po kimś pochodzącym z domu Jamala mogłem się tego spodziewać.

Gdy odszedł, Julia odchyliła zasłonę i spytała:

– Co się stało, Jakubie?

– *Khamsin*, pani. Burza pustynna. Jest jeszcze wiele godzin stąd. Być może w ogóle nas ominie. Ale na wypadek, gdyby szła w naszą stronę, musimy znaleźć schronienie.

– Pospieszmy się.

Jakub przywiązywał konia do wozu, gdy Julia zeszła do niego.

– Jak mogę pomóc?

– Pani, to nie przystoi.

Machnęła ręką, nie chcąc tego słuchać.

– Wszyscy są zbyt zajęci, by to zauważyć. Potrzebujesz pomocy. A wiesz, że umiem się obchodzić ze zwierzętami.

Choć nie chciał przypominać ich pierwszego, niezręcznego spotkania, tak naprawdę ucieszył się z propozycji Julii. Dodatkowa para rąk to było coś.

– Konie potrzebują więcej paszy na wypadek, gdybyśmy przez dłuższy czas nie mogli się zatrzymać. Worek z owsem jest na ziemi, tam, gdzie przywiązałem osły.

Julia pobiegła, a jej sandały uderzały o twardo ubitą ziemię. Nim Jakub wrócił z dwoma kubłami wody dla osłów, Julia mocowała już pierwszy worek.

– Naprawdę myślisz, że ta burza przejdzie bokiem? – zapytała wprost.
Zawahał się, po czym zdecydował powiedzieć jej prawdę.

– Nie, pani.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo czuję jej smak – odpowiedział. – Czujesz delikatne ukłucia, jakby mrowienie na skórze? Jak włosy odgarniane z karku, albo jak szorstkie ubranie? Właśnie to zapowiada zbliżającą się burzę.

Poprowadził pierwszego osła i przywiązał do tyłu wozu.

– Wiatr wieje z południa. Przywieje burzę prosto na nas.

– Ale przecież teraz prawie nie ma wiatru.

– To pozory, które zmyliły niejednego podróżującego przez pustynię. Nawet gdy burza pojawia się już na horyzoncie, wiatr nadal wydaje się zbyt łagodny, by się nim przejmować. Ale cała siła tkwi w zaciśniętej pięści burzy. Gdy poczujesz wiatr, jest za późno.

Julia wprawna ręką sprawdziła uzdy i cugle koni.

– Ale każdy kupiec w karawanie kiedyś napotkał jakąś burzę.

Jakub nie chciał niepotrzebnie jej martwić. Dlatego powiedział tylko:

– Zgadza się, pani.

– A ty?

– Wiele razy.

– To dlaczego...? – musiała zobaczyć odpowiedź w jego twarzy, bo powiedziała: – Bandydzi?

Jakub skinął głową.

– Atakują karawany pod osłoną piachu. To ryzykowny manewr. Mogą nas nie znaleźć, mogą sami ucierpieć w burzy. Ale ponieważ karawany są

coraz lepiej strzeżone, muszą się uciekać do takich sposobów.

Julia odezwała się powoli:

– Bandyta na tyle zdesperowany, żeby ukryć się w środku piaskowej burzy, musi być...

Jakub nie chciał dokończyć za nią zdania. *Brutalny? Bezwzględny? Zaciekły?* Ale zasłyszane historie o karawanach, które zostały w ten sposób zaatakowane sprawiły, że przyspieszył kroku.

*

Z każdym skrzypnięciem kół powozu, każdym strzeleniem bicza przez poganiaczy, każdym rykiem zdenerwowanego zwierzęcia, Jakub coraz bardziej był pewien dwóch rzeczy. Po pierwsze, że burza idzie prosto na nich. Po drugie, że jest potężna.

Za nimi wzbijały się w niebo małe kosmyki ceglanego pyłu, wijąc się i obracając jak delikatne tancerki. Starzy poganiacze nazywali je zwiastunami. Wiedzieli z doświadczenia, że im więcej ich widać, tym większa będzie nadchodząca burza.

Nim słońce uniosło się na wschodzie ponad wzgórzami, od południa pojawiło się na niebie tak wiele zwiastunów, że Jakub nie był w stanie ich zliczyć.

Powietrze nadal było nieruchome, jednak wszędzie czuć było zbliżające się niebezpieczeństwo. Jakub podrapał się po ubraniu i poszły z niego iskry. Konie parskały i ciągnęły każdy w swoją stronę mimo starań Jakuba, by zespolić ich wysiętek. Wielbłądy ryczały w popłochu i wrywały się do przodu. Poganiacze krzyczeli na nie, trzaskali biczami i szarpali za lejce. Wszyscy w napięciu obserwowali południowe niebo.

Co jakiś czas słychać było odgłos burzy. W uszach Jakuba brzmiały jak rozjuszona bestia wychodząca powoli z jaskini.

Rozciągające się przed nimi bezkresne równiny zdawały się zupełnie puste. Nie było widać żadnej innej karawany, do której mogliby dołączyć i zwiększyć siłę przeciw dwóm wrogom – burzy i bandytom. Choć popędzali zwierzęta do szybszego biegu, wzgórza zdawały się w ogóle do nich nie przybliżać. Julia odsłoniła zasłonę z przodu i spytała:

– Burza idzie w naszą stronę, prawda?

Jakby w odpowiedzi, mistrz karawany zagwizdał raz jeszcze ze swojego miejsca z przodu, sygnalizując zmianę kierunku i dając znak poganiaczom, że trzeba jeszcze przyspieszyć.

– Obawiam się, że tak, pani – odpowiedział Jakub przez ramię.

– Gdzie możemy się schronić? – gdy Jakub się zawahał, dodała: – I nie zbywaj mnie, proszę. Jestem córką mojego ojca. Muszę znać prawdę.

– Linie wzgórz, które widać po obu stronach, skupią na sobie siłę burzy i sprawią, że będzie jeszcze straszniejsza. Tu, na równinach Megiddo nie przetrwa żadna wioska – Jakub wskazał przed siebie, gdzie karawana skręcała na północ. – Mistrz karawany chce jechać tamtą drogą.

Julia wychyliła się do przodu.

– Ale ja nie widzę tam żadnej wioski.

– Jest ukryta w oddali, za tymi wzgórzami, tak jak Tyberiada. Ludzie osiedlają się tam, gdzie mogą ochronić swoje pola i zwierzęta – nie tylko przed takimi burzami jak ta, lecz również przed bandytami. A gdzie wioska, tam musi być i woda.

– A co jeśli tam nie ma żadnej wioski?

– Jeśli nie ma wioski, pani, to po co by była ta droga?

– Julio, wracaj za zasłonę. To nie przystoi – przerwał im głos Heleny dobiegający ze środka wozu.

Julia wycofała się. Zanim zniknęła za zasłoną, powiedziała miękko, lecz pewnie:

- Cieszę się, że to ty strzeżesz naszego bezpieczeństwa, Jakubie.
Po raz pierwszy tego dnia Jakub miał powód, by się uśmiechnąć.
– *Heja!*

*

Jakub nie miał pojęcia, czemu mistrz karawany wybrał tę drogę. Szlak, którym podążali, stanowił jedynie cienką linię przecinającą równinę w poprzek. Może miał rodzinę, która posiadała tu pole? Może już wcześniej się tu chronił, albo słyszał o jakiejś jaskini lub miejscu, w którym karawana mogłaby przeczekać burzę i znaleźć schronienie przed ewentualnym atakiem bandytów? Jakub nie miał pojęcia. Był pewien tylko tego, że nie zdążą na czas.

Choć konie wysilały się do kresu wytrzymałości, nie nadążały za wielbłędami. Jakub przestał smagać je biczem. Po pianie na pyskach i białkach wywracających się oczu poznał, że zwierzęta dają z siebie wszystko. Tyle tylko, że wóz nie był przystosowany do tego, by poruszać się szybko, zwłaszcza po takim terenie. Mimo że koła podskakiwały, terkotały i rzucało nimi na wszystkie strony, dystans pomiędzy nimi a resztą karawany zwiększał się z minuty na minutę.

Wreszcie Jakub nie mógł już dłużej czekać.

– Pani, musimy podjąć decyzję! – zawołał.

Zasłona za nim odsunęła się.

– Mów – rzekła Julia.

Jakub wskazał na ostatnie zwierzęta karawany znikające pośród pyłu przed nimi.

– Zostajemy w tyle! Musimy zostawić wóz. Nie mamy siodeł na konie. Twoja matka i Zoe mogą pojechać na osłach. Ja mogę dosiąść konia na

oklep, rozumiem się z nim bardzo dobrze. Obawiam się, że będziesz musiała pojechać siedząc za mną.

– Nie – odparła Julia. – Musisz wziąć moją mamę. Ona nie jest przyzwyczajona do zwierząt.

Jakub skinął głową w zrozumieniu. Nie trzeba mu było więcej wyjaśnień.

– Drugi koń musi wziąć nasze zapasy.

– Zdaje mi się, że już podjąłeś decyzję za nas – powiedziała cicho Julia.

– Nie, pani. Wybór jest taki: jedziemy za karawaną na północ czy nie.

– A jaki mamy inny wybór? – w jej głosie słychać było napięcie.

– Spójrz na tamte wzgórza. Są bliżej niż cokolwiek innego przed nami.

Widzisz te ciemne punkty u ich podnóży?

Julia i Helena przez chwilę wpatrywały się we wskazane przez Jakuba miejsce, choć jazda po wybojach bardzo utrudniała dokładniejsze oględziny.

Wreszcie Julia spytała:

– Czy to są jaskinie?

– Być może. A może to tylko światło słoneczne rzuca takie cienie. Ale sądzę, że to jaskinie. Wiatr tworzy wiele takich wgłębień. Na całą karawanę będą zbyt małe, ale my możemy się tam schronić.

– I myślisz, że bezpieczniej będzie uciekać w miejsce, które widzimy?

– Jest to ryzyko, pani. I to bardzo duże.

– Ale myślisz, że powinniśmy udać się tam?

– Tak myślę.

– To tak zrobimy.

Jakub pociągnął lejce i krzyknął na konie, by się zatrzymały.

– Musimy się pospieszyć.

Trzy kobiety prędko wykonywały jego polecenia, związując razem zapasy jedzenia i wody, które mieli przy wozie. Nie było tego dużo, bo

większość niosły zwierzęta, które właśnie szybko znikwały w kierunku północnym. Ale Jakub nie miał czasu, by żałować jedzenia, gdy w powietrzu wciąż wisiała groza. Julia podeszła do niego i zapytała:

– Jesteś pewien, że burza w nas uderzy?

– Już nadchodzi – Jakub skończył odprzęgać pierwszego konia i zabrał się za drugiego.

– Skąd masz pewność?

– Spójrz na południe. Widzisz, jak chmura wzbija się od ziemi?

– Nie widzę nic prócz pomarańczowego cienia. Jest piękny.

– Tak samo jak żmija, kobra albo tygrys – Jakub wskazał na osły. – Znajdź koce i połóż jako siodła, szybko.

Nie mieli żadnych koców służących jako siodła, jedynie tkane narzuty, które miały za zadanie wyściełać wnętrze wozu. Złożyli je szybko, przewiesili przez grzbiety zwierząt i przywiązali, by się nie zsuwały.

Gdy Jakub pomagał kobietom wsiąść na osły, usłyszeli odgłos zbliżającej się burzy.

– Co to było? – spytała Helena.

– Zabrzmiało, jakby cały świat wydał z siebie jęk – powiedziała Julia.

Głuchy pomruk powtórzył się, tym razem głośniejszy, choć nadal bardziej odczuwalny niż słyszalny. Osioł pod Julią wydał piskliwy głos protestu. Jakub z aprobatą zauważył, że Julia ściągnęła wodze i zmusiła zwierzę do posłuszeństwa. Wskazał na szale na głowach kobiet.

– Zawiążcie je najciaśniej jak potraficie na twarze, pod samymi oczami – podał im kolejne dwa szale, które wziął z wozu. – A to zawiążcie zwierzętom na oczy, ale dopiero jak dosięgnie nas burza, bo to nas bardzo spowolni. Cokolwiek by się działo, jeśli spadniecie, trzymajcie się wodzy i pozwólcie zwierzęciu iść naprzód.

Konie i osły zostały do siebie przywiązane tak, że szły w jednej linii. To oznaczało, że będą posuwać się wolniej, ale Jakub nie wiedział, ile jeszcze mają czasu, nim dosięgnie ich wichura, a nie mógł sobie pozwolić na to, by stracić kontakt z kobietami. Najpierw podsadził Helenę na grzbiet zwierzęcia, potem zajął miejsce przed nią i mocno chwycił za wodze.

– Jedziemy!

Helena z konieczności przyłgnęła do jego pleców. Słyszał jej urywany oddech i obawiał się, że przestraszona kobieta może stracić równowagę i spaść.

– Obejmij mnie w pasie i trzymaj się mocno – nakazał.

Z ulgą poczuł, że Helena posłuchała go bez wahania. Jej głowa przyłgnęła do jego ramienia. Zastanawiał się, czy ze strachu nie zaczęła płakać, ale nie usłyszał żadnego dźwięku poza głuchym jękiem nadchodzącego wiatru.

Zwierzęta na początku się zapierały, bo nie były przyzwyczajone do powiązania w ten sposób, lecz Julia oraz służąca wzięły przykład z Jakuba i smagnęły je kilka razy biczami, pokrzykując i mocno trzymając wodze. Ruszyli dość szybko, co ucieszyło Jakuba, bo burza za nimi była coraz głośniejsza. Dźwięczała jak ogromna, konająca bestia; jej żałobny jęk narastał, aż w końcu wypełnił cały ich świat.

Brakowało im około pół stadionu do podnóży wzgórz. Jakub widział już, że jego nadzieje nie były płonne. Naliczył trzy jaskinie prawie na wprost przed nimi. Każda z nich była na tyle głęboka, że tylne ściany nie były widoczne. Uderzył rumaka piętami, krzycząc na przestraszone zwierzęta i smagając je z całej siły.

W tym momencie dogoniła ich burza i wypełniła całe powietrze dookoła.

Wirujący piach uderzył w nich z każdej strony. Jakub ściągnął ciasniej chustę i zsunął się z grzbietu konia. Zawiązał przygotowany wcześniej materiał na oczach obu wierzchowców, zawinął wodze wokół nadgarstka i pociągnął zwierzęta.

Choć jego umysł był zajęty doprowadzeniem ich w bezpieczne miejsce, to jednak przyszła mu do głowy myśl, że źle się stało, iż wraz z Jamalem wykorzystali obecność kobiet jako przykrywkę dla jego podróży do Joppy. Karawana, w której jechały kobiety, doskonale maskowała przemyt. Razem z Jamalem dobrze to zaplanowali. Ale żaden z nich nie wziął pod uwagę tego, że mogą napotkać pustynną burzę, zwłaszcza tak potężną jak ta. Jeśli coś się stanie... Jakub nie mógł znieść tej myśli. Lecz teraz mógł tylko się modlić i nie poddawać.

Uczestnicząc w przemarszach karawan, przy wieczornych ogniskach nasłuchiwał się wielu opowieści o poganiaczach, którzy zgubili się podczas burzy, a których kości, odarte z ciała, zostały odnalezione w piachu, gdy wiatr już przeszedł. Słyszał, jak niektórzy, stojąc o kilka kroków od miejsca schronienia, byli tak oślepieni przez burzę, że po prostu się poddali, położyli się i było po nich. Ta burza była groźniejsza niż jakakolwiek, której dotąd doświadczył, większa od tych, o których słyszał z ust innych poganiaczy. Paraliżowała wszystkie jego zmysły. Nie mógł myśleć, nie wiedział nawet, czy nadal idzie we właściwym kierunku. Nie było nic prócz wiatru i potrzeby, by przejść jeszcze jeden krok, a potem kolejny. Stanać, poddać się, oznaczało tyle samo co umrzeć.

Gdy jego dłoń dotknęła skały, miał ochotę rozpłakać się, ale zabrakło mu łez.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Równiny Megiddo

Julia poruszyła się, żeby znaleźć wygodniejszą pozycję. Opierała się o skałę jaskini, obok niej spoczywała matka, a za nią Zoe. Helena, choć blada i osłabiona, całkiem dobrze sobie poradziła na koniu za plecami Jakuba. Julia była z niej dumna, bo dobrze wiedziała, że matka nigdy wcześniej nie dosiadała wierzchowca. W czasie przerażającej jazdy mocno przyłgnęła do Jakuba i zsunęła się w jego ramiona, gdy znaleźli się w jaskini.

Jakub wprowadził zwierzęta do największej groty. Weszły bez wahania, chcąc jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem burzy. Następnie wprowadził kobiety do drugiej jaskini. Była niewielka, więc weszli najgłębiej jak się dało i Jakub posadził towarzyszek na skalnej podłodze. Gdy uznał, że są bezpieczne, poszedł do zwierząt, by się o nie zatroszczyć, po czym wrócił do kobiet z jedzeniem i piciem. W jaskini było zbyt ciemno, by przygotować

posiłek – burza całkowicie przesłoniła światło popołudniowego słońca. Jakub macając zawartość worków znalazł wodę, by każde z nich mogło się napić. Wyjął też kilka fig i chleb. Kobiety przytuliły się do siebie, chcąc przeczekać nawałnicę. Jakub pozwolił im na trochę prywatności wyjaśniając, że będzie w jaskini obok, ze zwierzętami i przyjdzie, gdy go zawołają w potrzebie.

Z miejsca, w którym siedziała, Julia nie widziała burzy. I wcale nie chciała. Odgłos wiatru i chłoszczącego skałę piachu wystarczył, by trzęsła się ze strachu. Bezczywność umożliwiła jej ciche wejrzenie w głąb siebie i dziewczyna pograżyła się we wspomnieniach. Przed ich pośpiesznym i niespodziewanym wyjazdem mama wciąż odmawiała zaproszeniom, by dołączyć do Julii i Zoe i wybrać się na spotkanie wierzących. Julia po cichu przeżywała żal z powodu tego, że jej matka nie wierzyła. *Co jeśli nasz Pan powróci, a ona nie będzie gotowa?* Modliła się jeszcze żarliwiej.

Nawet w obliczu troski i żalu, wiara Julii wzrastała. Modliła się w czasie codziennych czynności, szukała rady u Zoe i chłonęła każde słowo, które padło podczas spotkań. *Och, gdybym tylko znała Jezusa, kiedy chodził po ziemi. Gdybym słyszała, jak nauczał, widziała, jak uzdrawiał.*

A potem, któregoś dnia, jej duszę wypełniła łagodna cisza. Julia znów usłyszała Jego słowa przytaczane przez tę czy inną osobę w grupie. Wyobrażała sobie, jak On uzdrawia przez pośrednictwo uczniów, którzy kładli ręce na chorych, i przez żarliwe modlitwy wstawiennicze. On *wciąż był* z nimi. Jego obecność wypełniała pomieszczenie za każdym razem, gdy się spotykali. Julia również czuła tę obecność w sobie, gdy klękała do modlitwy, gdy szukała Jego prowadzenia. Przepelniała ją pewnością, że któregoś dnia, już wkrótce, podniesie oczy ku niebu i zobaczy Jego powrót w chwale. Ta myśl dodawała siły i zwiększała pragnienie, by za Nim podążać.

Gdyby tylko jej mama...

A ojciec?

Julia dorastała w uwielbieniu wobec ojca. Nikogo na świecie nie kochała bardziej niż jego. Lecz szokująca prawda, której dowiedziała się od Zoe, ogromnie zmieniła jej stosunek do niego. Po pierwsze, matka nie była prawowitą żoną ojca, bo ten miał inną rodzinę. Poza tym, Helena nigdy nie podjęłaby decyzji, która mogłaby się Jamalowi nie spodobać. I teraz jeszcze ta ostatnia wiadomość, że żona Jamala w Damaszku uwierzyła w Jezusa.

Ta wieść powinna wypełnić jej serce radością. I tak niezaprzeczalnie było, lecz towarzyszyły temu mieszane uczucia. Nigdy wcześniej się z czymś takim nie zmagала i teraz, uwięziona w jaskini przez szalejącą burzę, zaczęła z tego powodu płakać. Wiedziała, że takie emocjonalne zmagania są niezgodne z jej wiarą. Nie powinno się pozwolić, by w duszy walczyły ze sobą miłość i gniew. Coś tu było nie tak. Coś, co Julia, z Bożą pomocą, musiała naprawić. Ale jak?

Modlitwa była chyba jedyną odpowiedzią. Wykorzysta te godziny w jaskini na modlitwę. Będzie się modlić i chronić matkę.

Julia zdjęła szal z ramion i okryła trzęsącą się mamę, zatrzymując dla siebie tylko jeden róg, żeby zasłonić twarz od piachu i pyłu. Gdy to robiła, zauważyła, że szorstki wełniany szal Zoe już otula ciało Heleny. Pomiędzy nimi dwiema mama powinna być bezpieczna.

*

Julia słyszała huk burzy szalejącej poza jaskinią. Czuła piach w powietrzu, w zębach. Kłut ją w oczy i podrażniał policzki. Jak w takim razie musi być na zewnątrz, gdzie burza uderza z całą zaciętością?

Poczuła, że Helena zmienia pozycję.

– Mamo?

Głowa Heleny się podniosła. Matka wyciągnęła rękę, by w ciemności odnaleźć jej dłoń.

– Wszystko dobrze? – odezwała się Julia ściszonego głosem. Jej matka nie mogła znieść większych hałasów, gdy dopadała ją migrena. I Julia nie chciała budzić Zoe, skoro ta zdołała zasnąć.

Helena w odpowiedzi ucisnęła jej dłoń.

– Jesteśmy bezpieczne. To cud. I nawet udało mi się trochę zdrzemnąć. To kolejny cud.

– Chwała Bogu – odpowiedziała Julia. Odkąd uwierzyła, miała wiele powodów, by chwalić Boga, lecz nigdy nie wypowiedziała tych słów bardziej z serca niż właśnie teraz.

Bardziej poczuła niż zobaczyła, jak głowa matki się podnosi. Te słowa musiały wydać się jej obce. Były dla niej nowe. Helena przez dłuższą chwilę przyglądała się córce w ciemności, po czym powiedziała cicho:

– Zmieniłaś się, Julio.

Nie była to ani pochwała, ani nagana, lecz tylko spostrzeżenie.

Julia przytaknęła. Wiedziała o tym, że się zmieniła. Lecz zdawała sobie również sprawę, że było jeszcze wiele do zrobienia.

– Właśnie... właśnie o tym chciałabym z tobą porozmawiać.

Helena poruszyła się niespokojnie na siedzeniu z narzuty, którą Jakub wcześniej ściągnął z osła. Odwróciła się nieco od Julii.

– Znowu chcesz mnie przekonywać, żebym poszła na to wasze spotkanie. Chcesz mnie zmieniać.

– Nie, mamó – odpowiedziała szybko Julia. – Chcę cię poprosić o wybaczenie.

Julia poczuła, jak głowa Heleny odwraca się ku niej i pożałowała, że nie może zobaczyć jej oczu.

– A co ty takiego zrobiłaś?

– Właśnie to, co powiedziałaś. Próbowałam cię zmieniać. Przekonywałam cię na siłę. Przepraszam, mamó. Nie miałam prawa cię tak nakłaniać. Tylko Bóg może zmienić serce człowieka. To Jego Duch cię do Niego pociągnie. I stanie się to tylko wtedy, gdy ty będziesz tego chciała, mamó. Bóg nigdy nikomu się nie narzuca. Nie powinnam była...

– Och, dziecko moje – powiedziała Helena, przyciągając Julię do siebie. – Jestem od dawna wyczerpana nerwowo. Jeśli choć przez moment pomyślałam, że to...

Julia poczuła łzy na swoim szalu, lecz nie była pewna, czyje one są. Tak trudno jej było powstrzymać słowa, a tak wiele chciała powiedzieć. Ale przecież jej matka już to wszystko słyszała. I to wiele razy.

– Potrzebuję... potrzebuję twojego Boga. Obserwowałam cię... Masz w sobie taką radość i pokój. Ty i Zoe. Jakże bardzo tego pragnę dla siebie. Ale, Julio, ja nie mogę iść na wasze spotkanie. Twój ojciec bardzo by się rozgniewał. Mógłby się wyrzec nas obu.

I znowu to samo. Jej ojciec. Mężczyzna, którego ona kiedyś wręcz wielbiła, a teraz postrzegała jako przeszkodę dla wszystkiego, co ma znaczenie w wieczności. Znowu poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

Lecz nagle jej duszę ogarnęło zupełnie inne uczucie, a do serca trafiły łagodne słowa: *Kochaj. Przebaczaj. Jak ty przebaczasz, tak i tobie będzie przebaczone.*

Julia przysunęła się bliżej matki. To była jej odpowiedź. Ta, której poszukiwała w modlitwie. Oczywiście. Musi przebaczyć.

Odsunęła się powoli, mając nadzieję, że dojrzy w mroku twarz matki. Uniosła rękę, by otrzeć łzy z policzka Heleny, lecz jej dłoń napotkała szorstki piasek.

– Mamó – zaczęła powoli. – Masz rację. Bóg naprawdę mnie zmienił. Wiem i czuję to. Ale jest coś, na co aż do dziś nie pozwalałam, by to dla

mnie zrobił. On właśnie wyszeptał do mojego serca słowa, które potrzebowałam usłyszeć. Słowa pokoju i przebaczenia. On mi przebaczył. Teraz ja muszę przebaczyć.

– Komu...? – Helena wydawała się zaskoczona.

– Ojcu.

– Twojemu ojcu? A co on ci...?

– Nic a nic. On tylko się o mnie troszczył.

– No to...? Nie rozumiem – Helena ze zdumienia nie potrafiła dokończyć swej myśli.

– Chodzi o to, co uczynił *tobie*, mamo. Byłam zła, że traktuje cię tak niesprawiedliwie. Że nie masz żadnego statusu prawnego, żadnego zabezpieczenia, jakie normalnie posiada żona. Byłam taka wściekła. A ty nawet nie chcesz uwierzyć w Boga, bo on... jest twoim właścicielem. A ja...

Julia powściągnęła język, żeby nie pielęgnować w sobie znowu złości. Przełknęła ślinę, wypowiedziała bezdźwięcznie krótką modlitwę i uśmiechnęła się, choć wiedziała, że mama i tak tego nie zobaczy.

– Nie mogę pielęgnować w sobie takich uczuć względem własnego ojca. Względem nikogo. Jezus uczy, że mamy kochać i przebaczać.

Helena nadal siedziała cicho. Wreszcie odnalazła w ciemności rękę Julii i mocno ją uścisnęła.

– Moja kochana – powiedziała głosem tak łagodnym i słabym, że Julia musiała wyteńczyć słuch, żeby ją usłyszeć. – Właśnie mnie przekonałaś, że wiara, którą odnalazłaś, to właśnie to, czego mi potrzeba, za czym zawsze tęskniłam. Nie ma nic innego, co mogłabyś powiedzieć, aby mnie przekonać. Ta potrzeba przebaczenia to coś prawdziwego, Julio. Wiem, że nie może pochodzić z człowieka, a jedynie od Boga, który mu pomaga. Powiesz mi, jak otrzymać tę zdolność wybaczenia od tego Boga, którego przyjąłś?

Ramiona Julii ciasniej objęły matkę, a łzy spływały jej obficie po policzkach. Nigdy w swym młodym życiu nie słyszała piękniejszych słów. Burza na zewnątrz dalej szalała, ale w środku, w ciemności, w bezpiecznej jaskini, pokój ogarnął dwa serca, które zawołały do Pana.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Równiny Megiddo

Alban i starszy z Nain wyczuli zbliżającą się burzę niemal w tej samej chwili. Yelban od razu zarządził opuszczenie rynku. Nieważne, czy burza w nich uderzy czy nie, nie będzie żadnego handlu, póki całkowicie nie przejdzie.

Abigail nie miała wiele towarów do schowania. Umówiła się już z kilkoma kobietami, że będzie sprzedawać ich wyroby, ale na razie zajmowały one mniej niż jedną trzecią półek. Razem z Martą i Albanem prędko pochowali tkaniny i rozmontowali stragan, po czym poszli pomóc innym, którzy mieli więcej do zrobienia.

Ze względów bezpieczeństwa Yelban nakazał rozmontowanie wszystkich straganów i zagonienie zwierząt do zagród w miasteczku. Był to niełatwy do pokonania szlak, zwłaszcza gdy trzeba było się spieszyć, ale nikt

z Yelbanem nie dyskutował. Miejscowi doświadczyli już wcześniej takich burz. Czuli nieprzyjemne tarcie na języku, a włosy na ich ciałach stawały dęba, jakby ziemia sprzeczała się z niebem.

Burza trwała dwa i pół dnia. W dolinie pod nimi piasek kotłował się i gnał niczym upiorna rzeka. Dolina Megiddo była nim wypełniona od krańca do krańca. Piasek miał kolor rdzy, a wirując powodował przeraźliwy hałas. Cały świat przepełniało nieustanne wycie. Burza nie dawała spokojnie spać. Piach grzechotał o drzwi, żwir wyrzucany był w górę jakby garściami, niczym piana piaskowej fali. Pył osiadał wszędzie. Abigail kąpała Dorcas, ale zanim ją ubrała, dziewczynka na nowo była pokryta piachem jak mąką. Pył osiadał na jedzeniu i wodzie. Zatykał nozdrza i wchodził do uszu. Wszyscy, nawet w domach, nosili szale na twarzach.

Drugiego popołudnia Yelban przyniósł wiadomość, że zachorowała młoda kobieta, która dopiero co urodziła dziecko. Przez wyjący wiatr i wirujący piach poprowadził Abigail i Martę, obie z twarzami ciasno owiniętymi szalami, do domu chorej. Kobiety spędziły resztę dnia opiekując się dzieckiem i modląc się za nią. Nie nastąpiło cudowne uzdrowienie, lecz ich obecność zdawała się przynosić kobiecie ulgę w cierpieniu i uspokoiła jej męża, który bardzo się martwił. Gdy ponurym zmierzchem obie wracały do Albana i Dorcas, młoda mama i jej dziecko odpoczywali i wyglądało na to, że wracają do zdrowia.

Trzeciego ranka przed świtem, nie wiedząc czemu, Abigail obudziła się. Nagle zorientowała się, że wycie wiatru ustało. Chciała wstać i zobaczyć, czy rzeczywiście burza minęła, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Dorcas wierciła się niespokojnie, wypowiadając kilka niezrozumiałych słów przez sen, po czym przytuliła się do mamy. Abigail objęła ją ramieniem i obie szybko usnęły.

Abigail obudziła się, gdy słońce było już wysoko na niebie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni tak długo spała. Mimo to nie słyszała odgłosów krzątania się innych. Ubrała się i wyszła na frontowy ganek. Całe miasteczko było pogrążone w ciszy. Nawet psów nie było widać i nie piał żaden kogut. Brak jakichkolwiek dźwięków był ogłuszający i straszny.

Miasteczko powoli wracało do życia. Mieszkańcy spędzili ten dzień, czyszcząc wszystko z piachu. Każda powierzchnia została zamieciona, wyszorowana na mokro, pozostawiona do wyschnięcia, a potem wyszorowana raz jeszcze. Helzebe i Alban pracowali na górze, zaś Marta i Abigail na dole. Rzadko się do siebie odzywali, bo wszyscy mieli gardła podrażnione przez pył. Pili herbatę słodzoną miodem i sokiem z granatu, jeden kubek za drugim. Tak często chodzili po wodę do najbliższej studni, że wydeptali brudę w zapiaszczonej alejce.

Dorcas bawiła się na frontowym ganku z małym ptaszkiem, którego dał jej poganiacz. W czasie burzy Alban zrobił jej postronek z miękkiego skórzanego sznurka. Pokazał dziewczynce, jak włożyć pętelkę na jedną z nóżek ptaszka, a potem przywiązać drugi koniec wokół swojego paluszka. Abigail obawiała się, że ptak może wtedy dziobnąć dziecko, lecz ten zdawał się rozumieć lub przynajmniej akceptować swą niewolę. Wskakiwał Dorcas na palec i cierpliwie czekał, aż dziewczynka zawiąże postronek; spędzał całe godziny siedząc jej na ramieniu, wzlatując czasem do góry i rozśmieszając ją. Przez cały ten długi dzień ptaszek wypełniał dom swoją piosenką.

Następnego ranka jeszcze raz zeszli do doliny. Abigail zostawiła Dorcas u młodej mamy, która czuła się już dużo lepiej. Abigail wydawało się, jakby całe miasteczko schodziło razem z nimi. Nie było w tym nic dziwnego, bo utrzymanie miejscowej ludności zależało od rynku umiejscowionego wzdłuż połączenia dróg. W miasteczku było pięć wozów

i wszystkie były tego dnia w użytku, obładowane płótnami, drewnem i narzędziami. Mieszkańcy przeżyli już wiele takich burz, wiedzieli więc, czego się spodziewać przed burzą, w trakcie i po niej.

Równiny Megiddo zamieniły się w pustkowie. Nic się na nich nie poruszało, ani wiatr, ani ptaki, ani zwierzęta. Nawet budynki, wskazujące, gdzie łączą się drogi, były okryte jakby kocem z piachu, wszystkie miały teraz ten sam kolor słonecznej żółci.

Od strony, z której przyszła burza wszystkie mury i ściany były pokryte piachem do wysokości dachów. Drzwi trzeba było otwierać siłą. Pył przedostał się przez najdrobniejsze nawet szpary w zamkniętych drzwiach i osiadł na każdej powierzchni w pomieszczeniach. Cała praca, wykonana w domach musiała teraz zostać powtórzona. Nie trzeba jednak było się spieszyć; Yelban przewidywał, że następne karawany przybędą dopiero za tydzień, a może jeszcze później.

Praca przy straganie Abigail została zakończona nim na wielu innych ją na dobre rozpoczęto, więc Alban i Marta poszli pomóc innym przy odbudowie zagród i przygotowaniu stajen. Abigail i Helzebe pomagały Yelbanowi i jego rodzinie w wysprzątaniu gospody i oczyszczeniu pieców. Tej nocy większość ludzi spała tu, w dolinie. Mąż młodej kobiety wraz z kilkoma innymi osobami wrócił do miasteczka i obiecał, że przenocują u siebie Dorcas, a następnego dnia przyjdzie i opowie Abigail, jak miewa się jej córeczka.

Pozostali zjedli wspólny posiłek – część w gospodzie Yelbana, a część na zewnątrz, na pustej drodze. Śpiewali, modlili się, a potem siedzieli i słuchali najpierw Albana, a potem Marty, którzy opowiadali o Jezusie i Jego naukach.

Powieki Abigail zaczęły robić się ciężkie, gdy Yelban wstał i podszedł do nich. Odchrząknął głośno, po czym zwrócił się do Abigail nieco

formalnym tonem:

– Od początku tak wiele nam pomogłaś. Uzdrawiłaś moją żonę.

– To Bóg – powiedziała szybko Abigail – nie ja.

Równie dobrze mogła nie powiedzieć nic, gdyż Yelban kontynuował tym samym tonem, wystarczająco głośno, by wszyscy go słyszeli.

– Nauczysz i nie prosisz o pieniądze. Uzdrawiasz, dajesz z tego, co masz. Jesteś przyjaciółką wszystkich.

Abigail poruszyła się nerwowo, lecz Marta dotknęła jej ramienia. Gdy młoda kobieta spojrzała na nią przez ramię, Marta uniosła jeden palec, co oznaczało: czekaj.

– Starszyzna się naradziła. Podjęliśmy decyzję. Twoje imię będzie przekazane starszyźnie w innych wioskach. Opowiedzą o tobie jako o osobie godnej zaufania. Wszyscy tkający będą wiedzieć o tobie i o twoim straganie. Długi pozostawione przez twoich poprzedników zostają umorzone. Zapłacisz dopiero wtedy, gdy sprzedasz towary. Poczujemy cię, jaka jest odpowiednia suma, którą wypada zapłacić tkającym. A jeśli ktoś spróbuje cię wykorzystać, to potraktujemy to tak, jakby obraził nas wszystkich.

Abigail poczuła, że jej oczy napełniają się łzami. Gardło ścisnęło się jej bardziej niż w najgorszym momencie burzy.

Alban najwyraźniej zauważył jej wzruszenie, bo wstał i powiedział:

– Dziękuję wam wszystkim w imieniu mojej siostry w Chrystusie. Ja wkrótce muszę wracać do rodziny, która czeka na mnie w Kafarnaum. Wyjadę z lekkim sercem wiedząc, że zostawiam Abigail w otoczeniu prawdziwych przyjaciół, bezpieczną, w jej nowym domu.

Zaśpiewali jeszcze jedną pieśń, pomodlili się ostatni raz, po czym rozeszli się. Wielu podeszło jeszcze do Abigail i formalnie powitało w ich społeczności, tak jakby pozdrawiali ją pierwszy raz. Żona Yelbana podała im

koce i okrycia na noc. Abigail szła w towarzystwie Marty, Helzebe i Albana, otoczona łagodnym szeptem pustynnej nocy i głosami ludzi, którzy ją powitali wśród siebie. Spojrzała w rozgwieżdżone niebo i wypowiedziała słowo, które wybrzmiewało w jej umyśle i sercu.

– *Dom.*



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Równiny Megiddo

Trzeciego dnia, tuż przed świtem, burza powoli zaczęła cichnąć. Jakub podniósł głowę ze skały, która zastępowała mu poduszkę. Nasłuchiwał. Tak naprawdę to prawie wcale przez ten czas nie spał, nie licząc krótkich, rwanych chwil, kiedy odpływał na kilka chwil. Zaraz jednak suchość w gardle, odgłos któregoś zwierzęcia, lub coś innego wyrzywało go ze snu. Całe ciało go bolało. Był bardzo głodny i spragniony. Ale wszyscy żyli – on, powierzone jego opiece kobiety i zwierzęta.

Helena, Julia i Zoe zajmowały jaskinię po jego prawej stronie, on zaś dzielił schronienie ze zwierzętami. Żadna z jaskiń nie była na tyle głęboka, by ochronić całkowicie przed burzą. Były to raczej zagłębienia w kształcie mis, wyżłobione przez wiatr, nie tak głębokie i pokryte szczelinami jak te, które wyrzeźbiłaby woda. Ale dobre było i to. Przynajmniej byli tu

zasłonięci od najgorszego wiatru, choć piach i tak wirował dokoła nich. Zwierzęta wciąż pomrukiwały z niezadowoleniem, aż wreszcie pragnienie zamknęło im pyski.

Wszyscy byli spragnieni. Mieli raptem pięć bukłaków. Choć Jakub ściśle racjonował wodę, wydzielając każdemu po kubku dwa razy dziennie, to zapasów zostało im jeszcze tylko na jeden dzień. Jakub domyślał się, że kobiety zastanawia fakt, dlaczego dzieli się tymi skąpymi zapasami ze zwierzętami. Powód był prosty. On wiedział, że bez zwierząt umrą na pustyni. Największym, niewypowiedzianym zmartwieniem Jakuba była myśl, że burza przedłuży się do czterech dni.

Na szczęście nim pierwsze promienie słońca dotknęły wschodniego horyzontu, wiatr zupełnie ucichł. Jakub stał już na zewnątrz, gdy kobiety powoli wyszły ze swojej jaskini z twarzami i ubraniami pokrytymi warstwą pyłu. Ciemne oczy Julii były zaczerwienione. Zdjęła z twarzy szal i wytrzepała go z pyłu i piasku. Nawet jej wargi pokryte były jakby białym pudrem, nadając twarzy wygląd maski pośmiertnej. Otworzyła usta i próbowała coś powiedzieć, ale zdołała jedynie zakasłać.

Zoe przez dłuższą chwilę wpatrywała się we wschodzące słońce, po czym padła na kolana i złożyła ręce do modlitwy. Ku zaskoczeniu Jakuba, Helena chwiejnym krokiem podeszła do niej i zrobiła to samo. Jakub również uklęknął. To był szczególny czas, by podziękować Bogu.

Potem pożartowali ze swoich pokrytych pyłem twarzy, po czym przytroczyli swój skromny dobytek do osła i rozdzielili między siebie pozostałą ilość wody. Zwierzęta pchały się na Jakuba, desperacko próbując dostać więcej. Kobiety wypijały swoje porcje powoli i nie narzekały. Gdy Jakub chciał wyjaśnić, dokąd jego zdaniem powinni się teraz udać, Julia zatrzymała jego słowa machnięciem ręki.

– Mówienie musi cię boleć – wycharczała.

Skinął głową. Jej głos był ochryply i ledwie rozpoznawalny.

Zakaszła i dokończyła:

– Prowadź, pójdziemy za tobą.

Jakub próbował podprowadzić Helenę do jednego z koni, ale kobieta nie chciała.

– Julia... konno...

– Ale, pani...

– Nie mam... siły – wypowiedane słowa przerwał atak kaszlu.

Tak, był sens w tym, by młodsza i silniejsza z kobiet dosiadła szybszego zwierzęcia. W razie trudności będzie miała większe szanse na okiełznanie go. Gdy Jakub pomagał Julii wsiąść na konia, szepnął:

– Twoja mama to prawdziwa królowa.

Oczy Julii zaiskrzyły radością widoczną nawet przez warstwę pyłu.

– Mama uwierzyła w naszego zmartwychwstałego Pana. Burza okazała się błogosławieństwem.

Jakub skinął głową i odwrócił się, pełen głębokiego wzruszenia z powodu tej wiadomości. Pomógł matce Julii wsiąść na jednego osła, a Zoe na drugiego. Resztę zapasów i puste bukłaki przymocował przed każdą z nich.

Zastanawiał się, którądy jechać. Wrócić do głównej trasy i do najbliższej studni, czy podążyc dalej szlakiem, którym jechali przed burzą, w nadziei, że rzeczywiście w pobliżu jest jakaś wioska i będą tam mogli zaczerpnąć wody? Jakub wolałby podjąć tę decyzję wspólnie, lecz skoro kobiety pozostawiły to jemu, postanowił, że wrócą do rzymskiej drogi. Znał ją i wiedział dokładnie, gdzie znajduje się następna studnia.

Późnym rankiem dotarli do tego, co zostało z wozu Jamala. Wiatr pochłonał zasłony i zdarł rzeźbienia ze słupków w rogach. Koła zapadły się

pod ciężarem piasku. Zniknęły kolorowe gobeliny i każdy skrawek skóry. Wnętrze wozu było niemal całe zakopane w piachu.

Jakub podszedł i zaczął odgrzebywać piasek rękami. Julia dołączyła do niego i zaczęła mu pomagać.

– Czego szukamy? – spytała ochryplym szeptem.

– Twojej skrzyni. Dobrze by było mieć świeże ubrania.

– I tych dwóch małych torebek – dodała, odgarniając piach rękami. – Czego ja bym nie dała za kąpiel...

– Ja też – ale nie o kąpeli myślał najbardziej, lecz o tym, że tam, dokąd dotrą, prawdopodobnie policzą im wysoką cenę za wodę. – W trakcie burzy zgubiłem swoją sakiewkę z pieniędzmi. Możemy...

– Mama też miała pieniądze – przerwała mu dziewczyna. – Ojciec nalegał, że musi mieć ich wystarczająco dużo na podróż.

Jakub poczuł, że opada w nim napięcie. Po chwili odnaleźli skrzynię i wspólnymi siłami wyciągnęli ją z piasku.

– Zostaw ją na razie zamkniętą. Jeśli teraz otworzysz, wszystko pokryje piasek.

– Ale jest strasznie ciężka.

– Koń nie ma zbyt wiele do dźwigania. Bukłaki są puste, a mniejsze torby lekkie. Skrzynię możemy umieścić za twoim siodłem.

Razem przenieśli skrzynię i mocno przywiązali, by nie spadła. Wyruszyli w dalszą drogę i około południa odnaleźli szlak, niemal zupełnie zasypany przez piach. Na szczęście kamienie, które go wyznaczały, tworzyły prostą, ząbkowaną linię ciągnącą się aż po horyzont. Gdy skręcali na zachód, kobiety obejrzały się za siebie, w kierunku Tyberiady. Jakub czekał, aż któraś się odezwie. Tam, za nimi, znajdował się ich bezpieczny dom i Jamal. Tyle tylko, że pomiędzy miejscem, w którym się znajdowali a Tyberiadą nie było żadnej studni. To właśnie z tego powodu najbliższy

rzymski garnizon został zlikwidowany. Jakub wiedział, że zwierzęta nie dadzą rady dojść dalej niż do najbliższej studni. Wolał już nie myśleć o bandytach, którzy mogli teraz przeczesywać wzgórza w poszukiwaniu takich grupiek...

Prawdę powiedziawszy, marsz na zachód również nie gwarantował bezpieczeństwa. Jakies trzy lub cztery godziny drogi stąd rzeczywiście była studnia. Mogła jednak zostać zasypana przez wiatr, a jeśli tak, to umrą i oni, i zwierzęta. Kobiety nie kwestionowały jednak jego decyzji, a on nie zamierzał opowiadać im o swych obawach.

Z trudem posuwali się do przodu. Jakub obawiał się pędzić zwierzęta szybciej niż w tempie, które same uznały za naturalne. Słońce wciąż pełzło po pustym niebie i wiedział, że muszą dotrzeć do studni przed zachodem, bo w przeciwnym razie, nie mając kropli wody, będą musieli stanąć na nocleg. Nie był pewny, czy w takim przypadku zwierzęta przeżyją do rana.

Okolica była zupełnym pustkowiem. Nie widzieli nic żywego. Jakub nie znalazł żadnego znaku świadczącego o tym, że ich karawana przetrwała burzę. Powietrze było nieruchome; trudno było uwierzyć, że dopiero co przez tę ziemię przeszła straszliwa burza. Bezchmurne niebo rozciągało się aż po horyzont, gdzie stykało się z opustoszałą ziemią. Słyszeli jedynie swoje ciężkie oddechy i powłóczenie kopytami.

Tuż przed zachodem słońca Jakub był bliski rozpacz. Zoe szła powoli przy Helenie jadącej na osle i obejmowała ją ramieniem. Zwierzęta zaczęły słabnąć, więc Julia zsunęła się z grzbietu konia.

I wtedy Jakub to zobaczył. A przynajmniej tak mu się zdawało, bo w jego stanie nie mógł być niczego pewien. Lekkie wzniesienie na horyzoncie, ledwie smuga muskająca zupełnie płaski horyzont.

W tym samym momencie jeden z osłów wydał z siebie cichy ryk. Niemożliwe, by wyczuł wodę z tak dużej odległości. Mimo to Jakub

odczytał to jako dobry znak.

Im bliżej byli studni, tym bardziej zwierzęta przyspieszały. Jakub i Julia szli obok nich, wiedzeni nadzieją i pragnieniem, które paliło ich ciała od środka. Julia odwróciła się, by podeprzeć matkę.

W końcu Jakub stwierdził, że rzeczywiście zbliżają się do studni, a jej pokrywa leży na miejscu. Wydał z siebie ochrypty krzyk ulgi, padł na kolana przy jej kamieniach, a ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie mógł nad nimi zapanować. Julia dotknęła jego ramienia. Spojrzał na nią. Nie mogła już mówić, ale jej popękane usta bezdźwięcznie pytały: „Powiedz, co mam robić”.

– Lina – wychrypiał. – Wodze.

Razem odwiązali skrzynię i upuścili ją na piach. Jakub przywiązał jeden koniec liny do drewnianej pokrywy, która zamykała otwór studni jak okrągłe drzwi. Julia pociągnęła wodze konia, a Jakub klepnął pokryty pyłem zad zwierzęcia. Koń był tak zmęczony i spragniony, że całe jego ciało drżało. Zoe wzięła linę i razem odsunęli pokrywę na bok.

Była to studnia pustynna, tak głęboka, że gdy Jakub rzucił skórzany bukłak, wydawało im się, że minęły całe wieki, nim wreszcie wylądował z pluskiem w wodzie. Usłyszawszy to, wszyscy, zarówno ludzie, jak i zwierzęta, wydali z siebie ochryple dźwięki wyrażające triumf.

Pierwszy bukłak opróżnili we czworo. Potem odgarnęli piach z koryta i nalali do niego jeszcze zawartość dwóch bukłaków. Konie i osły przepychały się głośno i niecierpliwie siorbiąc wodę. Julia i Zoe pomogły Jakubowi wciągnąć liny. Jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Jakub pił, aż nie mógł już wmusić w siebie ani łyka więcej. Obmył twarz, po czym wylał sobie wodę na głowę, szorując ręce i nogi, a potem dwukrotnie powtórzył tę czynność. Skończywszy, wybrał się na spacer, by na czas mycia zapewnić kobietom chwilę odosobnienia.

Gdy poprzednio tędy przejeżdżał, stał tu chyba tuzin straganów – mizerne konstrukcje, z których sprzedawano równie mizerne jedzenie. Teraz nie pozostał po nich ślad – ani jednego patyka, ani kawałka materiału.

Obrawszy studnię jako punkt orientacyjny, po krótkich poszukiwaniach Jakub natrafił małe wgłębienie i kopiec w miejscu, gdzie – jak sobie przypominał – stał największy stragan. Zaczął kopać i wkrótce jego oczom ukazał się sięgający do kolan kamienny murek.

Julia podeszła do niego wycierając mokre włosy w szal.

– Czego szukasz?

– Tu była stajnia – Jakub szedł powoli wzdłuż linii kamieni, usiłując przypomnieć sobie szczegóły. – Konie bardzo potrzebują paszy.

Ku jego ogromnej uldze okazało się, że pamięć go nie zawiodła. Zaczęli kopać i po dłuższej chwili natknęli się na trzy drewniane skrzynie. Jedną z nich wypełniał owies. Oboje nabrali ile mogli w dłonie, przynieśli cenny ładunek i wrzucili do koryta. I znów zwierzęta przepychały się, by dostać jak najwięcej.

– Czy my też możemy to zjeść? – spytała Helena.

– Tylko niewielką ilość, pani. Inaczej napęcznieje ci to we wnętrzościach i spowoduje ogromny ból – nasypał kilka ziaren na jej dłoń.
– Długo żuj. Zjedz tyle i ani ziarna więcej.

Usiedli przy studni, mając tylko piach za poślanie i poduszki, i patrzyli jak na niebie ukazują się pierwsze gwiazdy. Przedtem Jakub odczuwał tak wielkie pragnienie, że nie czuł głodu, ale teraz jego żołądek skręcał się z głodu. Był jednak pewien, że i on, i kobiety, przeżyją noc bez jedzenia.

Gdy na niebie zawisło już kilka gwiazd, wzięli się za ręce i pomodlili się w dziękczynieniu. Jakub życzył kobietom dobrej nocy i położył się, wpatrując się w niebo.

Dotarli do Ginaj tuż przed południem i udali się do gospody w centrum wioski. Tam kobiety skierowano do pokoi na górze i podgrzano im wodę do kąpieli, zaś Jakub zadowolił się myciem w korycie obok stajni, wzdychając z lubością, gdy kubek za kubkiem wody spłukiwał z niego brud. Przebrał się w ubranie pożyczone od głównego stajennego, a swoje wyprał, po czym wszedł do gospody. Wszystkie oczy skierowały się ku niemu.

– Czy to prawda, co mówi ta kobieta, że przeżyliście burzę? – spytał właściciel.

– To prawda – potwierdził Jakub.

Właściciel postawił przed nim parującą miskę i tacę z niekwaszonym chlebem.

– W jaskini?

– W dwóch jaskiniach – odparł Jakub, po czym nie powiedział nic więcej, zanim nie skończył drugiej miski. Gospoda stopniowo wypełniała się okolicznymi mieszkańcami, chętnymi, by posłuchać tej historii. Kobiety zeszły na dół, czyste i świeże, choć w ich oczach wciąż widać było trud i wysiłek – ślad dopiero co przeżytych ciężkich chwil. Stwierdziwszy, że nie da rady zjeść więcej, Jakub odsunął wreszcie od siebie miskę i opowiedział wszystkim, co im się przydarzyło.

Julia i Helena siedziały naprzeciw niego i jedząc przyglądały mu się. Zoe nie chciała usiąść przy stole; wołała zająć miejsce ze służącymi na tyłach izby. Helena ani Julia nie odezwały się do chwili, aż sprzątnięto ze stołu ich miski i podano herbatę. Helena ujęła kubek w obie ręce i powiedziała cicho:

– Wszystko, co mówi Jakub, to prawda. Jesteśmy tu dzięki jego odwadze i mądrości. I dlatego, że Pan Bóg się o nas zatroszczył.

– Nie mieliśmy żadnych wieści ani z południa, ani ze wschodu – powiedział właściciel gospody.

– Nie przejeżdżała tędy żadna karawana?
– Przed wami, dobrzy ludzie, nie przejeżdżał tędy ani wielbłąd, ani koń, ani człowiek.

– Czy u was też była burza? – spytała Julia.

– Wzgórza nieco nas ochroniły. Ale tak, burza tędy przeszła. Większość ludzi przez kilka dni nie wychodziła z domu.

– Dobrze, że ta burza nie przysłała tydzień wcześniej, bo stracilibyśmy plony z owoców i drzew oliwnych – dodał ktoś z zebranych.

Właściciel gospody zabrał pustą miskę Jakuba.

– Niektórzy powiedzieliby, że to znak.

– Albo cud – dopowiedziała jakaś kobieta.

– Dokładnie to słowo mam w głowie od chwili, gdy dotarliśmy do jaskini – potwierdziła Julia.

Oczy Heleny przebiegły po otaczających ją twarzach.

– Jesteście wyznawcami Drogi? – spytała.

– Tak, pani. Jesteśmy. Niektórzy już od jakiegoś czasu. Inni dopiero od kilku dni.

– Ja dopiero od trzech dni – powiedziała cicho Helena. – Czy tu się coś wydarzyło? Czy stał się jakiś cud?

Jakub często rozmyślał nad tym słowem. *Cud*. Uratowanie przez Albana, spotkanie po latach z siostrą, przyjaźń z Linuksem, uzdrowienie Abigail, przeżycie tej burzy. Doświadczył tak wielu cudów... Nie spodziewał się, że za chwilę do tej listy dołączy kolejny.

– Tak, pani – w rozmyślenia Jakuba wdarł się głos właściciela gospody.

– Niedawno odwiedził nas tu jeden z tych, którzy chodzili po tej ziemi z Jezusem, nauczyciel o imieniu Filip. Przemawiał, a nam się zdawało, jakbyśmy nie człowieka słuchali, ale głosu samego Boga. Ochrzcił prawie

całą wioskę – mężczyzna uśmiechnął się na samo wspomnienie o tym wydarzeniu. – Przyszedł razem z innymi z Jerozolimy.

Ktoś z tłumu dodał:

– I z tą kobietą z Sychar. Miała na imię Helzebe.

Głowa Heleny błyskawicznie zwróciła się w stronę mówiącego.

– Helzebe z Sychar tu była?

– Tak. Podróżowała z dwiema innymi kobietami z Jerozolimy. Jedna to Marta – ona dobrze знаła naszego Pana, a ta druga...

Jakub wstał, jakby pociągnięty do góry przez jakąś niewidzialną rękę.

– Abigail? – zapytał z niedowierzaniem.

– Znasz ją?

– To moja siostra!

Przez tłum przeszedł szmer, jakby wiatr poruszył łanami pszenicy. Jedna z kobiet powiedziała:

– Abigail nauczła nas przez cały dzień i sporą część nocy, a potem znów następnego ranka.

– Jej twarz była wypełniona tym samym światłem co twarz Filipa, gdy mówił o Jezusie – powiedział ktoś inny.

– A gdzie oni teraz są? – spytała Helena.

– Poszli na północny zachód, razem z uczniem Jezusa i tym rzymskim żołnierzem – powiedział właściciel gospody.

– On był Gallem – poprawił go jeden z mężczyzn – i już nie pełnił służby jako żołnierz.

– Alban – rzekł Jakub.

– Znasz tego człowieka?

– To mój opiekun. Ostatni raz, gdy go widziałem, był bardzo chory.

– Gdy był u nas, czuł się już lepiej, choć wciąż był jeszcze słaby. Mówił niewiele, ale jak już się odezwał... – właściciel gospody potrząsnął głową. –

Zostałem ochrzczony, a rzymski setnik objął mnie i nazwał swoim bratem. Aż się rozplakałem.

– Ja też – powiedział ktoś inny.

– A wiecie, dokąd się udali? – spytał raz jeszcze Jakub.

– Ja wiem, bo mój kuzyn poszedł z nimi jako strażnik. Szli do Nain.

Ta kobieta, Abigail, miała przejąć stragan przy złączeniu dróg.

– Czy Helzebe poszła z nimi? – spytała Helena.

– Tak, pani. Miała im pomóc się urządzać.

– To ja muszę iść do Nain – powiedziała Helena.

– Rozumiem cię, pani – Jakub skinął głową, próbując ukryć troskę w głosie.

– Czy ta zmiana planów cię niepokoi? – spytała Julia szeptem.

Jakub potwierdził ruchem głowy i odpowiedział ściszym głosem:

– Jamal powierzył cię i twoją matkę mojej opiece, ale powierzył mi też pewną pilną sprawę. Muszę jechać do Joppy. Już i tak mam opóźnienie.

Helena musiała to usłyszeć, bo rozejrzała się po zebranych.

– Czy jest tu ktoś, kto mógłby odwieźć mnie, moją córkę i służącą bezpiecznie do Nain?

Ludzie zaczęli rozmawiać między sobą, chętnych nie brakowało.

Właściciel gospody donośnym głosem przebił się przez gwar:

– Chętnie ci pomożemy, pani.

– No to załatwione – rzekła Helena. Spojrzała na Julię, która skinęła głową.

– Jakubie, możesz wykonać rozkazy Jamala.

– Skoro jesteście w dobrych rękach i zechcesz pozwolić mi jechać dalej, pani, to ruszam natychmiast – Jakub uklonił się.

– Jak to? Już teraz? – spytała Julia.

Jakub starał się ukryć zmęczenie.

– Sprawa, z którą posłał mnie Jamal, jest niezwykle pilna. Powinienem wyruszyć, póki sprzyja mi światło dnia oraz pogoda. I muszę znaleźć posłańca, który pojedzie do mojego pana i przekaze mu, że ty, twoja matka oraz Zoe jesteście bezpieczne.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Równiny Megiddo

Zmiana, którą Julia zaobserwowała w matce od chwili, gdy ta uznała Jezusa jako swego Mesjasza, była doprawdy niezwykła. Zoe również to zauważyła. Julia nie czuła już, że musi być dla swej matki ochroną. Helena wydawała się zdolna do podejmowania własnych decyzji. Nawet straszne chwile męki przeżyte podczas burzy, a potem niekończąca się podróż przez piaszczyste bezdroże nie wywołały u niej kolejnego bólu głowy.

A teraz Helena znów ją zaskoczyła. Julia nie wierzyła własnym uszom, gdy matka zdecydowała, że nie pojedą dalej do Joppy, jak to zaplanował Jamal, lecz zboczą do Nain, żeby odwiedzić dawną przyjaciółkę mamy. Bo Helzebe z pewnością była tylko nikłym wspomnieniem z dzieciństwa, choć od czasu swego nawrócenia Helena wielokrotnie prosiła Zoe, by opowiedziała jej o tym, jak Helzebe spotkała Pana.

Julia miała świadomość, że będzie im brakowało obecności i mądrości Jakuba. Przez moment wahała się, czy nie należy wszystkiego rozważyć na nowo – bo może to nierozsądne z ich strony, że same chcą zdecydować o innym celu podróży? A jeśli się na to zdecydują, to jak i kiedy będą mogły wrócić do Tyberiady? Wszak Jamal spodziewał się, że pod opieką Jakuba dotrą bezpiecznie do Joppy...

Gdy Jakub przygotowywał się do podróży, Julia poczuła potrzebę, by jeszcze raz z nim porozmawiać. Gdy do niego podeszła, właśnie mocną linką przywiązywał do grzbietu osła pakunek z zapasami.

– Martwisz się, że nie jedziemy z tobą dalej, tak jak to było w planie? – zagadnęła go.

– Przeciwnie, myślę, że jest to odpowiedź na moją modlitwę.

– A czy mój ojciec nie odniesie wrażenia, że nie posłuchaliśmy jego rozkazów?

– Nie ma już karawany, która gwarantowałaby wasze bezpieczeństwo. Żebym nie wiem jak się starał, w pojedynkę wam go nie zapewnię.

– A co będzie z tobą?

– Gdyby twoja matka nie zasugerowała, że pojedziecie gdzie indziej, zostałbym tu z wami, aż moglibyśmy przyłączyć się do innej karawany jadącej na zachód. Ale po takiej burzy wszelkie podróże chwilowo ustały. Moglibyśmy czekać kilka dni, może nawet tygodni. A potem miałbym kolejny dylemat: wysłać was z powrotem do Tyberiady pod opieką kogoś innego, czy wracać z wami i nie wykonać tego drugiego zadania? W obu przypadkach nie byłbym w stanie usłużyć Jamalowi tak, jak powinienem.

Julia powoli pokiwała głową, a Jakub wrócił do swojej pracy. W jego słowach było coś więcej niż zapewnienie, że wszystko jest w porządku. Była w nich siła i mądrość.

– Twoja matka się zmieniła – powiedział Jakub przez ramię, wiążąc ciasno węzeł. – Zauważyłem to w tym krótkim czasie, odkąd dołączyła do nas jako wierząca w Jezusa. Jest teraz silniejsza. Lepiej sobie radzi z wyzwaniem, które niesie życie – spojrzał szybko na Julię, zastanawiając się najwyraźniej, czy może pozwolić sobie na ten osobisty komentarz.

– Ja też zauważyłam tę zmianę – przytaknęła Julia.

– To dla niej okazja, by spotkać się z innymi wierzącymi, nim wróci do Tyberiady – kontynuował, zachęcony usłyszaną odpowiedzią. – To może być to, czego potrzebuje, żeby umocnić swą wiarę.

Julia poczuła ogromną ulgę słysząc, jak Jakub wypowiada na głos to, o czym ona również myślała.

– Też mi się tak wydaje.

– Chciałbym... Chciałbym z wami zostać i potem odwieźć was bezpiecznie do domu, ale muszę wyruszać – dodał z odwróconą twarzą.

– Rozumiem – Julia ściszyła głos i ośmieliła się spytać: – Czy wiesz jakieś ostrzeżenia dla... dla wierzących w Joppie?

Krótko potrząsnął głową.

– Dostałem jeden kontakt w Joppie. Mam zobaczyć, czy... czy oni mają jakieś wieści. Nic poza tym.

Julia skinęła głową. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna pytać dalej, ani też opóźniać jego wyjazdu.

– Macie wystarczająco dużo monet? – spytał.

– Więcej niż trzeba na nasze skromne wydatki – zawahała się. – A ty?

– Wyciągnąłem ze skrzyni tyle, ile potrzebuję. Zdam sprawę Jamalowi, ile wzięłem...

Machnęła ręką na to zapewnienie.

– Dziękuję ci za twoją mądrość i za troskę o nas. Gdybyśmy zostały z karawaną, z pewnością byśmy zginęły.

– To Bogu należą się dzięki.

Julia zdobyła się na nikły uśmiech. Poczowała, jak ogarnia ją niespodziewane ciepło.

– Sądzę, że Jego słudzy też czasem potrzebują usłyszeć słowa wdzięczności.

Spojrzał na nią w sposób, w jaki nigdy wcześniej nie patrzył. Bez słowa, z tęsknotą, jakby chciał zapamiętać każdy rys jej twarzy. Julia poczuła, jak jej policzki oblewają się rumieńcem.

– Niech Bóg będzie z tobą, Jakubie. Będę czekać na twój bezpieczny powrót.

– Będę wdzięczny za wszelkie modlitwy – odrzekł i zaraz się od niej odwrócił.

Julia patrzyła, jak Jakub odchodzi. Zastanawiała się, czemu nagle poczuła się opuszczona i samotna...

*

Julia i Helena przygotowywały się do snu w pokoju na poddaszu, w domu wierzących.

– Czy nie jest to dla ciebie dziwne, że nalegałam na tę podróż do Nain? – spytała Helena, przeczesując włosy palcami.

Julia, które właśnie rozkładała maty i ścieliła na nich pośłania, odwróciła się na te słowa.

– Nie. Dlaczego dziwne? Mówiłaś, że pamiętasz ją z dzieciństwa.

– Helzebe? Tak, choć słabo.

– To zrozumiałe, że chciałabyś spotkać się i porozmawiać z kimś z twojego dzieciństwa.

Helena zdjęła sandały i zaczęła masować obolałe stopy.

– Właściwie to mam dwa powody, by z nią porozmawiać. Ona może coś wiedzieć o mojej rodzinie, której nie widziałam od czasu, gdy zamieszkałam w Tyberiadzie. Nigdy nie dowiedziałam się, na co umarła moja matka – umilkła i przez chwilę wyglądała przez okno. – I intryguje mnie to, co Zoe opowiadała o Helzebe. Pomyśleć tylko, że przywódca religijny miałby przebaczyć...

– On nie był przywódcą religijnym. On był – to znaczy jest – Mesjaszem.

– Tak, oczywiście. Nie miałam na myśli tego, że... W każdym razie, trudno mi w pełni zrozumieć fakt, że On przyszedł. Ten, o którym od dawna słyszeliśmy, na którego czekaliśmy. To się wydaje takie niemożliwe, a jednak...

– Tak, wiem.

– Nigdy nie sądziłam, że dożyję takiego błogosławieństwa.

Julia uśmiechnęła się i podeszła, by objąć matkę. Z jej serca wypłynęła żarliwa modlitwa dziękczynienia. *Mama jest wierząca!*

Gdy Julia się odsunęła, Helena zdjęła wierzchnią szatę i odrzuciła ją na bok. Ubranie z ozdobnymi haftami, które na skutek nalegań Jamala zabrała w podróż, było pogniecione i pokryte warstwą pyłu, a i tak nie bardzo pasowało do tej wioski, zamieszkałej przez prostych ludzi. Z drugiej strony ona, przyzwyczajona do spania na wysokim łożu, w jedwabiach, przygotowywała się teraz do spania na macie.

– Widziałam, że rozmawiałaś jeszcze z Jakubem, nim wyjechał.

Julia skinęła głową.

– Czy był zdenerwowany tym, że zdecydowałam się nie jechać do Joppy?

– Nie, wcale. Stwierdził, że to bardzo dobry pomysł, by odwiedzić Helzebe i innych wierzących, zanim wrócisz do Tyberiad.

– Życie jest dziwne, prawda? Gdybyśmy nie wybrały się w tę podróż, przed którą tak się broniłam, nie złapałaby nas burza i nie schronilibyśmy się w jaskiniach. A gdyby nie było z nami Jakuba, zginęłybyśmy. Idąc dalej, gdybyśmy nie były zmuszone do spędzenia wspólnie tego przerażającego czasu, nie poczułabym potrzeby poznania twojego Boga. A teraz Helzebe...

Helena potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Życie naprawdę jest dziwne. I pełne cudów.

Helena spojrzała na Julię.

– Mój umysł bardzo się uspokoił, odkąd uwierzyłam. Ale jest jedna rzecz, która wywołuje we mnie wewnętrzny konflikt.

Helena popatrzyła w okno, a Julia czekała.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, że trudno ci wybaczyć ojcu? – powiedziała wreszcie Helena. – Ja nie czuję, że potrzebuję mu wybaczyć. Ale... – zawahała się, jakby te słowa były trudne do wypowiedzenia. Julia znów czekała.

– Niewiele wiem na temat wiary – rzekła, patrząc na Julię. – Lecz wiem, że istnieją bardzo restrykcyjne prawa religijne dotyczące... utrzymanek. Pamiętam kobietę z naszej wioski, wyrzutka. Wszyscy jej unikali. Mówiono nawet o ukamienowaniu. Byłam jeszcze dzieckiem, ale prześladowało mnie to i nadal mnie to prześladowuje. Nie wiem, co się z nią stało. Chyba została wygnana z domu, pewnie została żebraczką.

Julia milczała. Uważnie słuchała słów matki.

Zauważyła w niej dużą różnicę. Zamiast kobiety wyglądającej na zagubioną, zdezorientowaną, widziała przed sobą wyprostowaną, przemawiającą silnym głosem.

– Już nie będę się bała, jeśli twój ojciec zdecyduje się mnie odesłać – kontynuowała Helena. – Nie będzie mi to miłe, lecz rozpaczać również nie będę. Jeśli to jest to, co Pan uzna za... słuszne, nauczę się to znosić.

– Och, mamo – Julia usiadła na macie i objęła Helenę ramieniem.

– Nie żałuj mnie – powiedziała Helena pewnym głosem – Obie jesteśmy pod Bożą opieką. Łatwo mi jest zawierzyć Mu swoją przyszłość. Ale muszę przyznać, że trudniej mi zawierzyć Mu ciebie i twoją przyszłość. Nie mogę znieść myśli, że zostaniesz żoną człowieka niewierzącego. Modłę się i modłę, ale nie przychodzi żadna odpowiedź. Albo ja żadnej nie słyszę.

Julia nie mogła wydobyć z siebie słowa. Matka, za którą tyle czasu żarliwie się modliła, teraz z kolei modliła się w jej intencji. To wzruszyło ją do głębi.

Helena wytarła łzy rękawem szaty.

– Wciąż wierzę, że... że coś się zmieni. Nie wiem, jak i kiedy, ale Bóg na pewno to uczyni.

Julia zacieśniła uścisk na ramionach mamy, po czym wstała i poszła położyć się na swojej macie. Nie chciała nawet myśleć o tej strasznej perspektywie małżeństwa. Przerazało ją to i smuciło. Sięgnęła po koc i podciągnęła go pod brodę. Ranek nadejdzie prędko. Była zmęczona długim dniem. Chciała zasnąć, ale zatroskanie matki o jej przyszłość zburzyło spokój myśli.

Helena jeszcze nie skończyła.

– Nie widzę tego, by droga do prawdziwego szczęścia wiodła przez bogactwo. Nieważne, jak bogata i wpływowa jest ta rodzina, ich dom i tak może wypełniać smutek. I myślę, że twój ojciec też nie odnalazł szczęścia w swoim bogactwie. Zamiast tego jest ono wielkim ciężarem dla jego umysłu. Teraz wiem, że są rzeczy warte znacznie więcej. Takie jak przebaczenie. Wiara. Gdyby tylko twój ojciec mógł odkryć ten *prawdziwy* skarb... Modłę się, by tak się stało.

Ja też – Julia nie wypowiedziała na głos tych słów.

W pokoju zapadła cisza. Na zewnątrz panowała noc, jakże spokojna po burzy. Gdzieś w oddali zabeczała owca. Julia już zasypiała, gdy jej matka odezwała się znowu.

– Obserwowałam Jakuba. Wygląda na to, że ma o tobie wysokie mniemanie.

Serce Julii zaczęło bić szybciej.

– Czemu tak mówisz, mamo?

– Widzę, jak na ciebie patrzy. Zwłaszcza, gdy jesteś odwrócona. On widzi cię taką, jaka jesteś. Atrakcyjną, silną, inteligentną kobietę. Wyczytuję to w jego oczach.

– Oj, mamo – Julia położyła dłonie na płonących policzkach.

– Są, oczywiście, pewne komplikacje. Jesteś córką Jamala. Ale gdyby nie to i gdybyś już nie była komuś obiecana... Mnie się Jakub podoba.

Julia nie odpowiedziała, a i Helena już się nie odezwała.

Mimo wyczerpania Julii trudno było uspokoić rozpędzone myśli i zasnąć.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Równiny Megiddo

Tydzień, który nastąpił po burzy wypełniły gorączkowe prace. Wiele straganów trzeba było odbudować od podstaw. Alban, Abigail, Zoe i Marta pomagali innym, zyskując sobie jeszcze więcej przyjaciół. Pracowali do późnych godzin wieczornych, często śpiąc w tylnej izbie bez okien, zamiast wracać stromą drogą do Nain. Gdy wreszcie nastał szabat, wszyscy potrzebowali odpoczynku. Kobiety dołączyły do nabożeństwa w rozpadającej się synagodze. Później, po wieczornym posiłku, wyznawcy Drogi zebrali się przed domem Abigail. Wydawało im się to zupełnie naturalne, by spotykać się w małych grupkach i rozmawiać o Jezusie; o tym, co dla każdego z nich znaczyło Jego życie, śmierć i zmartwychwstanie.

Tej nocy Abigail nie spała spokojnie. W końcu podniosła się z posłania i wyszła cicho z domu. Stojąc na skraju zбочa patrzyła, jak gwiazdy świecą

na niebie i znów rozmyślała nad zmianami, które zaszły w jej życiu. Była niczym liść targany silnym wiatrem.

W dole rozciągały się puste, srebrne równiny Megiddo. W przeciwieństwie do pól samarytańskich, Megiddo było suche jak pustynia, z jałową piaszczystą ziemią, na której prawie nic nie rosło. Gdy Abigail mieszkała w Jerozolimie, słyszała opowieści o samarytańskich pustkowiach oraz ich znienawidzonych mieszkańcach, którzy stracili swoje dziedzictwo i zanieczyścili hebrajską wiarę. A teraz to był jej dom i ku swemu zaskoczeniu była z tego zadowolona.

Pustka tej krainy była dokładnie taka, jak jej wcześniej opisywano. Ale wiedziała, że Bóg jest z nią. Abigail patrzyła w niebo. Nie modliła się głośno, lecz czuła otaczającą ją obecność Ducha Świętego. Jej bliskość z Bogiem była głębsza, niż mogłyby to opisać jakiegokolwiek słowa.

Tu, na tym milczącym pustkowiu, doświadczyła czegoś niemożliwego: cudów przemienionego życia wielu ludzi, cudów uzdrowienia. Jej córeczka była szczęśliwa. Starzy przyjaciele zostali u jej boku i pomogli zaprzyjaźnić się z nowo poznanymi osobami. Odnalazła nowe sposoby, aby służyć, odkryła pole, które potrzebowało żniwa, zupełnie jak przepowiedział Pan: całe wioski głodnych serc pragnących poznać Mesjasza.

Gdy Abigail wróciła na swoje posłanie, postanowiła rozpocząć spotkania kobiecej grupy modlitwy i nauczania. Rozmawiałyby o prawdach, których nauczyły się od Piotra i innych uczniów w Jerozolimie; modliłyby się za siebie wzajemnie i za wspólnotę w Nain.

Następnego wieczora Abigail, Marta oraz Helzebe zamknęły stragan po kolejnym pracowitym dniu spędzonym na rynku i przygotowały się do powrotu stromą, krętą drogą.

Syn Yelbana wskazał ręką i zawołał:

– Ktoś do nas jedzie!

Kobiety przystanąły i przysłoniły oczy, chroniąc je przed blaskiem zachodzącego słońca. Od razu zauważyły, że tym razem to nie jest karawana.

*

Julia stała pod daszkiem chroniąc się bardziej przed tłumem niż przed słońcem. Dotarli do Nain poprzedniego wieczora, zmęczeni i pokryci pyłem po całym dniu podróży. Ku ich zaskoczeniu i uldze, zostali serdecznie przywitani nie tylko przez Helzebe, która szybko wyszukała im kwaterę, ale przez całą wspólnotę wierzących, którzy zebrali się, by ich pozdrowić.

To było dziwne uczucie, znaleźć się wśród obcych ludzi, którzy traktowali ich jak przyjaciół. Obserwowała ich i wciąż na nowo odkrywała, że wspólnota wierzących jest inna niż jakakolwiek znana jej grupa ludzi. A Alban? Julia przypatrywała się zwłaszcza jemu, zastanawiając się nad wpływem, jaki ten człowiek miał na życie Jakuba.

Ich nowi przyjaciele zebrali się teraz wokół Albana i żegnali się z nim, bo wyruszał do Kafarnaum. Julia słyszała, jak długo nie widział się już z żoną i synkiem, i widziała w jego oczach radosne oczekiwanie. Czuła, że choć trochę rozumie jego uczucia. Czyż i ona nie reagowała podobnie za każdym razem, gdy przychodziła wiadomość, że karawana ojca zbliża się do domu?

Grupa utworzyła krąg wokół Albana. Kładli ręce na jego głowie i ramionach i modlili się o bezpieczną podróż dla niego. Modlili się za Leę, która czekała na niego w domu z małym Gabrielem i za Jakuba, który zmierzał w kierunku Joppy.

Lecz to nie był koniec modlitw. Modlili się, aby w codziennym życiu Albana jego świadectwo o zmartwychwstałym Panu wybrzmiewało głośno

i prawdziwie, i aby inni, którzy będą mu towarzyszyć w podróży, byli wiarygodnymi świadkami, gdziekolwiek się udadzą.

Alban i towarzysząca mu mała grupka usłyszeli mnóstwo pożegnalnych błogosławieństw, słów zachęty i cytatów z Pism, by ich umacniały w podróży. To było niesamowite i w oczach Julii pojawiły się łzy wzruszenia. Była to najbardziej różnorodna grupka, jaką można było sobie wyobrazić: Żydzi, Samarytanie, Rzymianin, Grecy – wszyscy tworzący jedno dzięki Temu, który zaledwie kilka lat wcześniej wyszedł od Boga i do Boga powrócił. Był to z pewnością żywy dowód na to, że wieczne prawdy, objawione przez Jezusa tu na ziemi oznaczały, że przemiana jest nie tylko możliwa, ale też może być prawdziwa.

Julia ujrzała, że właśnie podchodzi do niej mężczyzna, którego przedtem znała jako głównego strażnika karawan jej ojca.

– Jedź z Bogiem – szepnęła.

Alban skinął głową i powiedział:

– Gdy następnym razem zobaczysz Jakuba, powiedz mu, proszę, że codziennie o nim myślę. I poproś go, by był ostrożny – oboje się uśmiechnęli. – Będę modlił się o jego bezpieczny powrót. I o twój też.

Wędrowcy wyruszyli w drogę, odprowadzani przez wielu, aż zniknęli za pierwszym zakrętem. Julia stała niedaleko Heleny. Wyciągnęła do niej rękę i stanęła bliżej.

– Czemu mam wrażenie, jakbym właśnie pożegnała się z drogim członkiem rodziny? – spytała Helena.

– Pewnie dlatego, że on teraz *jest* twoją rodziną. To są więzi bliższe, niż do tej pory odczuwałyśmy.

Helena w zamyśleniu patrzyła na pustą drogę.

– Rodzina... – powtórzyła. – Tyle jeszcze muszę się nauczyć.

– Chyba dobrze wypoczęłaś.

Helena odpowiedziała nikłym uśmiechem.

– Siedziałam wczoraj z Helzebe i Martą. Rozmawiałyśmy do późnej nocy.

– Księżyc był już wysoko, a ty jeszcze nie przysłaś się położyć. Już się zastanawiałam, czy nie iść cię poszukać, gdy usłyszałam wasze głosy.

– Helzebe opowiedziała mi swoją historię. Wiedziałaś, że ona miała pięciu mężów?

– Pięć razy została wdową?

Helena potrząsnęła głową.

– Nie powiedziała, jak się skończyło każde z tych małżeństw. Ale potem po prostu żyła bez ślubu z mężczyzną. I wtedy spotkała Jezusa. Poszła do studni po wodę. Kobiety w miasteczku jej unikały, więc chodziła po wodę w porach, kiedy nikogo tam nie było. Ale tego dnia był tam Jezus, ten judejski mężczyzna, nie Samarytanin, i nie z ich miasta. Był sam. Z początku się bała. Nie wiedziała, czy ma się odwrócić i iść do domu bez wody, ale jej potrzebowała, a On zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Dopiero potem odezwał się do niej, co ją zdumiało, bo żaden Żyd nie odzywał się do Samarytanina – a już na pewno nie do samarytańskiej kobiety. Ale on w miłych słowach poprosił ją o wodę. Powiedział jej, że jest obiecany przez Boga Mesjaszem. I, co było jeszcze bardziej szokujące, zdawał się wszystko o niej wiedzieć, a mimo to nie stronił od niej. Zwracał się do niej z szacunkiem, jakiego nie doznawała od nikogo. To chyba najbardziej ją do Niego przyciągnęło. Potem opowiedział jej o żywej wodzie – takiej, która zaspokoi jej potrzeby przez całe dni, przez lata. Odkryła, że jej serce pragnie tej żywej wody. Gdy w końcu zostawiła Go przy studni i pobiegła do domu, nie chowała się ze wstydu. Wołała każdego, kogo napotkała, by poszedł i posłuchał Jezusa. Była przekonana, że On jest tym, za kogo się podaje: Mesjaszem.

Helena spojrzała w twarz Julii.

– Pomyśl tylko, Mesjasz rozmawiający z kobietą, i to taką, która żyje z mężczyzną bez ślubu. Przynosi jej pokój i przebaczenie. Czy to nie jest niesamowite?

Julia skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy. Helena płakała po cichu; jej mokre od łez oczy były pełne blasku, a na twarzy pojawił się uśmiech, który wyrażał radość, jakiej Julia nigdy wcześniej u niej nie widziała.

– I On mi również przebaczył! Ten sam Pan. Ten sam Bóg. Mój Mesjasz. On mi przebaczył!

– Mnie też – powiedziała miękko Julia. – Mnie też.

– Ale wciąż mam wiele pytań – Helena znów popatrzyła na pustą drogę. – We trzy rozmawialiśmy o tym, co powinnam zrobić. Kobiety nie dały mi żadnych porad czy instrukcji, ale pomodliłyśmy się razem. Marta stwierdziła, że Duch Święty mnie oświeci, wskaże mi drogę i da siłę oraz mądrość, bym podjęła właściwą decyzję.

Wyglądała na spokojną, pewną siebie.

– I tak będzie – mówiła dalej. – Jestem tego pewna. Gdy patrzę na to, jak przeprowadził nas przez burzę, a potem przywiódł tu, żebyśmy mogły spotkać się z Helzebe, Abigail i Martą – postrzegam to wszystko jako cud. Nauczyło mnie to, że cokolwiek niesie przyszłość, mogę to powierzyć Jezusowi. Marta powiedziała, że decyzja może nie być łatwa, ale przyniesie mi pokój. I tego właśnie pragnę. Tego chyba wszyscy pragniemy. Pokoju w umyśle i w duszy.

Julia uścisnęła matkę.

Pokoju... Tak.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Na wschód od Jerozolimy

Ze względu na bezpieczeństwo Jakub, gdzie tylko to było możliwe, trzymał się bardziej uczęszczanych dróg rzymskich. Po południu drugiego dnia ominął łukiem wzgórza Jerozolimy od strony wschodniej i zatrzymał się na noc w tym samym wężowiu, w którym spał po odłączeniu się od karawany Jamala. Wiedział, że osły mają wyjątkowo czułe zmysły i lekki sen, i że jeśli zwietrzą lub usłyszą intruza, to go zaalarmują, w związku z czym spał głęboko. Następnego ranka po pospiesznym śniadaniu dotarł do punktu, gdzie zbocza wzgórz stykały się z kamiennymi przybrzeżnymi równinami. Teren stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Z Jerozolimy w kierunku zachodnim, na judejskie równiny, schodziła tylko jedna główna droga. Na podróżujących wtedy nieszczęśnikach żerowali zarówno zeloci, jak i bandyci. Szlak był patrolowany przez rzymskich żołnierzy, ale przecież nie mogli oni

być wszędzie. Jakub zachowywał pewną odległość od drogi i jadąc, cały czas rozglądał się uważnie we wszystkich kierunkach.

Za nim droga wiała się w stronę jerozolimskich wzgórz jak żółta wstążka stykająca się z bezchmurnym niebem. Przed sobą, tam, gdzie droga prostowała się i biegła przez równinę, zauważył sylwetkę idącego mężczyzny. Zbliżywszy się do niego spostrzegł, że mężczyzna niesie na ramieniu skórzany worek i opiera się na długiej lasce. W sposobie jego chodzenia było coś znajomego. Jakub dotknął piętami boków osła, by przyspieszyć i dogonić wędrowca.

Słońce paliło mocno, a jego promienie odbijały się od skarłowaciałej roślinności i skał. Jakub był coraz bardziej pewien, że zna tego mężczyznę.

– Pozdrawiam cię w imieniu Pana! – zawołał, gdy dzielił ich krótki dystans.

Mężczyzna zatrzymał się i uniósł dłoń.

– Pokój Jezusa niech będzie z tobą, przyjacielu.

Nikły dreszcz przebiegł po plecach Jakuba.

– Filip?

– Tak, to ja. Znam twój głos.

– To ja, Jakub.

– Podopieczny Albana – Filip ustąpił ze ścieżki, gdy Jakub do niego podjechał. – Czemu podróżujesz sam w tych niebezpiecznych czasach?

– Służę u kupca Jamala. Posłał mnie do Joppy. A ty?

– Bóg wysłał do mnie anioła – powiedział tak zwyczajnie, jakby mówił o pogodzie. Wskazał przed siebie, na rozstajne drogi. Dwa główne szlaki wiodły na północ, do Cezarei i na zachód, do Joppy. Ale była jeszcze jedna pomniejsza droga, właściwie ścieżka. Jakub wiedział, że prowadzi ona na południe, do Gazy.

– Anioł kazał mi iść drogą w stronę Gazy. I oto jestem. Dlaczego mam tu być, nie wiem. Myślisz, że może dlatego, że miałem spotkać tu ciebie?

– Przyjacielu, muszę cię ostrzec, że droga do Gazy jest prawie całkowicie opustoszała z powodu bandytów. Bezpieczniej by było iść prosto do Joppy, a potem skręcić na południe.

– Być może – odparł Filip. – Ale anioł dał mi wyraźne polecenie. Idę tam, gdzie Pan mnie poprowadzi.

Jakub rozejrzał się i znów przeszedł mu po plecach dreszcz.

– Jadłeś już coś?

Filip poklepał worek przerzucony przez ramię.

– Wierzący z Jerozolimy byli dla mnie bardzo hojni. Ale mam mało wody.

Jakub pośpiesznie odwiązał swój bukłak. Gdy Filip się napił, Jakub stwierdził:

– Musisz być bardzo zmęczony, skoro idziesz aż z Jerozolimy.

– Miałem osła, ale okulał.

– To dalej pojedziesz na tym – Jakub przerzucił większość ładunku z drugiego osła na własne siodło. Zabezpieczył resztę zapasów, narzucił koc na grzbiet zwierzęcia i pomógł Filipowi go dosiąść. Gdy znów byli na szlaku równoległym do rzymskiej drogi, Jakub obejrzał się na wzgórza za nimi. Wiedział, że jeśli wybiorą tę drogę, to grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. A jednak... Nie potrafił powstrzymać wewnętrznego głosu, który skłaniał go, by towarzyszył Filipowi. W tym momencie zniknęły wszelkie myśli o pilnym zadaniu od Jamala. Jakub był całkowicie skupiony na Filipie.

– Anioł, powiadasz?

Filip podjechał do przodu, by podążali obok siebie.

– Spałem głęboko w dolnej izbie u twojej siostry. Usłyszałem, że ktoś mnie woła i wyszedłem na skraj miasteczka, tam, gdzie otwiera się widok na dolinę – Filip mówił z dystansem i spokojem. – Słyszałeś, że twoja siostra mieszka teraz w Nain, miasteczku obok wielkiego połączenia dróg na równinach Megiddo? Alban przekazał jej tam stragan na rynku.

Wiadomość ta wyzwoliła w Jakubie wiele pytań, a mimo to jedyne, które wypowiedział brzmiało inaczej.

– A mogę spytać, co powiedział ci anioł?

– Zalało mnie światło, potężne i silne. Wiedziałem, że właśnie doświadczam cudu. Ukląkłem na piachu. Anioł powiedział mi, że mam udać się drogą wiodącą z Jerozolimy do Gazy. Nic więcej. Niczego więcej ode mnie nie chciał.

Jakub zawahał się.

– Gdybym miał szansę porozmawiać z Bożym posłańcem...

– To miałbyś do niego tysiąc pytań. Tak, rozumiem. Gdyby ktoś opowiedział mi o takim zdarzeniu, odrzekłbym mu dokładnie to samo. Ale to nie było tak.

– A jak?

– Gdy anioł się pojawił i rzekł mi te proste słowa, nie tylko usłyszałem polecenie, ale też czułem Bożą obecność. Nie czułem się potępiony i nie zostałem skarcony. Zamiast tego...

Jakub kiwał głową w zrozumieniu.

– Jesteś Bożym sługą. Pełnisz Jego wolę, jesteś otwarty na Jego rozkazy. Powiedział ci: „Idź”, a ty posłuchałeś.

Filip uśmiechnął się.

– Gdy opowiadałem o tym cudzie w Jerozolimie, potrzeba było kilku godzin, żeby niektórzy z naszej grupy to zrozumieli. Naprawdę jesteś tak mądry i oddany Panu, jak twierdzi twój opiekun.

Jakub odczuwał lęk względem innych przywódców wspólnoty, ale Filip był kimś wyjątkowym wśród uczniów Jezusa. Jak sugerowało jego imię, wychował się w hellenizowanej rodzinie. Razem ze Szczepanem został wybrany do tego, by opiekować się wdowami i sierotami w Jerozolimie. Dobrze pełnił swoją służbę, zwłaszcza wśród ludzi greckiego pochodzenia. Potem został również głosicielem Ewangelii. Cechowała go cichość i prostolinijność. Lubił milczenie i słuchał znacznie więcej niż mówił, a kiedy już się odezwał, to nigdy o sobie. U rozmówców wywoływało to poczucie głębokiej, intymnej relacji – nie z nim, lecz z Tym, któremu Filip służył.

– Mogę spytać o moją siostrę?

– Dobrze się miewa – odparł Filip. – Nowy dom Abigail leży przy cichej uliczce prowadzącej od rynku w stronę wzgórza. To miejsce jest bezpieczne i bardzo spokojne. Ja spałem w dolnej izbie z Albanem, który już czuje się lepiej. Z ganku można w dole dojrzeć rozdroże i równiny Megiddo. Twoja siostra i jej córka powinny tam być bezpieczne. Abigail zaprzyjaźniła się już tam z wieloma ludźmi i służy Panu.

Jakub poczuł ukłucie tęsknoty za siostrą. Wyglądało na to, że owo miejsce będzie jej domem. Cieszył się, że Alban najwidoczniej zaakceptował, że takie życie nie było odpowiednie dla Jakuba, a przynajmniej nie w najbliższym czasie. Teraz Jakub przemierzał żółte pustkowia pod palącym zimowym słońcem, z upalnymi dniami i mroźnymi nocami. Sypiał bez ogniska, otulony tylko jednym kocem, z osłami jako jedynymi towarzyszami podróży. A jednak i wtedy, i teraz wiedział, że właśnie to ma robić do czasu, aż Bóg wskaże mu coś innego.

– Cieszę się, że Abigail i Dorcas znalazły dom.

Filip zerknął na Jakuba i uśmiechnął się cicho.

– Zdaję sobie sprawę z różnicy zdań pomiędzy tobą i twoim opiekunem. Alban mi o tym opowiedział. Mówił też, że ma szczerą nadzieję, że między wami zapanuje pokój. Zasugerowałem mu, że być może Boży plan dla ciebie jest równie unikalny jak twoje dotychczasowe życie.

– Modlę się o Boże prowadzenie.

– Wiem. I Alban też to wie.

Obaj patrzyli na siebie przez chwilę. Jakub cmoknął na osła i powiedział:

– Być uwiązany do straganu na rynku...

– Nie jest to twoim przeznaczeniem.

Głowa Jakub odwróciła się tak gwałtownie, że osioł się potknął.

– Bóg ci to powiedział?

– Nie, mój młody przyjacielu. Ale słyszę pragnienie twego serca i Pan z pewnością też. Widzę, jak twoja siostra kwitnie w Nain. Ona potrzebuje bezpieczeństwa, dobrego miejsca na wychowanie dziecka i służbę we wspólnocie wierzących. A ty, Jakubie, musisz iść za swoim własnym powołaniem.

– Alban się obawia...

– Oczywiście, że martwi się o twoje bezpieczeństwo. Ale jeśli to w ten sposób masz najlepiej służyć naszemu Panu... – Filip uśmiechnął się. – Będę się za was obu modlił. O twoje bezpieczeństwo i o pokój dla Albana w tej sprawie.

– Dziękuję, Filipie – Jakub poczuł nikłe drżenie w sercu. – Mam nadzieję i modlę się o to, abym, jeśli Bóg do mnie przemówi, nie płaszczył się ze wstydu, że wybrałem źle.

– Będę się modlił o to, byś był otwarty na to, aby słuchać Boga, kiedy do ciebie przemówi – powiedział Filip patrząc w oczy Jakuba – a potem byś powiedział po prostu: „Tak, Panie”.

– Masz rację, i nie... – Jakub przerwał, gdy Filip zaczął wyteżać wzrok, wpatrując się w miejsce, gdzie droga skręcała na południe i znikwała za skalistym wzniesieniem. – Co się stało?

– Zdawało mi się, że coś usłyszałem.

Wtedy Jakub również to usłyszał. Przed nimi zza zakrętu dobiegały głosy ludzi i brzęk uprzęży. Jakub wyciągnął rękę, by go powstrzymać, lecz Filip już popędzał ośła do przodu.

– Chodź, mój młody przyjacielu. Jedźmy i zobaczymy, jak Bóg będzie działał.

*

Gdy tylko objechali wzgórze, Jakub ujrzał rozciągnięty na szlaku długi orszak uzbrojonych mężczyzn. Niektórzy z nich jechali konno, ochraniając pięknie zdobiony rydwan jakiegoś bogatego urzędnika. Tak liczny zbrojny oddział był w stanie wystraszyć każdą grupę bandytów.

W oddali droga do Gazy łączyła się z głównym rzymskim szlakiem przybrzeżnym. Rozciągały się tam zaniedbane wioski rybackie. Jakub czterokrotnie przejeżdżał z Albanem tą południową nadbrzeżną drogą. Każda karawana, której strzegli, spotykała podróżnych jadących z Egiptu oraz z położonej na południu pustyni. Alban nauczył Jakuba rozpoznawać obcokrajowców po symbolach na twarzy i ciele. Większość plemion pustynnych podczas rytuału wchodzenia chłopca w wiek męski czyniła nacięcia na jego policzkach. Na rany nakładano mieszaninę smoły i soku z cytryny, więc goiły się dobrze, ale pozostawiały głębokie blizny. Wzór, w który się układały wskazywał, do jakiego plemienia należy człowiek. Umiejętność rozpoznawania tych plemiennych znaków była niezwykle ważna, bo pozwalała uniknąć ewentualnej obrazy, a co za tym szło – konfliktów. Pozdrowienie zwrotem zawierającym odpowiednią nazwę

plemienia odgrywało ważną rolę w pozyskaniu szacunku rozmówcy i chroniło od niepotrzebnej zwady.

Teraz długi orszak mężczyzn dawał odpocząć koniom i posilał się. Gdy podeszli bliżej grupy, Jakub powiedział:

– To Etiopczycy.

– Muszę do nich iść – odparł Filip.

– Radziłbym ci tego nie robić – Jakub wskazał na środek karawany i otoczony strażą rydwan. Był to wielki powóz, jakies trzy razy większy od rydwanów wykorzystywanych podczas bitew. Zaokrąglone boki pokrywała warstwa brązu lub kutego złota, lśniąca w popołudniowym słońcu. W rydwanie znajdowały się trzy osoby: woźnica, sługa trzymający osłonę przed słońcem oraz właściwy pasażer.

– To nie jest zwykły kupiec. Albo królewski poseł albo ktoś... – Jakub przerwał, gdyż Filip jeszcze bardziej popędził osła. Jakub z trudem przełknął ślinę i niechętnie podążył za nim.

Jeden ze strażników szybko ich zauważył i krzyknął coś do żołnierzy stojących przy rydwanie. Trzech konnych wsiadło na rumaki i pogalopowało w ich stronę. Jakub od razu uczynił tak, jak kiedyś poinstruował go Alban. Zsunął się z osła i klęknął na drodze. Zdjął z pasa nóż i położył przed sobą. Potem skłonił tułów ku przodowi i przycisnął czoło do ziemi.

Etiopscy wojownicy musieli właściwie odczytać jego gesty, bo nie wyciągnęli broni. Jakub powoli podniósł głowę i zobaczył, że szyję starszego oficera zdobi złoty łańcuch, gruby niczym wąż. Przy nagiej piersi trzymał miniaturową tarczę. Gdy otworzył usta, Jakub dostrzegł, że dwa przednie zęby zostały wybite, co było kolejną oznaką plemiennej przynależności. Wojownik przemówił słowami, których znaczenie było nietrudne do odgadnięcia.

– Filipie, oni chcą, żebyśmy się stąd wynieśli.

Filip również zsiadł z grzbietu osła, ale stał z wyciągniętymi rękami.

– Pozdrawiam was w imieniu naszego Pana, Jezusa Chrystusa – powiedział po grecku.

Wojownik popatrzył na Filipa nie zsiadając z konia.

– Pragnę pomówić z waszym panem. Powiedz mu, proszę, że przychodzę, niosąc dar życia wiecznego.

Wojownik nie dał żadnego znaku, że go zrozumiał, ale zawrócił konia i podjechał do rydwanu. Powiedział coś do urzędnika, który zaczął im się przyglądać. Dopiero wtedy Jakub zorientował się, co widzi.

– Urzędnik trzyma zwój – powiedział szeptem.

Wojownik zasalutował, po czym w gardłowym języku zawołał coś do swoich ludzi. Człowiek z tylnej straży ruchem ręki pokazał, by Jakub i Filip się przybliżyli.

Serce Jakuba waliło w piersi. Każdy członek orszaku, nawet poganiacze wielbłądów, ubrany był w ozdobne szaty i uzbrojony po zęby. Etiopczyk musiał być niezwykle wpływowym człowiekiem.

Trzej mężczyźni siedzący w rydwanie w milczeniu obserwowali, jak Jakub i Filip zbliżają się ku nim. Szata urzędnika ozdobiona była czymś, co wyglądało na maleńkie klejnoty i każdy jego ruch, każdy najmniejszy powiew wiatru, powodował ukazanie się kolorowej tęczy. Szeroki w pasie mężczyzna miał łagodne rysy, a od jego naoliwionej skóry bił zapach drzewa sandałowego.

Spojrzenie mężczyzny było niezwykle inteligentne, ostrożne i czujne. Jakub nie miał najmniejszych wątpliwości, iż od długiego czasu sprawuje on władzę nad życiem i śmiercią wielu ludzi.

Filip zatrzymał się przy rydwanie, podniósł ręce wierzchem do góry i powtórzył swoje pozdrowienie po aramejsku.

– Co tu robicie? – akcent Etiopczyka wyraźnie zdradzał cudzoziemca, lecz wypowiedziane przezeń słowa były zrozumiałe.

– W nocy przyszedł do mnie anioł Boży – powiedział mu Filip, z szacunkiem schylając głowę. – Nakazał mi udać się na południe. Gdy zobaczyłem twoją karawanę, dostałem polecenie, by się przybliżyć i porozmawiać z tobą.

Etiopczyk przyglądał mu się przez chwilę, po czym podniósł zwój i odwrócił go tak, by Filip mógł go zobaczyć.

– Czy możesz mi powiedzieć, co mam w ręku?

Jakub poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku, a oddech przyspiesza. Ujrzał zwój spisany po grecku, znany jako Septuaginta – dzieło judejskich uczonych. Jakub w młodości studiował jego treść i wiedział, że nazywano go „siedemdziesiątką”, co nawiązywało do liczby tłumaczy. Wszyscy uczniowie już na początku nauki musieli uczyć się na pamięć Pisma proroków w greckim tłumaczeniu. Hebrajska wersja Pism używana była tylko przy odczytywaniu w czasie nabożeństwa szabatowego.

Filip odpowiedział po grecku:

– To księga Izajasza, panie.

Urządник przemówił w tym samym języku:

– Powiedz mi, o czym ona mówi.

Filip zamknął oczy. Jego głos przybrał melodyjny ton szczerego oddania, gdy wyrecytował z pamięci:

– *Prowadzą Go jak owcę na rzeź, i jak baranek, który milczy, gdy go strzygą, tak On nie otwiera ust swoich. W Jego uniżeniu odmówiono Mu słuszności. Któż zdoła opisać ród Jego? Bo Jego życie zabiorą z ziemi.*

Urządnik spojrzał w zwój, uśmiechnął się i z aprobatą skinął głową.

– Jestem Yashkin, skarbnik Kandaki, cesarzowej Etiopii. A ty...?

Filip ukłonił się nisko.

- A ja jestem Filip, sługa Mesjasza.
- Czy rozumiesz, o czym mówi prorok?
- Tak, panie.
- Opowiesz mi?
- Po to tu przyszedłem.

Urzędnik wskazał ręką miejsce obok siebie i powiedział:

- Wejdz i usiądź przy mnie.

Filip wspiął się na rydwan i usiadł obok Etiopczyka na pozłacanej ławce. Razem rozwinęli zwój i położyli na kolanach. Gdy strażnicy wrócili na swoje pozycje, ich dowódca zawołał donośnie i karawana ruszyła dalej. Jakub przywiązał osły do wozu jadącego za rydwanem i zajął miejsce pomiędzy dwoma pojazdami. Poczęstowano go wodą słodzoną sokiem z granatu i miodem, podaną w srebrnym pucharze, po czym przestano zwracać na niego uwagę. Nie przeszkadzało mu to. Był wystarczająco blisko, by słyszeć, co mówi Filip. Choć ta historia była mu już dobrze znana, wciąż miała dlań potężny wydźwięk. To, co zobaczył i usłyszał nie było jedynie sprawozdaniem o tym, że Pan przyszedł, lecz raczej wypełnieniem słów napisanych setki lat przed Jego przyjściem.

Filip się przygotował, a Pan powołał go do służby. Jakub obserwował obu mężczyzn i słyszał dużo więcej niż tylko słowa Filipa. Wiatr niósł inny głos, który mówił prosto do jego serca o byciu uczniem, o przygotowaniu swojego życia, aby być narzędziem dla Pana, i to na sposób, o jakim jeszcze nie myślał.

Po jakimś czasie karawana przejeżdżała obok gaju palmowego.

- Spójrz! Tam jest woda! – zawołał Yashkin. – Czy nie mógłbym zostać ochrzczony?
- Jeśli tego pragniesz – powiedział Filip. – Jeśli prawdziwie wierzysz...
- Wierzę. Wierzę!

Urzędnik nakazał karawanie, by się zatrzymała. Obaj mężczyźni, a za nimi Jakub i kilkunastu strażników przeszli przez piasek do małej oazy, do brzegu źródelka. Yashkin zatrzymał się tylko na tyle, by zdjąć z siebie bogato zdobioną wierzchnią szatę i dać ją słudze, który cały czas szedł u jego boku. Filip wziął Etiopczyka za rękę i poprowadził go do wody. Gdy sięgała im do pasa, Filip ogłosił zdecydowanym tonem:

– Ja ciebie chrzczę w imieniu naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Jak woda obmywa twoje ciało, tak niech Duch Święty oczyści wewnętrznego człowieka. Powstań do życia wiecznego, które zostało dla ciebie przygotowane!

Urzędnik powstał, ocierając twarz zarówno z wody, jak i z własnych łez.

– Amen – powiedział łamiącym się głosem. – Amen.

Obaj wyszli z wody, a głos i dłonie Yashkina wzniosły się w uwielbieniu dla Boga. Jakub podszedł bliżej, by spytać, co Filip ma zamiar teraz zrobić. Czy będą dalej jechać z karawaną Etiopczyka?

Ale ucznia Jezusa już z nimi nie było.

Jakub rozglądał się na wszystkie strony, omiatając wzrokiem strażników i służących. Pomiedzy nimi też przeszedł szmer zdumienia. Strażnicy zaczęli przeszukiwać całą karawanę, ale Filipa nigdzie nie było. Jediną osobą, której zniknięcie Filipa w ogóle nie zszokowało, był sam urzędnik. Wspiał się z powrotem na rydwan, głuchy na wszystko poza radością, która wprost z niego kipiała. Głosem drżącym jeszcze z emocji wypowiedział jakieś słowo, po czym główny strażnik krzyknął i karawana ruszyła dalej na południe.

Jakub stał tak przy drodze, z uzdami osłów w dłoni. Choć karawana zniknęła w złotym pyłe, nadal było jeszcze słycać radosną pieśń Etiopczyka.

To wszystko było takie dziwne i cudowne. A Filip...? Jakub jeszcze raz przeszukał teren dokoła źródła, po czym wspiął się na grzbiet osła i pojechał na północ, a wieczorne powietrze wypełniła jego pieśń uwielbienia.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Cezarea

Po niespodziewanym spotkaniu w domu Korneliusza, Linuks spędził kolejnych pięć dni w garnizonie. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Każdego ranka przychodził do adiutanta komendanta i za każdym razem kazano mu czekać. W tych niepewnych czasach Linuks nie posiadał już sojuszników pośród rzymskich dowódców Judei. Przyjmując go, komendant naraziłby się na niełaskę.

Otuchy dodawały Linuksowi spotkania z wierzącymi. Został ponownie zaproszony na przejażdżkę do domu Korneliusza, setnika kohorty Italskiej. Po modlitwie i rozważaniu Pism Korneliusz dał Linuksowi sygnał, by został. Gdy większość gości opuściła dom, Korneliusz zaprowadził jego i Grattusa, który go tu wcześniej przyprowadził, na dach swojego domu.

Wskazał, by usiadł na ławie z widokiem na morze. Bez wstępnych ceregieli, Korneliusz rzekł:

– To, co tu robimy, nie jest niezgodne z prawem.

Setnik kohorty Italskiej był siwowłosym weteranem o spojrzeniu znamionującym wielkiego dowódcę. Linuks podejrzewał, że doświadczone oczy i uszy tego żołnierza byłyby w stanie uchwycić istotę każdej sytuacji i momentalnie ocenić, gdzie tkwi prawdziwy problem. Tego wieczoru Linuks czuł, że spojrzenie to raz po raz zatrzymuje się na nim. Miał świadomość, że jest oceniany, ale nie miał nic przeciwko temu. Wypełniało go to samo poczucie wszechogarniającego pokoju, którego doświadczył wcześniej na podwórzu w Jerozolimie. Niech Korneliusz patrzy, szacuje i wyciąga wnioski, jak tylko chce.

Setnik wpatrywał się w spokojne wody morza lśniące w blasku księżyca i nie spuszczał z nich wzroku powiedział:

– Jestem lojalnym rzymskim żołnierzem. Służę mojemu krajowi i mojemu cesarzowi. Ale służę też mojemu Bogu. Mamy teraz czasy pełne pytań i niepewności. Nie chcę, by próby poznania Boga doprowadziły moich przełożonych do zwątpienia w moją lojalność wobec Rzymu. Nie chcę też spowodować niebezpieczeństwa na moich przyjaciół i rodzinę, ani na nikogo z wierzących. Dlatego nasze spotkania odbywają się potajemnie i przychodzą na nie tylko ci, których znamy i którym ufamy.

Dach, jak w przypadku wielu judejskich domów, urządzono jako dodatkową izbę na świeżym powietrzu. Wystawiony był na chłodne wiatry wiejące od Wielkiego Morza, ale Linuksowi to nie przeszkadzało. W dwóch niewielkich piecach palił się ogień, a ławę, na której siedział, okrywała zwierzęca skóra. Linuks nie zwracał jednak uwagi na otoczenie; wciąż był pod wrażeniem modlitwy i usłyszanego nauczania.

– W Rzymie dzieją się rzeczy, które dotyczą nas nawet tu – kontynuował Korneliusz. – Nowy cesarz, Gajusz, wznosi świątynię ku czci samego siebie. Inni cesarze też robili takie rzeczy, co cieszy kastę kapłańską, a tłumy lubią tego typu widowiska. Ale Gajusz wydaje się rzeczywiście przekonany, że jest bogiem i teraz oczekuje, że ludzie będą mu składać ofiary całopalne.

Grattus dodał:

– Jest on znany również pod swoim przezwiskiem z dzieciństwa, Kaligula, co znaczy „bucik”. Dostał to przezwisko, gdy jako dziecko pojechał z ojcem na wojnę, ubrany w dziecięcą wersję stroju wojennego.

Linuks poruszył się na ławie.

– Wybaczcie, wolałbym nie poruszać dziś takich kwestii. Niedawno wróciłem z Italii, a będąc tam wysłuchiwałem wielu plotek. Z pewnością niektóre są prawdziwe, może nawet wszystkie. Ale w trakcie obu moich wizyt w twoim domu, Korneliuszu, czułem obecność Ducha Świętego. Proszę, dajcie mi trwać w niej jeszcze trochę.

– Dobrze powiedziane – Korneliusz powoli pokiwał głową. – Ale chcielibyśmy mieć większą jasność na temat tego, kim jesteś, Linuksie Aureliusz. Co cię do nas sprowadza? Co możesz nam powiedzieć o sobie i o swoim dotychczasowym życiu?

Linuks zaczął od początku; opowiedział o swej przyjaźni z Albanem, który wtedy, tak jak on, był rzymskim żołnierzem, i od niezwyklego zadania, by odnaleźć ciało zmarłego judejskiego Proroka. Opowiedział o ucieczce Albana i jego żony na koniu Linuksa, gdy Herod wydał rozkaz, by ich zabito, a następnie o tym, jak zabiegał o rękę Abigail, o interwencji Albana i o przemianie życia.

Mówił długo, aż zaschło mu w gardle. Korneliusz wstał i podał mu herbatę. Linuks opowiedział o swej podróży do Italii, o rozmowie z bratem,

o powrocie i odprawieniu przez trybuna w Jerozolimie. Nim skończył, drewno w piecykach prawie się wypaliło i nawet nocne ptaki ucichły.

Trzej rzymscy oficerowie siedzieli otuleni w zwierzęce skóry i słuchali odgłosu fal rozbijających się o skalisty brzeg.

Korneliusz podpierał dłońmi podbródek.

– Bracie, twoja historia jest dla mnie inspiracją. Mogę cię nazywać bratem?

– Będzie to dla mnie zaszczyt.

– Jest to dość popularne wśród Judejczyków, których w Cezarei jest niewielu. Ale my, wyznawcy Drogi, przejęliśmy od nich ten zwyczaj.

– Jesteśmy związani wiarą w zmartwychwstałego Pana – powiedział Grattus. – I złączeni w Duchu.

– A teraz, gdy odebrano ci dowodzenie garnizonem w Kafarnaum, co masz zamiar zrobić? – spytał Korneliusz.

Linuks milczał przez chwilę.

– Nie mam na to odpowiedzi, bracie. Mogę tylko powiedzieć, że jestem gotowy i chętny, by służyć Panu, kiedykolwiek i gdziekolwiek mnie pośle.

– Podobają mi się twoje słowa i ty sam – w świetle księżycy zęby starszego żołnierza błysnęły w uśmiechu. – Co powiesz na to, by służyć pod moim dowództwem?

Linuks poczuł, jak serce skoczyło mu w piersi.

– Byłby to dla mnie największy zaszczyt. Ale...

– Trybun dwa razy się zastanowi, zanim uczyni coś wrogiego wobec oficera kohorty Italskiej – Grattus również się uśmiechnął.

Korneliusz otwarcie przyglądał się Linuksowi.

– Nowy konsul uczynił mnie odpowiedzialnym za wszystkie garnizony w Samarii. A ja nalegam, by ten teren był regularnie patrolowany i możesz

zgadnąć, jakie są skutki.

– Tracisz ludzi.

– Moje patrole są prawie codziennie atakowane, jak nie przez bandytów, to przez zelotów. Stosuję regularne rotacje, żeby utrzymać morale. Sześć miesięcy służby w patrolach, a potem sześć miesięcy lekkiej służby w garnizonie w Cezarei. Potrzebuję dobrych oficerów. Mogę przedstawić komendantowi twoją kandydaturę w bardzo przekonujący sposób, a dla niego będzie to dobre rozwiązanie problemu natury politycznej. Co na to powiesz?

Linuks z trudem utrzymał spokojny ton głosu.

– Twoje zaproszenie wydaje się odpowiedzią na moje modlitwy, panie.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Równiny Megiddo

Dni Abigail po brzegi wypełniała praca. Tyle trzeba było zrobić i tyle się nauczyć, jeśli chodzi o nadzór nad kupieckim straganem. Zakup towarów na sprzedaż, ustalanie cen, wyszukiwanie najlepszych tkaczy... I tak bez końca.

Choć Helena i Julia przyjechały tu odwiedzić Helzebe, to teraz obie pracowały, pomagając Abigail. Mała Dorcas, która każdy obowiązek i pracę zamieniała w zabawę i rozweselała wszystkich dokoła, bardzo lubiła jako pierwsza obwieścić mamie, że zbliża się karawana.

Lecz nikt nie uwijał się bardziej niż Zoe. Choć role panów i służących wśród wierzących były mniej dostrzegalne, ona miała serce prawdziwej służącej i często wyczuwała, co będzie potrzebne, zanim pojawiała się jakaś

potrzeba. Abigail ze zdumieniem patrzyła na starszą kobietę, która po cichu wykonywała jedną pracę za drugą.

Wraz z innymi wierzącymi w Nain świętowały pięknie szabat. Wszyscy spotkali się w zrujnowanej synagodze, gdzie w żarliwej modlitwie między innymi prosili, by budynek został odnowiony i znów wypełnił się ludźmi chwalącymi Boga.

W następnych dniach Marta sprawdziła się jako zdolna sprzedawczyni. Potrafiła wołać tak głośno, że jej słowa niesły się z jednego końca rynku na drugi. Dorcas lubiła siedzieć wśród tkanin i nawoływać przechodniów, pokazując piękne materiały, a upodobanie do kolorów aż biło z jej małej twarzyczki. Ludzie podchodzili do ich straganu, przyciągnięci widokiem szczęśliwego dziecka i dokonywali zakupów u Marty. Abigail, rozglądając się po dobrze zaopatrzonym straganie, zauważyła, że interes szybko się rozkręca.

Abigail zaczęła chodzić od domu do domu i wyszukiwać kolejnych zdolnych tkaczy. Yelban za nią poręczył, co bardzo pomagało w nawiązywaniu kontaktów. Abigail często zostawała, by porozmawiać z kobietami i opowiedzieć im Ewangelię Jezusa. Emanujące z niej naturalne ciepło rozbierało nawet najbardziej sceptycznych spośród tych, których wcześniej oszukiwali jej poprzednicy. Początkowo Abigail zastanawiała się, czy to wypada, by mówiła o Niebie gdy przychodziła w interesach. Potem jednak odkryła, że jest to nieodłączna część jej życia. Była szczera, mówiła prawdę, dzieliła się z głębi serca i na zaufanie zawsze odpowiadała zaufaniem.

Wkrótce ludzie zaczęli zatrzymywać ją w miasteczku i na drodze. Szukali jej, prosili, by się z nimi pomodliła, opowiadali o swoich troskach związanych z chorobą, problemami sercowymi, troską o męża czy o dziecko.

Przekazywali jej towar niemal bez negocjowania ceny. Zaskarbiła sobie zaufanie całej okolicy. Budowała na fundamencie zaufania i wiary.

I właśnie te dwie rzeczy przyczyniły się do wybuchu konfliktu z Szymonem.

Zaczęło się niewinnie. Szymon, wcześniej ochrzczony przez Filipa, uczęszczał w szabat na nabożeństwa do synagogi. Przychodził też wraz z innymi do domu Abigail, modlił się i słuchał.

Lecz w inne dni tygodnia wciąż nosił szaty zdobione tajemniczymi napisami, a włosy oplatał rytualnymi sznurkami. Wykonywał amulety dla tych, którzy chcieli zaskarbić sobie łaski niewidzialnych sił i żądał za to zapłaty.

Szymon robił subtelne aluzje, zadawał nieśmiałe pytania dotyczące mocy Jezusa. Wyrażał wątpliwości co do tego, czy mieszkańcy miasteczka naprawdę muszą zrezygnować z samarytańskich zwyczajów. Ogłosił, że wiosną planuje poprowadzić grupę pielgrzymów na górę Garizim, gdzie mieli szukać inspiracji i umocnić się w poszanowaniu starych tradycji.

Abigail nie wypytywała nikogo o Szymona. Nie musiała. Mieszkańcy miasteczka byli zdezorientowani i coraz bardziej zaniepokojeni, bo czuli się rozdarci. Pytali Abigail co robić, jak reagować. Abigail, podobnie jak Marta, odpowiadała najlepiej jak umiała, ale żadna z nich nie do końca wiedziała jak się zachować.

Abigail dużo modliła się w tej sprawie. Modliła się za Szymona, rozmawiała z Martą, Helzebe, Heleną i Julią. I wciąż nie miała jasnego spojrzenia na tę sprawę.

*

Nadszedł dzień, w którym Helena, Julia i Zoe miały wrócić do Tyberiady. Jedna z karawan Jamala, obozująca w pobliżu przez dzień i dwie noce

zmierzała do Nabatei przez Tyberiadę. Dla kobiet nadarzyła się świetna okazja, by bezpiecznie wrócić do domu.

Helzebe planowała wyruszyć razem z nimi i wrócić do swojej rodziny. Kobiety pożegnały się z Martą i Dorcas, po czym Abigail odprowadziła je do karawany.

Mistrz karawany dał im osły, przydzielił im też jednego ze swych ludzi jako osobistego strażnika, wychodząc z założenia, że w końcu ma do czynienia z rodziną swego pana.

Helena uściskała Abigail i powiedziała:

– Twój przykład jest jak światło, które będzie mnie oświecać.

– Heleno, nie trzeba...

– Nie, proszę. Nie chcę udać się w drogę, nie wypowiedziawszy tych słów – wzięła głębszy oddech i mówiła dalej: – Nauczyłam się tak wiele od ciebie – z twoich czynów i słów. Bóg nie dał ci idealnego życia, a ty mimo tego zamieszania jesteś żywym dowodem Jego pokoju w sercu. I za to pozostaję twoją dłużniczką.

– A mnie wypełniają ogromne wątpliwości – wyznała Abigail. – Często owłada mną strach i zmartwienie.

– I dlatego twoje życie jest dla mnie taką lekcją. Masz problemy, ale Bóg jest z tobą i pomaga ci przez nie przejść. A ja muszę się tego nauczyć, zobaczyć to u kogoś. Krocę z Bogiem dopiero od niedawna i muszę się jeszcze dużo nauczyć.

Abigail przetarła mokre od łez oczy.

– Nieraz budzę się w nocy i wciąż tęsknię za Jerozolimą.

– Jerozolimy, którą znałaś, już nie ma – powiedziała Helzebe. – Byłaś tam. Widziałaś, jak wszystko się zmienia.

– Widziałam – przyznała Abigail. – A jednak...

Helzebe dotknęła jej ramienia.

– Tu jesteś bezpieczna, a oni cię potrzebują. Jerozolima pozostanie w twoich wspomnieniach. Zostań, gdzie jesteś, Abigail. Kochaj córeczkę i służ Panu.

Pożegnanie z Helzebe była trudniejsze niż Abigail się spodziewała.

– Stałaś się dla mnie jak siostra – powiedziała, obejmując ją.

– Nie zasługuję na takie dary – odparła Helzebe. Rysy jej twarzy odzwierciedlały trudy życia, które pozostawiła za sobą.

– Nikt z nas nie zasługuje – powiedziała Abigail. – Każdy niesie ciężar minionych rzeczy, których nie powinniśmy byli zrobić i tych, które należało uczynić.

– Tak – powiedziała Helzebe. – Tak, to prawda.

Gdy Abigail odwróciła się, by uściskać Julię, dziewczyna powiedziała:

– Gdyby Jakub tędy wracał...

– Tak?

– Nie, nic... – potrząsnęła głową i odsunęła się.

Abigail spojrzała pytająco na Helenę, która ze smutkiem obserwowała w milczeniu córkę.

Przyszła kolej na pożegnanie z Zoe. Starsza kobieta wróciła do roli służącej. Stała cicho z rękami złożonymi przed sobą i wzrokiem utkwionym w ziemię pod stopami.

– Zoe, moja droga, jesteś takim błogosławieństwem – rzekła jej Abigail. – Dziękuję, że stałaś się częścią naszej małej społeczności i że masz oczy, które widzą potrzeby innych. Będę bardzo za tobą tęsknić.

W oczach Zoe odmalowało się zaskoczenie. Na moment porzuciła swą rolę i stała się jak matka, którą Abigail straciła i do której tęskniła jak małe dziecko. Wyciągnęła dłoń i delikatnie odgarnęła z twarzy młodej kobiety kosmyk włosów, po czym pozwoliła ręce zsunąć się po policzku i popatrzyła jej głęboko w oczy.

– Niech Bóg przywróci tym pięknym oczom radość, moja córko – powiedziała – i niech zabierze ten ból, który w nich widać. Przed tobą jeszcze długie życie. Przeżyj je w radości dla Niego i w jego imieniu.

Pocałowała ją w jeden policzek, potem w drugi.

Kobiety wsiadły na osły. Mistrz karawany okrzykiem dał sygnał do odjazdu i karawana zaczęła opuszczać zagrodę.

– Jedźcie z Bogiem! – zawołała Abigail.

Oczy Heleny spojrzały na nią znad szala i napełniły się łzami.

– Gdy Jamal spyta, co sędzę o nowym zarządcy straganu, powiem mu, że jesteś darem od Boga.

Abigail stała w miejscu i machała im. Kolejne pożegnanie, kolejne rozstanie, kolejny kawałek jej serca oderwany przez czas i odległość... Machała, aż na wschodzie nie widać było nic oprócz tumanu kurzu.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Równiny Megiddo

Abigail rozkładała właśnie towary na straganie, gdy pojawił się syn Yelbana. Skinął głową pokazując, że chciałby pomówić z nią na osobności. Gdy wyszli na zewnątrz, powiedział łagodnie:

- Mamy problem. Musisz przyjść.
- Najpierw muszę zająć się córeczką.
- Jest z twoimi przyjaciółmi. A to nie może czekać. Chodzi o przyszłość naszego miasteczka.

Syn Yelbana miał na imię Aboud, co było popularnym samarytańskim imieniem pochodzącym od Abła. Był wysoki jak na czternastolatka i miał pociągłą twarz o inteligentnym spojrzeniu i ujmującym uśmiechu. Lecz dziś malowała się na niej powaga i gniew. Poprowadził Abigail boczną uliczką za stertę beczek. Abigail chciała zapytać, dokąd idą, lecz syknął gwałtownie.

Zrozumiała, że są w niebezpieczeństwie i cała zeszywniała, bo właśnie zauważyła obcego mężczyznę.

Aboud po cichu ruszył dalej, pokazując jej ręką, by szła za nim. Odsunął tkaninę, stanowiącą fragment ściany w gospodzie jego ojca, dzięki czemu Abigail widziała, co dzieje się w środku, sama pozostając niezauważona.

Ujrzała wewnątrz dziewięciu mężczyzn. Rozsiedli się na ławach i najwygodniejszych siedzeniach. Dwóch kolejnych, odwróconych do Abigail plecami, stało przy wejściu do gospody. Cała jedenastka ponurym wzrokiem obserwowała front gospody. Abigail zobaczyła jeszcze dwóch mężczyzn pilnujących koni. Podciągnęła szal wyżej na twarz i oparła się instynktowi, który kazał jej natychmiast uciekać. *Bandydzi* – pomyślała.

Choć pozostawała w ukryciu, miała wrażenie, że mężczyźni mogą wyczuć jej obecność, niczym wilki świadome, że ofiara jest w pobliżu, czekające na sposobny moment, by zaatakować.

Usłyszała głos Yelbana, pełen tego samego niepokoju i napięcia, które widać było na twarzy jego syna.

– Żądacie od nas rzeczy niemożliwej.

– Bzdura – człowiek, który z nim rozmawiał, wyróżniał się wzrostem nawet gdy siedział. Miał długą brodę. Posługując się srebrnym szpikulcem, wsadził sobie do ust oliwkę i siorbnął głośno z kubka. – Interes świetnie ci idzie, przyjacielu.

– Żądacie więcej niż wynoszą nasze zyski.

– Zatem będziecie po prostu musieli podnieść ceny, czyż nie?

– Karawany przestaną się tu zatrzymywać...

– A gdzie mają iść? – Bandyta miał przypasane dwa zakrzywione noże.

Dwa inne, proste, były przymocowane do pleców, a na jego kolanach leżał łuk. Wszyscy jego ludzie byli podobnie uzbrojeni. – Ten rynek jest jedynym

w promieniu wielu mil. Aż do Ginaj nie ma nic. Na północny zachód najbliższej jest dopiero Nazaret, na północny wschód Tyberiada, a na południowy zachód nie ma w ogóle nic!

– Tutejsze rodziny nie będą miały utrzymania i pomrą. Miasteczko...

– Nic im nie będzie, wytrzymają. Czyż nie to robią przez całe stulecia samarytańskie miasta i wioski? Czyż nie wytrzymują?

Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się okrutnie.

Za zadaszeniem gospody, w promieniach słońca, stało sztywno trzech miejscowych strażników. Bandyty zupełnie ich ignorowali. Abigail rozumiała, dlaczego. Bandyty byli wojownikami, zabójcami, a strażnicy prostymi mieszkańcami, uzbrojonymi jedynie w laski i długie noże.

Yelban spojrzął na swych strażników, a potem jego wzrok powędrował dalej, poza rynek, daleko, gdzie majaczyło na horyzoncie samotne wzgórze.

Bandyta najwyraźniej wiedział, co Yelban myśli.

– Przyjacielu, jeśli polecisz ze skargą do Rzymian, to osiągniesz jedynie tyle, że zmienią naczelnika rynku.

Aboud zeszywniał i sięgnął po nóż, który miał przy pasku. Abigail z całej siły chwyciła go za rękę. Aboud odwrócił się do niej, spojrzął w oczy i niechętnie skinął głową. Abigail nie cofnęła ręki, dopóki chłopak nie puścił rękojęści noża.

– Rzymianie przyjdą – mówił bandyta – i zażądają zapłaty za ochronę. Może nie w srebrze, jak ja. Może każą ci dać paszy dla pięćdziesięciu koni i nakarmić pięćdziesięciu mężczyzn, a ponadto zapasów do swojej twierdzy. Dadzą ci na to kwit, ale nigdy nie zapłacą. Czy nie dlatego przestałeś z nimi robić interesy, że dają kwitki z obietnicą pieniędzy, ale srebra nie przynoszą?

Yelban przygryzł kawałek wąsa i nie odpowiedział. Wciąż patrzył na twierdzę na samotnym wzgórzu.

– Więc teraz chcesz iść do Rzymian, a od miesiący nie chcesz z nimi robić interesów. Jak widzisz, obserwowałem cię i wszystko wiem. Rzymianie zażądają zapłaty i będą was strzec. Ale jak długo? Tydzień? Miesiąc? A potem sobie pójdą. Bo są Rzymianami, a tacy jak ty i ja jesteśmy dla nich nikim. Nikim!

Bandyta powoli wstał. Jego lekki ton zmienił się w jadowite warczenie.

– Gdy sobie pójdą, ja wrócę. A ty, mój przyjacielu, umrzesz. Ty, twoja żona i twój syn.

Skinął na swoich ludzi. Wszyscy powstali, opuścili gospodę i poszli do swoich koni. Byli ubrani na czarno jak Arabowie. Długie płaszcze powiewały za ich plecami niczym skrzydła upiornych ptaków. Przywódca bandytów wsiadł na konia, podjechał do wejścia do gospody i krzyknął:

– Wrócę niedługo! I lepiej bądź przygotowany!

*

Tego dnia nie było żadnych innych podróżnych. Mieszkańcy miasteczka zebrali się w gospodzie Yelbana, a ich narada przeciągnęła się do późnego popołudnia. Wniosek był smutny; uznali, że nie istnieje dobre wyjście z tej sytuacji. Żądania bandytów zrujnują ich. Jeśli zdecydują się zapłacić haracz, będą musieli przeszło dwukrotnie podnieść ceny. A to oznacza, że ich rynek, a wraz z nim całe miasteczko, zniknie w piachu.

Gdy wszyscy tak dyskutowali, Abigail czuła na sobie liczne ukradkowe spojrzenia. Nawet Marta od czasu do czasu na nią zerknęła. Wreszcie wstała i powiedziała, że wszyscy powinni pomodlić się o Boże prowadzenie.

Yelban przygryzł koniec wąsa.

– Masz rację.

Mężczyzna siedzący obok niego wymamrotał:

– Może czas, żeby Szymon wykonał nowe amulety.

Ktoś inny parsknął.

– A co nam to da, poza tym, że będzie nas kosztowało więcej srebra?

– Jest czarownikiem! – zawołał ktoś inny.

Nagle pojawiło się więcej głosów, gwałtownie broniących lub oskarżających Szymona. Abigail czekała i nic nie mówiła.

Yelban przez jakiś czas pozwalał, by dali upust frustracji, po czym podniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że moja żona była chora, kobiety pomodliły się, a Pan wysłuchał. Moja żona jest teraz zdrowa.

– Ale za moje dziecko też się modliły – zaprotestował ktoś inny. – I chłopak nadal jest chory.

– Pamiętasz, że nie obiecywały nic poza tym, że poproszą swojego Boga? – odpowiedziała jedna z kobiet. – Dają innym wszystko prosto z serca i nic w zamian nie oczekują.

– I kiedy się odzywają, mówią tylko prawdę – dodała inna, kiwając głową.

– Moje serce przepęlnia radość – zgodził się ktoś inny. – A czy czarownik oferował nam kiedyś coś innego niż strach? Czy kiedykolwiek coś dał i nie żądał w zamian więcej?

Abigail czekała, aż jedynym dźwiękiem było beczenie owiec w pobliskiej zagrodzie. Gdy zaczęła mówić, głos jej drżał.

– Zawsze czułam się nieswojo, przemawiając do większej grupy ludzi. Ale któregoś wieczoru zrodziło się we mnie przekonanie, że powinnam zacząć spotkania dla kobiet. Możemy się zbierać razem, rozmawiać o Pismach i modlić się o nasze bezpieczeństwo, za nasze rodziny i przyjaciół.

Mężczyzna, który radził, by zwrócić się do Szymona, machnął ręką.

– Mówimy o zagrożeniu naszego dobrobytu, a nawet naszego życia, tymczasem jedyne, co ona ma do powiedzenia, to rada, żeby kobiety się modliły?

– Niech mówi!

– Co dobrego może z tego wyniknąć? Kobiety będą siedzieć w kółku, podczas gdy bandyci przyjadą z pochodniami i mieczami!

Yelban podszedł i stanął naprzeciw niego.

– Gdy ja dziś stałem przed bandytami, to nie widziałem, żebyś ty był gotów okazać jakąkolwiek pomoc...

Mężczyzna wymamrotał coś pod nosem, po czym uciął pod gniewnym spojrzeniem Yelbana.

– Mów – zwrócił się Yelban do Abigail.

– Widziałam działanie mocy Bożej – powiedziała głosem, który w jej własnych uszach brzmiał dobitnie i mocno. – W życiu innych, i w moim też. Nie mam żadnej gotowej odpowiedzi. Tak wiele jest rzeczy, których nie wiem. Ale wiem, że Bóg jest wielki i że czeka na to, że się do Niego zwrócimy, i że będziemy w tym wierni. Musimy skupić się na Nim, zwłaszcza gdy czasy są ciężkie, a jutro niepewne. Bo w takich czasach jak te, gdy najbardziej Go potrzebujemy, Bóg da nam mądrość, sprawi cuda.

Donośny głos Marty zabrzmiał w ciszy jak dzwon:

– Moja siostra mówi prawdę!

Gdy już nikt nie protestował, Abigail rzekła:

– Proszę teraz tych, którzy trzymają się Jezusa, by dołączyli do modlitwy.

W tym momencie Abigail doświadczyła obecności Ducha Świętego. Inni wskazaliby na to czy tamto i stwierdzili, że był to cud spowodowany modlitwą. Lecz Abigail by się z tym nie zgodziła. Bo byli jeszcze tacy, którzy chcieli dyskutować i tacy, których strach był na tyle wielki, że nie

stanęliby nawet sami na drodze. Mimo to zapadła cisza potężniejsza niż po prostu brak jakichkolwiek dźwięków czy głosów. Niektórzy w gospodzie i na zewnątrz, w jej pobliżu, wstali jak gdyby podniesieni z krzesel, ruszeni z miejsc, i wyszli. Bez protestów, bezdźwięcznie, poza sandałami uderzającymi miękko o podłogę z desek.

Tych, którzy zostali, było więcej niż tych, którzy wyszli. Lecz liczby nie miały takiego znaczenia jak milcząca zgoda. Tu pozostali wierni. Tu pozostali ci, którzy dzielili z nią niezachwiane przekonanie w obliczu próby.

Abigail została wypełniona spokojem i mocą, o której wiedziała, że pochodzi spoza niej; siłą tak wielką, że przewyższała jej wątpliwości i wahania. Przynajmniej na tę chwilę.

– Weźmy się za ręce i módlmy się – powiedziała Abigail. – Bóg czeka, by wybawić nas z tych trudności. Tak jak już wielokrotnie to czynił. On jest tu teraz z nami. I zostanie z nami na zawsze.

*

– Podróźni! Podróźni jadą!

Dzieci przyniosły te wieści wśród okrzyków, machania rękami i dzikich tańców. Wiadomość o nowych przybyszach zawsze wprowadzała ożywienie i podniecenie.

Abigail podniosła głowę oczekując, że ujrzy zbliżającą się karawanę, ale niczego nie dostrzegła. *Chyba nie bandyci?!* Mrużyła oczy przed popołudniowym słońcem, próbując rozeznaczyć, czy mała mgiełka kurzu w oddali to rzeczywiście jacyś ludzie, czy to tylko cienie tak padają. Nie była w stanie nic dojrzeć. Ale chłopcy wciąż biegali od straganu do straganu i wykrzykiwali, że ktoś nadjeżdża.

Czyżby trzymały ich się psoty i...? Odwróciła się i zaczęła liczyć plecione kosze, umieszczone na hakach wbitych w ścianę.

Podbiegł do niej syn Yelbana.

– Jadał podróżni! – powtórzył wymachując rękami.

– Nie widzę nikogo – odparła i znów wyteńczyła wzrok w stronę słońca.

– Nie. Nie z tej strony. Stamtąd – wskazał ręką.

Nie była to karawana, ale na szczęście również nie grupa jeźdźców w powiewających ciemnych płaszczach. Piesi. Niektórzy z tobołkami na plecach, inni z laskami. Nawet z daleka wyglądali na zmęczonych. Abigail patrzyła na nich przez chwilę, po czym zwróciła się do chłopaka:

– Ojciec będzie potrzebował twojej pomocy. Oni na pewno będą chcieli coś zjeść i napić się.

Aboud skinął głową i pobiegł do gospody.

Obserwując zbliżających się podróżnych Abigail miała dziwne wrażenie, że jest coś znajomego w rosnym mężczyźnie, który zdawał się nadawać tempo innym. *Kto to może być?*

Gdy byli bliżej, usłyszała głośny śmiech, a jej serce podskoczyło w piersi. *Rybak? Czy to może być Piotr?* Abigail patrzyła intensywnie i wreszcie nie miała wątpliwości. To był on.

Prawie wybiegła ze straganu. Szybko zorientowała się, że obok niego idzie Jan. *Piotr i Jan! Ale jak to...?*

Oni wydawali się tak samo zaskoczeni, że ją widzą.

– Abigail, kochana! – głos Piotra zagrział w całym rynku. – Oczom nie wierzę! Jak się miewasz, córko?

Położył silne dłonie na jej ramionach, jak ojciec witający się z dzieckiem.

Abigail poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Nie myślała, że zobaczy jeszcze kogoś z Jerozolimy. Nie tu, w Samarii.

Piotr cofnął się, by spojrzeć jej w twarz.

– Straciliśmy z tobą kontakt. Zastanawiałem się, gdzie się podziałas ty i nasza droga Marta. Jest może z tobą?

– Jest – odpowiedziała Abigail. – I będzie tak samo zaskoczona jak ja. Chodźcie, proszę, i zjedzcie coś z nami. Zamknę stragan i zabiorę was do mojego domu. Tam jest Marta, opiekuje się Dorcas. Teraz na rynku nic się nie dzieje, jest spokojnie.

Abigail szybko policzyła, ile jest osób. Pięć. Nie powinna zatem mieć problemu, żeby ich nakarmić. Przywitała resztę, po czym poszła zamknąć stragan. Ledwie zaczęła znosić towary do środka, gdy przybiegł Aboud.

– To twoja rodzina? – spytał zdyszany.

– Są dla mnie jak rodzina. Ale nie łączą nas więzy krwi. Ich przywódca, ten największy, to Piotr, uczeń naszego Pana. A tamten to Jan, kolejny z Jego dwunastu wybranych. Reszty jeszcze nie znam, ale jestem pewna, że też są wierzący.

Aboud skinął głową.

– A co ich sprowadza do Samarii?

– Jeszcze nie spytałam.

– Ja tu za ciebie pozamykam. Idź do domu z gośćmi. Ojciec pewnie będzie chciał wiedzieć, czy przemówię do zgromadzenia dziś wieczorem.

Abigail uśmiechnęła się. Bardzo chciała znów posłuchać nauczania Piotra.

– Poproszę ich.

Zostawiła stragan w rękach Abouda i poprowadziła przybyszów do swojego skromnego domu na wzgórzu. Przez całą drogę rozmawiali i śmiali się. Piotr chciał wiedzieć, co się dzieje u Albana, Lei i Jakuba, a Abigail z chęcią zaspokoila jego ciekawość. Opowiedziała też o straganie i domu, zaznaczając, o ile bezpieczniej czuje się tutaj niż w Jerozolimie.

Piotr spoważniał. Prześladowania wyznawców Drogi nie ustawały. Człowiek zwany Szawłem z Tarsu bezlitośnie wyłapywał wierzących w Mesjasza.

Gdy dotarli do domu, Abigail zaprosiła ich do głównej izby, która służyła jako kuchnia i pokój dzienny. Zawołała do Marty i Dorcas, które były na górze:

– Przyprowadziłam Piotra! Jest też Jan! I inni z Jerozolimy!

W ten sposób wywołała radosny chaos – wszyscy zaczęli mówić w tym samym czasie. Zadawali pytania i odpowiadali, a na niektóre na razie nie było odpowiedzi. Za każdym razem, gdy ktoś miał pusty kubek, Marta dolewała mu herbaty. Abigail przygotowała ze skromnych zapasów lekki posiłek, podczas którego rozmawiali o tym, jak działał Bóg przez ten czas, gdy się nie widzieli.

Gdy wreszcie rozmowy nieco ucichły, Abigail zadała pytanie, które bez wątpienia cisnęło się też na usta Marty:

– Mogę spytać, co was tu sprowadza?

Ciemne oczy Piotra przybrały ten sam świdrujący wyraz, który już nieraz widziała.

– Słyszeliśmy, że nawet Samarytanie stają się wierzący. Filip, ewangelista, opowiadał nam, jak wielu ludzi tutaj odpowiada ochoczo na Dobrą Nowinę. Przyszliśmy się przekonać, czy ci nawróceni ludzie rzeczywiście idą za zmartwychwstałym Panem. A jeśli tak, to chcemy ich dalej nauczać.

Abigail uśmiechnęła się.

– Tak, idą za Panem. To prawda. Wielu z nich odnalazło wiarę – zastanowiła się, czy nie dodać, że są również tacy, którzy wolą szukać rady u czarownika, ale zamiast tego rzekła:

– I ucieszę się, że chcecie ich nauczać. Właściwie to Yelban, naczelnik straganów na rynku, spytał, czy możemy urządzić spotkanie dziś wieczorem, żeby ludzie mogli przyjść i posłuchać słów naszego Pana z twoich ust.

Piotr skinął głową, uśmiechnął się i zwrócił się do swych towarzyszy:

– Nasze modlitwy zostały wysłuchane, zanim się tu na dobre rozgościliśmy.

*

Wieczorem zebrali się na placu w miasteczku. Abigail nie mogła uwierzyć, jak szybko rozeszły się wieści. Ludzie przybyli nawet z pobliskich wiosek. Widziała na ich twarzach ogromne zainteresowanie. Piotr zwrócił się do tłumów donośnym głosem, odpowiednim do swojej postury, i nikt nie miał trudności, by go usłyszeć. A mówił o zmartwychwstałym Mesjaszu – o Jego misji, śmierci i zmartwychwstaniu, które otworzyło wszystkim drogę do Ojca.

– Wiercie w Niego! – głosił. – Wiercie w Niego i przyjmijcie dar Jego świętego Ducha.

Następnego wieczora zebrał się jeszcze większy tłum, a wśród nich Abigail z obawą wypatrzyła Szymona. Widziała, jak ciemne oczy czarownika obserwują każdy ruch Piotra i Jana. Gdy ci zaprosili zebranych do przyjęcia Ducha Świętego, wielu prosiło, by położyli na nich ręce i pomodlili się za nich. Serce Abigail stanęło na moment, gdy zobaczyła, że czarownik przepycha się przez tłum, też chcąc dostać się do Piotra.

Grupka miała już się rozejść na odpoczynek, kiedy Szymon wreszcie stanął przed Piotrem. W ręku miał sakiewkę z pieniędzmi.

Abigail modliła się z jedną z kobiet, ale była na tyle blisko, by usłyszeć, co mówią.

– Jestem pod wrażeniem! Naprawdę – z tonu czarownika przebijała pycha. Abigail słyszała brzęczenie monet, którym najwyraźniej chciał przykuć uwagę Piotra. – Ile by to kosztowało, aby otrzymać dar, który posiadacie? Przydałby mi się...

– Myślisz, że możesz kupić dar Boży? – ton Piotra był groźny, a jego oczy odbijały migoczący blask pochodni, które otaczały plac. – Schowaj pieniądze. Tym, co masz w tej nędznej sakiewce nie jesteś w stanie kupić niczego, co miałoby wartość w wieczności! Niech twoje pieniądze przepadną wraz z tobą! Bo zginiesz, jeśli nie odwrócisz się od tej niegodziwości. Nie masz żadnego udziału w tym dziele, ani zrozumienia, jeśli myślisz, że my, Jego wyznawcy, szukamy złota. Lepiej odwróć się od tego wielkiego grzechu, póki jeszcze masz czas. Pokutuj i módl się, żeby Bóg w swym miłosierdziu uznał za słuszne, by ci odpuścić.

Mężczyzna padł na kolana i wyciągnął ręce, by uchwycić się szaty Piotra.

– Proszę... proszę... módlcie się za mnie. Nie chcę, by padł na mnie gniew Boży. Proszę! Pomóż mi, proszę!

Abigail kładła się spać z burzą zalewających ją emocji. Cieszyła się z wizyty gości z Jerozolimy i ze znajomego, lecz zawsze świeżego przesłania, które głosił Piotr, natomiast odczuwała lekki smutek z powodu tego, że jest tak daleko od wspomnień o Jerozolimie, mimo że są one słodko-gorzkie, i martwiła się trochę sytuacją, która zaszła pomiędzy Piotrem i czarownikiem. Zanim zamknęła oczy, odłożyła lęki na bok i jeszcze raz pomodliła się za Piotra.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Joppa

Samotna postać schodziła ostrożnie przybrzeżną dróżką, zmierzając w stronę domu bogatego kupca, którego rodzinne korzenie były równie odwieczne, jak samo miasto. A Joppa naprawdę była wiekowym miastem, obmurowanym, z kamienną barykadą wygiętą niczym kwarta księżyca wokół naturalnego portu. Wzdłuż murów, niczym filary podtrzymujące niebo, wznosiło się siedem wież strażniczych. Jednak ten starożytny port już dawno przekroczył swoje granice i znacznie więcej ludzi mieszkało poza murami miasta niż w ich obrębie.

Dom kupca, do którego zmierzał mężczyzna, stał na wzgórzu, mniej niż pięćset kroków od głównej ulicy. W przeciwieństwie do większości miast, rynek w Joppie nie leżał w centrum, lecz biegł wzdłuż portu. Droga portowa zakręcała, dopasowując się do linii brzegowej, a była na tyle

szeroka, że ustawiano wzdłuż niej przenośne stragany, z których sprzedawano ryby i świeże produkty. Nawet teraz, przed wschodem słońca, czuć było wszechogarniający zapach ryb i rybich odpadków. Mężczyzna w płaszczu, z kapturem naciągniętym na głowę tak, by nie było widać jego twarzy, wzdrygnął się z powodu przykrej woni i przyspieszył kroku.

Z przeciwnego kierunku do tego samego domu na wzgórzu zmierzał inny mężczyzna. Kupiec nie zwracał uwagi na otoczenie. Towarzyszył mu strażnik i dwóch dorastających synów. Pochodnia strażnika rzucała migoczące refleksy na pustą ulicę.

Gdy mała grupka stanęła przed domem, strażnik zrobił krok w przód i zastukał w drewniane drzwi. W oczekiwaniu na odpowiedź, kupiec rzucił nieuważne spojrzenie na okolicę. W końcu służący otworzył zasuwę.

– Jestem umówiony z twoim panem, Izaakiem – warknął, niezadowolony z długiego oczekiwania, a służący skulił się, z ukłonem zapraszając mężczyznę i jego synów do środka.

Zanim jednak zdążył zamknąć drzwi, zablokowała je drewniana laska, a trzymający ją w ręku człowiek powiedział:

– Szukam kupca Izaaka.

Niski, nieco zgarbiony mężczyzna stał tuż przed drzwiami, a jego ręka szybkim ruchem powstrzymała strażnika, który już chciał dobyć noża zza pasa, by pozbyć się intruza. W tym momencie nadszedł gospodarz.

– Kto ośmiela się przychodzić przed świtem? – spytał Izaak, gestem nakazując gościowi i jego synom, by się przesunęli.

– Przysłała mnie człowiek, którego obaj uważamy za przyjaciela.

Izaak zawahał się, po czym ruchem ręki nakazał służącemu, by szerzej otworzył drzwi. W świetle bijącym od pochodni ujrzeli człowieka o twarzy zupełnie zakrytej pod ciemnym kapturem. Strażnik po cichu wyjął nóż.

– Odsłoń twarz! – zażądał Izaak.

– Nie śmiem, panie. Wokół są wrogowie – mężczyzna zniżył głos, by usłyszał go tylko Izaak.

Kupiec przyjrzał się zakrytej postaci, po czym rzekł:

– Właśnie dlatego muszę zobaczyć twoją twarz. Zdejmij kaptur i powiedz, kim jesteś!

Zamiast tego tajemniczy nieznajomy wyciągnął rękę, w której trzymał list zapieczętowany czerwonym woskiem.

– Jeśli naprawdę jesteś tym, którego szukam, mogę ci zdradzić tylko to imię.

Izaak z wahaniem zrobił krok do przodu. Wziął list i przyjrzał się pieczęci.

– Wpuść tego człowieka.

– Panie... – chciał zaprotestować strażnik.

– Zostań tu – Izaak oglądał dokładnie pieczęć, ale listu nie otworzył. – Muszę z nim porozmawiać.

Zamaskowany mężczyzna wszedł do domu.

– Sam na sam – dodał.

*

Izaak szybko załatwił interes z drugim kupcem i jego synami i osobiście pożegnał ich w drzwiach, podczas gdy Jakub czekał w pokoju obok. Pozostał zamaskowany, bo tak było najlepiej. Czego się nie widziało, tego nie można było przekazać dalej. Po krótkiej rozmowie Jakub, niezauważony przez nikogo, opuścił domostwo kupca.

Teraz przeszedł główną ulicą prowadzącą do centrum miasta i zatrzymał się przed bramą synagogi. Przekonawszy się, że jest za wcześnie, przeszedł przez plac do gospody na rogu ulicy, obok stajni, gdzie zostawił swoje zwierzęta. Jedząc wspominał czasy, gdy jako młody chłopak biegał

z innymi sierotami po zaułkach w Jerozolimie, by zdobyć informacje dla Albana. Myślał o tym, jak wiele czasu upłynęło, jak bardzo się zmienił. Doszedł do punktu, w którym nawet najtrudniejsze wspomnienia miały swoją wartość.

Zostawił monety na stole i dołączył do tłumu ludzi idących w stronę synagogi. Wielu starszych i bogatych wchodziło z brodami wciąż ociekającymi po rytualnej kąpieli. Jakub dołączył do tłumu służących i wiejskiej biedoty, która zostawała na pokrytym pyłem podwórzu synagogi. Wziął udział w porannej modlitwie, po czym stanął pod ścianą na zewnątrz i czekał, aż ludzie się rozejdą. Dopiero wtedy podszedł do starszego, który zamykał bramy synagogi.

– Szukam mężczyzny, którego imienia nie znam.

Broda starszego mężczyzny i resztki jego włosów były pożółkłe niczym stary pergamin. Powoli odwrócił głowę w kierunku Jakuba i przyjrzał mu się uważnie od góry do dołu.

– A jak ten człowiek wygląda?

– Nie wiem.

– Mieszka w Joppie?

– Tego również nie jestem pewien.

– W takim razie nikt poza Jahwe nie jest w stanie ci pomóc, młodzieńcze – mimo odmownej odpowiedzi starszy człowiek nie ruszył się z miejsca, a ton jego głosu, na przekór wypowiedzianym słowom, brzmiał entuzjastycznie.

– W takim razie przepraszam, że ci przeszkodziłem – mówiąc to, Jakub sandałem narysował coś na piasku.

Mężczyzna chwycił Jakuba za rękę i wyszeptał:

– W każdej godzinie modliłem się o twój przyjazd. Wejdz do środka. Nie mamy ani chwili do stracenia!

*

Jakub szybkim krokiem wracał do stajni, zakrywając płaszczem głowę i twarz. Serce gwałtownie biło mu w piersi. Wieści od mężczyzny z synagogi napełniły go tak wielkim strachem, że nawet wschodzące słońce nie ogrzało chłodu, który nim targał od środka.

Kupiec Izaak dotrzymał słowa. Przed drzwiami do stajni czekał jego najstarszy syn. Młodzieniec starał się okazywać odwagę, lecz zakryta twarz nieznanego i dziwaczne zadanie, jakie otrzymał od ojca, najwyraźniej go wystraszyły.

- Mój ojciec mówi, że... że wszystko jest, jak kazałeś.
- Gdzie towar?
- Przywiązany do twojego osła.
- Ile worków?
- Cztery.

To znaczyło, że kadzidła jest tyle samo, co poprzednio. Stali w uliczce prowadzącej od głównego placu do portu. Jakub dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

Młodzieniec wziął milczenie Jakuba za oznakę dezaprobaty.

- Mój ojciec i ja zrobiliśmy wszystko dokładnie tak, jak powiedziałeś.
- Tak, wiem... – Jakub westchnął. Nie pierwszy raz żałował, że nie może teraz skorzystać z mądrych rad Albana. Jakub rzucił milczącą, rozpaczliwą prośbę w stronę nieba... i czekał. Nad ich głowami krzyknęła para mew. Chłopak nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Poza tym nie działo się nic.

- Nie mam wyboru – wymamrotał Jakub pod nosem.
- Przepraszam, nie... – młodzieniec zbladł, gdy Jakub podszedł i chwycił go za rękę.
- Zrobiłem tylko to, co mi kazał ojciec!

– Spokojnie, nie chcę skrzywdzić ani ciebie, ani twojej rodziny – Jakub pociągnął go za sosnę, która rzucała nieco cienia na uliczkę. – Jak masz na imię?

– B–Beniamin.

Jakub widział, że jego zakryta twarz przeraża chłopaka. Nie podobało mu się to, co zamierzał teraz zrobić, ale czuł, że nie ma wyjścia. Zdjął kaptur.

– Znasz Jamala?

– To partner w interesach mojego ojca.

– Ten sam. Wiesz o atakach na jego karawany?

Chłopak skinął sztywno głową.

– Słyszałem, jak ojciec o tym mówił.

– Przybyłem tu w tajemnicy, by zapobiec dalszym napadom. Ale właśnie w synagodze dowiedziałem się czegoś strasznego... – Jakub przerwał usłyszawszy odgłos kroków. W drzwiach pojawił się jeden ze stajennych, ale po chwili oddalił się w przeciwnym kierunku. Jakub poczekał, aż mężczyzna zniknie za zalanym słońcem placem.

– Jest to wiadomość o zagrożeniu życia wielu ludzi – kontynuował. – Muszę wracać do Tyberiady. Nie mam czasu na powolną i potajemną podróż, którą wcześniej planowałem.

Chłopak miał może szesnaście lat i był bardzo szczupły, lecz jego wzrok już zdradzał przebiegłość i spryt kupca.

– Nie skrzywdzisz mnie ani mojej rodziny?

– Moim jedynym celem było ochronić majątek Jamala i twojego ojca. Ale teraz muszę dodać do tego jeszcze jeden: muszę uratować niewinnych ludzi.

Chłopak przyglądał się twarzy Jakuba.

– Powiedz, czego potrzebujesz.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Równiny samarytańskie

Jakub wyruszył z Joppy i zatrzymał się w małej oazie trzy mile na północ, niedaleko garnizonu. Starożytne miasto okazało się trudne do poskromienia, więc Rzymianie zdecydowali się zostawić je w spokoju.

Źródełko było płytkie i szerokie na mniej niż dziesięć kroków, ale dawało wystarczająco dużo wody, by starczyło dla kilku gospodarstw i gaju palm daktylowych. Jakub odpoczywał w cieniu drzew i pozwolił osłom się napić, udając po prostu kolejnego pustynnego włóczęgę, który się schronił w cieniu. Dzień był ciepły. Z południa wiał lekki wiatr, a Jakub czuł w ustach nikły posmak morza. Nad jego głową krążyły mewy.

Oparł się pokusie, by wstać i przejść się w tę i z powrotem. Zamiast tego podszedł do samotnego straganu i od sprzedającej na nim kobiety kupił prosty posiłek. Stragan był zbyt mały i mieścił się zbyt blisko Joppy

i Apollonii, by przynosić duże zyski. Zazwyczaj jedynymi klientami byli miejscowi. Jedzenie było mizerne – cieciora zmielona z kuminem i oliwą, chleb, oliwki, daktyle i ser z mleka kóz, które beczwały za polami uprawnymi. Jakubowi to nie przeszkadzało. Ledwie tknął strawę. Jego umysł gorączkowo poszukiwał jakiegoś wyjścia na wypadek, gdyby syn kupca się nie zjawił, lecz nie zdołał wymyślić nic, co miałoby choć cień szansy na powodzenie. Jakub zmusił się do jedzenia, świadomy, że jeśli chłopak jednak przyjedzie, to może to być właśnie ostatnia szansa na napełnienie żołądka.

Wieści od starszego z synagogi były tragiczne. Przyniósł je osobiście jego syn, który studiował w Jerozolimie. Szaweł z Tarsu, postrach wszystkich wierzących, wystąpił przed Radą Świątynną, prosząc o listy polecające do synagog w Damaszku. Usłyszał, że w tym mieście liczba wierzących wzrasta z dnia na dzień. Szaweł zamierzał udać się tam, aresztować ich i zawlec w łańcuchach do Jerozolimy.

Według starszego synagogi Sanhedryn wcześniej zakładał, że jeśli zwolennicy Drogi zostaną wyrzuceni z Jerozolimy, ich liczba wkrótce zmaleje, a ich zgładzenie będzie już tylko kwestią czasu. Ku swemu zdumieniu Rada otrzymała raporty z różnych miast, że dzieje się wręcz odwrotnie. Kościół się rozrastał. Wiele synagog w Damaszku zostało zdominowanych przez wyznawców Jezusa. Sanhedryn gorączkowo szukał sposobu, by uprawomocnić prześladowania wierzących.

Według syna starszego synagogi Szaweł przedstawił Radzie konkretny pomysł. W czasie panowania Heroda Wielkiego Rzymianie udzielili arcykapłanowi i Sanhedrynowi prawa do ekstradycji judejskich przestępców z innych części imperium rzymskiego. Szaweł zaproponował wykorzystanie tego niemal zapomnianego prawa, by aresztować wyznawców Jezusa w Damaszku. Wedle prawa judejskiego będzie można sprowadzić ich do Jerozolimy jako pospolitych kryminalistów. A gdy już znajdą się przed

Rada, dostaną ostatnią szansę, by wyrzec się wiary w Jezusa. Ci, którzy odmówią, zostaną zabici. *Tak samo jak Szczepan...* – pomyślał z bólem Jakub mając przed oczami twarz siostry i na nowo przeżywając jej ogromną stratę.

Jakub odczuł ulgę, gdy ujrzał syna kupca zbliżającego się drogą z Joppy. Chłopak dosiadał konia, a drugiego prowadził za uzdę. Jakub włożył do ust ostatni kęs, zostawił zapłatę i pośpieszył ku niemu.

– Mówiłeś komuś?

Beniaminowi z podniecenia brakowało tchu.

– Powiedziałem dokładnie tak jak kazałeś, panie. Rzekłem ojcu, że nieznajomy potrzebuje naszej pomocy, nic więcej.

– Możesz powiedzieć mu wszystko, ale dopiero jak wyjadę.

– Dopiero jak mu to obiecałem, pozwolił mi tu przyjechać.

– Dobrze – Jakub wskoczył na grzbiet swojego osła. – Prowadź.

– Nie chcesz jechać na swoim nowym rumaku?

– W ten sposób mniej będę przyciągał uwagę. Szybko!

Przejechali obok Apollonii i rzymskiej twierdzy, potem skręcili w głąb łądu, w stronę Capharsaby. Jakub jechał na jednym z osłów i prowadził drugiego. Droga okrążyła południowe i wschodnie granice równiny Szaronu i biegła wzdłuż północnych stoków stromych jerozolimskich wzgórz. Ta rzymska droga rzadko bywała używana przez religijnych Judejczyków, gdyż przechodziła przez Samarię.

Gdy dotarli na pustkowie, Jakub skierował się z drogi ku stojącym opodal kilku pustynnym sosnom. Zsiadł z osła i rozebrał się. Syn kupca rzucił tobolek pod jego nogi.

– Przywiozłem wszystko, jak prosiłeś. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Jakub rozumiał kryjące się za tymi słowami niezadane pytania.

– Zdradziłbym ci szczegóły mojej misji, gdybym mógł. Ale od utrzymania tego w tajemnicy zależy życie wielu ludzi. Przynajmniej na razie.

Beniamin nie protestował. Patrzył, jak Jakub zakłada ubranie.

– Co mam zrobić z osłami? – spytał.

– Są twoje.

– Są Jamala – poprawił go chłopak.

– Będzie szczęśliwy, dając ci je za twoją pomoc – odpowiedział Jakub.

A potem dodał: – Jeśli dojadę do Tyberiady.

– *Gdy* dojedziesz – poprawił go Beniamin z uśmiechem. – Nie znam cię, ale mam pewność, że ci się to uda.

Jakub przerzucił torby z kadzidłem i przywiązał mocno na przodzie swojego siodła.

– Co możesz mi powiedzieć o tym koniu?

– Jeden z najlepszych, jakie posiada mój ojciec. Silny, opanowany i może jechać dobrych kilka dni bez przerwy.

Ogier rzeczywiście wydawał się taki, jak go opisał Beniamin. Był wysoki w kłębie i wydawał się niezwykle silny; jego mięśnie drżały, wyczuwając pośpiech Jakuba. Mimo to jego oczy obserwujące jak Jakub przeładowuje torby z kadzidłem, bukłaki i torby z jedzeniem były spokojne, a kopyta nie poruszyły się.

– Podziękuj ojcu w moim imieniu i powiedz, że Jamal chętnie go wynagrodzi za tego konia.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Mój tata od lat handluje z Jamalem.

Jakub wskoczył na siodło, ujął wodze, po czym wziął w drugą rękę kij podany przez Beniamina. Rozwinął sztandar, uśmiechnął się szeroko na jego widok i powiedział:

- Miałem nadzieję, że będzie wyglądał właśnie tak.
- Wiedziałem, że ci się spodoba.
- Skąd go wzięłeś?
- Ojciec jest właścicielem głównych stajni w Apollonii. Opiekujemy się rumakami z twierdzy, jak również dostarczamy im konie.

Jakub wyciągnął dłoń.

– Beniaminie, mam nadzieję, że pewnego dnia zostaniemy przyjaciółmi.

– Ja również – syn kupca wyglądał na jeszcze młodszego, gdy się uśmiechał. – Musisz wieść ekscytujące życie – powiedział, dosiadając drugiego konia i trzymając wodze obu osłów.

– Wolałbym nieco mniej silnych wrażeń i zmartwień, które idą z tym w parze – Jakub zwrócił konia w kierunku drogi. – Jestem twym dłużnikiem, Beniaminie – rzucił przez ramię, po czym pogalopował drogą.

– Na razie mi to wystarczy – zawołał za nim chłopak.

*

Na szczęście pogoda sprzyjała Jakubowi.

Droga była prosta i bez wzniesień, w wielu miejscach solidnie wybrukowana w rzymskim stylu, z dwiema warstwami zaokrąglonych kamieni, położonych na zmielonym piachu. Ale nawet dla znienawidzonych rządzących Judeą nie była to główna droga. Wojsko korzystało z portu w Cezarei, traktując Joppę jako port drugorzędny. Patrole skupiały się na szlakach zaopatrujących Cezareę, co oznaczało, że niektóre odcinki południowej drogi, którą wybrał Jakub, nie były naprawiane od wielu lat. Jakub nie mógł ryzykować, że jego koń okuleje, więc pozwolił mu zwolnić do jednostajnego, sprężystego truchtu. Koń był silny i wypoczęty, chętny do galopu, ale to nie był czas ani miejsce na rozpędzanie się.

Dzięki pomocy Beniamina, Jakub wyglądał teraz na rzymskiego posłańca. Garnizony często wynajmowały dobrych jeźdźców, zaufanych i chętnych do pracy za złoto. Mężczyźni ci nosili mocno zużyte odzienie rzymskie, zwłaszcza skórzaną kamizelkę, która pozwalała rozpoznać żołnierza armii rzymskiej pełniącego służbę na patrolu. Do pleców mieli przymocowany giętki kij, zwykle wykonany z trzciny lub wierzby, z przywiązanym doń sztandarem, wskazującym, że jest to posłaniec. Gońcy nie przewozili ani pieniędzy, ani niczego cennego, co sprawiało, że bandyci zazwyczaj zostawiali ich w spokoju.

Największym sprzymierzeńcem Jakuba była absolutna pustka na drodze. Trzykrotnie zauważył samotnego pasterza wędrującego drogą. Pierwszą karawanę napotkał dopiero późnym popołudniem, gdy omijał północny kraniec judejskich wzgórz. Niekończący się sznur wielbłądów, osłów, poganiaczy i strażników patrzył, jak Jakub zjeżdża im z drogi na prawą stronę. Nie odzywał się. Posłańcy rzadko z kimś rozmawiali. Gdy przejeżdżając zaszalutował mistrzowi karawany, ów człowiek przyjrzał mu się lśnącymi ciemnymi oczami i splunął na ziemię pod jego stopy. Pocieszeniem dla Jakuba było to, że jego przebranie okazało się skuteczne.

Zatrzymał się na nocleg w Sebastii, starożytniej stolicy Samarii, której nazwę zmienili Grecy. Miasteczko niemal się rozpadało, pełne ruin i cieni swej dawnej świetności. Jakub wybrał stajnie, których w przeszłości używał Alban. Gdy się pojawił, główny stajenny zrzędził pod nosem, gdyż rzymscy posłańcy często płacili opieczętowanymi świstkami, znanymi jako kwity. Kupcy jeżdżący tymi drogami uważali je za bezwartościowe, bo po zapłatę trzeba było się zgłosić albo do Jerozolimy, albo do Cezarei. Mężczyzna przestał się krzywić, gdy Jakub dał mu do ręki srebro. Wysłał nawet swego pomocnika do najbliższej gospody po jedzenie.

Korzystając ze światła pochodni, Jakub zajął się koniem. Stajnia otoczona była rozpadającym się murkiem wysokim do pasa. Operując zgrzebłem Jakub przypominał sobie, jak Alban podszedł z nim do jednego z narożników tego właśnie muru i zmiotł z kamienia wielowiekowy pył i brud, odsłaniając resztki mozaiki, przedstawiającej owce pasące się pod kwitnącym drzewem. Kolory wytrzymały próbę lat.

Alban często miał ze sobą mały zwój, część Pism, którą zdobył dla niego jego przyjaciel Eli w czasach, gdy Alban przebywał w Jerozolimie. Kiedy byli tu poprzednio, Alban czytał Jakubowi fragment księgi Izajasza. Lament proroka dosięgnął Jakuba pomimo upływu wieków i wypalił piętno w jego sercu. Wciąż niemalże słyszał krzyki rozpaczliwych Izraelitów, prowadzonych do niewoli. *Odwróćcie się od waszych grzesznych dróg* – wołał prorok, a Jakub ze skruczą drżał wobec ciemności i grzechu, w których pławiła się ludzkość.

Gdy skończył jeść, zawiązał się w przybrudzony koc. Jego ciało było obolałe od całodziennej, męczącej jazdy. Czuł się samotny. Myślał o wszystkich tych, którzy go kochali, a teraz byli tak daleko. Alban, Lea, Abigail, grupa wierzących, którą tak desperacko pragnął ochronić.

Lecz ostatnim obrazem, który stanął przed jego zamkniętymi oczyma, zanim ostatecznie zapadł w sen, była para błyszczących ciemnych oczu, patrzących na niego w sposób najbardziej zadziwiający: ze smutkiem, ale i z radością, z tęsknotą, lecz także z dystansem. Usypiając już, z westchnieniem wymówił jej imię. *Julia*.

*

Gdy nadeszło niebezpieczeństwo, Jakub z początku myślał, że to tylko podmuch wiatru.

Tyberiada była oddalona około trzech godzin jazdy na północ. Rzeka Jordan płynęła głębokimi wąwozami gdzieś na prawo od niego, a na zachód leżały równiny Megiddo z wielkim skrzyżowaniem dróg, które było widać z Nain. Jakub utrzymywał tempo, które przewiercało bólem jego kości. Jeśli koń odczuwał ten sam dyskomfort, to nie dawał tego po sobie poznać. Utrzymywał tempo przez większość podróży, która trwała już drugi dzień.

Jakub dryfował pomiędzy snem a czuwaniem. Kiedyś Alban wspomniał, że doświadczeni żołnierze i strażnicy tak się przyzwyczajają do jednostajnego tempa, że potrafią zasnąć w marszu. Jakub nie zasnął, ale nie był też czujny – i prawie przypłacił to życiem.

Coś świsnęło obok. Jakub zareagował instynktownie, zanim w pełni uświadomił sobie niebezpieczeństwo.

W jednej chwili położył się na kark konia, chwycił wodze obiema pięściami i wrzasnął:

– *Dalej!*

Koń szarpnął, gwałtownie przechodząc z truchtu do pełnego galopu. Jego grzywa na moment przesłoniła Jakubowi widok. Gdy ją strząsnął ruchem głowy, nad głową przeleciała mu ciemna kreska, której towarzyszył miękki, śmiertelny świst.

– *Heja!*

Polowali na niego łucznicy. I to dobrzy, bo choć jego koń posuwał się bardzo szybko, dwie strzały przeleciały w odległości dłoni od niego, a jedna drasnęła go w poprzek pleców, pozostawiając rozcięcie. Inna trafiła w siodło tuż nad jego lewym udem. Siła była na tyle duża, że strzała przebiła trzy warstwy skóry. Koń zarżał cicho i pogalopował jeszcze szybciej.

Od dwóch kolejnych strzał, które odbiły się od skał po prawej stronie, poszły w powietrze iskry, podczas gdy dwie kolejne wzbiły kurz na drodze

przed nim. Jakub skręcił za wzgórze, co przynajmniej na chwilę ochroniło go przed atakiem.

Usłyszał za sobą tętent kopyt. Jego koń był silny, ale jechał już od dwóch dni i szybciej już nie mógł. Co gorsza, Jakub zauważył, że poniżej siodła zaczynała się tworzyć ciemna plama. Puścił wodze jedną ręką i wyrwał strzałę z siodła. Koń odpowiedział kolejnym rzeniem, bez wątplenia wyrażając ulgę. Jakub przerzucił nogę przez siodło, podciągnął się bliżej rozwichrzonej grzywy i dyszał równomiernie wraz ze zwierzęciem.

Bandyci rzadko napadali na rzymskiego posłańca, to prawda, lecz zeloci to już całkiem inna historia. Teraz, gdy byli dobrze zorganizowanymi wojownikami, ich ataki stawały się coraz śmielsze, a posłańcy byli łakomym celem z dwóch powodów. Po pierwsze przewozili informacje z jednego rzymskiego garnizonu do drugiego, a po drugie często dosiadali dobrych koni. Informacje nieraz przydawały się przy planowaniu ataków, a konie świetnie się sprawdzały w kolejnych potyczkach. Jakub pamiętał, że kiedyś przez krótki czas rozważał przyłączenie się do zelotów.

Wiedział, że nie da rady im uciec. Słońce zajdzie na długo przed tym, nim zdąży dojechać do kolejnego miasteczka. Uchwycił się konia obiema rękami i udami, zdyszany szeptem wypowiadając modlitwę w rytmie uderzających o ziemię kopyt. *Cud. Panie, proszę o cud.*

Odpowiedź przyszła tak nagle, że wykrzyknął ze zdumienia. Za kolejnym wzgórzem ujrzał dużą oazę, gwarancję bezpieczeństwa.

Jakub spiął konia piętami i przeskoczył zewnętrzne ogrodzenie z krzewów, płosząc stado owiec, które rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Usłyszał krzyki strażników i zobaczył mężczyzn biegnących po broń, ale się nie zatrzymał, aż znalazł się za pierwszą linią palm daktylowych. Strażnicy karawany trzymali miecze i włócznie wymierzone w niego i w ścigających go zelotów. Jakub zatrzymał konia i obrócił się, by

zobaczyć swych napastników, którzy właśnie robili w tył zwrot i umykali. Jakub westchnął w cichej modlitwie dziękczynnej i zsunął się z siodła.

Wtedy zauważył, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

Uchwycił się grzywy konia, a zmęczone zwierzę zarżało cicho, tocząc pianę i drząc z wycieńczenia. Jakub poklepał jego spocony kark i wyciągnął mu z pyska wędzidło, po czym popchnął go w kierunku koryta. Upadł na jedno kolano i pozostał w takiej pozycji, dysząc ciężko.

Ujrzał obok siebie parę obco wyglądających butów i usłyszał głos, który wydał mu się znajomy:

– Kto ośmiela się zakłócać spokój tej oazy?



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Niedaleko Tyberiady

Przystanek w małej wiosce, który wypadł w samo południe, stanowił ulgę w męczącej podróży. Wydawało się, jakby bez końca jechali przez piach i pod wiatr. Julia, gdy dotknęła nogami ziemi, była niemal pewna, że zaraz pod nią się ugną. Patrzyła jak matka zsiada, wdzięczna za pomoc, którą zaoferował jej jeden ze strażników. Gdyby oboje nie byli zwolennikami Drogi, wahałby się, czy pomóc kobiecie o jej pozycji i bogactwie, lecz teraz podtrzymywał ją, aż się upewnił, że Helena da radę stać samodzielnie. Potem skinął, wskazując tym gestem w kierunku małych stolików pod zadaszeniem i straganu z jedzeniem.

Posiłek był prosty, ale za to herbata gorąca. Julia trzymała kubek w obu dłoniach, mając nadzieję, że jego ciepło rozgrzeje sztywne z zimna palce.

– Z Bożą pomocą dziś po południu powinniśmy dotrzeć do domu.

Helena skinęła głową, ale nie odezwała się. Julia widziała, że matka jest myślami gdzieś daleko.

– Czy wciąż się martwisz z powodu decyzji, którą musisz podjąć? – spytała miękko Julia.

Helena skierowała uwagę na córkę i potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Jestem pewna, że Bóg w odpowiednim czasie pokaże mi, co mam zrobić.

– To o czym myślisz?

– O tobie, moja najdroższa. O twoim małżeństwie. Nie było nas przez kilkanaście dni. Zastanawiam się, co nas czeka w domu.

Julia odstawiła swój kubek na bok. Niepokój wrócił do niej potężną falą. Jak mogłaby zostawić dom, rodziców? Zamieszkać u obcych ludzi, w obcym kraju? Z niewierzącymi? Z mężczyzną, którego nigdy wcześniej nie widziała?

Czuła, jakby ktoś chciał jej wycisnąć serce z piersi. Wzięła Helenę za rękę i wyszeptała drżącym głosem:

– Musimy się modlić.

– Przecież się modlimy, kochanie. Każdego dnia. Nawet w każdej godzinie.

– I musimy porozmawiać z ojcem.

Helena potrząsnęła głową i położyła drugą rękę na dłoni Julii.

– Twój ojciec jest dumnym człowiekiem i zawsze dotrzymuje słowa. Nie wycofa się z zawartej umowy. Jego byt, wszystkie interesy, zależą od zaufania.

Julia odsunęła od siebie talerz. Nie było mowy, żeby jeszcze zdołała coś przełknąć.

Helena sięgnęła do swojego szala i podała jej czysty kawałek materiału.

– Owiń w to jedzenie. Przyda ci się później w drodze.

Julia mechanicznie wykonała polecenie, nie myśląc o tym, co robi. Wetknęła zawiniątko za swój szal.

– Marta zdradziła mi pewną tajemnicę dotyczącą modlitwy. Sam Pan powiedział do swoich uczniów, że gdzie dwaj lub trzej są zebrani i razem się modlą, mogą prosić, o co tylko zechcą, a Ojciec to usłyszy i wysłucha. Dwaj, Julio. Wystarczą *dwie osoby*. Ty i ja – my dwie – to wystarczy. Możemy się modlić, a Bóg wysłucha i będzie działał.

– Jak dodamy Zoe, to już są trzy osoby – głos Julii drżał. – Ale skąd mamy wiedzieć, że to nie jest jedynie *naszą* wolą, a nie Jego?

– Będziemy się modlić, by stała się Jego wola. Jeśli Bóg ma jakiś powód, by to małżeństwo doszło do skutku, to pokaże nam to, a my będziemy odczuwały Jego pokój i błogosławieństwo.

Helena pomachała do Zoe, która siedziała i rozmawiała ze swoim dalekim krewnym. Gdy ich służąca podeszła, Helena wzięła córkę za obie ręce. Jej modlitwa była prosta, lecz pełna serca i wiary. Zakończyła słowami płynącymi prosto z serca:

– Niech będzie Twoja wola, Ojczy. Niech będzie Twoja wola.

Bezdźwięczne „amen” Julii nie do końca uciszyło jej obawy, ale wiedziała, że modlitwa to dla niej jedyna droga.

*

Cudownie było wjechać na podwórze i być znów w domu. Podczas podróży Julia nie była pewna, czy jeszcze zobaczy to miejsce. Gdy zsiadały z koni czuła, że Helena jest równie wdzięczna. Dwóch służących wybiegło z domu, by je powitać, kłaniając się i wykrzykując. Julia spojrzała z nikłym uśmiechem na swoje spracowane ręce, wyobrażając sobie szok na twarzach służących, gdyby ją zobaczyli w Nain przy pracy.

Gdy Helena spytała o Jamala, jeden ze służących wyjaśnił:

– Pan jest w obozie karawan. Właśnie jedna przybyła z Damaszku. Czy mam po niego posłać?

– Nie – odrzekła Helena. – Niech pracuje spokojnie. Porozmawiam z nim, jak wróci do domu.

Sługa miał oczy spuszczone ku ziemi, ale musiał dobrze znać Helenę, bo ośmielił się odpowiedzieć:

– Pan na pewno chciałby, aby go zawiadomić. Czuł się bardzo samotny, gdy cię nie było, pani.

– Dobrze – powiedziała Helena. – Możesz posłać kogoś z wiadomością, że dotarliśmy bezpiecznie do domu, ale wyjaśnij, że rozumiemy, iż jest zajęty i będziemy czekać na niego, aż skończy pracę. W międzyczasie skorzystamy z ciepłej kąpiel, napijemy się herbaty i zjemy coś w altanie.

Sługa uklonił się znowu i wycofał.

*

Usadowiły się na ławce w altanie i Julia usłyszała, jak Helena głęboko wzdycha. Nad nimi ćwierkały ptaki. Fontanna tańczyła, a jej małe tęczowe pryzmy wyrzucały w powietrze diamentyki wody. *To wciąż jest miejsce pełne pokoju* – pomyślała Julia.

Zoe przyniosła tacę. Helena poprosiła służącą, by do nich dołączyła, lecz ta zajęła swoje zwyczajowe miejsce w tym domu i grzecznie odmówiła. Gdy się oddaliła, Helena naląła herbatę z miedzianego pojemnika.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że tęsknię za domem. A teraz cieszę się, że wróciłam. Jest inaczej. Teraz, gdy odnalazłam pokój, myślę, że mogę być tu szczęśliwa – odchyliła się do tyłu i wzięła kubek do rąk. – Dziwne, prawda? Wcześniej miałam to wszystko, ale byłam taka nieszczęśliwa...

Julia odważyła się ubrać swe myśli w słowa:

– Mamo, a ja wciąż czuję niepokój. Obawiam się, że nie będę mogła w pełni odetchnąć, dopóki się nie dowiem, co dalej ze ślubem.

– Ale jeśli ci powie...

– Tak, oczywiście, będę posłuszna – Julia poruszyła się nerwowo i nie patrząc na matkę dodała: – Nie okryję ojca hańbą.

Helena skinęła głową.

– Byłam pewna, że to powiesz. I szanuję cię za to. Ale... ale muszę wyznać, że w tej kwestii również odczuwam pokój. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego, ale czuję, że Bóg pokaże, jaki ma plan. Nawet Jamalowi, choć on może nie rozpoznać w tym Bożej ręki.

Julia cieszyła się, że matka mówi to z taką pewnością, choć jednocześnie czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– A ty? – spytała matkę. – Zdecydowałam już, co zrobisz?

Helena westchnęła głęboko. Jej oczy spoglądały gdzieś w dal. Ale Julia znów czuła, że jej matkę otacza pokój.

– Tak... chyba tak. Zamierzam dziś porozmawiać o tym z twoim ojcem.

*

Właśnie kończyły herbatę, gdy usłyszały, że na podwórzu powstało jakieś zamieszanie. Z odgłosów poznały, że mogła to być tylko jedna osoba.

– Gdzie one są? – krzyknął Jamal. Chwilę później szybkim krokiem zmierzał w kierunku altany. Na policzkach miał rumieńce, a jego oczy błyszczały w radosnym oczekiwaniu.

– Tu jesteście, moje kochane – zawołał z szeroko otwartymi ramionami. – Tak się martwiłem. Gdy dostałem wieści o burzy... – nie skończył zdania, a zamiast tego objął je jednym ruchem ramion. – Musicie mi wszystko opowiedzieć.

Jamal siedział w milczeniu, podczas gdy one opisywały swoją podróż, podkreślając bohaterstwo Jakuba podczas burzy. Jamal słuchał uważnie, a na jego twarzy pojawiały się na przemian niepokój i ulga.

Gdy Helena zapytała, jakie on ma wieści, zmarszczka na jego czole się pogłębiła.

– Mam dobre i złe wieści. Interes idzie dobrze, a nawet lepiej niż się spodziewałem. Ale wkrótce muszę wyjechać do Damaszku. Bałem się, że wy jeszcze nie wrócicie, a ja już będę w drodze. Bardzo bym się martwił, gdybym was nie ujrzał przed wyjazdem. Potrzebuję też Jakuba. Chcę żeby jechał ze mną, dlatego czekałem. On ma... no cóż, mam tylko nadzieję, że wkrótce wróci bezpiecznie. Martwię się, że jedzie sam.

– Codziennie modlimy się o jego bezpieczeństwo – powiedziała Helena.

Jamal popatrzył na nią przez chwilę, po czym dodał:

– A złe wieści są takie, że umowa co do ślubu Julii została zerwana – mówiąc dalej, patrzył tylko na Helenę. – Wiem, kochana, że czujesz ulgę. Nigdy nie chciałaś, by doszło do tego ślubu. Ale prawda jest taka, że choćbyśmy nie wiem jak bardzo tego pragnęli, nie możemy naszej córki zatrzymać tu na zawsze.

Helena złożyła ręce przed sobą i powiedziała:

– Jakże modliłyśmy się o ten cud!

– Żaden bóg nie miał z tym nic wspólnego, moja droga – powiedział Jamal. – To wszystko wina jego rodziny. Niedoszły pan młody to najwyraźniej lekkomyślny dureń i niezdara. Wyjechał z czterema innymi młodzieńcami na polowanie, za dużo wypili i skończyło się tak, że został zabity. Strzała trafiła go prosto w serce. Rodzina przesłała wiadomość ze szczerym ubolewaniem. Twierdzą, że mają dalekiego krewnego, dwa lata

młodszeo od Julii, i rodzina chętnie przeniesie wypełnienie umowy małżeńskiej na niego.

Serce Julii, przed chwilą jeszcze radosne, znów pogrążyło się w rozpacz. Poczwała strach tak silny, że prawie straciła oddech. Lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, zaprotestować, Jamal mówił dalej:

– Powiedziałem im, że w oryginalnej umowie takiego zapisu nie było. Skoro nie są w stanie wypełnić umowy, to traci ona ważność. Nie powiedziałem im tego, ale jeśli tamten był tego rodzaju młodzieńcem, to nie chcę jego kuzyna dla mojej córki. Ona zasługuje na kogoś lepszego.

– A więc...? – zaczęła Helena.

– Aranżowanie małżeństwa jest strasznie czasochłonne i kosztowne. Wolę, żeby dziewczyna sama wybrała. Wygląda na to, że jest wystarczająco bystra, żeby wiedzieć...

Julia nie słyszała już reszty. Wzbierające w niej emocje były tak intensywne, że oddaliła się, nawet nie zapytawszy, czy może odejść. Jej rodzice zdawali się tego nie zauważać. Słyszała, jak matka potwierdza, że Julia jest zdolna do tego, by sama zdecydować w tej kwestii.

Gdy dotarła do swego pokoju, przyłgnęła głową do chłodnej kamiennej ściany i pozwoliła, by całym jej ciałem wstrząsnęło pełne ulgi szlochanie. *Wolna* – była wolna! Ledwie mogła w to uwierzyć. Bóg odpowiedział. *Dzięki Ci! Dzięki Ci!* – westchnęła w myślach.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Równiny Megiddo

Powietrzem zatargała silna wichura, tak nagła, że wszystkich zaskoczyła. Abigail, Marta i Dorcas były akurat na obiedzie u Yelbana. Mężczyzna przez chwilę stał w drzwiach i obserwował szalejący wiatr. W dole na równinie burza rozhulała się na dobre, a potem ucichła tak samo nagle, jak się pojawiła.

Yelban nadal patrzył na zewnątrz. Zapadł już zmrok.

- Czarownik powiedziałby, że to od działania starych sił.
- Mamy nie martwić się bytami niewidzialnymi – powiedziała Marta.
- Ufamy Bogu i odpoczywamy w pokoju.
- Chciałbym mieć tak silną wiarę jak ty – wymruczał pod nosem.
- Każdy z nas miewa chwile zwątpienia – powiedziała Marta. –
I wszyscy czasem czujemy strach.

– Właśnie dlatego potrzebujemy przebywać z innymi wierzącymi – rzekła Abigail. – By nam pomagali zrozumieć i zapamiętać Boże prawdy.

– I modlić się z nami – dodała Marta.

Yelban odwrócił się do nich. Powoli pokiwał głową.

– Gdy był tutaj Piotr i jego przyjaciele z Jerozolimy, nie martwiłem się bandytami i zagrożeniem dla naszej przyszłości. Modliłem się i widziałem, że jestem w stanie odłożyć te troski na bok. Ale teraz...

Abigail zerknęła na córeczkę śpiącą na jej kolanach. Dorcas poruszyła się niespokojnie i zakwiliła, ale potem na nowo ułożyła się wygodnie i spała dalej. Abigail pogłaskała ją po twarzyczce.

– Czasem myślę, że często jesteśmy na tyle chronieni przed problemami, iż pozostajemy ślepi na Bożą moc działającą dokoła nas.

Marta uśmiechnęła się w zrozumieniu.

– Piotr odszedł, ale Duch Pański jest z nami, a my cały czas pozostajemy pod Jego opieką. I ty też, Yelbanie.

Skinął głową, a kobiety wstały, by udać się do domu. Żona Yelbana odprowadziła je do drzwi.

– Dzień, w którym tu zawitałyście, był cudownym, wielkim błogosławieństwem.

Te słowa oświetlały im drogę do domu bardziej niż gwiazdy nad ich głowami. Abigail czuła pokój na tyle, że odważyła się spytać o to, co pozostawało niewypowiedziane, odkąd przybyły do Nain.

– Marto, tak bardzo się cieszę z twojej obecności tu z nami. Wolałabym cię nawet nie pytać, ale jak długo będziesz jeszcze mogła zostać?

Marta w odpowiedzi wzięła Dorcas z rąk Abigail, i pochyliła się nad nią, by wziąć głęboki oddech, wdychając zapach dziecka.

– Jak mogłabym opuścić to Boże dziecko, takie ufne, pełne życia?

Ich kroki były jedynym odgłosem na pustej uliczce. Po chwili Marta kontynuowała:

– Jak mogłabym stąd odejść nie mając pewności, że ta, którą pokochałam bardziej niż własne życie jest bezpieczna? Jak mogłabym odmówić sobie radości ze słuchania jej modlitw? Jakże wiele się nauczyłam obserwując, jak rośnie coraz silniejsza, jak coraz bardziej ufa naszemu Panu i Bogu... Jak mogłabym to wszystko zostawić?

Abigail chciała zapytać Martę, czy mówi o niej, czy o Dorcas, ale stwierdziła, że przecież to nie ma znaczenia.

*

Rano mieszkańcy Nain zeszli do doliny, na rozdroże, by sprawdzić, jakich zniszczeń dokonała wczorajsza burza. Bogatsi o doświadczenia wielu takich zimowych zawieruch, wzięli ze sobą osły i wóz obładowany narzędziami, drewnem i szmatami. Mimo to, gdy zbliżyli się do celu, na twarzach odmalował się smutek i przygnębienie. Wiatr porwał stragany w strzępy; zadaszenia nad nimi były rozdarte jak żagle, a wiele drewnianych konstrukcji połamanych.

Yelban stanął obok Abigail i powiedział:

– Przynajmniej zagrody są całe. Zwierzęta nie uciekły.

Spojrzała na stojącą obok Dorcas i zastanawiała się, ile czasu minęło od tego, jak sprząтали po ostatniej burzy piaskowej. Wzięła głęboki oddech i przygotowała się na długi dzień.

Gdy Abigail szła przez pobożowisko rozdartych płócien i połamanych desek, zdała sobie sprawę, że widzi nie zniszczenia po burzy, lecz to, co mogą zrobić bandyci. Byli znacznie większym zagrożeniem, a szkoda, jaką mogli wyrządzić, znacznie gorsza i trwalsza. Gdzie ona i Dorcas wtedy pójdą? Abigail stała się częścią tego miasteczka i troszczyła się o jego

mieszkańców. Z wzajemnością. Czy jest na ziemi jakieś miejsce, gdzie będzie mogła czuć się bezpiecznie?

Pracując obok Marty, modliła się w duchu. Lecz nawet cichy śpiew dziecka nie przyniósł jej duszy ukojenia. Wciąż powtarzała sobie, że musi być silna i mocno trzymać się wiary, tak jak to mówiła Yelbanowi. Gdyby tylko potrafiła...

Cienki głosik córeczki wyrwał ją z zamyślenia:

– Mamo! Chodź, zobacz!

– Nie teraz, Dorcas. Mama pracuje...

– Mamo! Wujek Linuks! – cień dziewczynki zatańczył na daszku straganu.

– Dziecko, pamiętasz, co nam powiedział Alban? Linuks jest w Cezarei. Nie może...

Wtem z północnego skraju rynku rozległ się krzyk:

– Jeźdźcy! Nadciągają jeźdźcy!

Marta i Abigail wymieniły spojrzenia, po czym obie rzuciły szmaty i miotły, by dołączyć do reszty zaciekawionych mieszkańców miasteczka.

W oddali widać było pięciu konnych. Wyglądało na to, że rzeczywiście nadjeżdżają od strony rzymskiej twierdzy. Za nimi wzbijał się żółty tuman kurzu, tworząc wąską wstążkę wiodącą do samotnego wzgórza. Jeźdźcy byli zaledwie maleńkimi sylwetkami, zarysowanymi na linii pustego nieba. Znajdowali się tak daleko, że Abigail jeszcze nie słyszała tętentu koni.

Marta zmrużyła oczy przed słońcem i szepnęła:

– Nie może być...

Wydawało się niemożliwe, by Linuks przyjechał tu aż z Cezarei. Mimo to Abigail nie potrafiła uciszyć nagłego przypływu nadziei.

– Mamo, mamo, podnieś mnie!

– Dziecko, przecież ty jesteś już taka duża – mimo to Abigail podniosła dziewczynkę i posadziła sobie na biodrze. Z przyklejonymi do siebie policzkami obserwowały zbliżających się konnych.

– Dlaczego sądzisz, że to Linuks?

– Bo to jest on!

– Dla mnie oni są zbyt daleko, nie widzę – powiedziała Marta.

– Ale to on! Ja to wiem.

– A który to...

– Tamten. O, tam. Widzisz? – Dorcas wskazała na jeźdźca wyprzedzającego pozostałych.

Być może była to jego postawa, sposób, w jaki siedział na koniu. Wydawał się dużo wyższy niż inni. A może sposób, w jaki jego prawe ramię było lekko uniesione, albo przekrzywiony hełm? Coś w tej sylwetce sprawiło, że jej serce dostało skrzydeł.

– Widzisz?! To on.

Abigail mocniej przytrzymała córeczkę i zaczęła przeciskać się pomiędzy ludźmi.

– Gdzie idziesz? – zawołała Marta.

– Przywitać naszego przyjaciela.

*

– Wybaczcie, że przyjeżdżam w takim stanie – powiedział wyczerpany Linuks, siedząc na tylnej ławie w gospodzie. – Od kilku dni bez odpoczynku gonimy bandytów.

Jego ludzie byli w nie lepszym stanie. Jeden został przy koniach, a inny na straży na zewnątrz, pod podartym daszkiem przed gospodą. Reszta rozsiadła się przy drugim stoliku. Żaden z nich nie był ogolony. Linuks miał na sobie zbroję oficerską, lecz mosiądz był porysowany i podziurawiony,

a elementy skórzane znoszone i przesiąknięte potem. Nie miał szkarłatnego oficerskiego płaszcza, który normalnie powinien być przypięty do ramion i zwisać z tyłu. Policzki miał zapadnięte, a oczy przekrwione z wyczerpania.

Zakaślał chrapliwie i skinął w podziękowaniu, gdy Abigail nalała mu jeszcze herbaty.

– Przyjechaliśmy do fortu w Megiddo i odkryliśmy, że tamtejszy oficer i większość jego ludzi zginęli podczas burzy. Rynek przy fortecy został zniszczony, podobnie jak większa część wioski. Z obu studni huragan zerwał pokrywy i teraz są całe wypełnione piachem. Żyjemy zjadając dziennie połowę racji. Reszta, która została w twierdzy, odkopuje jedną ze studni. Już prawie nie mamy żywności, ani dla siebie, ani dla zwierząt.

Yelban siedział przy stole naprzeciw rzymskiego oficera, przedtem nakarmiwszy przyjezdnych i upewniwszy się, że mają wszystko, co trzeba. Abigail stała przy końcu stołu. Dorcas, która na samym początku zajęła miejsce przy Linuksie z rączką na jego ramieniu, nie ruszała się stamtąd.

– Wujku Linuksie, jesteś zmęczony?

Spojrzał na dziewczynkę i uśmiechnął się po raz drugi, odkąd przyjechał. Pierwszy uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy zobaczył Abigail z Dorcas śpieszące ku niemu. Skóra wokół jego oczu pomarszczyła się, dodając mu lat.

– Jak miewa się twój ptaszek, mała?

– Skacze i fruwa – Dorcas zaczęła skakać w miejscu i machać rączkami, by to zademonstrować.

– Naprawdę? A śpiewa dla ciebie?

– O, tak. Bardzo lubię go słuchać.

– Jestem pewien, że sprawia ci wielką radość. A mama też go lubi?

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Abigail. Ta tylko skinęła głową, ale czuła na sobie wzrok Yelbana. Wiedziała, że on czeka, aż poruszy

temat nurtujący ich wszystkich. Wiedziała też, co trzeba powiedzieć.

– Mamy jedzenie i wodę – odezwała się głośno i wyraźnie. – Wystarczy i dla was.

Linuks podniósł głowę, wyczuwając zmianę tonu w jej głosie i czekając, co powie dalej.

– Ale mamy inny problem – powiedziała patrząc prosto na Linuksa. – A właściwie dwa problemy. Po pierwsze, przestaliśmy handlować z rzymskim garnizonem, ponieważ Rzymianie nam nie płacili.

– To znaczy, że garnizon was okradał?

Tym razem głos zabrał Yelban, również patrząc Linuksowi w oczy:

– Nie musiał. Wypisaliście nam kwity. Całe stronice obietnic zapłaty. Nadal jestem w ich posiadaniu. Mam fortunę, tyle że w bezwartościowych kwitach.

Linuks się skrzywił.

– Chciałbym ci powiedzieć, że mnie to zaskoczyło, ale tak nie jest. Dowódca garnizonu ma władzę niczym księżę. To, co robi na swoim terytorium praktycznie nie podlega żadnej wyższej instancji. Ten najprawdopodobniej otrzymał srebro na pokrycie kosztów, ale zatrzymał je dla siebie. Domyślam się, że swoim żołnierzom również nie zapłacił.

Jeden z siedzących przy stole legionistów nie podnosząc głowy powiedział:

– Nic nie dostaliśmy przez ostatnie pół roku.

– Przeszukamy twierdzę – rzekł Linuks. – Jeśli uda mi się znaleźć ukryty skarb komendanta garnizonu, sam ci zapłacę. A jeśli srebro przypadło wraz z nim, będę musiał postarać się o fundusze z Cezarei. Nie mam jedzenia, a moje konie są w jeszcze gorszym stanie niż ludzie. – Zawiesił głos i spojrzał na swoje dłonie. – Oczywiście, nie masz powodu, by mi zaufać.

Yelban odwrócił się, by spojrzeć badawczo na twarze innych starszych, po czym powiedział do Linuksa:

– Damy ci potrzebne zapasy.

– A ja zapłacę – powiedział Linuks patrząc mu prosto w twarz. – Monetami, nie kwitami. Masz moje słowo.

Pomiędzy mieszkańcami miasteczka rozległ się szum cichych szeptów. Nawet Yelban w widoczny sposób się rozluźnił.

– Mamy jeszcze jeden problem – rzekła Abigail, skinąwszy w stronę Yelbana.

Gdy ten zaczął opisywać odwiedziny bandytów i ich groźby, stojący przy wejściu do gospody strażnik wyprostował się i cicho zagwizdał. Żołnierz pilnujący koni wszedł do gospody, by również posłuchać.

Gdy Yelban skończył, Linuks powiedział:

– Opisz mi tego przywódcę bandytów.

– Wysoki, choć nie aż tak jak ty. Oczy jak u pustynnej żmii, zimne i martwe. Nosi przy pasie dwa miecze, i jeszcze dwa skrzyżowane na plecach oraz łuk z rogu i kości słoniowej, wygięty jak grzbiet węża.

– A broda?

– Długa, nawoskowana, a na jej końcu srebrny szpikulec.

– Znam go – stwierdził Linuks, powoli kiwając głową. – Nazywa się Kirtuk. To po nabatejsku znaczy „Śmierć”.

– Poprzysiągł mi – mówił dalej Yelban – że jeśli będę szukał pomocy u Rzymian, to poczeka, aż sobie pojedziecie. Wtedy wróci i...

– Nie – wykrzyknęła Dorcas. – Nie idź, wujku. Proszę!

Linuks położył dłoń na głowie dziecka.

– Moja najdroższa, to jest w rękach Boga.

Yelban odchylił się do tyłu.

– Jesteś wierzący?

– Tak – powiedziała za niego Abigail. – I jest naszym zaufanym, drogim przyjacielem.

Linuks przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym znów zwrócił się do Yelbana:

– Oto, co proponuję: wyślę prawie wszystkich moich ludzi, żeby rozbili tu obóz. Będziemy wyjeżdżać na patrole, a tu na skrzyżowaniach dróg będzie nasza baza. Kilku, którzy zostaną w twierdzy, odkopie naszą studnię. Ale zanim tu wrócę z moim oddziałem, poszukam srebra, które przywłaszczył sobie oficer.

Spojrzał szybko na Abigail, po czym rzekł do Yelbana:

– Dostałem w przydziale cały ten teren. Jeśli się zgodzisz, osobiście przejmę dowodzenie żołnierzami patrolującymi tutejszą okolicę. Chyba że masz coś przeciwko.

– Przeciwno? – Yelban wznosił ręce do góry. – To jedyna oferta pomocy, jaką usłyszałem, odkąd przyjechali bandyci!

Ułga i wdzięczność przebijające z wyrazu jego twarzy mówiły więcej niż słowa.

– Jesteś odpowiedzią na nasze najzarliwsze modlitwy, Linuksie – rzekła Abigail. – Proszę, zostań.

– O, tak! – zawołała Dorcas klasnąwszy w rączki. – Zostań z nami w domu.

Abigail patrzyła, jak wzrok rzymskiego oficera zatrzymuje się na dziecięcej twarzyczce. Coś w jego uśmiechu sprawiło, że przez jej ciało przebiegło uczucie, którego nie potrafiła nazwać.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Tyberiada

Tej nocy Julia przez wiele godzin nie mogła zasnąć. Myślała o ojcu i ogromnej zmianie dotyczącej jej przyszłości. Wydawało jej się to naprawdę kolejnym cudem. Wreszcie zapadła w głęboki sen. Promienie słońca wkradały się przez okno, gdy obudziło ją pukanie do drzwi. Usiadła na łóżku i odgarnęła włosy z twarzy.

– Tak?

Do pokoju weszła matka. Uśmiechając się podeszła do stolika przy łóżku Julii.

– Wiem, jest wcześnie – zaczęła – ale chciałabym, żebyśmy omówiły pewne sprawy.

– Czy ojciec jeszcze jest?

– Nie – Helena pogładziła córkę po twarzy. – Nie. Jamal spędził tę noc... w gospodzie.

Julia starała się zrozumieć sens kryjący się za tymi słowami. Ojciec nigdy nie nocował w swojej gospodzie. Nagle ją olśniło:

– Czyli rozmawialiście o...?

Helena skinęła głową.

– Do późna w nocy.

– Czy chce, żebyśmy się stąd wyprowadziły?

– Nie, nic z tych rzeczy. Zaproponowałam mu to. Ale powiedział, że dom jest nasz. Na tak długo, jak tylko będziemy chcieli.

– Ale...? – Julia nie potrafiła wypowiedzieć głośno pytania, które ją trapiło najbardziej, więc zamiast tego powiedziała: – Co się stało?

– O tym wszystkim możemy porozmawiać później – powiedziała Helena, po czym dodała: – Bo teraz musimy przygotować się do podróży.

Podróży? Znowu będą gdzieś jechać? Dopiero co wrócili, a Julia miała dość żywe wspomnienia o tym, jak męczące bywają podróże.

– Twój ojciec powiedział nam, że jedzie do Damaszku – ciągnęła Helena. – Poprosiłam, by pozwolił nam też udać się tam.

– Do Damaszku? Ale co...?

Helena powoli potrząsnęła głową.

– Nie... nie jestem pewna. Czuję tylko, że to jest coś, co Bóg mi powiedział, abym zrobiła. Nic więcej nie wiem...

– Och, mamo. Nie myślisz chyba... żeby się przedstawić...

– Prawda jest taka, że nie wiem, co mam uczynić, gdy już tam dotrę. Ale jestem pewna, że mam się tam udać. I proszę cię, byś pojechała ze mną. Krok po kroku, Bóg nam pokaże.

– A co... co powiedział na to ojciec?

– Oczywiście, był w szoku – Helena się uśmiechnęła. – Na początku powiedział: „O co ty mnie prosisz? Wysłałam cię w jedną podróż, a teraz ty chcesz tylko gdzieś jeździć i jeździć?”. Więc przypomniałam mu, że wcześniej nigdy go o nic nie prosiłam. W końcu się zgodził, choć raczej niechętnie. Obiecałam mu, że nic nie zrobię ani nie powiem, jeśli jego... jego druga rodzina mnie nie zaprosi. Załatwi dla nas miejsce w swojej gospodzie w Damaszku. Zoe też z nami pojedzie.

Julia była już w pełni obudzona. Zastanawiała się, czy wirujące w głowie myśli pozwolą jej zdecydować, co w ogóle powinna teraz najpierw zrobić.

– Ile mamy czasu? – spytała.

– Obiecałam ojcu, że nie będziemy opóźniać jego wyjazdu, a chce wyruszyć wkrótce. Nie powiedział dokładnie, o której godzinie. Ale kiedy oznajmi, że jest gotowy, chciałabym, żebyśmy już na niego czekały.

Julia skinęła głową i wzięła głęboki oddech. Choć nie była zachwycona kolejną podróżą, przypomniała sobie słowa ojca wypowiedziane poprzedniego wieczoru: Jakub też będzie jechał z nimi, o ile wróci do Tyberiady na czas.

Szybko zaczęła pakować potrzebne ubrania.

*

Na centralnym podwórzu domu Jamala Jakub kucał nad workami z kadzidłem. Fontanna szumiała melodyjnie, ale on ledwie to zauważał. Patrzył na mistrza karawany, który nerwowo przechadzał się to w jedną, to w drugą stronę. Nie chciał towarzyszyć Jakubowi, obawiając się gniewu Jamala, ale Jakub przekonywał go, argumentował, aż wreszcie otwarcie tego zażądał. A teraz sandały mistrza karawany stukały po kamieniach, podczas gdy on pociągał nerwowo za brodę i wąsy.

Lecz Jakub uznał jego obecność za dobry znak.

Ostatnim razem widział go w oddalającej się chmurze pyłu, gdy on i jego wielbłądy popędziły szybciej niż toczący się zbyt wolno wóz, a za nimi nadciągała burza tak potężna, że mogła ich wszystkich zmieść z powierzchni ziemi.

– Daktyle są wspaniałe – zawołał Jakub. Wziął jednego z tacy ustawionej na stojącym obok stoliku.

Mistrz karawany rzucił mu ponure spojrzenie.

– Nie powinienem był ci ufać.

– Zamoczone w miodzie i owinięte w liście mięty – Jakub wskazał na inny talerz. – A tu świeżo upieczone jagnię z cebulą.

– Czy słyszałeś, co do ciebie mówię? Gniew Jamala znają wszyscy od Damaszku po Kair. Jak mnie zobaczy, to...

– Nic ci nie zrobi. Podziękuje ci.

– Podziękuje? Zostawiłem jego żonę i córkę na pewną śmierć w tej burzy!

Ściszył głos mówiąc ostatnie słowa, lecz jego niepokój był aż nadto widoczny.

– Sprawowałeś nadzór nad dwustoma wielbłędami razem z towarem. Do tego dwa razy tyle osłów i osiemdziesięciu poganiaczy – Jakub nalał do kubka miętowej herbaty i podał mu. – Masz. Napij się.

Przybyli tu w południe i dowiedzieli się, że Jamal jest na spotkaniu miejscowych kupców. Jakub nalegał, więc wysłano do niego posłańca. Słudzy domowi zorientowali się już, że ten młody były strażnik odgrywa znacznie ważniejszą rolę niż wcześniej przypuszczali. On i mistrz karawany zostali wprowadzeni na wewnętrzne podwórze i nakarmieni. Jakub, zebrawszy się na odwagę, spytał o Julię i dowiedział się, że matka i córka bezpiecznie wróciły do domu.

Mistrz karawany opadł wreszcie na ławkę obok Jakuba. Dłoń, która przyjęła kubek, cała się trzęsła, a sam mężczyzna wydawał się z trudnością przełykać napój.

– Tobie to łatwo być spokojnym. Jamal nie będzie chciał ci wyłupić oczu.

– Jego rodzina jest już bezpieczna w domu. Wynagrodzi cię srebrem.

– Bajki opowiadasz.

– Posłuchaj mnie – Jakub poczekał, aż mistrz karawany na niego spojrzy. – Wczoraj, gdy przejechałem tamten zakręt, zobaczyłem nie tylko oazę i karawanę. To był znak od Boga.

Mistrz karawany uważnie mu się teraz przyglądał.

– Nie tylko zeloci byli dla mnie wczoraj zagrożeniem. Mam bardzo złe wiadomości o niebezpieczeństwie grożącym wszystkim, którzy wierzą w zmartwychwstałego Mesjasza.

– Jak możesz... – pytanie mężczyzny powstrzymały odgłosy przy frontowej bramie. Znowu cały zbladł. – Moje dzieci umrą z głodu bez ojca.

Jakub wstał, przytrzymał swojego towarzysza za ramię i podniósł go.

– Miej wiarę.

Lecz pierwszym, który pojawił się w bramie, nie był Jamal, lecz Alban, który wołając Jakuba po imieniu podbiegł i padł mu w objęcia.

– Dzięki Bogu – wymruczał. – Dzięki Ci, Boże.

Jakub był nieco zażenowany. Alban nie był typem człowieka, który otwarcie okazuje swoje emocje. Gdy jednak puścił wreszcie Jakuba i cofnął się o krok, w jego twarzy widać było głębokie uczucie.

– Jakubie, muszę przyznać, że obawiałem się, iż cię już więcej nie zobaczę.

– Jak śmiesz pokazywać się w *moim domu!*? – zagrzemiał nagle głos Jamala.

Jakub przeszedł obok Albana i stanął pomiędzy Jamalem a przerażonym mistrzem karawany.

– Panie, jedną chwilę.

Palec wskazujący Jamala dźgał powietrze.

– Ten człowiek zasługuje na najgorszą karę!

– Ten człowiek zasługuje na twoją wdzięczność, panie. I na nagrodę – Jakub sam był zadziwiony, że przerwał swemu potężnemu pracodawcy. Co więcej, zasugerował, że należy dać komuś pieniądze Jamala.

– Każę mu zeznać własny język!

– Napełnisz jego dłonie srebrem.

Całe podwórze zamilkło. Nawet szum fontanny zdawał się wycofać gdzieś na drugi plan. Jamal skupił się na Jakubie.

– Ze wszystkich ludzi właśnie ty stajesz w jego obronie?

– Uratował mi życie.

– Zostawił cię na pewną śmierć! – kamienna twarz Jamala zwróciła się w kierunku mistrza karawany, który kulił się za Jakubem. – Jak cię...

Jakub złapał Jamala za przedramię.

– Panie, musisz mnie *wysłuchać*.

Furia Jamala skierowała się w inną stronę. Jakub zauważył kątem oka, że podchodzi do nich zaniepokojony Alban. Lecz nawet to nie zakłóciło jego wewnętrznego spokoju.

– Puść mnie! – warknął Jamal.

Zamiast tego, Jakub odwrócił go i wskazał na torby leżące na kamiennej posadzce.

– Widzisz to, panie? Te torby tu są, i ja tu jestem dzięki *temu* człowiekowi.

– Ale...

– Panie, zaledwie kilka godzin temu zaatakowali mnie zeloci i prawie mnie dopadli – Jakub jeszcze raz stanął przed Jamalem. – Ten człowiek mnie uratował. On i jego strażnicy przegonili moich wrogów.

Alban podszedł bliżej.

– Zeloci? Jak blisko byli Tyberiady? – spytał.

Jakub uciszył swego opiekuna podniesioną ręką. Jego uwaga pozostała skupiona na Jamalu.

– Panie, jestem pewien, że była w tym ręka naszego Pana.

Jamal parsknął, ale jego gniew w widoczny sposób ostygł. Machnął tylko ręką.

– Wy wszyscy z tymi waszymi religijnymi bzdurami.

– Ja służę komuś, kto ma wielką moc, panie. I choć mistrz karawany nie zdaje sobie z tego sprawy, on też był narzędziem w rękach Boga. Znalazł się we właściwym miejscu i czasie, bo Bóg miał w tym *cel*.

– Jaki? Żeby ochronić mój towar?

– Nie bezpośrednio, panie. Stawką jest coś znacznie większego niż kosztowna przyprawa. Ten człowiek być może pomógł uratować życie setek ludzi – Jakub znów położył dłoń na ramieniu Jamala. – Panie, nagródź tego mężczyznę i puść go wolno. Nie możesz uczynić inaczej. Dzięki niemu zyskałeś fortunę, a ja zachowałem życie. A teraz musimy się pospieszyć.

Jamal spojrzął na rękę Jakuba. Jakub cofnął dłoń i cofnął się o krok. Jamal przyglądał mu się uważnie, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

– Dwa razy uratowałeś fortunę mojej rodziny. Myślę, że nadszedł czas, by wynagrodzić cię, a nie jego.

– Jeśli musisz wybrać pomiędzy mną a nim, panie, to on zasługuje na twoje srebro. Ale teraz nie czas na taką dyskusję.

Jamal potrząsnął głową i powiedział.

– Młody człowieku, masz wszelkie zadatki na przywódcę. – Kupiec zwrócił się do mistrza karawany. – Chodź tu.

Mężczyzna przysunął się powoli.

– Panie, ta burza...

– Wystarczy. Wysłucham relacji Jakuba, a potem zadecyduję o przyszłości naszego handlu. A na razie... – Jamal odwiązał z paska sakiewkę i wsadził w ręce mistrza karawany. – Wracaj do karawany. Pomówimy później.

Zdumiony mężczyzna gapił się kolejno na sakiewkę, na Jakuba i na Jamala. Ukłonił się nisko i wycofał z podwórza. Gdy brama się za nim zamknęła, Jamal zwrócił się znów do Jakuba.

– Zabierz worki i zanieś do mojego schronu. Mówisz, że musimy się spieszyć?

– Każda chwila się liczy, panie. Modlę się, by nie było już za późno.

– Chodźmy więc – Jamal podniósł dwie torby i odwrócił się. – Albanie, dołącz do nas.

Jakub i Alban wzięli resztę kadzidła i ruszyli za Jamalem w stronę jego prywatnych komnat.

– Nie jesteś już chłopcem, którego uratowałem przed bandytami – wymruczał do niego Alban. – Co się stało z młodym Jakubem?

Jakub wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym zaraz spoważniał. Tak jak wcześniej, stanął przed stołem, w tym samym odosobnionym pomieszczeniu. Jamal siedział zwrócony plecami do kamiennej ściany, a po bokach płonęły pochodnie. Na długim stole przed nim jak zwykle leżało mnóstwo pergaminów i zwojów, listów przewozowych i raportów z całego rozległego imperium księcia kupców. Obok Jakuba leżały warte fortunę worki z kadzidłem. Usłyszeli kroki służącego spieszącego korytarzem.

– Czekaj – Jamal uniósł rękę.

Starszy sługa, ten sam, który wcześniej chciał się pozbyć Jakuba, podszedł i pokłonił się.

– Wybacz, panie.

– Nakazałem, by nikt nam nie przeszkadzał.

– Tak, panie. Ale... to znaczy... – sługa znów nisko się pokłonił. – Pani nalegała, by do was dołączyć. Usłyszała, kto przyszedł w gości – rzucił nerwowe spojrzenie na obu mężczyzn, najwyraźniej niepewny, czy są w łasce czy niełasce Jamala. – Pani Helena i Julia wiedzą, że... Jakub wrócił. One mi *kazały*, żebym tu przyszedł, panie.

Jamal spojrział na Jakuba, a potem znów na swojego sługę.

– No to chyba najlepiej będzie, jak je tu wpuścimy.

Serce Jakuba podskoczyło na dźwięk lekkich kroków, a potem drugi raz, gdy w drzwiach pojawiła się Julia. Miała zaróżowione policzki, a jej krótkie spojrzenie, skierowane w jego stronę, rzuciło światło, które ogrzało go aż do kości.

Jamal skinął krótko w kierunku obu kobiet.

– Więc usłyszeliście, że wrócił mój zaufany człowiek?

Jakub zauważył, że Julia robi, co może, żeby ukryć uśmiech. Helena odpowiedziała uroczyście:

– Nie słyszałyśmy, że to Jakub, panie, lecz jedynie to, że dwóch jeźdźców okrytych pyłem wjechało galopem do Tyberiady i przybyło prosto tutaj. Miałyśmy jedynie nadzieję, że był to ten młody mężczyzna, który uratował nam życie – spojrzała znacząco na sługę. – Ubolewam nad tym, że nie zaproponowano mu kąpieli.

– Nikt mi nic nie powiedział, pani – bronił się służący.

Helena zignorowała to i spytała:

– Czy możemy go przywitać, panie?

Jamal machnął ręką na znak przyzwolenia. Jego twarz nie zdradzała jakichkolwiek emocji.

Helena podeszła do Jakuba z otwartymi ramionami.

– Moje serce bardzo się raduje, że jesteś bezpieczny, Jakubie.

– Wzajemnie, pani.

– Julia i ja codziennie modliłyśmy się o twój bezpieczny powrót.

Julia skinęła głową, a Jakub skłonił się w jej kierunku. Dziewczyna ze względu na skromność zachowała dystans i stała za matką.

– Mam nadzieję, że wasza podróż zakończyła się pomyślnie.

– Tak, dzięki tobie – same te słowa dodały Julii jeszcze większych rumieńców.

– Przynoszę pozdrowienia od twojej siostry z Nain – powiedziała Helena.

– Tak się cieszę. Jak się ma Abigail?

– Bardzo dobrze. Tak samo Dorcas.

– Ta mała jest rozkoszą dla wszystkich – powiedział Alban ze swego miejsca obok Jakuba.

Jamal znów machnął ręką.

– Na pewno to wszystko jest bardzo interesujące, lecz Jakub twierdzi, że ma pilne wieści.

Jakub natychmiast zwrócił się z powrotem do swego pana.

– Panie, proszę cię o zgodę na mój wyjazd do Damaszku.

Ku zdziwieniu Jakuba, Jamal zbladł na te słowa.

– Poczyniłem już pewne plany, lecz...

– Otrzymałem wiadomość, że śmiertelny wróg wszystkich zwolenników Drogi zmierza do tego miasta – rzekł Jakub. Poczul jak obie kobiety ze strachu wciągają powietrze.

– Szaweł z Tarsu – powiedział. – Ma dokumenty od Rady Świątynnej, które dają mu prawo aresztowania każdego Judejczyka, który wierzy w Jezusa.

Wszyscy zaczęli mówić na raz. Echo tak się niosło po kamiennych ścianach, że nie dało się rozróżnić żadnych słów. Jamal tylko siedział na swoim krześle, a jego wzrok wędrował od jednej twarzy do drugiej.

Wreszcie Helenie udało się przekrzyczeć resztę:

– On jest *tutaj!*

– Oczywiście! To *musi* być on! – powiedziała szybko Julia.

Jakub podniósł obie ręce, by wszystkich uciszyć. Na jego twarzy malował się szok, ale i zatroskanie.

– Nie wszyscy naraz, proszę. Pani, mówisz, że Szaweł jest tutaj? W Tyberiadzie?

– Powiedz im, Julio. Powiedz, co widziałaś.

Julia rozejrzała się po zebranych.

– Wczoraj wieczorem poszłam do obozu karawan... przywitać się z wielbłędami. – Zamilkła na chwilę, spojrzała na ojca i dodała: – Choć robiło się ciemno, przyjechała nowa karawana. Usłyszałam, jak mistrz tej karawany mówił, że są z Perei, wiecie, na wschód od Jordanu. Powiedział, że ma ze sobą gościa, ważnego faryzeusza z Jerozolimy. Ten świątynny kapłan odmówił podróży przez Samarię. I teraz szuka karawany, która będzie jechała do Damaszku.

Jamal odchrząknął, po czym skinął ręką na córkę, by mówiła dalej. Julia kontynuowała:

– Mistrz karawany nazwał strażników tego kapłana *strażami świątynnymi*. Mówił, że on ma pieczęć z Sanhedrynu i jakąś ważną sprawę do załatwienia w Damaszku. Dodał jeszcze, że się cieszy, iż już go więcej nie będzie musiał oglądać.

Żołądek Jakuba się ścisnął.

– To musi być człowiek, o którym mówił mi starszy z Joppy.

Julia odwróciła się znów do ojca i zrobiła krok w jego kierunku.

– Czy ty... czy on będzie podróżował z *naszą* karawaną?

Jamal potarł brodę.

– Jeśli się dowie, że tam jedziemy, będę musiał go zabrać. Sanhedryn jest bardzo wpływowy. Odmówienie im mogłoby mnie sporo kosztować.

– Jedziesz do Damaszku? – spytał Jakub.

Jamal skinął głową. Chwilę siedział milcząc, po czym rzekł:

– Tak, planowałem wyruszyć dziś i miałem nadzieję, że wrócisz na tyle szybko, by pojechać ze mną. Choć zastanawiam się... – kupiec nie skończył myśli i zamilkł.

– Normalnie nie użyłbym słowa „cud” mówiąc o Szawle z Tarsu – odezwał się Alban. – Ale teraz tylko to mi przychodzi do głowy.

Wszyscy patrzyli na Albana, bez wątplenia tak samo zdezorientowani jak Jakub.

– Człowiek, który wzbudza przerażenie w sercu każdego wierzącego, który usłyszy jego imię, będzie pod czujnym okiem twoich straży i...

– I co? – Głos Jamala pozbawiony był swojej normalnej barwy, lecz nikt nie ważył się odpowiedzieć. – Co zrobisz? – jego pięść walnęła w stół. – Jeśli to rzeczywiście jest Szaweł z Tarsu i dowie się, że wierzący w Jezusa, czy kto tam wie, ilu jeszcze innych, jedzie w tej samej karawanie, pozakuwają w łańcuchy. Ja też słyszałem o tym człowieku. Jego imię jest sławne w całym kraju. A ja nie muszę być wierzącym, żeby bać się jego gniewu.

– Mogłbym pojechać przodem... – zaczął Jakub.

– Zrób tak, a nigdy nie dotrzesz do miasta. Droga do Damaszku jest teraz głównym miejscem ataków bandytów, nie wspominając już o zelotach, przed którymi ledwo uciekłeś – Jamal zabębnił palcami o stół.

– Panie... – powiedziała delikatnie Helena.

– Myślę.

– Tak, i pomyśl o... o twojej... twojej rodzinie w Damaszku – powiedziała Helena załamującym się głosem. – Oni też są wierzący. A jeśli Szaweł...

Jamal skinął głową. A może był to tylko dreszcz, który przeszedł przez jego ciało.

– Trzeba ich ostrzec, chronić przed tym człowiekiem – nalegała Julia.

– Modliłyśmy się o znak – powiedziała do niego Helena.

– Czy to prawda, co mówisz? – spytał Jamal. – Nie chcesz, by mojej rodzinie stała się krzywda?

Helena obeszła długi stół i stanęła obok krzesła Jamala.

– Panie, sam to powiedziałaś. To twoja *rodzina*. I chociaż ich nie znam, są oni również moją rodziną. Oni, tak jak ja, Julia i wielu innych, są teraz częścią Bożej rodziny. Pragnę, by byli bezpieczni, zarówno ze względu na nich, jak i na ciebie.

Tym razem Jakub był pewien, że jego pracodawcą wstrząsnął dreszcz.

– Dobra z ciebie kobieta – rzekł chrapliwym głosem. – Nie zasługuję na ciebie.

Helena uklękła obok jego krzesła, a Jamal patrzył na czubek jej głowy. Pozostali w takich pozycjach, a jedynym dźwiękiem w komnacie było syczenie płonących pochodni. Wreszcie Helena podniosła głowę i powiedziała:

– To znak, Jamal. Większy ode mnie, od ciebie, czy wszystkich nas razem wziętych. Większy nawet niż moje żarliwe modlitwy dotyczące zaręczyn naszej córki.

Jakub poczuł, jakby jakaś wielka pięść uderzyła go w klatkę piersiową. Nie mógł oddychać. *Julia? Zaręczona?*

– Panie – mówiła dalej Helena. – Fakt, że ten faryzeusz jest tu, w tym właśnie czasie, i jedzie do tego samego miasta – to *znak*.

Jamal skinął głową.

– Nie zaprzeczam, że twoje słowa są prawdą – rzekł ściszym głosem.

Helena wstała.

– Panie, wybacz śmiałość, ale to prawdzie *Jezusa* nie można zaprzeczyć – odczekała dłuższą chwilę, po czym spytała: – Pomodlisz się ze mną?

Jakub poczuł, jakby przepłynęła przez niego potężna fala, jakaś siła nie pochodząca od niego. Usłyszał własne słowa:

– Pomódl się *z nami*.

Alban położył mu dłoń na ramieniu i skinął głową.

Głos Jamala zabrzmiał głucho.

– Pomyślę nad wszystkim, co powiedzieliście.

Kupiec wstał.

Jakub poszukał wzroku Julii, po czym znów zwrócił się do Jamala.

– A my, panie, będziemy się modlili, abyś wiedział, co należy uczynić.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Droga do Damaszku

Wcześniejsze doświadczenia, zdobyte w trakcie strzeżenia karawan na rzymskich drogach nauczyły Jakuba doceniać ich rozplanowanie i budowę. W większości biegły one prosto jak strzała, a ich projektanci byli zdeterminowani, by nie zważać na naturalne przeszkody, na przykład takie jak wzgórza. Drogi te zbudowane były dla armii, które najeżdżały, podbijały, a potem broniły rzymskich granic. Ponadto drogi pomagały w rozwijaniu handlu i pobieraniu podatków. Wystarczająco szerokie, by dwa rydwany mogły jechać obok siebie, po obu stronach miały kawałki płaskiego pobocza, po których mogli maszerować piesi żołnierze. Droga do Damaszku też tak się prezentowała, choć w tych czasach siła militarna Rzymu była w znacznej mierze podkopana.

Na południu droga z Damaszku łączyła Jerozolimę z Perea, a dalej biegła do Egiptu i Aleksandrii. Na wojskowych mapach, które pokazywał mu Alban, Jakub widział linie sunące prosto, przecinające regiony i pokrywające dystanse, które można by przemierzać przez całe życie. Te mapy wskazywały na niepowstrzymaną siłę, tak wielką, że była w stanie opanować nawet najdziksze krainy. Tak, w wielu aspektach było to prawdą. Czyż Rzym nie przechwalał się, że podbił cały świat? Lecz jego władza na wschodzie stopniowo słabła. Droga do Damaszku stała się pojedynczym paskiem pod rzymskim panowaniem, w tej niebezpiecznej krainie bezprawia. Omijała południowy kraniec Jeziora Galilejskiego. Tyberiada była pierwszym większym miastem handlowym i bezpiecznym punktem na mapie Judei. Wszystkie karawany wjeżdżające i wyjeżdżające z Judei zatrzymywały się tu na ostatni odpoczynek. W cieniu złowieszczego zamku Heroda miały ostatnią sposobność, by odetchnąć bezpiecznie.

Jamal nie wyjawiał, dlaczego postanowił jechać do Damaszku. Zarządził, by w karawanie znalazło się miejsce dla niego i obu kobiet, a mistrz karawany oczywiście szybko wykonał jego polecenie.

Jakub stał z boku i obserwował, jak cały dom uwija się w ferworze przygotowań, Jamal nalegał, by nie było żadnych opóźnień. Wszystko odbywało się w niewyobrażalnym pośpiechu – strażnicy zostali wezwani, konie wybrane, ubrania i zapasy spakowane i załadowane. Od pierwszego rozkazu nie minęły cztery godziny, gdy karawana wyruszyła w drogę.

Alban miał im towarzyszyć do Filoterii, małej wioski przy południowym krańcu Jeziora Galilejskiego. Za pozwoleniem Jamala zamierzał wrócić do Kafarnaum, do rodziny, by mieć nieco czasu na odpoczynek i powrót do zdrowia, zanim znów podejmie obowiązki głównego strażnika karawany.

W bezpieczniejszych czasach podróż z Tyberiady do Damaszku zajęłaby około sześciu dni, lecz Jamal zamierzał dojechać do celu w trzy lub najwyżej w cztery dni. Nie obchodziło go, jak bardzo mistrz karawany będzie musiał popędzać zwierzęta, ani na ile ucierpią podróżujący. Jamal chciał, by dojechali bezpiecznie, wyprzedzając tropicieli i w ten sposób zaprzepaszczając ich plan, by zebrać wystarczająco ludzi i zaatakować. Alban potwierdził, że to jest dobry plan.

Lecz Jakub szybko zauważył, iż ta rozsądna decyzja wcale nie uspokoiła Albana. Tym razem źródłem jego zmartwień nie byli jednak ani bandyci, ani droga przed nimi.

– Nie podoba mi się obecność tych świątynnych straży – wymamrotał. Razem z Jakubem obserwowali strażników jadących nieco przed nimi. Uformowali krąg wokół swojego przywódcy i kilku innych kapłanów, którzy mu towarzyszyli.

– Jamalowi też się to nie podoba, ale nikt z nas nie może nic na to poradzić.

Jakub został oficjalnie przydzielony jako strażnik obu kobiet, po części dlatego, że Jamal ukrył kadzidło wśród osobistych rzeczy Heleny i Julii. Jakub i Alban jechali skrajem drogi, wystarczająco daleko, by nie wdychać pyłu wzbijanego przez karawanę. Jamal jechał tuż przed nimi obok swojej córki, która uparła się dosiąść wierzchowca. Helena siedziała wygodnie razem z Zoe w małym powozie ciągniętym przez konie.

Odkąd wyszli z prywatnej komnaty Jamala, Jakub nie miał więcej okazji, by porozmawiać z Julią. Cały czas był świadomy jej obecności przed sobą. *Ale ona jest zaręczona.* Myśl o tym sprawiła, że znów coś zabolalo go w piersi.

Alban zmrużył oczy, przyglądając się ubranym na czarno kapłanom i ich strażnikom.

- Opowiedz mi, co mówił ten starszy z Joppy.
- Już ci powiedziałem wszystko, co wiem.
- Powiedz jeszcze raz.

Tak naprawdę Jakub nie miał nic przeciwko temu, żeby powtórzyć to, co już mówił. Jego myśli bardziej się rozjaśniały, gdy rozmawiał z Albanem. Co więcej, rozkoszował się tym, że on i Alban znów są razem. Tym razem jechali i rozmawiali jak równi.

Doszedł do wniosku, że Alban musi myśleć w podobny sposób, bo gdy skończył relację o swoim spotkaniu ze starszym synagoga w Joppie, Alban spojrzał na niego przez chwilę i rzekł:

– Jakubie, nie powinienem był naciskać na ciebie, żebyś przejął ten stragan w Samarii.

– Nie, Albanie, wcale nie.

– O to też będziemy się kłócić? – jego opiekun uśmiechnął się, a Jakub odwzajemnił uśmiech, choć był on trochę smutny.

– Nie zrobiłeś nic złego – stwierdził Jakub potrząsając głową. – Gdybym się nie opierał, zmuszając cię tym samym do jeszcze gorętszej modlitwy za mnie, to kto wie, czy byś w ogóle pomyślał, by dać ten stragan pod opiekę Abigail.

– To prawda. I znów przemawia do mnie ten nowy Jakub – Alban wyciągnął rękę i zmierzwił włosy chłopaka.

Jakiś czas jechali w milczeniu, po czym Jakub powiedział:

– Z naszej różnicy zdań wynikło coś jeszcze. Zostałem zmuszony do myślenia, modlitwy i zadawania pytań dotyczących...

– Dotyczących ciebie, twojego celu, twojej przyszłości. Bardzo trudne pytania, ale najważniejsze.

– Wiele z tego, co powiedziałeś, było prawdą. *Jest prawdą.* Jestem samolubny i uparty. Czasem próbuję nagiąć wolę Bożą do tego, co ja chcę,

zamiast skłonić się przed tym, czego On dla mnie pragnie. Nadal tęsknię za przygodą. Najlepiej się czuję w podróży. Chcę zobaczyć nowe miejsca, doświadczyć nowych rzeczy. Chciałbym... – zamilkł, wziął głęboki oddech i wyznał: – Nie wiem, czego tak *naprawdę* chcę. Mam tylko nadzieję, że będę miał siłę pytać Boga i słuchać Jego głosu, nawet gdy będę w potrzasku własnych pragnień. *Zwłaszcza* wtedy – jego oczy odnalazły kobiecą sylwetkę jadącą przed nim, po czym Jakub stanowczo odwrócił wzrok.

Alban wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

– Jakubie, rozmawiamy teraz jak mężczyzna z mężczyzną. Muszę przyznać, że jest to dla mnie nowe doświadczenie. Nie mogę powiedzieć, że nie będę tęsknił za tym młodym nicponiem z brudną twarzą, który chował się pod moim łóżkiem, gdy nabroił.

– Wiele razy czuję się jak ten mały chłopiec.

– Każdy z nas czasem się tak czuje. – Alban puścił go i wyprostował się w siodle. – Bycie dorosłym nie oznacza, że znamy wszystkie odpowiedzi, albo że poradziliśmy sobie ze wszystkimi naszymi wadami i słabościami. Prawdziwy mężczyzna przede wszystkim zna samego siebie i uczy się, że szczerłość jest potrzebna. Nawet jeśli przynosi ból.

*

W Filoterii nie było prawdziwego miejsca postojowego dla karawan. Jezioro było tu płytkie i pływało w nim niewiele ryb. Nie było naturalnego portu, a większość produktów sprzedawanych na marnych straganach pochodziła z Tyberiady.

Prosta, ubita droga do Damaszku rozciągała się za wioską w ostatnim świetle dnia. Z Filoterii biegła na północ i północny wschód, wijąc się przez południowy Golan, a potem rozciągając prosto przez szeroką pustynną równinę. Gdy strażnicy Jamala rozpalili główne ognisko i przygotowywali

posiłek dla kupca i jego rodziny, Alban narysował sztyletem ich szlak na piasku i mówił o swoich doświadczeniach na tej drodze. Wraz z Jamalem omawiali potencjalne ryzyko.

Alban opowiedział o ataku, podczas którego jako rzymski setnik uratował Jakuba przed partyjskimi bandytami. Gdy mówił o dzieciństwie Jakuba, wyrażał się z miłością i dumą. Chłopak dorastał w rzymskim garnizonie, otoczony przez nieokrzesanych żołnierzy, którzy przyjęli go jak swego. Potem Alban opowiedział o ataku na karawanę, który udaremnił wraz ze swoim garnizonem z Kafarnaum. Opisał też szczegóły taktyki, którą zastosowali wówczas bandyci. Polegała ona na tym, że mały oddział nadciągnął z jednego kierunku i pognął karawanę w stronę wzgórz, gdzie czekał większy. Lecz Alban zawarł sojusz z judejskimi pasterzami, którzy przeprowadzili jego żołnierzy przez wzgórze Golan i pokazali jaskinie, służące bandytom za kryjówkę. Oddziały Albana zaskoczyły ich z góry i schwytały ich przywódcę.

Jakub, choć był świadkiem tego zdarzenia wiele lat temu, słuchając tego na nowo doceniał zdolności swego opiekuna i przyjaciela.

Gdy rozpoczęli posiłek, ostatnie promienie słońca zachodziły właśnie nad ich obozem. Wysoki faryzeusz i inni kapłani odeszli na bok i zwrócili się na południowy zachód, w kierunku Jerozolimy. Z filakteriami przywiązanymi do czół i nadgarstków, nakryli głowy szalami i rozpoczęli rytuał modlitewny. Kołysali się w przód i w tył, a z oddali słyhać było niski, jednostajny śpiew.

Jamal kością z jagnięcia wskazał na grupę.

– Nie dołączasz do nich?

– Nie, panie – odparł Alban.

– Ale to członkowie twojego klanu, czyż nie?

Jakub wiedział, że Jamal wystawia Albana na próbę. To był jego sposób na poszukiwanie czyichś słabości. Czynił tak nawet wśród swoich najbliższych współpracowników i partnerów w interesach. Alban również o tym wiedział i odrzekł spokojnie:

– Sanhedryn, Judejczycy mający władzę w Świątyni, postrzegają wyznawców Jezusa jako swych wrogów. Stąd prześladowania, o których ci mówiliśmy.

– A mają rację?

– Nie, panie.

– Ale to nie są głupi ludzie. O Sanhedrynie można powiedzieć wiele: że są żądni władzy, kłótniwi, mściwi, bardzo łatwo ich obrazić. Ale nie są głupi czy niedouczeni.

Alban nie spieszył się z odpowiedzią.

– Nasz Pan miał dla nich zadanie.

– Mówisz o tym Jezusie.

– Tak.

– Tym, który został wskrzeszony z martwych.

– Zgadza się.

– Wierzysz w to? Przyjmujesz to jako fakt?

– Moim ostatnim zadaniem jako setnika było właśnie sprawdzenie tego dla Poncjusza Piłata.

– Znałeś konsula?

– Tak samo dobrze, jak każdy inny żołnierz, który służył pod jego rozkazami.

– Jakim był człowiekiem?

– Surowym, twardym, obciążonym wieloma obowiązkami. Ale zawsze postępował wobec mnie uczciwie.

Jamal odgryzł ostatni kawałek mięsa od kości i odrzucił ją w bok.

– I co odkryłeś?

– Że Jezus naprawdę umarł na krzyżu i został pochowany – oczy Albana płonęły bardziej niż ogień. – Trzy dni później wstał z grobu. Ukazał się swoim uczniom i wielu innym ludziom. Dalej ich nauczał i wskazał im, co mają dalej robić. Czterdzieści dni później wstąpił do nieba dołączając do Ojca.

Jamal przez jakiś czas badawczo przyglądał się swemu głównemu strażnikowi, po czym wskazując kołyszących się w rytm modlitwy faryzeuszów powiedział:

– Powinniśmy ich zabić.

Jakub zeszywniał i usłyszał jak Julia, siedząca po drugiej stronie ogniska, z przerażeniem głośno wciąga powietrze. Jednak Alban nie zareagował w żaden sposób. Po prostu siedział i patrzył na kupca.

– Ta karawana ma szesnastu strażników – ciągnął dalej Jamal. – Wszyscy są moimi zaufanymi ludźmi, z mojego domu. Poczekamy, aż karawana wjedzie na pustkowie za Golan.

– To dlatego chciałeś, żebym jechał z wami, prawda? – powiedział cicho Alban. – Bo byłem rzymskim wojownikiem i znam się na zabijaniu?

Jamal podniósł wyrzuconą wcześniej kość i wrzucił ją do ogniska.

– Pustynia pochłonęła wielu. I tylko pustynia wie, jak to się stało, kiedy i gdzie.

– Pan Jezus jest Bogiem pokoju i miłosierdzia. Nie mogę służyć Jemu i uczynić czegoś takiego.

Rysy twarzy Jamala stały się zacięte. Pochylił się do przodu z groźną miną.

– A ja z kolei nie mogę czcić boga, który nie chroni swoich ludzi.

– Nie szukasz Bożej ochrony, lecz miecza – odparł spokojnie Alban. – A Jezus nie jest *jakims tam* bogiem. On jest *jedynym* Bogiem, Mesjaszem,

Wybranym.

Usta Jamala poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Julia napotkała nad ogniskiem wzrok Jakuba, a jej oczy były rozszerzone ze zdziwienia. Normalnie taka bezpośrednia konfrontacja skończyłaby się u jej ojca wybuchem furii. A teraz kupiec wydawał się przetrawiać słowa Albana tak jak to mięso, które właśnie zjadł.

Alban rzekł:

– Jeśli chcesz zobaczyć, jak działa nasz Pan, musisz poczekać i popatrzeć...

– Ten faryzeusz zagraża życiu mojej żony i dzieci – powiedział chrapliwie Jamal.

– Panie, wojowanie mieczem nie przynosi pokoju.

– Więc twoja odpowiedź jest taka, żeby *czekać* – kupiec prawie splunął przy ostatnim słowie.

Po raz pierwszy tego wieczoru odezwała się Julia:

– I modlić się, ojcze. Modlić się i wierzyć z całych sił.

Jamal zwrócił się w stronę córki, która miała na sobie tradycyjny kobiecy szal, jaki wypadało nosić wśród obcych mężczyzn.

– A ty... – powiedział łagodniejszym tonem – Ty zaskakujesz mnie najbardziej ze wszystkich. Jedziesz na prośbę matki...

– I szukam woli Bożej – weszła mu w słowo Julia.

Jamal skinął głową.

– I chcesz jedynie pokoju.

– Chcę nieść pokój, tak. Ale myślę, że coś jeszcze. Nie wiedziałam dokładnie, dlaczego tu pojechałyśmy. Aż do tej chwili.

– Słyszę twe słowa – rzekł Jamal z westchnieniem – i nic z nich nie pojmuję.

– Pojechałyśmy, bo mama wierzyła, że ta podróż jest bardzo ważna. Nic więcej nie mogła mi powiedzieć. Teraz rozumiem przynajmniej część tego, co Bóg zamierza. Jesteśmy tu, by świadczyć o tym, że Jezus żyje. Że czeka również na ciebie, byś przyjął Go do swego życia i poszedł za Nim.

– Jakaż to dla mnie radość słyszeć te słowa wśród was. W obecności mojego pana. I to, że słuchasz – odezwała się siedząca obok córki Helena.

Jamal przyjrzał się uważnie Helenie, a ogień rzucał na jego twarz i brodę czerwoną poświatę. Z jego twarzy nie można było wyczytać żadnych emocji. Helena wytrzymała jego wzrok z niezachwianym spokojem.

– A jeszcze większa byłaby moja radość, gdybyś dołączył do nas w uwielbieniu Mesjasza.

Po chwili ciszy Alban spytał:

– Pomodlisz się z nami, panie?

Jakub zobaczył, że Jamal wykrzywia twarz, chcąc okazać pogardę, lecz to były tylko pozory. Zdradziło go drżenie w głosie, gdy rzekł:

– Nie wiem, do kogo się modlicie.

– W takim razie poproszę naszego Pana Boga, by się tobie objawił.

– Ja też – dodał Julia.

– Będziemy się modlić z tobą i za ciebie, panie – dodał Jakub, a Helena mu zawtórowała.

Jamal spuścił wzrok ku ognisku.

– Pomyślę nad tym.

– A ja będę prosił Boga, by okazał zarówno swoją potęgę jak i miłosierdzie – rzekł Alban. – Abyś, nim zajdziesz przed bramy Damaszku, zrozumiał, jakie siły działają na rozkaz Zbawiciela. Abyś był świadkiem Jego mocy czynienia rzeczy niezwykłych, i Jego miłości, która nas z Nim wiąże nierozzerwalną więzią. Wszyscy będziemy się modlić, byś

ujrzał Jego potężną dłoń w działaniu i usłyszał Jego delikatne wezwanie.
Abyś Go przyjął jako *jedyne* Boga, *twojego* Boga.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Równiny Megiddo

Tego ranka, gdy Abigail wraz z Martą śpieszyły na stragan, powietrze było chłodne. Na horyzoncie zauważono karawanę i każdy kupiec uwijał się teraz zwawo, przygotowując towary na sprzedaż. Ostatnio interesy nikomu nie szły zbyt dobrze. Zimowe burze nie tylko niszczyły stragany i towary, lecz również podkopywały handel.

– Czy chłopak wie, kim są podróżni, skąd pochodzą? – spytała Abigail.

– Nie usłyszałam, by coś o tym mówił. Ale to Yelban go przysłał, by nas zawiadomił. Chłopak wydawał się podekscytowany i pełen nadziei.

Abigail również miała nadzieję, że mistrz karawany i inni podróżni będą chcieli dać uczciwą cenę za tkaniny z jej sklepu. Potrzebowała monet, by kupić jedzenie i inne rzeczy dla siebie i Dorcas. A to przypomniało jej o czymś jeszcze.

– Cieszę się, że Dorcas nie musi spędzać z nami całego dnia na dole. Rośnie tak szybko, że nie nadążam, by zapewnić jej ciepłe ubranie.

Marta położyła dłoń na ramieniu Abigail.

– Nosisz duży ciężar. Musisz sama troszczyć się o dziecko i chronić je. Modlę się, by twój los się odmienił i by jakiś dobry...

Abigail gwałtownie złapała powietrze, zatrzymując Martę w pół zdania.

– Co ty mówisz? – poczuła, jak jej twarz robi się gorąca. – Chyba nie prosisz Boga, żeby... żeby mi dał... męża? – te słowa ledwie przeszły jej przez gardło.

– A dlaczego nie? – odparła Marta obcesowo, jak to miała w zwyczaju. – Potrzebujesz kogoś, kto pomoże ci dźwigać tę odpowiedzialność.

– Och, Marto. Nie, proszę.

– Minęło już pięć lat odkąd straciłaś Szczepana. On na pewno by nie chciał, żebyś nadal żyła przeszłością. Dorcas potrzebuje czegoś więcej niż dłuższa sukienka i cieplejsze okrycie. Ona potrzebuje ojca. A ty męża. Kogoś, kto...

– Proszę – przerwała jej Abigail. – Nie mów już więcej na ten temat. Nie mogę...

– Ale musisz to usłyszeć, siostró. Musisz o tym pomyśleć. Sama już dłużej nie dasz rady.

– Ale... ale ja muszę najpierw... nauczyć się znów kochać – jej ostatnie słowa były tylko trochę głośniejsze od szeptu.

Marta wydała z siebie nieokreślony dźwięk.

– Znów kochać? Moja droga, przecież ty już kochasz.

– Co... co ty masz na myśli?

– Abigail, widzę to w twoich oczach za każdym razem, gdy na niego patrzysz – kontynuowała Marta łagodniejszym tonem. – Za każdym razem,

gdy się do niego odzywasz, a nawet, gdy słyszysz jego imię. I on też cię kocha. Powie ci to każdy, komu na was zależy.

– Proszę, Marto. Błagam cię, nie mów nic więcej.

– Dobrze, więcej na ten temat się nie odezwę – powiedziała Marta. – Ale nadal będę się modliła. Wiem, że bardzo trudno ci jest nawet o tym myśleć, ale Szczepan chciałby tego dla ciebie. On cię kochał. Nie chciałby, byś trwała w tym trudzie sama.

Rozmowa ucichła na chwilę i Abigail wydała z siebie westchnienie ulgi. Lecz Marta jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa.

– Szczepan wybrał kogoś, o kim wiedział, że może mu ufać. Swojego przyjaciela i twojego przyjaciela. A teraz on jest również przyjacielem dla Dorcas. Bo po cóż innego Szczepan by go prosił, żeby się tobą zaopiekował, jeśli nie...?

Abigail z ulgą przyjęła, że dotarli do straganu i że może zająć ręce robotą. Serce nadal kołatało jej w piersi. To było nie do pomyślenia. Jak powstrzymać Martę przed modleniem się o rzeczy tak niemożliwe?

*

Długi i męczący patrol nic nie dał. On i jego ludzie nie znaleźli nawet prochów pozostawionych po ognisku. Mimo to Linuks czuł, że bandyci czają się w głębokich cieniach wzgórz. Skąd był tego pewien, nie potrafił powiedzieć. Podejrzywał, że poza zasięgiem jego wzroku nad całym tym obszarem rozpostarta została jakby chmura zła.

Wracali w milczeniu. Po dwóch ciężkich dniach spędzonych w siodle Linuks nie usłyszał od żołnierzy nawet słowa narzekania. W ciszy dojechali do tymczasowego obozu przy rynku w Megiddo, rozsiodłali wyczerpane konie i zajęli się nimi.

Pogoda odzwierciedlała jego ponury nastrój. Niebo było szare, a powietrze stało w miejscu. Linuks spodziewał się ostrych przymrozków przed świtem. Nie będzie to miła noc dla zmęczonych żołnierzy. Powitanie przez starszego żołnierza, który zwykle przygotowywał mu posiłek, będzie pewnie tak samo zimne jak ta noc. Miał tylko nadzieję, że chociaż jedzenie, choćby niewyszukane, będzie ciepłe.

Gdy odsłonił wejście do namiotu, zaskoczył go widok siedzącej na stołku Marty, trzymającej w ręku owiniętą szmatką tobołek. Skinęła głową i podała mu zawiniątko.

– Pomyślałam, że przyda ci się coś ciepłego, żeby rozgrzać kości.

W tej chwili zjawił się służący, przestępując nerwowo z nogi na nogę i zacierając ręce.

– Panie, prosiłem, żeby zaczekała na zewnątrz, ale on nalegała...

Linuks nie dał rady powstrzymać uśmiechu. Znał Martę i wiedział, że jeśli się uprze, będzie musiało być po jej myśli.

– Może tu przychodzić, kiedy tylko chce. Cieszę się, że ją widzę.

Linuks ruchem ręki nakazał starszemu mężczyźnie, żeby został. Wiedział, że Marta będzie się czuła bardziej komfortowo, jeśli będzie z nimi jakaś trzecia osoba.

– Zastłoń wejście i roznieć ogień, żebyśmy się ogrzali. I przynieś mi łyżkę.

Sługa uklonił się i zabrał do roboty.

Linuks zwrócił się do swojego gościa.

– Witaj w moich skromnych progach, dobra kobieto. A czymże to mnie pobłogosławiłaś?

– Potrawka z jagnięcia. Prosto z garnka.

– Dla żołnierza to jakby kawałek nieba – powiedział, gdy służący odsuwał stolik od ściany namiotu. – Zjesz ze mną ten wspaniały posiłek?

– Jestem już po kolacji – wyjaśniła. Wstała i podeszła z tobołkiem do stołu. – Ale chętnie napiję się herbaty.

Sługa przygotowywał herbatę, a Linuks przesunął stos map i pergaminów, by zrobić miejsce dla potrawy. Pomimo zmęczenia Linuks ucieszył się z niezapowiedzianej wizyty. Rozmowa przy posiłku z kimś innym niż żołnierz stanowiła rzadką, przyjemną odmianę.

– Sądziłam, że armia rzymska lepiej się troszczy o swoich ludzi – stwierdziła Marta odpakowując paczkę i stawiając miskę na stole.

– Może o tych, którzy służą bezpośrednio w Rzymie. Ale my tu w terenie bierzemy, co jest. A poza tym, ja tu też nie spędzam zbyt wiele czasu, jak dobrze wiesz.

Wiedziony impulsem poprosił Martę, by się pomodliła i czuł się poruszony płynącymi z serca słowami dziękczynienia.

Podniósł kęs do ust i stwierdził:

– Zmieniłaś zwykłą jagnięcinę w przysmak godzien królewskiego podniebienia.

Jadł w milczeniu. Opróżnił miskę, a patrząc, jak Marta nakłada mu drugą porcję spytał:

– Jak wam idzie na rynku?

– Dziś było trochę lepiej. Abigail... Ale ona może ci sama o tym opowiedzieć. Dorcas o ciebie pyta. Boi się, że o niej zapomniałeś.

– Na pewno nie zapomniałem. Myślę o niej wiele razy dziennie. Ale w ostatnich dniach poświęciliśmy długie godziny na poszukiwanie tych bandytów. Gdy wracamy tu do obozu po patrolu, często robi się tak późno, że rynek jest już zamknięty, a Dorcas już dawno śpi.

– Mimo to powinieneś przyjść na stragan. Wielu kupców nie wraca na wzgórze na noc.

Spojrzał na nią.

– Czy taka wizyta nie będzie uznana... za coś niestosownego?
– Ja też tam będę. Nie będzie żadnego powodu do plotek, jeśli stary przyjaciel przyjdzie do nas wieczorem.

Powoli pokiwał głową i wziął do ust kolejny kęs.

– Czy Dorcas już śpi?
– Jak wychodziłam, to jeszcze śpiewała swojemu ptaszкови.
– A jak dawno to było?
– Niedawno. Ten twój człowiek chciał wziąć jedzenie i mnie odesłać. Bałam się, że sam wszystko zje, zanim wrócisz. Widziałam, jak porusza nosem, gdy tylko poczuł zapach potrawy.

To był pierwszy powód do śmiechu od dobrych kilku dni.

– Bardzo się cieszę, że zachowałeś je dla mnie.
– Chciałam też, żebyś wiedział, że jesteś u nas mile widziany – oczy Marty spojrzały na Linuksa znad kubka.

Jego zmęczenie i rozczarowanie tym dniem odeszły gdzieś na bok. Podpierając się na łokciach pochylił się do przodu i spytał:

– Jak się miewa Abigail? Czy jej strata jest już dla niej mniej bolesna? Czasem wygląda, jakby...

Marta odstawiła kubek i również pochyliła się do przodu.

– Jest samotna, Linuksie. I to bardzo. Tyle że jest tak zaabsorbowana troską o córkę i nauką nowego zawodu, że nie ma czasu, by zdać sobie sprawę, co odczuwa. Lecz ja to widzę w jej spojrzeniu, w jej oczach i słyszę to w jej głosie – Marta potarła twarz ręką. – Łamie mi to serce. Próbowalam z nią o tym porozmawiać, ale ona nie chce. Powiedziałam jej, że będę się nadal za nią modlić, nawet jeśli nie chce ze mną rozmawiać o swojej sytuacji.

Linuks wstał i podszedł do wejścia do namiotu. Przez jakiś czas patrzył w ciemności na zewnątrz, ale tak naprawdę zmagał się tylko

z zamieszaniem we własnym sercu. Wreszcie odwrócił się do Marty i powiedział:

– Wiesz, że ją kocham.

Marta skinęła głową.

– Wiem. Widzę.

– Od dawna.

Marta znów skinęła głową.

– Ale nie chcę sprawiać jej więcej bólu, ani stawiać jej w niezręcznej sytuacji.

– Czasem kobieta potrzebuje zmiany okoliczności, by zacząć myśleć w nowy sposób – Marta, zwykle bezpośrednio, tym razem uważnie dobierała słowa. – Abigail jeszcze nie jest gotowa. Ale przyjdzie taki czas. Pewnego dnia, mam nadzieję, że wkrótce, zda sobie sprawę, że cię kocha. Ale jeszcze nie teraz. Potrzebuje jeszcze trochę czasu.

W jego sercu zapłonęła nowa determinacja.

– Przynosisz mi światło. Abigail będzie miała tyle czasu, ile tylko potrzebuje. Będę czekał.

Sięgnął po swój pokryty pyłem płaszcz.

– Chodźmy zobaczyć Dorcas – powiedział uśmiechając się szeroko, a Marta odwzajemniła ten uśmiech.

*

Następnego ranka Linuks pojechał do twierdzy Megiddo. Podróż umilały mu wspomnienia z poprzedniego wieczoru: najpierw rozmowa z Martą, a potem wizyta u jego małej przyjaciółki i u jej mamy. Abigail miło go przywitała, lecz on oparł się pokusie, by skupiać się na każdym jej słowie, każdym geście. Zamiast tego zajął się Dorcas, zachwyconą, że jej poświęca tyle uwagi.

Po długim, owocnym dniu Linuks i jego ludzie wrócili na rynek w gasnącym świetle późnego popołudnia. Linuks ani trochę nie żałował, że znów wyjeżdża ze starej twierdzy. Budowla stała samotnie na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na samarytańskie równiny. Rzymianie przejęli ją na własny użytek, nie robiąc jednak nic, by polepszyć jej stan. Kamienie szerniały od starości i brudu. Linuks pomyślał, że z pewnej odległości nie wyglądała jak twierdza, lecz jak gotowy do ataku gniewny, kamienny sęp.

Wcześniej tego popołudnia Linuks znalazł wreszcie zaginione fundusze garnizonu. Oficer, który tu dowodził i zaginął podczas burzy, schował pieniądze w swojej prywatnej komnacie, w skrytce za obluzowanym kamieniem. Monety wypełniły cztery worki. Nim Linuks wyjechał z twierdzy, zwołał wszystkie oddziały i wypłacił im zaległy żołd. Tym samym ostatecznie zapewnił sobie ich lojalność. Resztę srebra wziął ze sobą, by przekazać je Yelbanowi. Nie było to wystarczająco dużo, aby spłacić cały dług, lecz bez wątpienia pieniądze te mogły odbudować dobre relacje pomiędzy garnizonem a kupcami.

Linuks podzielił swój garnizon na dwie grupy. Jedną poprowadził sam, a drugą oddał w dowodzenie sierżantowi przybyłemu z odległej Germanii. On i Fabian tak planowali swoje patrole, by jedna z grup zawsze pozostawała w pobliżu rynku w Megiddo i chroniła handlujących.

Linuks bardzo starannie dobrał ludzi, dając pierwszeństwo zwolennikom Drogi. Było ich siedmiu. Do nich dołączył kolejnych czterech, którzy mieli reputację uczciwych i pilnych. Większość rodzin kupieckich wierzyła w Jezusa i Linuks chciał, by żołnierze wyznawali podobne wartości.

Linuks wrócił na rozdroże, gdy zachodziło słońce. Mała Dorcas biegła po piasku, wołając go po imieniu. Pozwolił jej pomagać przy czyszczeniu i karmieniu koni. Dziewczynka przez cały czas śpiewała piosenkę, której

właśnie się nauczyła, jeden z psalmów króla Dawida. Zanim żołnierze skończyli oporządzać konie, śmiała się i żartowała z nimi.

Dorcas poprowadziła ich do gospody Yelbana, gdzie czekał sierżant ze swoim patrolem. Stało się to ich zwyczajem, że gdy obie grupy zebrały się w obozie w Megiddo, jadły wspólnie posiłek. Linuks i Fabian omawiali sytuację; dzielili się relacjami i pogłoskami usłyszonymi w odwiedzonych wioskach, zastanawiali się, dokąd najlepiej posłać kolejny patrol. Tego dnia jednak Fabian wyszedł do Linuksa przed gospodę. Zasalutował oficerowi i zaraportował:

– Przyszła wiadomość z Cezarei, panie.

Yelban pilnujący ognia pod strawą zawołał przez ramię:

– Wiadomość chyba może poczekać, aż on zje.

W drzwiach pojawiła się Marta wycierająca ręce w ścierkę kuchenną.

– Pół dnia piekliśmy jagnię.

– Przez ten zapach moi ludzie już jęczą z głodu – powiedział Fabian.

– Zabierz tę swoją wiadomość do środka – nalegała Marta. –

Usiądźcie, odpocznijcie, pomódlcie się i zjedzcie. A potem wieści.

Posiłek był tak dobry, jak zapowiadał zapach. Większość mieszkańców zeszła się do gospody. Niektórzy jedli, inni stali z boku. Dorcas podeszła do Linuksa i wyjadała mu z talerza.

Abigail patrzyła na nich dwoje z zaciekawieniem na twarzy. Nie była temu przeciwna, tego Linuks był pewien. I nie odwróciła wzroku. Wydawała się zadowolona, obserwując ich ze swojego miejsca przy bocznej ścianie pod daszkiem – usadowiona oddzielnie od nich, a jednak razem z nimi jako część większej grupy.

Gdy sprzątano ze stołów, Fabian przekazał Linuksowi wieści z Cezarei. Korneliusz, starszy setnik z kohorty Italskiej, wydał rozkaz oficerowi dowodzącemu garnizonem w Megiddo, by powrócił do Cezarei.

Miało się odbyć zebranie dowódców wszystkich twierdz rozsianych w terenie. Po drodze Linuks miał przeczesywać teren, szukając śladów obecności bandytów.

Linuks oczekiwał płaczu i protestów ze strony Dorcas, ale dziewczynka nadal spokojnie jadła z jego talerza, po czym usiadła przy jego krześle i bawiła się lalką. Linuks pogładził ją po włosach.

– Będziesz choć trochę za mną tęsknić?

– O, tak. Ale ty przecież wrócisz – powiedziała z przekonaniem i pokiwała główką.

To spokojnie wypowiedziane zdanie wystarczyło, by wiele głów odwróciło się w jego stronę.

– Nie wiadomo, co mnie spotka, gdy wrócę do Cezarei, skarbie – powiedział do dziewczynki. – Albo dokąd wezwą mnie kolejne obowiązki.

Dorcas poklepała pokryte piaskiem deski podłogi, wygładzając powierzchnię wokół swojej lalki.

– Wrócisz do domu. Tutaj.

Linuks zaryzykował krótkie spojrzenie na Abigail. Ona jednak unikała jego wzroku.

Linuks dał znak kapralowi, który przybył z nim z twierdzy. Mężczyzna wyszedł na zewnątrz i po chwili wrócił z torbami, które Linuks miał przytroczone do siodła. Wziął worek ze srebrem i podał Yelbanowi.

– To nie pokryje wszystkich kwitów, ale to zawsze coś – powiedział Linuks.

– Coś? – palce Yelbana drżały, gdy rozwiązywał sznurek. Sięgnął do worka i wyciągnąwszy garść monet, podniósł je do góry, by wszyscy zobaczyli. – Potrzebowaliśmy tego. Bóg się o nas troszczy!

Yelban podniósł głos ponad wrzawę, która podniosła się w całej gospodzie:

– Rozdzielimy to sprawiedliwie pomiędzy tych, którym Rzymianie są winni pieniądze. Może któregoś dnia znajdę słowa, by wystarczająco ci podziękować – dodał, zwracając się do Linuksa.

Linuks z rozradowanym sercem przyłączył się do wieczornej modlitwy. W jej trakcie po raz pierwszy tego wieczoru usłyszał głos Abigail. Zaczęła się modlić tak cichym i delikatnym głosem, że Linuks nie dosłyszał początku. Lecz głos ten brzmiał tak pięknie i bardzo go poruszał.

Później siedzieli razem – mieszkańcy miasteczka i rzymscy legionieści. Sierżant przerwał ciszę jako pierwszy. Pochylił się do przodu i powiedział niskim głosem:

– Jestem coraz bardziej ciekaw tego waszego Boga.

Linuks poczuł, jak wiele par oczu zwraca się ku niemu. Najwyraźniej mieszkańcy miasteczka uważali, że to on powinien porozmawiać z sierżantem, jak żołnierz z żołnierzem.

– To, co czujesz, mój przyjacielu, to działanie Bożego Ducha w tobie.

Sierżant skinął głową, wpatrzony w piasek pod stopami i nic nie odrzekł.

Linuks wskazał na zebranych.

– Rozejrzyj się. Niektórzy z nas są rzymskimi legionistami. Zebraliśmy się w namiocie judejskiego kupca. W sercu Samarii, otoczeni trudami i niebezpieczeństwami. Ale wiemy, co to pokój. I jesteśmy tu, bo troszczymy się o siebie. W krainie, która ma nas za swych największych wrogów, gorszych nawet od bandytów, my doświadczamy pokoju.

Linuks wskazał na Martę.

– Ta dobra kobieta widziała, jak Mesjasz umiera na rzymskim krzyżu. Widziała, jak został złożony w judejskim grobie. I widziała, że zmartwychwstał, chodził po tej ziemi i przemawiał do nich, posyłając ich z Dobrą Nowiną, dokądkolwiek się udadzą.

Potem odezwał się Yelban:

– I tak oto usłyszeliśmy Dobrą Nowinę w Samarii. Usłyszeliśmy wyzwanie, by wierzyć, mieć nadzieję, kochać.

Linuks zwrócił się do sierżanta:

– Pytam cię nie jako twój oficer, lecz jako przyjaciel: czy chciałbyś się z nami pomodlić?



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Droga do Damaszku

Jamal już więcej nie wspominał o zabiciu Szawła. Podróżni wstali dwie godziny przed świtem i wyruszyli na długo przed tym, nim pierwsze promienie słońca dotknęły wschodniego horyzontu. Alban uściskał Jakuba, pomodlił się ze swymi starymi i nowymi przyjaciółmi, po czym odjechał do Kafarnaum. Było zbyt ciemno, by rozpoznać wszystkich poza tymi stojącymi najbliżej, lecz Jakubowi wydawało się, że widzi Szawła, bacznie przypatrującego się scenie pożegnania.

Późnym rankiem oddalili się od Jeziora Galilejskiego. Jechali cały dzień, zatrzymując się tylko raz przy niewielkiej studni, otoczonej przez kilka zapchlonych straganów. Im dalej jechali, w tym większe zapuszczali się pustkowie. Strażnicy ciągle okrążali karawanę, wzbijając więcej pyłu niż wielbłądy. Zwiadowcy jechali z przodu i z tyłu.

Nikt ich nie zaatakował i przed zachodem słońca dojechali na wyludnione tereny graniczne, którym Rzymianie nadali nazwę Trachonitis. Jakub rozejrzał się po nieurodzajnej okolicy. Minęli kilku nędznie wyglądających pasterzy ze stadami kóz. Na odległych wzgórzach widać było coś, co mogło być ruinami starodawnych wiosek. *A może to kiepsko sklecone kryjówki bandytów i zelotów* – pomyślał Jakub.

Noc spędzili w ciasnym kręgu, otoczeni przez czujnych strażników. Nikt nie spał ani długo, ani głęboko.

Nazajutrz dwukrotnie natrafili na miejsca tragedii innych karawan. Pierwsza z nich, niewielka, mogła być zaskoczona przez burzę, kto wie, czy nie tę samą, przed którą uciekał Jakub z kobietami. Jednak pozostałości drugiej karawany stanowiły wyraźne ostrzeżenie dla nich wszystkich. Ani wiatr, ani sępy nie zdążyły jeszcze posprzątać jej pozostałości. Jakub podjechał do Julii, próbując zasłonić przed nią ten straszny widok, ale i tak zobaczyła już zbyt wiele. Zdawało mu się, że usta dziewczyny się poruszają, z pewnością w modlitwie za rodziny tych nieszczęśników.

Szaweł z Tarsu okazał się wytrwałym podróżnikiem. On i jego ludzie trzy razy dziennie oddzielali się od karawany, by się modlić. Tego dnia karawana nie zatrzymała się na odpoczynek w południe, lecz Szaweł i jego grupa mimo to zatrzymali się, by zakryć głowy i zwrócić się w kierunku Jerozolimy. Potem pędzili, by dogonić resztę karawany. Szaweł na zmianę jechał na jednym z osłów, albo szedł pieszo.

Okrążając karawanę z innymi strażnikami, Jakub uważnie przyjrzał się temu zaprzysięgiemu wrogowi wierzących. Wysoka sylwetka Szawła sprawiała, że inne cechy jego wyglądu traciły na znaczeniu. Ten szczupły, silny mężczyzna wydawał się lekceważyć trudy wędrówki. Choć znany był jako uczonego i poważanego przywódca religijny, miał ręce człowieka, który potrafił ciężko pracować. Najbardziej jednak przykuwały uwagę jego oczy,

skupione jak u drapieżnego ptaka, wiecznie poruszające się to w jedną, to w drugą stronę ponad nienagannie wypielegnowaną brodą.

Trzeciego dnia od wyjazdu z Tyberiady nie spotkali nikogo poza oddziałem konnych legionistów, podążających w zwartym szyku. Żołnierze przepuścili znacznie większą karawanę i zamienili kilka słów z mistrzem, który wskazywał coś ręką, informując zapewne o śladach napadu, które minęli poprzedniego dnia. Jakub zauważył, że setnik nie okazał zdziwienia, słysząc te wieści.

Tego wieczoru Jamal przechadzał się pomiędzy ludźmi i wielbłędami, podczas gdy służący przygotowywali posiłek. Kupiec ruchem ręki przywołał Jakuba, by ten mu towarzyszył. Inni strażnicy przechodząc kłaniali się z respektem, ale nawet mistrz karawany nie ważył się podejść do Jamala. Jakub świetnie rozumiał przyczynę – Jamal, kiedy się nad czymś zastanawiał, był tym bez reszty pochłonięty. Chodził przygarbiony, a na jego czole pojawiała się ciemna zmarszczka. Jakub szedł obok czekając, aż kupiec wyjaśni powód, dla którego go wezwał. Ale Jamal nic nie mówił.

Gdy wrócili do ogniska, kupiec odezwał się do córki.

– Gdzie twoja matka? Czy źle się czuje?

– Nie, ojcze. Ale nie dołączy do nas podczas posiłku – Julia zawahała się, po czym dodała: – Mama czuje potrzebę, by pościć i modlić się. Ona... szuka Bożej woli na kolejne dni.

Na te słowa zmarszczka Jamala jeszcze bardziej się pogłębiła, ale nic nie powiedziawszy zajął miejsce na dywaniku przy ogniu i przyjął od służącego jedzenie.

Jedli we troje w milczeniu. Kilka razy Julia rzuciła w stronę Jakuba szybkie spojrzenie. Najwyraźniej szukała potwierdzenia, że wszystko jest w porządku. Lecz Jakub nie miał innej odpowiedzi poza tym, że trzeba czekać i obserwować okolicę.

Wreszcie Jamal odstawił talerz na bok i warknął:

– Jestem coraz bardziej niespokojny, czekając, aż ten wasz Bóg zadziała.

Julia siedząca po drugiej stronie ogniska powiedziała miękko:

– On nie jest tylko naszym Bogiem, ojcze, ale Panem wszystkiego.

Jamal przyjrzał się córce, ale nie skarcił jej.

– Jesteś najjaśniejszym promykiem słońca w całym moim dniu. Jest tak, odkąd pierwszy raz usłyszałem twój płacz. Byłaś ślicznym dzieckiem i wyrosłaś na jeszcze piękniejszą kobietę.

Widać było, że Julię zadziwiły te słowa. Zamrugła, by powstrzymać łzy. Jej oczy błyszczały w świetle ogniska.

– Dziękuję, ojcze – szepnęła.

– Jedyne powód, dla którego nie mogę odrzucić tego Boga jest taki, że widziałem, jak On zmienił ciebie i Helenę.

Jakub prawie wstrzymał oddech, słysząc te niezwykle słowa od człowieka, którego się bał i którego szanował. A fakt, że Jamal powiedział coś takiego przy innych, był jeszcze bardziej zaskakujący. Jakub widział, jak Julia przełyka ślinę zanim zdołała odrzec:

– Nie mógłbyś powiedzieć mi większego komplementu.

Jeśli nawet Jamal zauważył emocje targające córką, to nie dał tego po sobie znać.

– Ty i Helena nie jedzicie do Damaszku, by mi narobić problemów w związku z moją drugą rodziną. Żadna z was nie dąży, by dostać większą część mojego dziedzictwa.

– Nie, ojcze. Te rzeczy nie są dla nas ważne.

– W takim razie dlaczego?

– Jest tak jak powiedziała mama. Chcemy pokoju z twoją rodziną, chcemy ich poznać – ale tylko pod warunkiem, że jest to do zaakceptowania

przez nich – Julia wytarła oczy. – Jesteśmy, tak jak oni, wierzącymi w Mesjasza i ten fakt stawia nas razem w kręgu rodzinnym, który nie wymaga normalnych ziemskich więzi.

– Ja tego nie rozumiem.

– Mama ciągle się w tej sprawie modli. Czasem ze mną i z Zoe, ale najczęściej sama – Julia wzięła głęboki oddech. – Ma wrażenie, że Bóg powołuje ją do tego, by wyjść z miłością do... do twojej żony i twojej rodziny. Czuje, że to jest wypełnienie Jego przykazania, by kochać się wzajemnie, nawet w sytuacjach, które wydają się niemożliwe.

Spojrzenie Jamala stało się zamyślane.

– Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

Julia skinęła głową.

– Ja i mama o tym wiemy. Ale prawda jest taka, że skrzywdziłeś mamę, i to bardzo – zawahała się, po czym dodała łagodniej: – I mnie również.

Jamal niecierpliwym gestem przeczesał dłonią szpakowate włosy, po czym potarł jeszcze twarz i brodę.

– Nie mogę jej pozwolić, by odeszła. Nie mogę jej też odesłać... Nie mogę.

– Ojczy, mama zawsze cię kochała i żyła po to, by ci służyć – Julia patrzyła na dogasający ogień. – Wiara dodaje jej sił, by mogła zrobić to, co będzie musiała.

Jakub wstał i po cichu odszedł od ogniska. Czuł, że nie powinien uczestniczyć w tej jakże osobistej i prywatnej rozmowie. Ale Jamal odwrócił się do niego i rzekł:

– Chodź, usiądź jeszcze z nami.

Gdy Jakub wykonał polecenie, Jamal powiedział:

– A co ty powiesz o tym waszym nieobecny Bogu?

Ale to Julia odezwała się zamiast Jakuba:

– On nie jest ani nieobecny, ani milczący, ojcze. Jest zawsze z nami, nawet gdy nie jesteśmy tego świadomi.

Wzrok Jamala wciąż spoczywał na Jakubie.

– Czy ta młoda kobieta mówi za ciebie?

– Jej słowa jakby zostały wyjęte z mych ust – odrzekł Jakub.

Jamal zdawał się myśleć o tym dłuższy czas, lecz gdy znów się odezwał, jego myśli musiały już przejść do innych spraw, bo zwrócił się do Jakuba:

– Prosiłeś mnie, bym powściągnął gniew – wskazał ręką na niebo na północy. – Ale tam przed nami leżą wzgórza Damaszku. Jutro przed zapadnięciem zmroku dojdziemy do celu. Dziś jest ostatnia szansa, by sprawić, żeby się pozbyć tych awanturników.

Jakub nie odezwał się, ani nie poruszył.

Jamal walnął pięścią w ziemię.

– Twój Bóg nie zrobił *nic*. Jest takim potężnym Bogiem, że pozwoli, by to niebezpieczeństwo rozpełzło się z Jerozolimy i zaatakowało miasto, w którym się urodziłem, a być może nawet moją rodzinę?

– Moja siostra była żoną ucznia Jezusa o imieniu Szczepan – powiedział Jakub. – Pięć lat temu Szczepan został ukamienowany przez tłum z rozkazu Rady Świątynnej. Był tam również mężczyzna, który z nami podróżuje – Szaweł z Tarsu.

Jamal siedział jak skamieniały. Wreszcie rzekł:

– Nie słyszałem o tym wcześniej. To rzeczywiście jeszcze bardziej...

– Panie, proszę, pozwól mi dokończyć – Jakub z trudem wziął oddech.

– Odkąd wyjechaliśmy z Tyberiady, modlę się, jak jeszcze nigdy w życiu. Jedyną jasną odpowiedź otrzymałem właśnie dziś, podczas drogi. Po raz pierwszy zrozumiałem, jak trudno jest pozostać niezachwianym w obliczu zagrożenia śmiercią; jak trudno służyć Bogu, gdy jest się atakowanym. I niemal słyszałem, jak Bóg zadaje mi te pytania: gdybym miał umrzeć

śmiercią męczeńską, czy potrafię odłożyć na bok swoje ambicje, swoją przyszłość, i kochać Go, służyć Mu aż do ostatniego oddechu?

Ostatni kawałek drewna przepalił się na pół i złamał, wyrzucając w powietrze iskry. Poza tym, jedynym dźwiękiem dochodzącym do ich uszu był cichy płacz Julii. Cała trójka siedziała bez ruchu, patrząc w dogasające ognisko.

– Zrozumiałem coś jeszcze – kontynuował po chwili Jakub. – Jak ciężko jest być pozostawionym tu na ziemi, tak jak moja siostra. I że jeszcze ciężiej może być, gdy trzeba żyć dalej, tak jak ona. Jestem pewien, że są chwile, gdy żałuje, że nie umarła wtedy ze Szczepanem. Myślałem o tym wszystkim już wcześniej, ale nigdy z taką jasnością. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ani dla mnie, ani dla nikogo z nas. Lecz modłę się, abym, jeśli zostanę do tego powołany, potrafił odłożyć wszystko inne na bok i służył mojemu Panu. Nawet jeśli oznaczałoby to ofiarę z własnego życia. Nawet jeśli musiałbym...

Jakub nie zamierzał w tym momencie spojrzeć na Julię. Ale ucieszył się, że to zrobił, bo ta patrzyła wprost na niego ze łzami płynącymi po policzkach i cichym przesłaniem, pełnym takiej czułości, że przez chwilę stracił oddech.

Jamal przyglądał się córce, po czym zwrócił się do Jakuba.

– Mówisz o rzeczach niemożliwych.

Jakub potrząsnął głową.

– Przepraszam, panie. Ale jest to niemożliwe tylko wtedy, gdy polegam na własnej sile, bez Boga.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Droga do Damaszku

Gdy nastał świt i karawana przygotowywała się do wyjazdu, Jakuba znów ogarnęły wątpliwości. Martwiło go to, że wiadomość, którą wiozł wierzącym w Damaszku, dotrze za późno, gdyż podróżował z człowiekiem, przed którym ma ich ostrzec. Co mógł zrobić, by zapobiec katastrofie?

Patrzył jak Szaweł zabiera strażę świątynne na stronę. Było ich siedmiu: Szaweł, jego odziany na czarno asystent, również kapłan, a do tego pięciu strażników. Podczas podróży nie zapraszali innych Judejczyków, by dołączyli do nich w modlitwie i nie zrobili tego również teraz.

Faryzeusze, znani z utrzymywania tradycji, byli wiernymi obrońcami judejskiego prawa we wszelkich drobnych szczegółach. W przeciwieństwie do saduceuszy, ich zagorzałych wrogów w Radzie Świątynnej, faryzeusze podróżowali po Judei, wykładając w synagogach i wyszukując wszelkie błędy

i wykroczenia. Jakub patrzył jak Szaweł i strażnicy owijają ręce filakteriami i nakładają szale modlitewne na głowę oraz na ramiona. Większość karawany już się przyzwyczaiła do ich jednostajnego śpiewu i nie zwracała nań uwagi, lecz Jakub nie potrafił odwrócić wzroku. Był Judejczykiem, tak samo czystej krwi jak którykolwiek z tamtych, a jednak oni go wykluczyli ze swego grona. Za co? Bo odnalazł Nauczyciela, który przyszedł od Boga i przyciągnął go do Boga.

I za to oni gotowi byli go zabić.

Być może Jamal miał rację?

Jakub czuł, jak miecz u jego pasa prawie brzęczy z wściekłym wyczekiwaniem. Chwycił za rękojeść, jakby chciał go uciszyć. Wzywała go ścieżka, której nie wybrał – droga wojowania mieczem, droga krwi i zniszczenia. Coś pchało go do agresywnego działania i prędkiej zemsty. Szaweł to wróg, a Jakub miał moc, by zlikwidować zagrożenie z jego strony. Wystarczył jeden jego okrzyk, a wszystkie straże Jamala stawiały się na jego rozkazy.

Usłyszał chrzęst sandałów na piachu i po szybkim, lekkim kroku poznał, że zbliża się do niego Julia. Stała obok i jej wzrok również padł na modlącego się faryzeusza.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – powiedziała.

Jakub z drzeniem wciągnął powietrze, broniąc się przed obezwładniającym go pragnieniem zemsty.

– Jesteś silny – mówiła dalej. – Uznajesz racjonalność argumentów mojego ojca. I boisz się o rodzinę, której nigdy nie spotkałeś. Chcesz chronić innych wierzących, ludzi z miasta, których nigdy nie widziałeś. Widzę, jak inni strażnicy ojca cię szanują. Wiem, jak zareagowaliby na twoje słowo, by zaatakować – zamilkła, dając Jakubowi szansę, by mógł temu wszystkiemu zaprzeczyć. Po chwili jednak dodała: – Jakubie, masz

słuszne powody, lecz ciągnie cię do rozwiązania, które nie uwzględnia woli naszego Pana.

Poczuł, jak przez jego ciało przebiega dreszcz.

– Postuchaj, Jakubie. Wczoraj w nocy rozmawiałam z Bogiem i On rozmawiał ze mną. Do mnie również przemówiły argumenty ojca. Ja również poczułam impuls, by napuścić na Szawła strażę, zlikwidować zagrożenie, pozostawić ich ciała na pustkowiu – spojrzała mu w oczy. – Duch Pana potwierdził mi, że to, co mówiłeś wczoraj, to Jego głos mówiący w tobie i przez ciebie; że twoje słowa ukazały nowego człowieka, którego On sam kształtuje według swych planów.

Jakub poczuł, jak przepływa przez niego coś nowego, nieznanego i umacniającego – coś, co przyszło z zewnątrz i nie płynie z jego woli. Obezwładniające pragnienie zemsty – za śmierć Szczepana, schwytywanie Latifa, za strach i zamieszanie, które zmuszały wierzących do wyjazdu z domów i rozdzielenia rodzin... I oto teraz, gdy nadarzyła się okazja, by raz na zawsze odciąć łeb węża i uratować kolejne osoby od prześladowań, wszystko to po prostu z niego uleciało. Po wściekłości i chęci zemsty nie zostało nic prócz popiołów.

Gdy odwrócił się do Julii, czuł jedynie bezradność i niemożność zrobienia tego, co zostało mu powierzone: ocalenia braci. Ale to już nie była jego samotna bitwa. Oni wszyscy byli w rękach Boga.

Z trudem przełknął, po czym powiedział:

– Dziękuję, Julio. Słyszę, że Duch Święty przemawia przez twoje słowa.

Ona tylko się uśmiechnęła.

– Chodź. Mama czeka. Pomódlmy się wspólnie, by Bóg dalej odkrywał przed nami swoje zamiary w tej sprawie.

Przed południem na horyzoncie zamajaczyły wzgórza Damaszku. W oddali unosiła się lekka mgiełka – znak, że karawana zbliża się do miasta. Po obu stronach rozpościerał się świat skał, roślinności pustynnej i żółtej ziemi. Powietrze było zupełnie nieruchome. Otaczała ich jakaś niewidzialna siła, jakby zaraz miał uderzyć piorun.

Jamal był doświadczonym podróżnym. On, mistrz karawany i strażnicy ciągle oglądali się na południowe niebo, szukając jakichś oznak nadciągającej burzy. Lecz teren za nimi pozostawał zupełnie pusty, a bezchmurne niebo w kolorze bladego błękitu zdawało się naśmiewać z ich obaw.

Jakub dwukrotnie okrążył karawanę, mijając Szawła i jego towarzyszy i odpowiadając cichą modlitwą na ich mroczne spojrzenia. Julia jechała u boku ojca na rumaku jednego ze strażników. Gdy się mijali, ich oczy spotykały się i Jakub nie widział w nich troski, ani nie widział napięcia, lecz jedynie tę samą cichą pewność, którą sam poczuł poprzedniej nocy.

Chwyił się siodła obiema rękami i pochylił głowę. Jego modlitwa była prosta; wyrażała to, co się działo w jego sercu. *Jestem gotowy, Panie. Przyjdź, Duchu Święty. Przyjdź.*

Podniósł głowę i jeszcze raz się rozejrzał. Być może inni ludzie też to odczuli. Zauważył, że Jamal mówi coś cicho do córki, a ona pochyliła się, by mu odpowiedzieć. Jej twarz rozjaśniało oczekiwanie. Jakub miał coraz wyraźniejsze wrażenie, że nadchodzi Boża obecność. *Pokaż mi, Ojczy, co mam zrobić, jak mogę Ci służyć. Tu i teraz, i zawsze.*

I wtedy to się stało.

Cała karawana zatrzymała się nagle, jakby rozległ się krzyk alarmu ze strony mistrza karawany.

Na drodze przed nimi pojawiła się światłość. Gdyby słońce zeszło z nieba, pozostałoby niezauważone wobec intensywności i mocy tego

światła.

Jakub zobaczył jak faryzeusz, wróg wyznawców Drogi, pada jak długi na ziemię. Usłyszał głos, ale nie rozróżniał słów. Zresztą, nie miało to znaczenia. Otaczała go i wypełniała Boża obecność. Wtedy usłyszał, jak Szaweł z Tarsu woła:

– Kim jesteś, Panie?

Jakub ześlizgnął się z konia i uklęknął na ziemi. Wiedział, że jest świadkiem czegoś, co przerasta ludzkie rozumienie i doświadczenie, że jest to cud przeznaczony dla innej osoby. Ale i tak on również w pewien sposób czuł się w niego włączony, tak jakby ta chwila nie była przeznaczona jedynie dla tego, do którego Bóg przemówił.

Światło zbladło, a Jakub powoli wstał i postąpił naprzód. Kapłan świątynny, człowiek, który poprzysiągł zniszczyć wyznawców Jezusa, leżał twarzą do ziemi. Jakub chwycił go za ramię.

– Już się skończyło – ledwie rozpoznał swój głos.

Szaweł pozwolił się podnieść.

– Ja... nic nie widzę.

Jakub przytrzymał go za ramię.

– Poprowadzę cię – powiedział.

Ludzie Szawła rozproszyli się. Wyglądali na oniemiałych i niepewnych, ale żaden z nich nie podszedł. Wreszcie mistrz karawany dał sygnał do dalszego marszu. Stopniowo, niechętnie, poganiacze zaczęli wołać na zwierzęta. Wielbłądy i osły odpowiednio zareagowały i karawana ruszyła do przodu.

Jakub prowadził faryzeusza, podtrzymując go za ramię. Przez długi czas żaden z nich nie wyrzekł ani słowa. Wreszcie Szaweł wyszeptał:

– Pan Jezus ze mną rozmawiał.

Oczy Jakuba zalśniły łzami.

– I co powiedział?

– Spytał... – broda Szawła drżała. Nawet nie próbował ukryć emocji. –

Spytał, dlaczego... dlaczego Go prześladuję. Jego!

Jakub poczuł, jak serce w nim podskoczyło.

Ten wróg Jezusa bezpośrednio usłyszał Jego głos!

Szaweł mówił dalej łamiącym się głosem:

– On... Jezus powiedział mi, że mam wstać i iść do miasta. Tam powiedzą mi, co mam robić.

Jakub potrzebował chwili, by wydusić z siebie słowa:

– Pomogę ci.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Damaszek

Dojechali do miasta, gdy słońce zaszło za horyzont. Legioniści strzegący murów miasta ujrzeli karawanę schodzącą z południowych wzgórz i otworzyli pierwsze bramy, by ją wpuścić. Jakub nie protestował, gdy strażnicy świątynni podeszli i ostrożnie odprowadzili Szawła. Odkąd faryzeusz opowiedział mu o spotkaniu z Jezusem, nie odezwał się już ani słowem. Jakubowi to nie przeszkadzało. Moc tego, czego doświadczył, rozpościerała się jak płaszcz nad zapadającym zmierzchem. Cała karawana patrzyła, jak faryzeusz razem z drugim kapłanem i strażnikami przechodzą przez bramy i znikają im z oczu.

I co teraz? – to pytanie wyzierało z każdej pary oczu wpatrującej się w oddalającego się Szawła. I co teraz?

Jamal był przygaszony, podobnie jak cała karawana. Nawet zwierzęta wydawały się zachowywać inaczej pod wpływem ponadnaturalnego przeżycia. Pomimo długiego marszu w nadzwyczaj szybkim tempie, żadne nie ryczało, żaląc się, że jeszcze nie dostało wody. Poganiacze nie krzyczeli, nie używali biczów, nawet mistrz karawany nie wykrzykiwał rozkazów. Zamiast tego długi sznur pokrytych pyłem zwierząt w niemal całkowitej ciszy wmaszerował do miejsca postojowego dla karawan, gdzie rozbito obóz.

Pierwszy rozkaz, wydany przez Jamala zaraz po przyjeździe, dotyczył Heleny i Zoe. Trzej strażnicy otrzymali polecenie odprowadzenia obu kobiet do jego gospody, gdzie miały otrzymać najlepsze pokoje. Kupiec dodał nienaturalnie cichym głosem, że poczeka do następnego dnia i stawi się u swojej rodziny rano, bo i tak miał dzień zbyt pełen wrażeń.

Julia nalegała, by zostać i zatroszczyć się o ojca. Nim zwierzęta zostały oporządzone i nakarmione, zrobiło się już ciemno. Jakub i inni strażnicy w świetle pochodni stawiali namioty dla Jamala i jego córki. Zakupiono posiłek z najlepszego straganu spośród tych, które otaczały obóz. Gdy słudzy rozłożyli jedzenie na dywanach w namiocie Jamala, ten wezwał Jakuba, by do nich dołączył.

Jakub usiadł na poduszce, zwrócony twarzą ku wejściu do namiotu, jak przystało na strażnika. Jedli we troje w milczeniu.

Wreszcie Jamal skorzystał z miedzianej miski do obmycia rąk i wytarł usta.

– Nie zauważam, by któreś z was chełpiło się z powodu tego, co się stało – powiedział zapatrzonej w panujący na zewnątrz namiotu mrok.

Teraz, gdy jego brzuch był pełny, a Szaweł znajdował się gdzieś w mieście, Jakub poczuł, jakby jego umysł zwolnił obroty do stanu bliskiego zaśnięciu.

Julia odpowiedziała za nich oboje:

– Wszyscy z pokorą patrzemy na to, co dziś nasz Pan uczynił, ojcze.

Coś, o czym my nigdy byśmy nie pomyśleli.

Jamal burknął i przeciągnął wilgotnym ręcznikiem po twarzy i brodzie.

– Tak czy inaczej, przypuszczam, że wasi kapłani będą bardzo zadowoleni, że kolejny bogacz do nich dołączył.

– Panie, wybacz – odrzekł Jakub – lecz mylisz się i to w kilku sprawach.

Jamal zezłościł się na Jakuba, ale Julia wzięła go za ramię.

– Błagam, ojcze, wysłuchaj go.

Jakub wiedział, że powinien zwracać się do swego pana bardziej uległym tonem, ale w tym momencie był zbyt zmęczony, by się tym przejmować.

– Po pierwsze, relacji z Jezusem, do której zostałeś zaproszony, nie nawiązuje się przez kapłanów. Nie musisz już wchodzić w obecność Pańską poprzez ofiary w Świątyni.

– A co z tymi, którzy właśnie opuścili nasze towarzystwo? Zgodziliby się z tobą?

– Ojcze – poprosiła delikatnie Julia. – Poczekaj i posłuchaj.

Jamal spoglądał to na jedno, to na drugie.

– A ty wiesz, co on chce powiedzieć, zanim otworzy usta?

– W tym względzie tak, wiem.

Jakub mówił dalej:

– Twoje przejście do Jego świętej obecności już zostało załatwione. Jezus, Syn żywego Boga pozwolił, by to On stał się tą jedną prawdziwą ofiarą za wszystkich. Do królestwa Bożego przechodzi się, gdy przyjmuje się Go jako Zbawiciela. Zaprosz Go do swojego życia. Odwróć się od grzechu i egoizmu, i zdecyduj się wzrastać w wierze.

Jamal odpowiedział bardzo powoli:

– To, co powiedziałaś, stwarza więcej pytań niż daje odpowiedzi. Ale nie mogę odmówić ci, że to prawda. Nie mogę po tym, czego byłem świadkiem na drodze do Damaszku, kiedy moje serce płonie w piersi.

Jakub usłyszał, jak Julia głośno łapie oddech. Zamrugła powstrzymując łzy i wzięła ojca za rękę.

Jamal patrzył na jego dłoń splecioną z dłonią córki.

– Jakubie.

– Panie.

– Zamknij, proszę, wejście do namiotu.

Jakub wstał i zrobił, co mu kazano, dając przy tym sygnał strażnikowi stojącemu na posterunku kilka kroków od namiotu, że wszystko jest w porządku. Gdy wrócił na swoje miejsce, namiot oświetlały trzy lampy oliwne.

Jamal sięgnął pod poduszkę, na której siedział i wyciągnął dwie paczuski, obie zapieczętowane czerwonym woskiem. Położył jedną na dywanie pomiędzy sobą i Jakubem.

– Twoja nagroda.

– Panie – Jakub mimowolnie wpatrzył się w zawiniątko. Ilość kadzidła, którą zawierało, stanowiła bogactwo większe niż mógł zarobić przez całe życie jako strażnik karawan. Wiedział, że powinien powiedzieć coś więcej. Ale w tym momencie był zbyt oszołomiony.

Jamal zdawał się to rozumieć, bo powoli pokiwał głową. Zwrócił się do córki i położył drugą paczuszkę na dywanie przed nią.

– Daję ci to jako posag. I moją zgodę na poślubienie tego, kogo sama wybierzesz.

– Och, tato – Julia wybuchnęła szlochem.

Jamal pogładził córkę po rękę.

– Już dawno mnie tak nie nazywałaś, córeczko.

– Dziękuję – wydusiła z siebie po jakimś czasie. – Dziękuję, tato.

Jamal skinął głową raz jeszcze, po czym zwrócił się znów do Jakuba.

– Twoje zdolności marnują się, gdy pełnisz obowiązki strażnika. Oto, co proponuję. Pojedziesz dla mnie jeszcze raz czy dwa z kadzidłem. Potem twoja rola może zostać rozszyfrowana, a nasz podstęp odkryty.

Jakub starał się przywrócić ostrość rozbieganym myślom. To, co mówił kupiec, było ważne. Bardzo ważne.

– Zgadzam się, panie.

– Od mojej rozmowy z Heleną nabrałem pewności, że nie będę już spędzał dużo czasu w Tyberiadzie. Potrzebuję zaufanego człowieka, który będzie tam doglądał moich interesów. Oczywiście, wiele z tego, co tam mam, zostanie przeniesione z powrotem do Damaszku, który będzie moją główną siedzibą. Lecz wciąż będę potrzebował kogoś w Tyberiadzie. Kogoś, komu mogę ufać, kto będzie działał w moim imieniu. Jakubie...?

Serce Jakuba znów podskoczyło.

– Panie, to jest ponad...

– Czyli zgadzasz się?

– O, tak. To znaczy... – Jakub spojrział ponad dzielącymi go z Julią dywanami, podczas gdy dziewczyna nadal starała się ochłoniąć z emocji.

Jamal również spojrział na córkę.

– Chciałabyś poślubić tego człowieka?

– Nie... nie rozmawialiśmy o małżeństwie – Julia zarumieniła się i przygryzła wargę.

Jakub poczuł, jak jego własna twarz go pali.

– Jak mogłem o tym mówić, gdy nie miałem nic do zaoferowania? I co z jej zaręczynami z kimś innym?

Jamal machnął ręką.

– Chłopak dał się zabić zbłąkaną strzałą.

Jakub poczuł, jak ulatuje z niego powietrze.

– A gdybyś miał coś do zaoferowania, przemówiłbyś? – spytał Jamal.

– Panie, czuję się taki niegodny i...

– Proś.

Jakub ukląkł przed Jamalem i pokłonił się nisko. Wreszcie nabrał na tyle powietrza, by coś z siebie wydusić. Położył paczuszkę z kadzidłem z powrotem przed Jamalem jako cenę za pannę młodą i wyjąkał:

– Panie, proszę o pozwolenie na zaręczyny z twoją córką – spojrzał na Julię. – Jeśli ona zechce uczynić mi ten zaszczyt, panie.

– No, Julio – zachęcił Jamal. – Czy chcesz przyjąć ofertę tego młodzieńca?

Głos uwiązał jej w gardle, ale zdołała powiedzieć:

– Całym sercem.

Jamal uniósł rękę córki i delikatnie ucałował.

– Masz moje błogosławieństwo.

Sięgnął po rękę Jakuba i złączył ich dłonie przed sobą.

Jakub nie widział już dobrze przez łzy. Tyle marzeń, tyle widoków na przyszłość się przed nim otwierało...

Julia położyła drugą rękę na dłoni Jakuba. Nie powstrzymywała już płaczu.

– A teraz mam prośbę – powiedział Jamal. – Jeśli mogę prosić o uwagę.

Julia zaśmiała się przez łzy i wymieniła spojrzenie z Jakubem.

– Nie chodzi o mnie, lecz o twoją matkę. Słyszeliście, że dałem jej swój dom w Tyberiadzie. Proszę was, byście z nią tam zamieszkali i troszczyli się o nią. Nie chcę jej tam zostawiać samej.

Julia spojrzała na Jakuba.

– Jakubie...?

– Będziemy zaszczyceni, panie – powiedział Jakub.

Zadziwione spojrzenie Jamala ogarnęło ich oboje.

– Jest dla mnie wielką ulgą, że się zgadzacie – zwrócił się do Julii: – Martwiłem się o twoją matkę. To jest wasz dar dla mnie. Będę spał znacznie spokojniej wiedząc, że będziecie z Heleną. Ja zaspokoję jej potrzeby finansowe, ale ona potrzebuje blisko siebie kogoś, kto naprawdę kocha ją tak, jak ona na to zasługuje.

Jamal wziął paczuszkę kadzidła i rzucił ją z powrotem w kierunku Jakuba.

– A teraz weź swoją nagrodę i sugeruję, żebyś w przyszłości wydawał ją w bardziej rozsądny sposób.

Wspólny śmiech tylko zacieśnił więź, która już się pomiędzy nimi stworzyła.

Po chwili Julia spoważniała i wyciągnęła rękę do ojca.

– Długo i usilnie poszukiwałeś skarbu, ojcze, lecz teraz chciałabym, byś sięgnął po największy ze wszystkich skarbów na świecie. Bezcenny, wart znacznie więcej niż jakieś tam kadzidło. Jest on oferowany za darmo wszystkim, bogatym i biednym, młodym i starym, Judejczykom i Grekom...

Jamal wiercił się na swojej poduszce. Jego twarz też przybrała poważny wyraz, gdy wpatrywał się w dywan pod nogami.

Jakub poruszył się nieznacznie uznawszy, że powinien zostawić ojca z córką samych.

– Zostań – powiedział Jamal, nie podnosząc wzroku.

Jakub został.

Oczy Jamala nadal były spuszczone. W końcu westchnął głęboko i potrząsnął głową.

– Wszystko się u mnie wywróciło do góry nogami. A teraz ten... ten Mesjasz, o którym mówicie, nie chce mnie zostawić w spokoju.

– Ale On dokładnie to chce ci dać – zapewniła go Julia. – Wieczny pokój.

Jamal jakby w ogóle nie usłyszał jej słów.

– Najpierw moja córka, potem Helena. A teraz dowiedziałem się o żonie i synach tu w Damaszku...

Poruszył się nerwowo i westchnął, potem spojrzał na Julię i Jakuba.

– Z początku, gdy to usłyszałem, nie mogłem zrozumieć. Wciąż nie mogę. Ale wiem jedno. Ta wielka moc, której dziś byłem świadkiem, nie mogła pochodzić od niczego innego jak od jakiejś potężnej istoty. To doświadczenie przemówiło do mnie. Pojąłem, że wszystko, co mi mówiliście, to prawda – przerwał na dłuższą chwilę. – W waszych twarzach widzę... jak mam to nazwać? Taki spokój. I jest to prawdziwy skarb. Skarb, który znacznie przewyższa to, co masz w tej torbie.

Julia pochyliła się ku Jamalowi i przytuliła się do jego ramienia.

– Pomodlisz się, ojczy, by Bóg dał ci ten pokój, który my odnaleźliśmy?



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Damaszek

Mimo zimowego chłodu słońce nad wschodnimi równinami ukazało krajobraz pełen bujnej zieleni. W namiocie kupca panowała cisza, Julii też jeszcze nie było widać, więc Jakub zjadł śniadanie sam. Zrobił szybki obchód karawany, lustrując zwierzęta, rozmawiając z poganiaczami i upewniając się, że wszystko jest w porządku. Jego serce wciąż śpiewało z radości. Julia będzie jego narzeczoną, Jamal zaoferował mu przyszłość, dzięki której będzie miał wszystkiego pod dostatkiem, i – co najważniejsze – pomodlił się z nimi!

Gdy usłyszał, że Jamal wstał, stanął przed wejściem do namiotu, zdał raport o stanie karawany i poprosił o pozwolenie odwiedzenia synagogi w porze porannej modlitwy. Czuł potrzebę złączenia się z innymi w liturgii dziękczynienia. Jamal podszedł do drzwi i odpowiedział, że jedzie z córką

do swego domu w Damaszku i nie będzie go przez cały dzień. Jakub uklonił się i oddalił. Przechodząc przez kolejne bramy modlił się, by Julia i jej matka zostały przyjęte tak, jak tego pragnęły.

Damaszek był zupełnie inny niż Jerozolima – jedyne duże miasto, jakie Jakub do tej pory znał. Jerozolima położona była na rozległych wzgórzach i nie było w niej ani jednej prostej uliczki. Jakub znał ludzi, którzy spędzili całe życie w jej murach, a i tak gubili się, gdy odwiedzali inną część miasta. Uliczki wiły się, wspinały na wzgórza i opadały po stromych zboczach. Przez środek miasta prowadził wewnętrzny mur, znacznie starszy niż ten pierwszy, wijący się wśród najstarszych dzielnic i narzucający to samo ulicom miasta.

Damaszek był wybudowany równie dawno jak Jerozolima, jednak stał na płaskowyżu. Wzgórza Libanu wznosiły się na północy i zachodzie, tworząc barierę w kształcie półksiężyca, chroniącą miasto przed większością burz. Z ich stoków brały początek dwie rzeki, które spadały z sąsiadujących z miastem klifów i niczym szerokie ulice przecinały miasto – jedna sam środek, druga jego północny kraniec.

Na południu rozciągała się wielka pustynia ciągnąca się od krainy Golan, przez region Perei, aż do Arabii, lecz tereny na wschodzie i północy zajmowały zielone pola – żyzne tereny uprawne, nawadniane przez te same rzeki, które dały życie miastu. Rzymianie nadali ulicom nowy kształt, tak że większość z nich biegła prosto, z północy na południe i ze wschodu na zachód. Nic dziwnego, że Jakub nie miał trudności z trafieniem tam, dokąd zmierzał.

Nie było też trudno znaleźć innych Judejczyków. Jakub słyszał, że w tym mieście mieszka ich około dwudziestu tysięcy. Szedł jedną z głównych ulic, zwaną Proszą, i niemal od razu napotkał mężczyzn w szalach modlitewnych. Spytał ich o drogę do łaźni, gdzie, jak

przypuszczał, oni sami też się udawali. Większość religijnych Judejczyków wstępowała do łaźni przed poranną modlitwą, gdyż zanurzenie się w wodzie było jednym z warunków oczyszczenia duchowego. Dla Jakuba znaczyło to znacznie więcej niż splukanie pyłu po podróży. Wiedział, że zanurzenie to symbol zmiany, przejścia z poziomego ziemskiego do niebiańskiego. Jakub chciał przypieczętować tym aktem ostatnie wydarzenia i zakończyć go modlitwą.

Potem poszedł z mężczyznami do synagogi, nakładając na siebie pożyczony szal modlitewny. Usłyszał, jak rozmawiają, gdy się ubierali i poznał od razu, że ta synagoga jest zdominowana przez wyznawców Drogi. Najwyraźniej to, co zasłyszał w Judei było prawdą – znaczna liczba wierzących znalazła schronienie w Damaszku.

Synagoga była oddzielona od ulicy Prostej sięgającym do pasa murkiem. Wnętrze budynku zostało niedawno pobielone wapnem, lecz żadna ilość światła, ani nawet radosny nastrój Jakuba, nie mogły rozchmurzyć ponurego zgromadzenia.

Szybko zdał sobie sprawę, że wszyscy dokoła niego mówią o ludziach, którzy nocowali naprzeciwko synagogi. Właśnie wczoraj przyjechali razem z karawaną. Imię faryzeusza wymawiane było takim tonem, jakim przekazuje się wieść o pladze. *Szarwet z Tarsu*. Postrach wyznawców Jezusa. Tu, w Damaszku.

Główną izbę wypełniło kilkuset mężczyzn. Zza zasłon przebiegających wzdłuż wschodniej ściany słyhać było głosy kobiet. W końcu wszyscy uciszyli się. Rozpoczęło się nabożeństwo, które wyglądało tak samo jak w Judei: pieśń, czytanie z Tory, modlitwa słowami z Psalmów. Potem niektórzy udali się do pracy, lecz większość została. Jakub nie ruszył się z miejsca, powtarzając w myślach Psalm, który współgrał z uczuciami

wypełniającymi jego serce. *Jak cenna jest Twoja łaska. Poisz nas potokiem Twoich rozkoszy. Albowiem w Tobie jest źródło życia.*

Po jakimś czasie przeszkodziły mu w modlitwie pełne zatroskania i strachu głosy. Słyszał, jak mężczyźni szepczą między sobą, że może powinni zabrać rodziny i uciekać. Ale dokąd mieliby pójść? Jeśli Szaweł tropi wierzących aż w Damaszku, to co stoi na przeszkodzie, by potem powędrował do Sydonu, Filadelfii, czy nawet Babilonu?

W umyśle Jakuba wybrzmiał inny werset z Psalmów: *Bóg jest z pokoleniem sprawiedliwym.* I wiedział, co ma teraz zrobić.

Zgodnie z obowiązującym w synagodze zwyczajem, po zakończeniu modlitwy, o ile prowadzący nabożeństwo starsi się zgodzili, mównica bywała otwarta dla każdego, kto czuł przynaglenie Ducha, by wystąpić naprzód. Wielu zebranych skrywało się nadal pod swymi szalami modlitewnymi. Ich powieki były zaciśnięte, a brody drżały od intensywnych modlitw. Jakub wstał i poszedł do przodu. Pokłonił się trzem starszym siedzącym przed mównicą i czekał. Najstarszy z nich przyjrzał mu się i skinął głową.

Jakub wszedł na podest, stanął za mównicą i spojrzał na zebranych.

– Nigdy wcześniej nie przemawiałem w synagodze – zaczął. – Mam na imię Jakub, pochodzę z plemienia Beniamina. Mieszkam w Tyberiadzie. Jako dziecko zostałem osierocony przez bandytów na drodze do Damaszku, uratowany i wychowany przez rzymskiego setnika, który teraz jest bojącym się Boga i wyznawcą Drogi, tak jak ja.

Kilka głów zwróciło się w jego stronę. Nieliczni spośród szepczących z tyłu rzucili w jego stronę przelotne spojrzenie. To również było zupełnie normalne. Każdy mógł przemawiać, ale nikt nie musiał słuchać. Jakub wiedział, że takie zgromadzenie potrafi uciszyć mówiącego ignorując go, co okrywało go wstydem. Gdy stojący za pulpitem podnosił głos, ci, którzy nie

chcieli go słuchać, modlili się lub zaczęli rozmawiać podniesionymi głosami, albo wręcz w ogóle wychodzili.

– Jestem strażnikiem na usługach Jamala, kupca z Tyberiady i Damaszku – kontynuował Jakub. – To z naszą karawaną przybył tu Szaweł z Tarsu.

Nastąpiła cisza tak nagła, że równie dobrze całe to miejsce mogłoby zamienić się w kamień. Każda para oczu skupiła się na nim, gdy przemawiał dalej:

– Na drodze do Damaszku wydarzyła się największa w moim życiu tragedia: straciłem ukochanych rodziców. A teraz na tej samej drodze spotkał mnie najpiękniejszy moment w życiu. Gdy karawana zbliżała się do Damaszku, ukazała się światłość z nieba, zbyt jasna, bym mógł ją opisać, i oświeciła Szawła z Tarsu.

Znów rozległ się szmer różnych głosów, więc Jakub rzekł głośniejszym głosem:

– I ukazał mu się Jezus. Wiem to, bo Szaweł sam mi o tym powiedział.

– Czy to możliwe? – krzyknął ktoś ponad wzrastającą wrzawą.

– Cicho! Pozwólcie mu mówić.

Jakub mocniej chwycił za pulpit.

– Szaweł został oślepiony przez to, że ukazał mu się zmartwychwstały Pan.

– Słyszałem o tym! – krzyknął ktoś inny. – Szaweł i jego towarzysze zatrzymali się w domu kapłana, niedaleko, po drugiej stronie ulicy. Faryzeusz do tej pory nie widzi!

Jeden ze starszych siedzących z przodu potwierdził:

– Faryzeusz nic nie je i nie pije. Modlił się przez całą noc. Nadal się modli. Mówi, że czeka, aż Bóg powie mu, co ma dalej robić.

Jakub podniósł głos.

– Jeden z powodów, dla których znalazłem się w Damaszku jest taki, że zostałem przysłany przez starszego z synagogi w Joppie, by was ostrzec o przybyciu Szawła. Będąc w drodze, zajechałem do Tyberiady i dowiedziałem się, że Szaweł domaga się miejsca w najbliższej karawanie jadącej do waszego miasta. Kupiec Jamal przygotowywał tę karawanę już od wielu dni. I tak oto człowiek, przed którym miałem was ostrzec, ruszył ze mną w tej samej karawanie. Była w tym Boża ręka. Tego jestem pewien.

– Faryzeusz poprzysiągł przywlec wyznawców Jezusa w łańcuchach do Jerozolimy! – synagogę wypełniła wrzawa.

Jakub podniósł ręce, prosząc o ciszę i wszyscy znów się uspokoili, by go posłuchać.

– To było przedtem – rzekł. – Jestem pewien, że Szaweł spotkał Jezusa. Słyszał, jak Pan do niego mówi. Tak jak wam powiedział wasz starszy, Szaweł czeka na dalsze instrukcje od Boga.

Nastąpiła kolejna chwila zgiełku, po czym ktoś zawołał:

– A co, jeśli ten człowiek się myli?

– Nie – powiedział Jakub łagodnie, lecz to wystarczyło, by uciszyć zebranych. – Gdy wyjechaliśmy z Tyberiady, dostałem propozycję, by zabić Szawła oraz strażników i ukryć ich na pustyni. Wyznaję, że przez jakiś czas kusiło mnie, by tak uczynić. Mógłbym ochronić tych, którzy uciekli przed jego gniewem, takich jak wy tutaj, w Damaszku. Miałem wątpliwości i bałem się, tak jak wy teraz. Lecz modliłem się i czułem, że Boża ręka odciąga mnie od takiego czynu. Nie potrafiłem działać. I dziś stoję przed wami, by wam powiedzieć, że kierował mną nasz Pan. Przemówił do mnie i prawdziwie wierzę, że przemówił też do naszego wroga, Szawła.

– A co Bóg mówi ci teraz? – spytał ktoś z tłumu.

– Trzy słowa – Jakub nigdy w życiu niczego nie był tak pewien jak tego. – Nie lękajcie się.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Damaszek

Jamal i Julia wyszli z gospody i przemierzali ulice Damaszku.

– Poczekasz przy bramie? – kupiec zwrócił się do córki. – Wejdę najpierw sam.

Skinęła głową.

– Oczywiście, ojcze.

– Zdajesz sobie sprawę, że Florina może nie chcieć się z tobą spotkać?

Florina? Piękne imię. Julia usłyszała je po raz pierwszy i poczuła smutek.

– To jej decyzja, ojcze. Mama i ja wiemy, że ona ma prawo spełnić naszą prośbę... lub nie. Nie będziemy nalegały.

– Twoja matka to cudowna kobieta, Julio. Na początku sprzeczałem się z nią co do jej decyzji. Nie chciałem jej stracić i próbowałem ją odwieść od

tej wizyty. Ale... – westchnął głęboko. – Wiem, że ona zrobi tylko to, co będzie uważała za najlepsze dla nas wszystkich.

Jamal wahał się przez chwilę, po czym mówił dalej:

– Nie potrafię tego ukryć: będę za nią tęsknił. Bardzo. Przez wiele lat była moim klejnotem. Lecz teraz muszę uszanować jej decyzję. Dziś rano, gdy przyszedłem do gospody z dobrymi wieściami, powiedziała, że być może Bóg przygotował dla nas jeszcze lepszą wzajemną relację. Będziemy bratem i siostrą w Panu, nie zaś... – nie dokończył, ale zaraz rzekł: – Nie udaję, że będzie to łatwa droga. Módl się za mnie, Julio.

Skinęła głową i stłumiła wrywający się z gardła szloch. Smutek przebijający ze słów ojca głęboko ją dotykał.

– Kochanie, pamiętaj zawsze o tym, że chociaż twoja matka nie jest moją żoną, przynajmniej nie w sensie prawnym, to ty zawsze byłeś i zawsze będziesz moją córką.

Ujął ją za rękę, uściśnął lekko i puścił.

Julia poczuła, że nie mogłaby otrzymać większego daru. Otarła łzy i podeszła z ojcem do drzwi, które otworzyły się przed nimi. Weszli do przedsionka, przeznaczonego dla służących i posłańców. Julia usiadła z boku na ławce. Upłynęło dość dużo czasu, gdy stanął przed nią sługa. Skłonił się i powiedział:

– Proszę za mną.

Serce Julii waliło jak młotem, gdy prowadził ją przez połączony korytarz wyłożony marmurową posadzką. Służący otworzył bogato dekorowane drzwi, wykonane z heblowanego drewna obitego miedzią, po czym gestem wskazał, by weszła. Jej ojca nie było w tym pomieszczeniu. Na wyściełanym krześle z połączanym oparciem i podłokietnikami siedziała kobieta.

Julia oszacowała, że jest ona starsza od Heleny o co najmniej dziesięć lat. Jej wygląd trudno było uznać za szczególnie atrakcyjny, zwłaszcza w porównaniu z nieprzeciętną urodą Heleny. Biła z niej jednak godność, rozum i autorytet. Julia instynktownie poczuła, że nie ma przed sobą kobiety wybranej z jakiejś małej samarytańskiej wioski. Jej dumna postawa wskazywała na przynależność do arystokracji.

Twarz Floriny wyrażała napięcie, a może nawet wrogość. Julia pożałowała, że tu przyszła. Zawahała się, lecz kobieta wskazała jej krzesło naprzeciwko siebie.

– Masz na imię Julia? – jej głos był zaskakująco delikatny.

Julia nie była w stanie się odezwać, więc tylko skinęła głową.

– Rozumiem, że mój mąż jest twoim ojcem.

– Tak, pani – zdołała powiedzieć Julia.

Zauważyła, że ciemne oczy kobiety uważnie jej się przyglądają, co jeszcze bardziej wprawiło ją w zakłopotanie.

– Nie jesteś zbyt podobna do Jamala – zauważyła Florina.

– Niektórzy mówią, że przypominam swoją matkę – odpowiedziała Julia łamiącym się głosem.

– Musi być atrakcyjną kobietą – słowa te nie zabrzmiały złośliwie, lecz wydawały się po prostu komentarzem.

Siedziały chwilę w milczeniu, podczas gdy kobieta wciąż wpatrywała się w Julię. Potem westchnęła i uniosła do ust mały lniany kawałek materiału w kształcie kwadratu. Julia zastanawiała się, czy używała go już wcześniej, by wytrzeć łzy.

– Powiedz mi Julio, po co tu przyszłaś?

– Ja... ja i moja matka... stałyśmy się zwolenniczkami Drogi. Ostatnio usłyszałyśmy, że ty też jesteś wierząca. Modliłyśmy się... w sprawie... naszych okoliczności, odkąd odnalazłyśmy wiarę i chciałyśmy...

Co mogła powiedzieć, by to dla tej kobiety miało jakikolwiek sens?

– Nie jestem pewna... – brnęła dalej. – Modliłyśmy się i mama pomyślała, że powinna tu przyjść. Pan...

– Twoja matka – powtórzyła Florina. – Czy ona tu jest?

– W gospodzie. W gospodzie ojca.

– Dlaczego więc Jamal... Twój ojciec... nie przyprowadził jej z tobą?

– Moja matka nie chciała się narzucać, dopóki się nie upewni, że życzysz sobie z nią porozmawiać.

Florina poruszyła się na krześle i powachlowała lnianym kawałkiem materiału, jakby się nad czymś zastanawiała.

– A co, jeśli sobie nie życzę?

– To wyjedzie... Wróci do Tyberiady.

Florina zamilkła. W jej ciemnych oczach odbijały się targające nią sprzeczne myśli. Po chwili ponownie przemówiła, a jej głos był delikatny, lecz silny.

– Wiedziałam o jej istnieniu już od wielu lat, natomiast nie wiedziałam o tobie. Nikt nie poinformował mnie, że Jamal ma jeszcze jedno dziecko, choć, oczywiście, mogłam się domyślić. Powiedz mi, czy Jamal ma jeszcze jakieś inne sekrety? Masz rodzeństwo?

– Nie. Jestem jedynaczką.

– Córka – powiedziała. – My, Jamal i ja, nie mamy córki. Przypuszczam, że cię rozpieszczął.

– Być może trochę – Julia spuściła głowę, by ukryć uśmiech.

Florina również się uśmiechnęła, jakby zadowolona z tego, że Julia tak łatwo się do tego przyznała.

– Powiedz mi, Julio, macie piękny dom?

Julia nieświadomie rozejrzała się po pomieszczeniu, po czym spojrzała na kobietę.

– Jest bardzo ładny i wygodny, ale nie tak piękny jak ten – odpowiedziała szczerze. Rzeczywiście, nigdy wcześniej nie była w tak pięknym domu. Nie miała pojęcia, co Florina pomyślała sobie o niej.

– Jamal czeka aż wrócę – oznajmiła kobieta. – Obiecałam mu, że nasze spotkanie nie zajmie dużo czasu.

Gdy powoli wstawiała z krzesła, widać było, że jest zmęczona.

– Porozmawiamy jeszcze, Julio. Poślę po ciebie.

– Dziękuję, pani.

Florina wzięła głęboki oddech.

– A kiedy przyjdiesz, proszę, przyprowadź twoją matkę.

Julia właśnie wstawiała z miejsca. Słowa te tak ją zszokowały, że przez chwilę nie mogła się ruszyć.

– Chcę się z nią zobaczyć. Tak. Chcę, choć nie jestem w stanie wytłumaczyć, dlaczego.

Ta decyzja musiała ją dużo kosztować. Julia to widziała. Czuła wobec Floriny głębokie współczucie, ale wiedziała, że nie byłoby to mądre, by je teraz wyrazić, nawet gdyby umiała to zrobić.

– Dziękuję, pani – powiedziała, skłoniwszy się lekko. – W imieniu nas obu.

*

Zaproszenie przyszło już następnego dnia. Zaprzężony w dwa konie powóz czekał przed gospodą. Gdy do niego wsiadały, Julia poczuła, jak przez jej ciało przechodzi dreszcz. Poznała Florinę dopiero wczoraj i choć nie została odrzucona ani zlekceważona, nie czuła się również zbyt mile widziana. A co przyniesie ten dzień?

Ku zaskoczeniu Julii, Helena wyglądała na zupełnie spokojną. Zdawała się być zadowolona z tego, że Florina zgodziła się z nią spotkać. Helena

i Julia modliły się wspólnie przed snem, a także rano. *Tak, Bóg da mądrość* – pomyślała Julia, gdy jechały do pięknej rezydencji.

Wchodząc przez dużą bramę na podwórze, Julia jeszcze raz zdumiała się przepychem tego domu, natomiast matka zdawała się go nie zauważać.

Zostały od razu przyjęte i poprowadzone do małego, bogato zdobionego pokoju dziennego, tego samego, w którym dzień wcześniej Florina przyjęła Julię. Dziewczyna zastanawiała się, czy to jest ulubione miejsce tej kobiety, tak jak matka miała swoją ulubioną altanę w domu. Florina siedziała na pozłacanym krześle i wyglądała niczym królowa na tronie.

Tym razem wstała, by je powitać. Jej wzrok prześlizgnął się po Julii i spoczął na Helenie. Helena skłoniła głowę w pełnym szacunku ukłonie. Florina skinęła głową.

– Heleno, Julio, proszę, usiądźcie ze mną.

Młoda służąca pchnęła drzwi i wniosła tacę z poczęstunkiem. W absolutnej ciszy naląła herbatę, podała kubki i postawiła jedzenie, w większości im nieznane, lecz wyglądające apetycznie. Julia nie miała pojęcia, czego spróbować. Spojrzała na matkę, która wybrała figi maczane w miodzie i obtaczane w zmielonych orzechach. Julia wzięła to samo.

Florina zwróciła się do Heleny:

– Twoja córka powiedziała, że chciałaś się ze mną spotkać.

Julia zastanawiała się, czy jej matka będzie tak samo zdenerwowana jak ona poprzedniego dnia. Ale Helena ją zaskoczyła, gdyż z szacunkiem, lecz zarazem z pewnością siebie odpowiedziała:

– Wiedziałam, że Jamal ma inną... że ma żonę i inną rodzinę. Przez jakiś czas to akceptowałam, lecz kiedy uwierzyłam w Mesjasza, uznałam to... cóż... za niewłaściwe, by nie zwracać uwagi na tę sytuację. Ty jesteś jego żoną. Ty i twoja rodzina macie pisane oraz moralne prawo do jego

czasu i uwagi. Nie chcę zagrażać twojej rodzinie i twojemu domowi – w żaden sposób. Przepraszam za ból, jaki mogłam zadać tobie i twoim dzieciom.

Chyba nie tego Florina oczekiwała. Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na swój talerz. Po chwili podniosła głowę.

– Powiedz mi, Heleno, ile miałaś lat, gdy mój mąż... cię nabył?

– Zbliżały się moje piętnaste urodziny.

– Miałaś czternaście lat?

– Czternaście, tak.

– Byłaś jeszcze dzieckiem. I rozumiem, że wraz z tobą Jamal dostał mały dom, stragan na rynku i różne inne rzeczy jako spłatę długu.

Julia spojrzała szybko na matkę, lecz ta nie unikała odpowiedzi.

– Zgadza się. Jamal był bardzo hojny wobec mojej rodziny. Gdyby nie postąpił w ten sposób, moja matka zostałaby pozbawiona środków do życia i wpadła w skrajną nędzę.

– Więc postrzegasz go jako swego dobroczyńcę?

– Tak. Pod wieloma względami tak.

Florina przez dłuższą chwilę rozważała słowa Heleny, po czym znów się odezwała.

– Wiesz, że on cię kochał? Bardziej niż mnie?

– Przykro mi, jeśli tak jest. Ale nie. Nie wiedziałam.

– Długo i zazarcie się o ciebie kłóciliśmy, Heleno. O twoje miejsce w jego życiu, w jego sercu.

– Bardzo trudno mi tego słuchać. Bardzo cię przepraszam.

Florina westchnęła i odstawiła kubek. Wstała i podeszła do dużego okna, z którego rozciągał się widok na zadaszony ogród. Jej ramiona były sztywne, lecz kroki równe i pełne gracji.

Odezwała się znów dopiero po dłuższym czasie, wciąż patrząc na ogród:

– Właściwie to nasza przeszłość nie różni się aż tak bardzo. Ja również zostałam nabyta – lecz jako panna młoda. Jamal oferował okazały posąg, co mój ojciec uważał za dużą zaletę. Należał do arystokracji, lecz popadł w kłopoty finansowe. Jamal oferował bogactwo w zamian za pozycję. Pochodzę z Efezu, z prominentnej rodziny. Czciłiśmy tam boginię Dianę – odwróciła się do Heleny. – Słyszałaś o niej?

Helena skinęła głową.

– Jamal nie chciał czcić w swoim domu żadnych bogów. Mały posążek, który przywiozłam ze sobą z domu, rozbił na kawałki. Czułam się strasznie i płakałam przez wiele dni. Znienawidziłam go za to.

Podeszła z powrotem do swojego krzesła. Helena nic nie mówiła. Julia wiedziała, że to nie koniec historii, ale zastanawiała się, dlaczego Florina dzieli się z nimi tymi smutnymi szczegółami ze swojego życia.

Widać było, że Florinie trudno jest mówić dalej, lecz w końcu się przemogła.

– Możecie odgadnąć, że nasze małżeństwo nie należało do szczęśliwych. Byłam mu posłuszna, na każdym kroku okazywałam poddanie, lecz nie poczyniłam żadnego wysiłku, by kochać mojego męża, ani żeby go uszczęśliwić.

Helena powoli pokiwała głową.

– Rozumiem.

Florina długo wpatrywała się w ich twarze, jakby chciała przekonać się, co sądzą o jej wyznaniu. Potem mówiła dalej:

– Mamy dwóch synów. To jedyna rzecz w moim życiu, która przyniosła mi jakąkolwiek radość. Młodszy syn pierwszy uwierzył w Jezusa. Zaprowadził mnie do grupy, która spotyka się tu, w Damaszku. Tak

pragnęłam, potrzebowałam czegoś większego, co dałoby mi poczucie pokoju, jakiś cel w życiu.

Zamilkła znowu, a Julia patrzyła, jak jej twarz zaczyna się zmieniać. Napięcie zelżało, a z oczu częściowo zniknął cień.

– A teraz, kiedy znam prawdziwego Boga, znalazłam to, czego szukałam. Nie potrzebuję już posążków wyrzeźbionych z drewna czy kamienia, pozłacanych czy posrebrzanych. Mam pokój. Albo miałam... do tej pory.

Westchnęła głęboko.

Helena zaczęła wstawać z krzesła, ale Florina lekkim ruchem dłoni nakazała, by usiadła z powrotem.

– Wczoraj w nocy Jamal i ja długo, prawie całą noc rozmawialiśmy – znów spojrzała wprost na Helenę. – Powiedział, że poprosiłaś, abyście zakończyli waszą relację.

Helena skinęła głową.

– Dlaczego?

– Nie wydaje mi się właściwe żyć ze sobą poza małżeństwem, gdy wiem, że Bóg pokazał konkretnie, jak powinno to wyglądać.

– On by się z tobą ożenił. Musisz to wiedzieć.

– Lecz to nie byłoby rozwiązanie, którego byśmy chcieli – ani ty, ani ja.

– Rozumiem, dlaczego ja miałabym tego nie chcieć. Ale dlaczego nie ty?

– Ponieważ... uzurpowałabym sobie prawo do czegoś, co należy już do kogoś innego – do daru czasu ze strony Jamala, do jego czułości. To należy do ciebie i twojej rodziny.

Florina znów podeszła do okna.

– Myślałam, że Jamal przesadza, kiedy mi o tobie opowiadał. Żadna kobieta nie mogłaby być taka... honorowa, taka dzielna. Naprawdę chcesz się na to zdecydować? Tak po prostu się usuniesz? Bo przecież wiesz, że wygrałaś, prawda? Gdybyś nalegała, on by mnie zostawił.

– Nie mogłabym z tym żyć – powiedziała Helena drżącymi ustami. – To by przyniosło hańbę nam wszystkim, a zwłaszcza Jamalowi.

Gdy Florina odwróciła się do nich, łzy spływały jej po policzkach. Wytarła je swoją lnianą chustką.

– To mogą być najdziwniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiem. Ale czuję z tobą jakąś więź. Spodziewałam się, że będę się czuła zagrożona, że będę zagniewana. A ja zamiast tego czuję...

– Jesteśmy siostrami w Bożej rodzinie – powiedziała miękko Helena, wstając, by spojrzeć jej w twarz.

– Tak, tak, oczywiście. Dziwne, nieprawdaż? Chociaż... dopiero od niedawna jestem wierząca i wciąż muszę się jeszcze dużo nauczyć. Ale to jedno już wiem: nie da się żyć w zgorzknieniu i gniewie przeciw komuś i jednocześnie posiadać Bożego pokoju.

Julia siedziała cicho, słuchając tej dziwnej wymiany zdań pomiędzy dwiema kobietami, które wcześniej żyły z tym samym mężczyzną. Patrzyła na każdą z nich z podziwem.

– Jak już powiedziałam – ciągnęła Florina siadając znów na swoim krześle – Jamal i ja długo rozmawialiśmy dzisiejszej nocy. On nie był jedyną osobą, która uczyniła coś złego. Ja też musiałam go przeprosić. Byłam twarda i pełna gniewu. Nic dziwnego, że nie chciał do mnie wracać. Ale obiecałam mu, że z Bożą pomocą się zmienię – mówiąc to nie wyglądała już jak królowa, lecz przypominała biedną, samotną kobietę. – Będę się starała nauczyć go kochać. I czuję, że z czasem, z Bożą pomocą, możemy stworzyć

między nami więź, która będzie miła naszemu Panu. I... dziękuję ci, że umożliwiłaś mi, że mogę spróbować to zrobić.

Nim Julia się obejrzała, jej matka klęczała obok Floriny. Obie kobiety obejmowały się i płakały.

I taką właśnie scenę zastał jej ojciec, gdy wszedł do pokoju. Nie zauważyły, kiedy stanął w drzwiach, ani kiedy wyszedł. Bo opuścił pomieszczenie tak samo szybko, jak się pojawił, a w oczach miał łzy. Julia podniosła się, by podążyć za nim, lecz nic nie widziała przez łzy, które strumieniami płynęły jej po policzkach.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Cezarea

Jadąc z maksymalną prędkością, oddział konnych rzymskich żołnierzy dotarłby do Cezarei w dwa dni, lecz Linuks i jego towarzysze jechali trzy dni dłużej. Po drodze przeczesywali okolicę i rozmawiali ze starszyzną w wioskach. Wysyłali patrole, gdy tylko zauważyli jakiś poruszający się cień, lecz żadnego zagrożenia nie znaleźli. Linuks podejrzewał, że może taki był właśnie zamiar setnika Korneliusza, by zademonstrować agresywną siłę i dokładnie przeszukać teren. Mieli polować niczym jastrzębie i zmusić bandytów, by przenieśli swą śmiercionośną działalność w inne miejsce.

Każdego dnia wstawali przed świtem, ale nikt z ludzi Linuksa nie narzekał. Celem ich podróży było nadmorskie miasto, rzymska ostoja bezpieczeństwa, gdzie jedzenie nie miało posmaku piachu, żwiru i pustynnego upału, a gorące łaźnie stanowiły dumę regionu. Każdego dnia

ich dobry nastrój się poprawiał, a pod koniec podróży legionieści czasem nawet śpiewali.

Lecz już drugiego dnia po przyjeździe do Cezarei Linuksa zaczęła irytować beczynność, do której był tu zmuszony. Każdego ranka meldował się u dowódcy garnizonu, po czym mógł zrobić ze swoim czasem, co tylko chciał. Korneliusza nie było, gdyż wyjechał na inspekcję podległych mu oddziałów. Wraz z nim wyruszyli wszyscy, których znał z kohorty Italskiej. Linuks miał się każdego najmniejszego zajęcia, jakie mu przyszło do głowy i denerwował się, że jest tak daleko od Samarii.

Co noc budził się z głębokiego snu i uświadamiał sobie, że śnił mu się śmiech dziecka i uśmiech kobiety. Niegdyś obiecał mężowi Abigail, że będzie ją chronił i był pewien, że dopełni tej przysięgi, choćby miał umrzeć. Dla niego jasne było, iż złożył tę obietnicę nie tylko Szczepanowi, lecz również Bogu, któremu obaj służyli.

Trzeciego dnia po południu Linuks został wezwany do Korneliusza. Wieść przyniósł Grattus, młody podoficer, który niegdyś po raz pierwszy zaprosił Linuksa do domu setnika. O zmierzchu wyruszyli konno. Grattus wciąż nosił na sobie ślady ostatniego wyjazdu w teren. Co prawda obmył się z pyłu, naoliwił włosy i założył świeży mundur, lecz wysiłek i napięcie ostatnich kilku tygodni sprawiły, że wyglądał starzej.

– Mielście ciężkie zadanie? – spytał Linuks.

– Próbowaliśmy schwytać widmo. Czterech dobrych ludzi straciliśmy przez strzały wypuszczone w nocy. Nie znaleźliśmy nikogo.

Korneliusz powitał ich ze zwyczajową szorstką grzecznością. Na jego postarzałej twarzy znać było ciężar trosk.

– Czy Grattus opowiedział ci o naszych wypadach?

– Usłyszałem wystarczająco dużo.

– Bandyty i zeloci mają jeden główny cel. Chcą, byśmy ograniczyli się do siedzenia w naszych twierdzach i garnizonach. Tam jesteśmy bezpieczni. A oni chcą opanować drogi.

Linuks zawahał się, po czym powiedział:

– Musicie przenieść walkę daleko od dróg.

Obaj rozmówcy popatrzyli na niego zdumieni. Linuks aż nadto rozumiał ich milczący sprzeciw. Rzymski oficer był przyzwyczajony do dominacji przy użyciu siły. Drogi były dla nich jak linie życia, więc rozumowali tak, że o ile należą do nich, to wystarczy, by mogli się po nich poruszać i przeprowadzać zmasowane ataki.

– Rynek na rozstajach dróg w Megiddo jest zmuszony płacić bandytom haracz. Odkąd tu przyjechałem, wyłącznie ich ścigamy, nie dążąc do otwartej bitwy. Chcemy ich zmęczyć, uprzykrzyć życie na tyle, by sami opuścili te tereny. Jedynym sposobem, by tego dokonać, jest przeniesienie walki tam, gdzie są najpotężniejsi, gdzie uważają, że mają przewagę: na wzgórze, do jaskiń, do ukrytych dolin i do wiosek.

Twarze obu mężczyzn wyrażały szok.

– Patrolujesz judejskie wioski? Z taką małą ilością ludzi?

– Po pierwsze, tylko połowa moich ludzi zostaje w twierdzy Megiddo, z rozkazem, że ma codziennie wyruszać na patrol. Druga połowa rozbiła obóz na rozstaju dróg.

– I Judejczycy się na to zgadzają?

– Nawet więcej. Uważają nas za swoich przyjaciół.

Kilku innych oficerów podeszło bliżej, by przysłuchać się rozmowie. Jeden z nich rzekł:

– Ale mieszkańcy judejskich wiosek dają zelotom schronienie i pomagają im.

– Niektórzy tak. I nie potępiamy ich. Nie mamy siły, by walczyć ze wszystkimi. Patrolujemy takie wioski częściej niż inne i wywieramy nacisk, ale subtelnie. Przeszukujemy ich zapasy i wozy, zaglądamy do stajni i obór. Robimy to systematycznie, wielokrotnie.

– I ten twój plan działa? – spytał Korneliusz.

– Nie straciliśmy ani jednego człowieka – odparł Linuks. – Jedyna wada jest taka, że mało śpimy.

Jakiś oficer stojący przy ścianie powiedział:

– Gdybym ja ze swoimi ludźmi rozbił obóz w judejskiej wiosce, podcięliby nam gardła we śnie.

– Większość by tego nie zrobiła, jedynie niektórzy z tych, co współpracują z zelotami – odparł Linuks.

– Więc jak to jest, że ty i twoi ludzie pozostajecie bezpieczni?

Korneliusz zrozumiał wahanie Linuksa, więc zabrał głos.

– Miejscowi Judejczycy, o których mowa, to ludzie wierzący w Jezusa.

– Niektórzy, może nawet większość. Ale nie wszyscy.

– Traktujecie ich z szacunkiem.

Linuks skinął głową.

– Traktujemy wierzących jako braci i siostry w wierze. I płacimy tym, którzy nam coś sprzedają czy dostarczają usługi. W monetach, nie w kwitach.

– A twoi ludzie – co oni o tym wszystkim myślą?

– Ci, którym takie podejście mogłoby się nie spodobać, zostali przydzieleni do twierdzy. A co do reszty... – Linuks uśmiechnął się na wspomnienie ich ostatniego posiłku. – Niektórzy zaczynają podążać za Mesjaszem.

– To jakieś szaleństwo! – zaprotestował inny oficer. – Judejczycy to nasi wrogowie!

Korneliusz rzucił Linuksowi ostrzegawcze spojrzenie, więc Linuks tylko wzruszył ramionami i zostawił to bez komentarza.

Oficerowie zjedli wspólny posiłek. Czuć jednak było wyraźny dystans ze strony tych, którzy pogardzali Judeą. Rzucali oni ponure spojrzenia w stronę Linuksa. Korneliusz nie dał po sobie poznać, iż zauważa, że coś nie jest w porządku. Po posiłku pożegnał oficerów, a Linuksowi kazał zostać. Poprowadził pozostałą grupkę na tylny balkon, gdzie podwórze jego domu stykało się z nadmorskimi skałami. W świetle pochodni jego twarz wyglądała na zmartwioną i zmęczoną.

– Rozumiesz mój dylemat?

– Tak, panie. Rozumiem.

– Ci z nas, którzy przyjmują Jezusa jako Mesjasza całej ludzkości, doświadczają rosnącego pragnienia jedności i pokoju. A to stwarza zagrożenie, że powstanie rozłam pomiędzy nami a innymi oficerami – ludźmi, którym ufałem przez całe lata służby. Ludźmi Rzymu – dobrymi ludźmi.

– Rozumiem.

Cała grupka, stojąc przy balustradzie, patrzyła na oświetlone światłem księżycy morze.

– Dobrze jest być znów w Cezarei – powiedział Linuks. – Ale jednocześnie trudno. Dobrze, bo jest to miejsce, które znam. To miasto rzymskie: uporządkowane, bezpieczne, bogate. Lecz jest mi też trudno, bo to miejsce izoluje mnie od ludzi.

– Od *twoich* ludzi? – spytał Korneliusz.

– Nie chodzi o wszystkich, ani nawet o większość. Ale ci, którzy nie są zwolennikami Drogi, którzy mnie nie znają, którzy widzą jedynie rzymskiego oficera, noszącego mundur znienawidzonych okupantów. Dla nich jestem i pozostanę wrogiem.

– Jednak w Judei czujesz się dobrze.

Linuks powoli pokiwał głową.

– Dopóki nie przejechałem przez bramy Cezarei, nie zdawałem sobie sprawy, jak dalece samarytańskie równiny stały się moim domem.

– Potrzebujemy takich oficerów jak ty. Nie tutaj, tylko tam, w terenie – Korneliusz odwrócił się, by spojrzeć mu w twarz. – Chciałbym, żebyś wrócił do Megiddo.

Linuks oparł się nagłemu impulsowi, by krzyknąć z radości.

– Słyszę i jestem posłuszny, panie.

– Weźmiesz ze sobą ludzi, którzy dzielą twoje spojrzenie na tę ziemię i zmartwychwstałego Mesjasza. Dostaniesz srebro, żebyś mógł nadal płacić właścicielom straganów za żywność. Nawiążesz kolejne znajomości, zawrzesz sojusze – Korneliusz bacznie mu się przyglądał. – Co ty na to, Linuksie?

Linuks odpowiedział szczerze:

– Twoje rozkazy poruszają moją duszę i rozgrzewają me serce, panie. Są odpowiedzią na moją modlitwę.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Damaszek

Jakub wrócił do obozu karawan, gdzie czekały na niego instrukcje od Julii, zapisane na złożonym i zapieczętowanym woskiem pergaminie. Miał iść do kupca przy ulicy Prostej, gdzie Julia wybrała materiał na nową szatę. Ów kupiec obiecał, że będzie gotowa po południu. Potem, przed zachodem słońca, Jakub miał spotkać się z Julią i Heleną na wieczornym posiłku w domu Jamala.

Gdy Jakub zjawił się w sklepie, kupiec powiedział:

– Nie było mnie w synagodze na porannej modlitwie, ale słyszałem o tobie. Mam przed sobą Jakuba, tak? Czy to prawda, co mówią, że przybyłeś z Tyberiady razem z faryzeuszem Szawłem?

– Prawda.

– I mówiłeś w synagodze o spotkaniu z Jezusem na drodze do Damaszku?

– To nie ja spotkałem tam naszego Pana, lecz Szawel.

Kupiec cały się wzdrygnął.

– Moja rodzina mieszka w Damaszku od ponad stu lat. My Judejczycy szcycimy się naszym dystansem do kapłanów ze Świątyni. Obraliśmy własny kurs. Odnajdujemy własną drogę do Boga. Gdy przybyli tu uczniowie i mówili o Zmartwychwstałym, ja i cała moja rodzina posłuchaliśmy ich wezwania. Odnależliśmy pocieszenie, i o wiele więcej niż tylko to. Przybliżyliśmy się do siebie nawzajem i do Boga. Mamy tak wielki pokój wewnętrzny... – zamilkł na chwilę. – Jak sobie pomyślę, że Szawel przybył, żeby to wszystko zniszczyć, to...

– Rozumiem – rzekł Jakub. – Lecz myślę, że Szawel mógł zostać przemieniony przez to, co się wydarzyło. Mnie to przemieniło, a ja przecież nie widziałem Jezusa twarzą w twarz, tak jak on. Ja widziałem światłość i słyszałem głos, lecz nie potrafiłem rozróżnić słów. Szawel widział Pana i słyszał, co On mówi. A światło go oślepiło.

– Wśród wierzących podnoszą się głosy, że powinniśmy zaatakować, póki Szawel jest wciąż ślepy – powiedział powoli kupiec. – Że to dar od Boga, dzięki któremu możemy pozbyć się zagrożenia.

– Nie słyszałem, co powiedział Jezus – powtórzył Jakub. – Ale czułem Jego obecność. I nie było w tym żadnego zagrożenia. Jedynie pokój.

– I wprowadziłeś tego Szawła do Damaszku?

– Całą drogę trzymał się mojego ramienia.

– A powiedział ci, co mu mówił Pan?

– Tak. Że powinien iść do Damaszku i tam czekać, a Pan powie mu, co ma nastąpić dalej.

– I teraz on czeka sam i pości – mężczyzna pogładził brodę. – Nie widzi i jest osłabiony. Bezbronny wobec nas niczym jagnię, czekający na sąd, na który zasługuje.

Jakub potrząsnął głową.

– Mogę ci tylko powiedzieć, co widziałem i co czułem. W obecności naszego Pana był jedynie pokój. To uczucie było tak potężne, że nie da się go opisać. Było mi okropnie wstyd, że wcześniej w ogóle rozważałem zemstę.

*

Dom Jamala był bardzo duży i wiekowy. Oryginalna budowla została wzniesiona w stylu pustynnym, a pozbawiona ozdób, prosta brama zewnętrzna niewiele mówiła na temat tego, co znajdowało się za nią. Gdy Jakub zapukał, otworzył mu sługa i skłoniwszy się wprowadził go do pierwszego podwórza, przeznaczonego dla zwykłych gości. Jakuba poprowadzono jednak dalej, przez kolejną bramę, co oznaczało wejście w inną sferę. Bardzo się cieszył, że Julia zamówiła dla niego nową szatę.

Prywatna część domu została przebudowana w stylu rzymskim, z wewnętrznym podwórzem otoczonym filarami. Bujny ogród zdobiły trzy fontanny, z których wytryskała perfumowana woda. Na kwitnących drzewach ptaki wyśpiewywały trele skierowane ku zachodzącemu słońcu. Powietrze przesycił zapach przypraw i pieczonego jagnięcia.

Jedli usadzeni wokół niskiego stołu, siedząc na dywanach. Na każde ich skinienie reagowało pięciu służących. Jamal siedział u szczytu stołu, Florina po jego prawej stronie, po lewej ich starszy syn Gajusz, a obok niego młodszy, Tytus. Naprzeciw siedziała Helena, potem Julia i Jakub. Helena i Julia założyły szaty z jedwabiu równie piękne jak ta, którą miała na sobie Florina. Jakub czuł w tym dziwnym zgromadzeniu ukryte napięcie, lecz nie

urazę, chyba że ze strony synów Jamala, przypatrujących się gościom z mieszaniną ciekawości i niepokoju.

Gajusz wyglądał na kilka lat starszego od Julii, a Tytus mógł być w jej wieku. Patrzyli na Helenę i Julię, nie próbując nawet ukryć zainteresowania. Unikali tylko wzroku Jakuba.

Jakub zdumiewał się, że ludzie ci potrafią łamać pomiędzy sobą chleb i dyskutować o rzeczach takich jak pogoda, podróże, wieści z innych miast, następne spotkania zwolenników Drogi i dziwne, przerażające wieści o tym, że Szaweł z Tarsu znajduje się w ich mieście.

Tego wieczoru największą zagadkę stanowił dla Jakuba Jamal. Po jego żywiołowej sile i ukrytej agresji nie pozostał nawet ślad. Kupiec był jeszcze bardziej milczący niż jego synowie. Rozmyślał nad czymś, lecz bez emanującego zeń zazwyczaj gniewu. Zamiast tego przypatrywał się kolejno siedzącym wokół stołu. Patrzył na Jakuba, Julię, swoją żonę, synów, Helenę, po czym wrócił wzrokiem do Jakuba. Jakub wyczuwał w nim konsternację.

Kupiec odezwał się dopiero po tym, jak słudzy sprzątnęli ostatni talerz i oddalili się. Rozejrzał się jeszcze raz po wszystkich twarzach i rzekł:

– Jeśli cokolwiek mogłoby mnie przekonać, że ten Bóg Judejczyków naprawdę istnieje, to właśnie to: że siedzimy razem w takim gronie. Nawet bym nie pomyślał, by prosić o coś tak niemożliwego, bo nie potrafiłbym sobie wyobrazić, że mogłoby się to spełnić.

Wszyscy wstrzymali oddech. Kobiety wymieniły spojrzenia, po czym żona Jamala powiedziała:

– Było to niemożliwe dla człowieka. Lecz z Bogiem, gdy mamy dostęp do Jego mądrości i pokoju, wszystko jest możliwe.

– Tak – powiedziała Julia. – Amen.

Jamal wydał z siebie głębokie westchnięcie i spojrzał na córkę.

– Tamtego wieczora modliłem się z tobą, bo mnie poprosiłaś. Teraz, gdy o tym myślę, widzę, że modliłem się jak kupiec: umysłem, ale nie sercem. Chciałem negocjować. Nie byłem do końca szczery. Ale teraz zaczynam rozumieć, co się ze mną działo... Co cały czas się ze mną dzieje.

Florina walczyła ze swoimi emocjami. Kiedy wreszcie odzyskała nad nimi kontrolę, rzekła:

– Jakże pragnęłam usłyszeć od ciebie takie słowa. Tak bardzo się o to modliłam.

– Ja również – powiedział Tytus ochrypłym głosem.

Gajusz spojrział na Jakuba. Ten bardzo dobrze odczytał wyraz twarzy młodego mężczyzny. Widział go za każdym razem, gdy dołączał do nowej karawany na twarzach strażników, którzy instynktownie dotykali swojej broni i zastanawiali się, czy jest on rzeczywiście ich sojusznikiem, czy raczej wrogiem czekającym na okazję do uderzenia.

Jakub pochylił głowę i pomodlił się po cichu. Nie tyle za siebie, co za nich wszystkich, aby Bóg znalazł rozwiązanie, by wzmocnił swoją potęgę, by napełnił pokojem te dwie rodziny, by ten cud mógł trwać dalej.

Starszy syn wciąż go obserwował, po czym odezwał się po raz pierwszy.

– Modliłeś się?

– Tak.

– O co prosisz?

– Gajuszu, to sprawa pomiędzy Jakubem a Bogiem – zgaśniła go Florina.

– Nie, nie, w porządku – Jakub wziął oddech. – Modliłem się, żeby Bóg nadal czynił cuda w tym domu i zacieśnił więzy naszej przyjaźni – zawahał się, po czym dodał: – I żeby uleczył rany, które... – nie dokończył myśli.

Jamal położył głowę na zaciśniętej pięści, a z jego ust wydobył się cichy jęk. Julia podeszła i usiadła obok ojca, biorąc go za rękę. Nie mówiła szeptem, lecz jej głos był tak cichy, że noc niemal go wchłonęła.

– Częścią tego, że poznajemy Jezusa, jest poznawanie samego siebie, tato. Dostrzegamy te wszystkie rzeczy, które normalnie wolelibyśmy pozostawić w ukryciu, nawet przed samymi sobą.

Jamal podniósł na nią wzrok, a jego twarz porwana była zmarszczkami smutku, którego przyczyny tylko on znał. Potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić umysł.

– Im bliżej jesteśmy Jezusa – powiedziała Julia – tym bardziej widzimy Jego doskonałą miłość. I tym bardziej dostrzegamy, jak daleko sami jesteśmy od tej doskonałości. A On wzywa nas z miłością i przebaczeniem. Zaprasza nas do wzrostu, do tego, byśmy stali się kimś więcej niż kiedykolwiek moglibyśmy być bez Niego.

Pojawiło się dwóch służących z pochodniami. Po całym ogrodzie rozstawione były wysokie piecyki, każdy w kształcie kwitnącej winorośli, a nad nimi szerokie misy z zapachowym drewnem. Powietrze wypełniło się pachnącym dymem, a wokół nich zatańczyły promienie światła. Jakub był pewien, że tylko on w tym gronie zauważył wejście służących.

Jamal spytał cicho:

– Nauczycie mnie, jak się modlić o... o przebaczenie?

– O to musisz poprosić samego Jezusa – powiedziała Julia.

– Ale... Ale wyrządziłem tak wiele krzywd... – rysy Jamala się napięły.

Jakub pochylił się do przodu i powiedział:

– Nie jesteś dalej od przebaczenia niż ktokolwiek z nas.

– To prawda, ojciec – tym razem odezwał się Gajusz.

Florina wyprostowała się.

– Chciałabym coś powiedzieć – wstała i podeszła do Julii, by położyć rękę na jej ramieniu. – Julio, nie ma nic, czego pragnę bardziej niż... mieć ciebie jako przybraną córkę. Ale obiecuję, że nie będę próbowała stanąć między tobą a twoją matką – odwróciła się do Heleny. – Twoja mama na ciebie zasługuje i potrzebuje cię. Lecz czułabym się zaszczycona, gdybyśmy, razem z twoim ojcem, mogli cię widzieć czasem w naszym i twoim domu. Ciebie i Jakuba. Jesteś córką, którą zawsze chciałam mieć. I jeśli Helena będzie tak łaskawa i się na to zgodzi, pozostanę jej dłużniczką.

Helena już stała obok Julii i wszystkie trzy utworzyły krąg, trzymając się za ręce.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Damaszek

Jakub cieszył się ze swojej nowej, miękkiej szaty, bo chroniła przed zimowym chłodem. Podobnie jak większość mężczyzn w mieście, jako okrycie wierzchnie nosił pelerynę z wielbłądziej skóry, którą przewiązał kolorowym paskiem w odcieniach miedzi, czerwieni, ochry i królewskiego błękitu.

Z wielu powodów nalegał, że noce będzie spędzał w obozie karawan. Po pierwsze, by kupiec mógł spokojnie poświęcić uwagę rodzinie. Jakub chciał, by Jamal wiedział, że jego zwierzęta i cały interes spoczywają w dobrych rękach. Po drugie Jakub czuł, że Julia potrzebuje tego czasu, by być ze swoją nową rodziną. Uspokajał się, że jeśli Bóg da, będzie miał resztę życia na poznawanie ukochanej.

Każdego ranka przychodził do Heleny i Zoe, które wciąż mieszkały w gospodzie. Resztą dnia rozporządzał według swego uznania.

Zaczął uczęszczać na wszystkie trzy nabożeństwa modlitewne w synagodze przy ulicy Prostej. Za każdym razem liczba uczestników rosła. Trzeciego dnia po jego przyjeździe do Damaszku przyszło ponad czterystu mężczyzn. Tłum wylewał się z synagogi frontowymi i bocznymi drzwiami, wypełniając dziedziniec i okoliczne uliczki. Nawet ci, którzy nie uznawali Jezusa za Mesjasza i nie byli zwolennikami Drogi nie interesowali się przybyłymi z Jerozolimy strażnikami świątynnymi. Uważali, że sami potrafią za siebie decydować. Ciepłe przyjęcie prześladowanych wyznawców Jezusa przyszło im bez żadnych trudności. Byli rozżłoszczeni obecnością Szawła w ich mieście i tym, co ta obecność zapowiadała. Pomysł wysłania faryzeusza przez Radę Świątynną, by aresztować żyjących spokojnie w Damaszku Judejczyków napełniał ich oburzeniem.

Jakub ze swojego miejsca na dziedzińcu synagogi słyszał kilka grupek mężczyzn rozmawiających o tym, że powinni iść na drugą stronę ulicy, obezwładnić strażników świątynnych i zakończyć żywot tego człowieka. Stopniowo podnosiła się wrzawa, aż strażnicy zaczęli nerwowo się porozumiewać, trzymając broń w pogotowiu.

Przesłanie o pokoju, które Jakub wygłosił zza mównicy w synagodze poszło w niepamięć w obliczu narastającej wściekłości. Tuż po tym, jak zakończyły się poranne modlitwy, Jakub zobaczył po drugiej stronie ulicy coś interesującego. Składał właśnie swój szal modlitewny, gdy do dwóch strażników podszedł jakiś mężczyzna i uklonił się w powitaniu.

Ktoś obok Jakuba spytał:

– Kto to jest?

– Ananiasz. Wszędzie bym go poznał – odpowiedział drugi głos.

– *Nasz* Ananiasz? A czego on od nich chce?

- A skąd ja mam wiedzieć. Idź i sam spytaj.
- Tak uczynię... Nie, patrz, strażnicy go wpuszczają!

Więcej par oczu zwróciło się w kierunku otwartej właśnie bramy. Ktoś powiedział:

- Ananiasz wierzy w Jezusa. Co on wyprawia...?
- Dlaczego miałby sam pójść do naszego wroga?

Jakub czuł, że w tłumie ludzi rośnie poczucie zagrożenia. Zrobił jedyne, co mu przyszło do głowy, by powstrzymać akty przemocy zanim wybuchną: przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przed strażnikami. Głosem na tyle donośnym, by wszyscy słyszeli, spytał:

- Dlaczego pozwoliliście mu wejść?

Strażnicy najwyraźniej nie chcieli udzielić odpowiedzi, lecz wobec rosnącego gniewu tłumu jeden z nich rzekł:

- *Twierdził, że ma wiadomość od Boga.*

Drugi strażnik dodał:

– Dziś rano faryzeusz powiedział nam, że miał wizję, z której wynika, iż przyjdzie zobaczyć się z nim ktoś o imieniu Ananiasz.

Jakub skinął głową, odwrócił się i podniósł ręce, nakazując ludziom, by ucichli. Powtórzył, co mu powiedzieli strażnicy. A potem czekał.

- A my wchodzimy, czy nie? – spytał ktoś.
- Czy Bóg rozmawiał w tej sprawie również z tobą?
- Nie, ale...

– Bóg powiedział Ananiaszowi, żeby tam poszedł. Bóg powiedział też Szawłowi, że ma wysłuchać tego, co tamten ma do powiedzenia. Jeśli taka jest wola Boża, to co my możemy z tym zrobić?

Brodaty Judejczyk pojawił się z powrotem w bramie. Ananiasza powitała kompletna cisza, aż wreszcie mężczyzna stojący obok Jakuba zawołał:

– Widziałeś się z nim?

Ananiasz jeszcze raz pokłonił się strażnikom i przeszedł przez ulicę. Gdy się zbliżał, Jakub poczuł, jak przez jego ciało przebiega dreszcz emocji. Jasność bijąca z twarzy Ananiasza wyglądała mu znajomo.

– Pan Jezus ukazał mi się w wizji – powiedział Ananiasz.

– Kiedy?

– Dziś rano.

Nacisk tłumu przesunął Jakuba pod zewnętrzny mur synagogi, ale wciąż widział i słyszał tego człowieka.

Teraz pytania padały ze wszystkich stron.

– Jesteś pewien, że to był nasz Pan?

– Nie mam wątpliwości ani w umyśle, ani w sercu. Z początku sam to kwestionowałem, bo ja również słyszałem o tym człowieku. Ale byłem posłuszny...

– A co Bóg ci dokładnie powiedział?

– Że mam tu przyjść, że Szaweł w wizji zobaczył, jak przychodzę do niego i czeka już na mnie.

– I co się wydarzyło?

– Zrobiłem, co Pan mi nakazał. Położyłem na niego ręce, modliłem się.

– Modliłeś się *za niego*? A o co się modliłeś? Żeby go trzasnął piorun?

– Modliłem się, by wrócił mu wzrok.

Z tłumu wyrwał się głuchy jęk.

– Czemu coś takiego zrobisz?

– Cicho! Dajcie mu mówić!

Głos Ananiasza wypełniał ten sam podziw i bojaźń, które rozjaśniały jego oblicze.

– Szaweł mówi, że łuski spadły mu z oczu.

- Czyli znów widzi. I co teraz robi?
- Je, pije, odzyskuje siły.
- A co...?
- Zobaczcie! Tam jest!

W bramie pojawiła się brodata postać faryzeusza. Jeden ze strażników świątynnych coś do niego powiedział, najwyraźniej ostrzegając go przed wrogością tłumu. Szaweł nie dał żadnego znaku, że go w ogóle usłyszał, choć widać było, że wzrok mu powrócił.

Powoli przeszedł przez ulicę i wstąpił w bramę synagogi, a tłum rozstępował się przed nim. Jego oblicze wyglądało tak, jakby nie pochodził z tej ziemi.

Kto tylko mógł, przepychał się do synagogi za Szaweł. Inni przeciskali się, by móc stanąć chociaż w otwartych drzwiach lub przy oknach. Wszyscy patrzyli, jak Szaweł zatrzymuje się przed starszyzną. Starsi skłonili się i cofnęli, dając mu dostęp do mównicy. Wszedł na podest i odwrócił się w stronę tłumu.

Głosem, który niósł się przez drzwi synagogi i na zewnątrz aż do bram, Szaweł powiedział:

– Zbłądziłem w moich myślach i czynach, lecz Bóg w swym wielkim miłosierdziu mnie oświecił. Oświecił przez oślepienie. I teraz stoję przed wami, by zaświadczyć o tym, że Jezus *jest* Mesjaszem, zmartwychwstałym Panem, Synem Bożym. Przyszedł, by zbawić ludzkość z grzechów. On jest bramą do nieba! Przyjmijcie Go jako waszego Zbawiciela i weźcie Bożą łaskę przebaczenia!

Wszyscy osłupieli. Nastąpiła chwila ciszy, po czym zewsząd zaczęły się podnosić głosy. Czy ten człowiek rzeczywiście to powiedział? Ten morderca, Szaweł z Tarsu, ogłosił, że *Jezus Chrystus* jest Mesjaszem?

Pojedyncze pytania szybko przeistoczyły się w ogólną wrzawę. Ludzie już zaczęli się dzielić na różne obozy. Niektórzy szeptali: „Amen”. Inni szemrali: „Błuznierstwo!”. A jeszcze inni sądzili, że Szaweł kłamie.

Jakub stwierdził, że lepiej stąd odejść, nim wybuchną zamieszki. Zaczął przepychać się do drzwi.

Gdy wreszcie udało mu się przedostać do zewnętrznej bramy, usłyszał, jak stojący obok mężczyzna zwraca się do swego towarzysza:

– Szaweł! Po tym wszystkim, cośmy wycierpieli z jego rąk, teraz wyskakuje z czymś takim! Wierzysz mu?

Jego towarzysz potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

– Dopiero czas pokaże – powiedział. – Dopiero czas pokaże.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Rozstaje dróg w Megiddo. Wczesna wiosna

Po wielu godzinach spędzonych w spiekocie słońca i gwarze pracowitego dnia na straganie, Marta wysłała Abigail do domu, a ta pospieszyła przyrządzić coś specjalnego na kolację. Linuks wrócił z patrolu i Dorcas oczywiście błagała, żeby go znów zobaczyć. Gdy wcześniej tego dnia Linuks przyjechał na rynek, wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle. Myśl o tym, że wróci do swej prostej kwatery, którą nazywał domem i dostanie zimny posiłek, podany przez gburowatego służącego, nie była zbyt przyjemna, dlatego Abigail i Marta zaprosiły go, by zjadł z nimi. Uśmiechnął się w podziękowaniu i odwzajemnił uścisk, którym obdarzyła go jego mała podekscytowana przyjaciółka. Przez kilka kolejnych godzin Abigail marzyła, by być już w domu i przygotowywać posiłek, zamiast

targować się z klientami. Marta wyczuła to i kazała jej iść, zapewniwszy, że zajmie się handlem aż do zamknięcia.

Abigail chciała, by ten posiłek był przyjemny, lecz nie miała czasu przygotować wszystkiego tak, jak by sobie życzyła. Zamówiła kurczaka u sąsiadów. Zabrała się do pracy, skubiąc pióra i patrosząc ptaka, potem przyprawiła go ziołami i zaczęła piec nad paleniskiem. Smakowite mięso z dodatkiem warzyw z małego ogródka Marty, wyglądało równie dobrze jak pachniało. Abigail nakryła stół na frontowym tarasie, by mogli podczas jedzenia cieszyć się ostatnimi promieniami słońca.

Posiłek niewiele mógł pomóc skrajnie wyczerpanemu mężczyźnie, lecz Abigail miała nadzieję, że w ten prosty sposób stworzy mu okazję do wypoczynku. Dorcas potrafiła dostarczyć rozrywki; ciągle szczebiotała i łatwo ją było rozśmieszyć. Abigail często miała wrażenie, że kiedy Linuks i Dorcas bawili się razem i śmiali, uchodziło z niego zmęczenie. Wyraźnie było widać, że dziewczynka go kocha, i że Linuks w pełni tę miłość odwzajemnia.

Abigail ostatni raz sprawdziła kurczaka, po czym odwróciła się, by powitać gościa. Zauważyła pełen uznania uśmiech, który rozjaśnił jego twarz, gdy wchodził na ganek. Dorcas z entuzjazmem poklepała siedzenie obok siebie, choć posiłek nie został jeszcze podany.

Podczas gdy Abigail krzątała się przy naczyniach, Dorcas zaczęła opowiadać Linuksowi o wszystkim, co działo się w domu.

– Ciocia Marta zbyt ciężko pracowała dziś na straganie. Ale wypija swoją specjalną herbatkę, żeby ją przestały boleć kolana i teraz śpi. Mama zaniósła jej trochę wywaru i chleb. Ale mama sądzi, że ciocia przyjdzie do stołu, tylko później. A ja dziś przewróciłam się i stłukłam sobie rękę. Widzisz? Płakałam, ale tylko trochę. Ten dziwny pan, Szymon... Już tak nie boję się go, gdy przychodzi na rynek!

Abigail postawiła półmiski na stole. Dorcas kontynuowała:

– A wiesz, że mama musiała oskubać tę kurę z piór? – miała zmarszczyła nosek i zrobiła zniesmaczoną minę. – I wyciągnęła z niej wszystkie flaczki...

– Dorcas! Bądź już cicho, będziemy teraz jeść – Abigail usiadła przy stole i skinęła głową na Linuksa, posyłając mu uśmiech, który – jak miała nadzieję – mógł przywrócić temu posiłkowi spokój. – Pomodlisz się, proszę, zanim zaczniemy jeść?

Jego modlitwa była krótka, lecz prosto z serca. Zawierała wdzięczność za to, że mógł zasiąść do stołu z tymi, których kocha. I to właśnie – Abigail była tego pewna – nasunęło Dorcas pytanie.

– Mamo, czy ty kochasz wujka Linuksa? – wypaliła, unosząc głowę.

Abigail poczuła, że palą ją policzki. Pytanie niezręcznie zawisło w powietrzu.

– Tak czy nie?

– Wujek... wujek Linuks jest naszym dobrym przyjacielem... Wieloletnim – powiedziała Abigail z mocniej bijącym sercem. Miała nadzieję, że jej urywana wypowiedź zamknie tę zenującą sytuację. Próbowała zwrócić uwagę dziewczynki na jedzenie.

– Kochasz go? – naciskała Dorcas.

Abigail bardziej usłyszała niż zobaczyła, jak Linuks odkłada widelec i kładzie oba łokcie na stole, jakby cierpliwie czekał na jej odpowiedź. Gdybyż tylko mogła wyskoczyć z krzesła i uciec, uniknąć tego trudnego momentu! Ale obie pary skupionych na niej oczu zmusiły ją do pozostania na miejscu.

Myśli kołatały jej się po głowie, potykając się o siebie w pośpiechu. Ostatnio coraz bardziej czuła, że jej serce otwiera się na pewne uczucie – znajome, lecz jednak nowe. Czy to miłość sprawiała, że Abigail czuła się

bardziej bezpieczna, spełniona w jego obecności? Czy mogła zaprzeczyć, że to miłość i pozostać w prawdzie? Szczególnie wtedy, gdy marzyła o tym, by Linuks nie musiał wyruszać na kolejny patrol? Czy to miłość kazała jej liczyć dni, aż go znów zobaczy? I wzdychać w modlitwie głębokiego dziękczynienia za każdym razem, gdy wracał bezpiecznie?

Poruszyła się niespokojnie, nie śmiać nawet podnieść wzroku. Była pewna, że Dorcas będzie dopytywać tak długo, aż będzie usatysfakcjonowana odpowiedzią. Ale to Linuks odezwał się miękko:

– Bardzo chciałem również zadać to pytanie, moja mała Dorcas, ale czułem, że muszę milczeć.

Na chwilę zapadła cisza, gdyż Dorcas zastanawiała się nad znaczeniem jego słów.

Abigail zmusiła się, by podnieść głowę. Linuks patrzył na nią z taką czułością, że musiała zamrużyć, by powstrzymać łzy. Wyciągnął do niej rękę, a ona odpowiedziała na ten gest kładąc swoją na silnej, stwardniałej od licznych podróży dłoni rzymskiego oficera.

– Kochasz go, mamó? – zabrzmiał cienki głosik.

Abigail przełknęła, po czym powoli pokiwała głową, a jej oczy wreszcie spojrzały prosto na Linuksa.

– Tak – powiedziała szeptem. – Tak.

Dorcas przyjęła to wyznanie jako dobrą wiadomość, taką, jakiej się spodziewała i jaka być powinna. No bo w końcu ktoś mógłby nie kochać jej cudownego wujka Linuksa? Uśmiechnęła się i skinęła głową, po czym skupiła się znowu na jedzeniu.

Lecz dla Abigail i Linuksa ta chwila była jakby finałem całego dotychczasowego życia, pełnego obaw i marzeń, bólu i radości, a teraz przemienionego tym jednym prostym słowem. Abigail czuła ciepło bijące z dłoni, która trzymała jej dłoń i zobaczyła blask, jakiego nabrały jego oczy.

Czyżby to łyzy sprawiły, że jego oczy tak błyszcząły w świetle zachodzącego słońca?

Wzięła głęboki oddech i uścisnęła jego dłoń.

I wtedy właśnie otworzył się przed nimi zupełnie nowy świat.

*

Było już późno. Abigail pracowała od wielu godzin, obsługując klientów z dwóch karawan, które zawitały do nich, by kupić zapasy żywności i inne towary. Zostawiła sklep pod opieką Marty i Dorcas, a sama poszła do gospody Yelbana, by pomóc obsłużyć tłum głodnych gości. Cieszyła się, kiedy już obie karawany odjechały, zostawiając im nie tylko naczynia do pozmywania, lecz również pieniądze.

Miała mieszane uczucia z powodu tego, że ten dzień był tak intensywny. Cieszyła się, bo była tak zajęta, że jej żołądek nie skręcał się z nerwów, lecz żałowała, że jej uwijające się ręce i pośpieszne kroki nie zostawiają czasu na rozkoszowanie się radością, która zastąpiła jej ogromną samotność.

Jutro odbędzie się jej ślub. Linuks był taki cierpliwy i ujmujący. To wciąż wydawało się jak sen, lecz Abigail miała Dorcas, która bezustannie przypominała jej o nadchodzącym dniu.

– Mamo, jeszcze tylko dziesięć dni – mówiła.

– Mamo, jeszcze tylko pięć dni.

– Mamo, jeszcze tylko dwa dni.

I tak, dzień za dniem, odliczała na swoich małych paluszkach. Zadowolenie dziewczynki zawsze wywoływało uśmiech na twarzy Abigail. Będzie miała męża, a Dorcas tatę, którego od dawna pragnęła mieć. Staną się rodziną. Gdy to sobie uświadamiała, uśmiechała się przez łyzy.

A teraz Dorcas spała. Znużenie wzięło w niej górę nad radością. Jednak w przypadku Abigail, pomimo zmęczenia, sen nie przychodził.

Wreszcie wstała, podeszła do okienka i odsunęła ciężką tkaną zasłonę. Spokojny księżyc spoglądał z góry na śpiące miasteczko, rzucając czarne cienie we wszelkie zakamarki. Nie było widać żadnego ruchu. Upał dnia zelżał, pozostawiając w milczącym powietrzu zapach ogrodowych ziół. Na wzgórzu, patrząc w kierunku zachodnim, za gałęziami cyprysu widać było kwaterę Linuksa. Zastanawiała się, czy on też nie może zasnąć.

Nagle Abigail zdała sobie sprawę, że ma pragnienie, by się pomodlić. Jutro otworzy się dla niej droga do zupełnie nowej podróży – lecz tym razem nie będzie odbywać jej samotnie. Odtąd będzie żoną rzymskiego oficera. Kiedyś pogardzała taką możliwością, lecz Linuks to wszystko zmienił. Linuks oraz Bóg, któremu służył. Jej Bóg. To wiara była gwarantem trwałości ich więzi. Być może była nawet silniejsza od miłości, jaką do siebie czuli. Abigail miała świadomość, że nawet jeśli perspektywa jutrzejszego ślubu przyspiesza jej puls, a radość przepelnia serce, to ich przyszłość pod wieloma względami jest niepewna. Nawet Rzymianin nie mógł czuć się bezpiecznie wobec religijnych prześladowań, które mogły zacząć sięgać poza mury Jerozolimy.

Jednak nawet w obliczu niepewności ich wspólnej drogi wiedziała, że jest w Bożych rękach; że oboje są w Bożych rękach. Bóg zna przyszłość i wie, że ich największym pragnieniem jest służyć Mu i Go czcić. Abigail uniosła wzrok ku bezchmurnemu niebu rozpościerającemu się nad śpiącym miasteczkiem.

– Dziękuję, Ojcze – westchnęła z głęboką pokorą i wdzięcznością. – Nigdy nie zostawiłeś mnie samej z moimi troskami, lecz zawsze byłeś ze mną. Zawsze stawiałeś u mego boku kochających, troszczących się o mnie ludzi. Nawet w najczarniejszych godzinach mi błogosławiłeś. Dziękuję.

Lecz ta krótka modlitwa, choć szczerza, nie wystarczyła jej. Abigail spuściła zasłonkę z powrotem i podeszła do posłania, na którym spała Dorcas. Wydawało jej się właściwe, by jej córeczka też została włączona w tę modlitwę. Abigail wzięła jej małą rączkę w swoją dłoń i patrzyła na jej twarzyczkę, widoczną w nikłym świetle świecy.

Dorcas nie poruszyła się, lecz Abigail poczuła, jak małe paluszki nieco się zacisnęły na jej dłoni.

– Ojczy, mój Boże i zbawienie moje...

Zamilkła. Od czego ma zacząć? Jak wypowiedzieć te głębokie uczucia, tkwiące w jej sercu?

Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej:

– Ja... nigdy nie myślałam, że słowa „mój mąż” jeszcze kiedyś przejdą przez moje usta. Ale... ale Ty obdarzyłeś mnie kolejnym cudem. Dziękuję Ci za towarzysza życia, za którym tak tęskniłam, i za ojca dla mojej córeczki. Wiesz, Panie, co dziś do mnie powiedziała, gdy kładłam ją spać? Powiedziała: „Po jutrzejszym dniu już nigdy nie będę musiała mówić *wujku Linuksie*. Będę miała tatę, jak moi przyjaciele”. I zaklaskała w rączki z radości. Dziękuję Ci, Panie.

Abigail zamilkła na chwilę, próbując uporządkować myśli i uczucia. Łzy przepłynęły jej przez palce ręki, którą uniosła do twarzy.

– I, Boże, nie wiem, jak to wszystko działa u Ciebie, w niebie. Wiem tylko tyle, że Szczepan tam jest z Tobą. Czy on mnie widzi, Panie? Czy wie o moim szczęściu? Tyle czasu już minęło, ale teraz wreszcie jestem gotowa iść dalej. Wiem, że to sprawi mu wielką radość. Nie chciałby, aby atakowała mnie samotność i strach. Bo właśnie tak było, Panie. Szczepan myślał, że moja wiara jest taka silna, lecz ja zbyt często się potykałam. Proszę, Boże, gdybyś mógł tylko dać mu znać, że u nas już znowu będzie wszystko w porządku. On był takim mądrym, delikatnym mężem przez ten krótki

czas, gdy byliśmy razem. Widział dobro w Linuksie na długo przed tym, nim ja je zauważyłam. I nawet poprosił go, by się o mnie zatroszczył. I teraz tak będzie, Panie. Linuks zatroszczy się o mnie i Dorcas.

Abigail drżącą ręką otarła policzki. Mówiła o uczuciach z przeszłości. Teraz był czas, by pomyśleć o przyszłości.

– I, Boże, proszę, pomóż mi być dobrą żoną dla Linuksa. On zasługuje na szczęście, Panie. Spraw, bym była czuła i kochająca, bym była dla niego taką pomocą, jaką mogę być tylko dzięki Twojej obecności w moim życiu. Niech nasza wspólna podróż będzie wielką lekcją wiary, abyśmy złączyli serca i ręce w służbie Tobie i Twojemu ludowi. Pokaż nam drogę, Panie. Naucz nas iść za Tobą. Niech nasza miłość do Ciebie i do siebie nawzajem rośnie z każdym kolejnym dniem, byśmy...

Dorcas poruszyła się. Abigail podniosła głowę i zobaczyła, że oczy dziewczynki są szeroko otwarte i przyglądają jej się. Znowu podniosła rękę do twarzy i otarła łzy. Nie chciała, by Dorcas się zmartwiła. Lecz dziewczynka się uśmiechnęła.

– Mamo, czy już jest rano?

Abigail potrząsnęła głową.

– Nie, kochanie. Noc dopiero się zaczęła.

Dorcas przekręciła się na bok.

– No to ja idę dalej spać. Chcę, żeby rano przyszło szybko. Nie mogę się doczekać, żeby mieć prawdziwego tatę. Tak, mamo?

– Tak – odpowiedziała Abigail łamiącym się głosem. – Masz absolutną rację, skarbie.

I nagle wszystko wydało się jej takie właściwe, w należyтым porządku. Jej niespokojny żołądek przestał dawać o sobie znać, uczucie niepokoju ją opuściło. Po raz pierwszy od wielu miesięcy, a nawet lat, Abigail poczuła zupełny pokój. Odgarnęła loki z twarzyczki dziewczynki, której oczy już się

zamykały. To były oczy Szczepana. Zamruwała, by powstrzymać kolejne łzy. Nie wiedziała, czy były to łzy smutku czy szczęścia, i nawet nie próbowała się nad tym zastanawiać. To był długi dzień. Potrzebowała odpocząć. Dorcas miała rację. Ranek przyjdzie znacznie szybciej, jeśli uda jej się zasnąć.

Uśmiechnęła się i pochyliła, by pocałować policzek dziewczynki, która wkrótce będzie miała *prawdziwego tatę*.